

**Tomek Michniewicz**

# **GORĄCZKA**

**W świecie poszukiwaczy skarbów**

WYDAWNICTWO  
**otwarte**

*Dla moich przyjaciół:*

*Indiany Jonesa, Tomka Wilmowskiego i Pana Samochodzika*

*Wszystkie wydarzenia i postacie opisane w tej książce są prawdziwe. Imiona niektórych bohaterów zostały zmienione na ich prośbę lub ze względu na ich bezpieczeństwo.*

\* \* \*



Gili Trawangan, Indonezja

LIŚCIE PALMY ZASZUMIAŁY, poruszone wiatrem od oceanu. Shannon pociągnął trochę soku z kokosa i spojrzał na niego krytycznie, mlaszcząc z niesmakiem.

– Tu, w Indonezji? Słyszałem chyba tylko o jednym, i to dość dawno. Odkrył atol, gdzie podobno na dnie leżał jakiś japoński krążownik z lat czterdziestych. Zebrał ekipę i zbadał teren.

No i faktycznie, znalazł pół kadłuba i jakąś zawaloną ładownię. Narobił wokół siebie sporo szumu, zgłosił sprawę w sądzie i prawie zamieszkał na morzu, żeby nikt mu przypadkiem nie podebrał tego okrętu. Minęło parę miesięcy, uzyskanie pozwoleń się przeciągało, więc co jakiś czas po cichu badał wrak na własną rękę. Odgiął nawet jakieś drzwi do ładowni.

– Nie uwierzysz, co było w środku. – Palma zaszumiała głośniej, po plaży poniosły się drobiny piasku, smagając nas po twarzach. – Skrzynie. Skrzynie pełne szampana z drugiej wojny światowej.

W życiu tego człowieka nastąpił gwałtowny zwrot. Dostał nieomal szału ze szczęścia, bo od razu wyczuł, że oto rozbił bank. Jediną przeszkodą był brak pozwoleń, bez których nie opłacało mu się sprowadzać sprzętu i ludzi, żeby otworzyć wrak i wyciągnąć skrzynie na powierzchnię. Okręt leżał zresztą dość głęboko, więc to nie było wcale takie proste.



Widok z Gili Trawangan na Lombok, Indonezja

Plotka o jego odkryciu szybko się rozeszła, jak rozchodzi się zawsze, gdy ktoś próbuje utrzymać coś takiego w tajemnicy. Po miesiącu przyszła pierwsza propozycja. Jakiś ekscentryczny bogacz oferował milion dolarów za prawa do wraku, zupełnie w ciemno.

– Facet nawet nie chciał słuchać. Siedział na swojej łajbie i liczył, ile zarobi za samego szampana. Ładownia mieściła z pięćset skrzyń, a w każdej mieściło się kilkadziesiąt butelek. Obliczył, że jedna butelka była warta jakieś dwadzieścia tysięcy dolarów, czyli na samym szampanie mógł zarobić co najmniej trzysta milionów. A do tego we wraku musiało być sporo wartościowych antyków.

Odrzucił wszystkie propozycje, w tym jedną od pewnego Japończyka gotowego zapłacić za prawa do wraku dziesięć milionów dolarów. I to mimo że jeszcze nikt na dobrą sprawę nie zbadał zawartości tej ładowni, a w skrzyniach widzianych przez odgięte drzwi mogło leżeć wszystko, nawet stare żelastwo bez wartości.

– Zatopiony wrak, ładownia, skrzynie... Shannon, przecież to brzmi jak jakiś film... – powiedziałem.



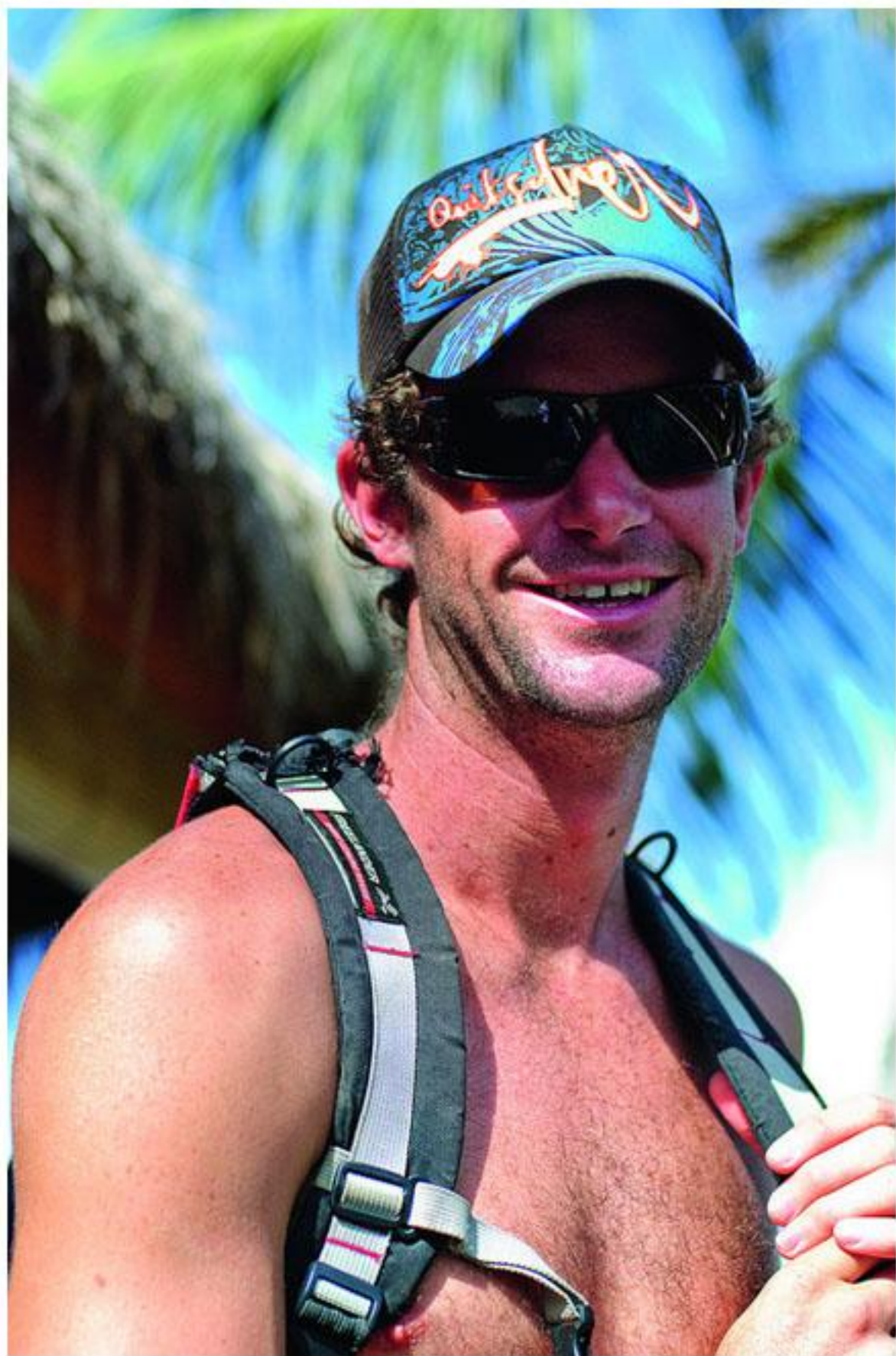
– On dokładnie tak samo myślał i bardzo chciał zagrać w nim główną rolę.

I czekał. Czekał. Czekał. Musiał dosłać kolejne dokumenty. Ktoś tam zgłosił roszczenia do statku. Znowu czekał, pięć lat. Prawie posiwiął z nerwów. Kazał się nazywać kapitanem, dostał chyba nawet lekkiego szmergla. Ale w końcu jego cierpliwość została nagrodzona. Otrzymał prawo własności i pozwolenie na wydobycie okrętu.

Godzinę później kapitan był już pod wodą i rozcinał zbrojenia, żeby dobrać się do skrzyń. Dopadł najbliższej i odłupał wieko. Odgarnął zamokłe trociny i odetchnął z ulgą na widok szklanych butelek. Wyciągnął dwie, po czym popędził na powierzchnię, zdecydowanie szybciej niż nakazują regulaminy. Kapitan wdrapał się na pokład i aż popłakał się ze wzruszenia. Trzymał w ręku starego francuskiego

szampana, z poszarzałą przez lata etykietą. Szampana, który zapewni mu dostatnią starość i oznacza, że nie zmarnował trzydziestu lat na pogoń za jakąś mrzonką. To było zwieńczenie jego marzeń, poświęcił całe życie dla tej jednej chwili. Spojrzał na butelkę pod światło, a w środku zobaczył małe bąbelki. Odblask słońca przechodzącego przez drogocenny płyn oblał mu twarz złotymi refleksami. Odetchnął głęboko i nożem podważył korek.







## Shannon

Korek wyskoczył nad wyraz gładko, bez charakterystycznego syknięcia.

Kapitan był właścicielem całej ładowni, pięciuset skrzyń, a w każdej z nich kilkudziesięciu butelek słonej morskiej wody, która przedostała się przez korkowe zatyczki<sup>[1]</sup>.

<sup>[1]</sup> W rozdziale *Na marginesie* znajdują się wyjaśnienia dotyczące opisanych w niej historii, źródła, nazwiska, objaśnienia trudnych terminów i sporo informacji, które pozwalają lepiej zrozumieć świat poszukiwaczy skarbów. Możecie je czytać na bieżąco jak przypisy lub na raz jak oddzielny rozdział.



Atol Peros Banhos, Ocean Indyjski, sierpień 1556

KAPITAN FRANCISCO NOMBRE wiedział, że nie dopłyną do celu. Wyruszyli z Lizbony pół roku wcześniej, szczęśliwie opłynęli Afrykę i uciekając przed monsunem, pożeglowali w kierunku Indii.

I wtedy jego *nao* zaczął nabierać wody.

To był spory okręt, wiózł pięćset osób oraz górę srebra przeznaczoną na kupno przypraw, chińskich jedwabów, kamfory i drogocennego drewna. Kapitan Nombre planował też odebrać w Indiach diamenty, rubiny, szmaragdy i turkusy, które po powrocie do Portugalii sprzedałby za tyle *cruzado*, by nie musieć pracować do końca życia.

Już teraz wiedział, że to się nie uda.

Popęłnił błąd, gdy nie wysłuchał swojego nawigatora, uprzedzającego, że wpływają na płyciznę. Był nadto pewny siebie, zbyt ufał sekstantowi i swojemu doświadczeniu. Zbeształ nawigatora i rozkazał nie zmieniać kursu.

W środku nocy jego okręt uderzył o skały, rozdzierając kadłub.

O świcie kapitan Nombre zobaczył, że jego Conceição osiadł na rafach i piasku, na dużym, skalistym atolu, gdzie nie było żywej duszy. Rozkazał spuścić szalupy i jedyny duży barkas, jakim dysponowali. Okręt zapadał się coraz bardziej, trzeba było jak najszybciej przewieźć ludzi na ląd.

Nie wszyscy zmieścili się w łodziach, niektórzy płynęli wpław, pokonując fale własnymi siłami. W ten sposób cała załoga i pasażerowie Conceição dotarli do niewielkiej piaszczystej łachy ledwo wystającej z morza, gdzie nie rosło nic oprócz trawy i nie żyło nic z wyjątkiem ptaków.

Zostali rozbitkami na bezludnej wyspie i nie było już dla nich nadziei.

Kapitan Nombre podjął decyzję, że opłynie okolicę w poszukiwaniu wyspy zdatnej do życia, gdzie szanse na przetrwanie byłyby większe. Wybrał spośród załogi czterdziestu zaufanych ludzi i wspólnie przysposobili barkas do żeglugi. Postawili żagiel i zamontowali wszystkie wiosła, sprawdzili szczelność i umocowali trochę zapasów. Na brzegu zostało ponad czterystu pasażerów, którzy w kapitanie pokładali całą swoją wiarę.

Kapitan obiecał, że znajdzie sposób, by ich wszystkich uratować, i prosił, żeby nie tracili nadziei.

Zamiast tego podpłynął do tonącego Conceição, przeniósł na barkas tyle złota i klejnotów, ile łódź była w stanie unieść, po czym odpłynął do Indii, żeby nigdy nie wrócić.



Więzienie San Quentin, Kalifornia, USA

PORUCZNIK SAM ROBINSON przyglądał mi się od kilku sekund z wojskową powagą, wzrokiem oficera oceniającego kadeta, który nie budzi wielkich nadziei. Potem niespodziewanie uśmiechnął się promiennie, ukazując śnieżnobiałe zęby na tle swojej mahoniowej

twarzy.

– Panowie, będziecie musieli podpisać takie oto oświadczenie.

Rzuciłem okiem na kartkę, którą porucznik położył przede mną na stole.

„Przyjmuję do wiadomości, że więzienie San Quentin to placówka o maksymalnym rygorze bezpieczeństwa, i oświadczam, że wchodzę na jego teren na własną odpowiedzialność. Zostałem poinformowany, że nie zostanie mi przydzielona uzbrojona eskorta. Rozumiem też, że w przypadku zatrzymania mnie przez więźnia lub grupę więźniów jako zakładnika, władze stanu Kalifornia nie będą prowadzić z nimi jakichkolwiek negocjacji”.



Pod oświadczeniem widniała tabelka z podpisami kolejnych odwiedzających. Upał lał się z nieba, spękana ziemia od dawna nie miała czym oddychać. Zaszło mi w gardle. Spojrzałem na wieżyczki wartownicze rozlokowane wzdłuż muru i na snajperów popijających w

nich kawę. Porucznik Robinson przyglądał mi się badawczo.

– Czyżby jakieś wątpliwości?

– Kogo wy tu trzymacie? – odpowiedziałem pytaniem.

– Morderców, gwałcicieli, porywaczy... – Porucznik uśmiechnął się półgębkiem i rozejrzył się znudzony. – Ludzi, o których kręci się filmy.



**PIERWSZY RAZ TRAFIŁEM NA ICH ŚLAD** na Karaibach. Potem otarłem się o nich w Kambodży, tropiąc przemytników dzieł sztuki. Słyszałem różne pogłoski o ich działalności w Egipcie i na Filipinach, ale nie bardzo chciałem w nie wierzyć. Do czasu gdy zajrzałem za kurtynę i przekonałem się na własne oczy.

Poszukiwacze skarbów. Szaleni naukowcy. Ekscentryczni milionerzy. Fantaści i idealisci albo przestępcy ogarnięci rządzą bogactwa, pozbawieni skrupułów i wyrzutów sumienia.

Każdy z nich szuka czegoś innego i różne stosuje metody. Ale absolutnie wszyscy są przekonani, że znaleźli drogę na skróty prowadzącą do wielkich pieniędzy.

Skarby, złoto, kasyna, stare świątynie w dżungli, świszczące kule i podwójne intrygi. Pewnie pomyślicie, że to historie z filmowych przygodówek, wytwór fantazji hollywoodzkich scenarzystów.

Ja też tak myślałem.

ALMIRANTA



Sajgon, Wietnam, 1983

CORK GRAHAM ZOBACZYŁ, jak pordzewiałe ze starości drzwi celi otwierają się, skrzypiąc. Do środka weszło dwóch strażników. Bezceremonialnie odwrócili go i zarzucili mu na głowę śmierdzącą szmatę, zasłaniając oczy. Związali mu ręce za plecami, mocno, na wysokości łokci, i twardą lufą karabinu popchnęli go do wyjścia. Wyszli z nim bez słowa, choć próbował dopytywać, co się dzieje. Skręcili kilka razy, pokonując kolejne korytarze, aż Cork poczuł na twarzy świeże powietrze. Kamyczki kłuły bosc stopy. Liczył kroki, ale stracił rachubę, droga ciągnęła się bez końca.

Ktoś popchnął go z całej siły na ścianę. Głową walnął w mur, aż usłyszał suchy trzask kości i poczuł tępy ból rozlewający się w dół karku. Słyszał kroki, ciężkie, wojskowe buty. Kilka osób. Nic nie widział.

Ciszę przerwał beznamiętny, anonimowy głos:

– Za zbrodnię szpiegostwa...

Cork rzucił się przed siebie i zarył twarzą w ziemię. Napiął mięśnie do granic możliwości, próbując zerwać sznury. Z oczu trysnęły mu łzy wstrzymywane przez ostatnie dwa miesiące pobytu w więzieniu. Krzyczał.

– ... przeciwko Socjalistycznej Republice Wietnamu – ciągnął głos bez emocji – wyrok brzmi: rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny.

Cork wrzeszczał, próbował ich jeszcze przekonać, że tylko szukali skarbu, że to wszystko pomyłka, nieporozumienie. Rzucił się w panice, ślepy i związany, śmiertelnie przerażony. Po spodniach rozlało mu się ciepło, którego nie był w stanie utrzymać.

– Gotów! – padła krótka komenda. – Czy chciałby pan coś jeszcze powiedzieć, panie Graham? – zapytał anonimowy oficer.

Cork opanował się wreszcie, pociągnął nosem i stanął niepewnie wyprostowany. Nic nie powiedział.

– Cel! – Karabiny zagrzechotały, przykładane do ramion żołnierzy. To już koniec. Spokój. Pal!

San Francisco, Stany Zjednoczone, obecnie



DZWONEK BRZDĘKNAŁ WDZIĘCZNIE poruszony otwieranymi drzwiami. W powietrzu unosił się zapach tradycyjnej wietnamskiej zupy pho. Cork Graham podszedł do mojego stolika i uśmiechnął się szeroko.

- Znowu urosłeś?
- Daj spokój... Ale za to ty chyba nieco się zaokrągliłeś?
- Dobrze cię widzieć.
- Ciebie też. Sajgonki i pho z kurczakiem?
- Zawsze chętnie.

Cork był człowiekiem, który wprowadził mnie w świat poszukiwaczy skarbów. Swego czasu siedział w tym po uszy. Znał odpowiednich ludzi, trzymał w rękach stare mapy i biegał po świecie, szukając kufrów złota z siedemnastego wieku.

Dziś trzyma się od tego wszystkiego z daleka.

Miał ze czterdzieści pięć lat, ale nie spędził ich na kanapie. Niósł na plecach bagaż doświadczeń, i to takich, o których nie opowiada się naokoło. Szukał skarbów, brał udział w akcjach wojskowych i analizował dane wywiadowcze. Przez całe życie polował na przygody i nadstawiał karku. Jak wielu innych mógłby wieczorami snuć niestworzone historie o swoim bohaterstwie, szczęściu albo fatalnym pechu. Zamiast tego mówił mi zawsze tylko jedno i to samo: „Musisz być bardzo ostrożny, bo możesz stracić więcej, niż myślisz”.

Cork Graham mieści się w mojej prywatnej klasyfikacji w kategorii ludzi, których przestroż słucham bardzo uważnie.

NA NASZYM STOLE WYLĄDOWAŁ PÓLMISEK z sajgonkami i dwie michy z zupą, którym towarzyszył nieodłączny kopiasty talerz zieleniny. Nie wiem, dlaczego Cork zawsze wybiera wietnamskie knajpy. Nie zdziwiłbym się, gdyby po doświadczeniach z więzienia nie chciał mieć nigdy więcej do czynienia ani z zupą, ani z ryżem i jadał tylko steki, makaron oraz francuskie bagietki. Tymczasem uwielbia wietnamszczyznę i zawsze pałaszuje ją na sposób azjatycki, bez żenady chlapiąc, siorbiąc i ciskając resztkami po stole.

Bar wypełniał gwar rozmów i cichy podźwięk jakiejś orientalnej

muzyki snującej się z głośników.

Wymieniliśmy się informacjami, co słyszać i co nowego, jak żony, dzieci, praca, dokąd teraz i skąd. Pełne brzuchy wprowadziły miłą, rozluźnioną atmosferę. Jaśminowa herbata pachniała w imbryku.

– Cork, musimy wrócić po to złoto – zmieniłem temat.

Przewrócił oczami zrezygnowany.

– Wiesz, że tracisz czas. Ja tam nigdy nie wrócę.

– Ale dlaczego nie?

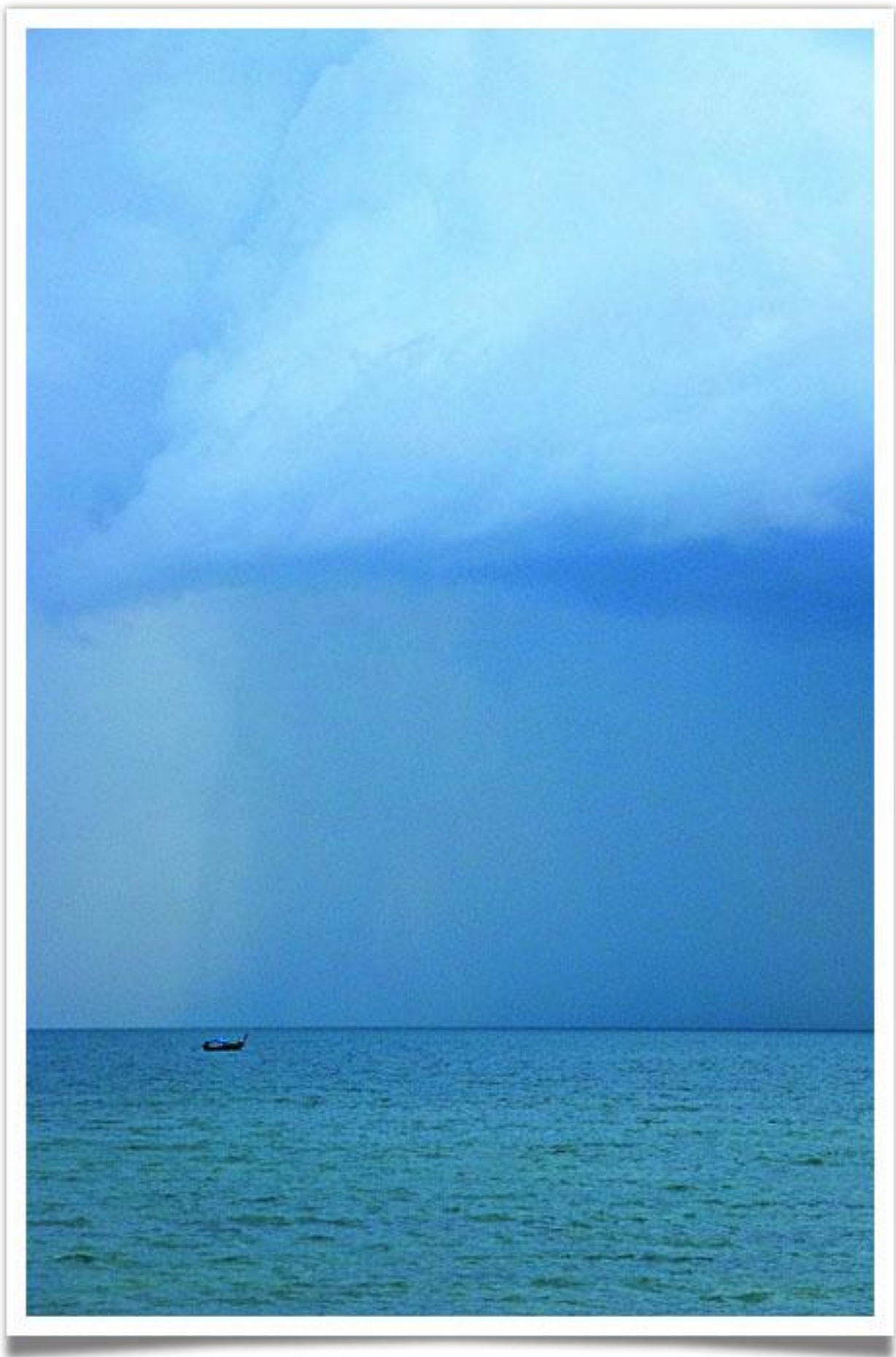
– Znowu mam ci tłumaczyć? – Cork zirytował się nieco, jak zawsze. – Dopóki rządzi tam partia i dopóki jestem na każdej wietnamskiej czarnej liście, i dopóki pamiętam, jak wyglądała moja cela, i dopóki mogę robić w życiu cokolwiek innego, choćby zmywać gary, nie wrócę po ten pieprzony skarb. Nie ma mowy.



Zatoka Tajlandzka, Morze Południowochińskie, 1983

**CORK TRZYMAŁ SIĘ KURCZOWO** poręczy starej rybackiej krypy i chłostany deszczem kolebał się wraz z nią na wysokich falach. Wszystko szło nie tak. Zapisał się na wielką przygodę, szukanie zakopanego skarbu, a skończył w amatorsko przygotowanej akcji specjalnej w towarzystwie dwóch Tajów i jednego świra. Niech to diabli.

Miał wtedy osiemnaście lat.



## Burza na Morzu Południowochińskim, Zatoka Tajlandzka

Wszystko zaczęło się, gdy postanowił zostać fotoreporterem. Rzucił szkołę oficerską, spieniężył swój fundusz studencki, kupił aparat, po czym oznajmił rodzicom, że wyjeżdża do Azji i kiedyś wróci. Miał te swoje naście lat, nigdy nie pracował i nie miał żadnych kontaktów. Nie zrażało go to. Cork był głęboko przekonany, że fotografowanie to jego powołanie i będzie potrafił to robić.

Poleciał do Bangkoku, skąd chciał dokumentować niekończące się wojny w ościennych krajach, i wpadł tam od razu po uszy w świat egzotycznej dziennikarskiej bohemy, wagabundów żyjących z dnia na dzień, zawsze w pogoni za tematem i zawsze bez pieniędzy. Przez kilka miesięcy spędzonych w stolicy Tajlandii sprzedał może ze dwa zdjęcia, parę razy wpadł w kłopoty, dał się ostrzelać na granicy z Laosem i przekonał się boleśnie, że jednak nie wszystko da się załatwić młodzieńczym zapałem.

A potem pojawił się on. Richard Knight.

CORK ODEBRAŁ TELEFON od swojego mentora Johna Everingham, który oznajmił mu, że pewien Brytyjczyk, Richard Knight, szuka fotografa na wyprawę po ukryty na jakiejś wyspie skarb kapitana Kidda. Everingham był wtedy gwiazdą wśród dziennikarzy, a to był jeden z tych telefonów, na który czeka każdy reporter. Następnego dnia Cork Graham siedział już w autobusie do Pattayi, w drodze na spotkanie z zupełnie mu nieznanym poszukiwaczem skarbów.

Richard Knight okazał się dość nieprzyjemnym mężczyzną około pięćdziesiątki. Nieco zaniedbanym, z wydatnym brzuchem i spojrzeniem kogoś, kto wie, czego chce i jak to zdobyć. Cork usiadł przed nim jak uczeń i wysłuchał wykładu o skarbie Kidda. Na stole wylądowały zdjęcia satelitarne, mapy CIA, fotokopie dokumentów i dziesiątki stron szczegółowych informacji.

Na malutkiej wysepce miały być ukryte trzy pełne kosztowności skrzynie, schowane tam przez słynnego korsarza Jego Królewskiej Mości. Rubiny, szmaragdy i szafiry z Cejlonu, diamenty z Birmy, Kambodży i Królestwa Syjamu, złoto w monetach, łańcuchach, sztabach. I srebro, którym Hiszpanie płacili za przyprawy, oraz jedwab z

Orientu. Całość była warta trzydzieści pięć milionów dolarów<sup>[2]</sup>.

Knight wszystko przygotował, zabiegi musiały już trwać dość długo. Miał solidne zaplecze finansowe, inwestorów z Australii, gotówkę na wszystkie wydatki, podpisany kontrakt na prawa do filmu, wynajętą łódź i szczegółowy plan. Potrzebował tylko fotografa, który dokumentowałby przebieg akcji i potem obwieścił ją światu, oblewając Anglika sławą i pieniędzmi. Wszystko wyglądało naprawdę nieźle, z wyjątkiem jednego detalu.

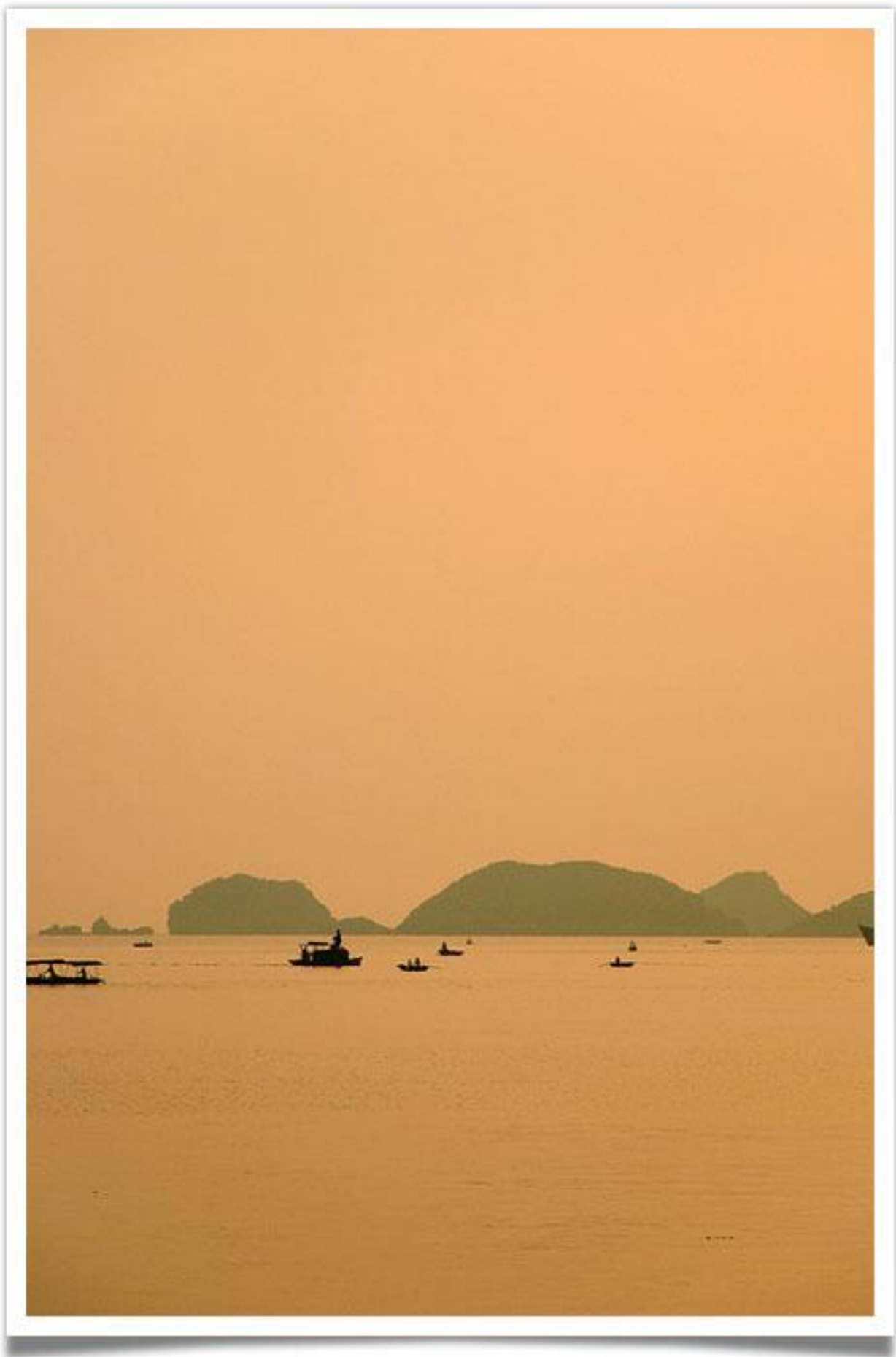
Wyspa, na którą mieli płynąć, była w Wietnamie.

To były lata osiemdziesiąte, wojna w Wietnamie skończyła się raptem osiem lat wcześniej. Amerykanie wycofali się z podkulonym ogonem, a zwycięski, komunistyczny rząd w akcie ostatecznego triumfu zdobył Sajgon, po czym rzucił się z zębami na wszelkie przejawy prozachodnich sympatii. To były czasy masowych przesiedleń, rozstrzeliwania dysydentów i stawiania przed plutonami egzekucyjnymi bez wyroku, za samo podejrzenie szpiegostwa. W tych latach Wietnam był dla Amerykanina najgorszym miejscem na świecie, gorszym nawet niż Związek Radziecki. Z Sowietami trwała zimna wojna, z Wietnamczykami wojna na całego.

Ale z drugiej strony... taka historia! Akcja wydawała się nie mieć słabych punktów. Mieli przedostać się z Pattayi na wyspę Ko Samet, tam zmienić łódź, zmylić ewentualnych obserwatorów, skierować się na południe wzdłuż wybrzeża Tajlandii, a potem Kambodży, płynąć na teren Wietnamu tylko parę mil, pod osłoną nocy wyciągnąć z ziemi skrzynie złota i wrócić na łódź, nim ktokolwiek się zorientuje, co jest grane. W razie kłopotów mieli udawać turystów na wycieczce wędkarskiej. Kłopotów zresztą nie przewidywano.

Siedzieli w zadymionym pokoju Anglika, od dłuższej chwili panowała ciężka cisza.

– Widzę, że nie jesteś do końca przekonany? – zapytał Knight.





Cork coś mruknął w odpowiedzi.

– W takim razie to załatwi sprawę. – Poszukiwacz zmarszczył brwi i wyjął z teczki spłowiałą fotokopię.

– Co to jest?

– To, mój drogi, jest kopia oryginalnej mapy sporządzonej przez kapitana Kidda.

Cork wytrzeszczył oczy. Na papierze widniała narysowana ręką jednego z najsłynniejszych w historii brytyjskich korsarzy mapa wyspy z precyzyjnie wykaligrafowanymi objaśnieniami. Długość i szerokość geograficzna, położenie wraków, rafy, skały, laguna, nawet jakaś jaskinia i plaża pełna żółwi. Kopia prawdziwej siedemnastowiecznej mapy, na której brakowało tylko krzyżyka oznaczającego skarb.

– Gdzie jest oryginał? – Cork spytał przytomnie.

– Bezpiecznie schowany – padła sucha odpowiedź. Knight rozparł się w fotelu. – Mój krewny kupił kiedyś w sklepie z antykami stare biurko. Pisał przy nim wiele lat, aż niechcący oparł się na nim czy usiadł tak niefortunnie, że jedna z nóg pękła. Okazało się, że w środku jest mała mosiężna tuba z napisem: „Kapitan William Kidd, Adventure Galley, 1669”, a w niej właśnie ta mapa, z pieczęciami, zalakowana i tak dalej. To jest autentyk, nie ma wątpliwości. – Knight pochylił się ponownie nad stołem. – Chłopcze, ja spędziłem pół życia na poszukiwaniu tego skarbu. Masz niezły fart, możesz się załapać na sympatyczną wycieczkę, na ostatnią prostą przed metą.

Cork podniósł mapy CIA oraz zdjęcia satelitarne i porównał je z mapą kapitana Kidda. Wyspa miała kształt półksiężyca otwartego ku górze. Kształt na wszystkich dokumentach był niemal identyczny. Na północnym brzegu, w zatoce, Kidd narysował skały i kamienisty atol, którego jednak nie było widać na zdjęciach. Satelity nie mogły sfotografować niczego, co znajduje się pod wodą. Ale kontury właściwego nabrzeża się zgadzały. „Jasna cholera – pomyślał Cork – to może być prawda”. Zapytał jednak:

– Co ja z tego będę miał?

– Oprócz sławy i pieniędzy za zdjęcia? – Knight uśmiechnął się ironicznie. – Jeśli dojdiesz ze mną do końca i zejdziesz na wyspę, dam

ci sześć procent wartości skarbu. Jakies dwa miliony dolarów.

Cork wybałuszył oczy. Dla osiemnastolatka to była kwota przekraczająca najśmielsze oczekiwania.

– Kiedy wypływamy?

– Jutro rano.

CORK MIAŁ AKURAT TYLE CZASU, żeby wrócić do Bangkoku, spakować aparat, umyć się, ogolić, pognać z powrotem do Pattayi i złapać odpływającą łódź Knighta. Kilka godzin – zdecydowanie za mało, żeby porządnie przeanalizować sytuację i zastanowić się, w co tak naprawdę się pakuje. Cała podróż miała potrwać maksymalnie pięć dni, a on stać się bogaty i sławny, z plecakiem pełnym negatywów stanowiących przepustkę do świata fotoreporterskich gwiazd.

Osiem dni później oto stoi na starej łajbie, trzyma się poręczy, deszcz chłoszcze go po twarzy i wszystko idzie nie tak.

ZACZEŁO SIĘ NIEŹLE. Zgodnie z planem zabrali z Pattayi dwie dziewczyny, udając rozochoconych turystów. Odstawili je nieopodal, w kurorcie Bang Sare, po czym przesiedli się na czekającą tam łódź. To była duża rybacka krypa niejakiego kapitana Muka, który wyekspediował na tę wyprawę dwóch swoich podopiecznych, Ti i Pi, młodych chłopaków, dwudziestokilku-, może trzydziestoletnich, do tej pory zajmujących się głównie łowieniem barrakud i tuńczyków, a nie polowaniem na skarby na obcych wodach terytorialnych.

A potem wszystko zaczęło się sypać. Dopadł ich sztorm, wymuszając dwudniowy przestój. Wyszło na jaw, że Ti przywłaszczył sobie pieniądze na paliwo i mają spory niedobór. Cork z Knightem popłynęli po zapasy żywności, która się kończyła, stracili orientację i spędzili noc w szalupie. A na dodatek okazało się, że wody Zatoki Tajlandzkiej patrolują piraci uzbrojeni we wszystko, co krążyło po całych Indochinach w niekończących się przygranicznych wojnach. Arsenał mieli doprawdy imponujący. Czasem kałasznikowy albo amerykańskie M16, a czasem wyrzutnie granatów, stare M14 albo jeszcze starsze enfieldy, garandy i thompsony z drugiej wojny światowej.



Co najgorsze, to byli prawdziwi piraci. Zabijali mężczyzn i gwałcili kobiety. Często je porywali wraz z dziećmi i sprzedawali do niewoli lub domów publicznych. Jeśli się spieszyli, tylko gwałcili kobiety, a potem zabijali wszystkich i zatapiali łódź, zabierając wcześniej wszystko, co miało jakąś wartość. Nigdy nie zostawiali świadków.

Organizator tej cholernej ekspedycji po skarb Richard Knight uważał, że są przygotowani na spotkanie z piratami, wszystko przewidział.

Miał kilka plastikowych atrap karabinów, którymi planował ich postraszyć.

NO WŁAŚNIE, to, co najbardziej szło nie tak, to Richard Knight. Kazał się nazywać kapitanem i rozstawiał wszystkich po kątach, i to w sposób niezwykle obcesowy, chociaż nie miał pojęcia o morzu. Miał niekontrolowane wybuchy złości, po których następowały godziny depresyjnej melancholii. Czasem gadał bez przerwy, a czasem milczał

pół dnia. Był nieznośny i irytujący, przemądrzały mądrała amator, przekonany o własnej wyższości i demonstrujący ją z gburowatą arogancją.

Umówmy się, że tacy ludzie w przedsięwzięciu noszącym znamiona operacji specjalnej, to nie jest okoliczność uspokajająca.

Co więcej, okazało się, że pierwotnie Knightowi miał towarzyszyć jakiś Francuz, który w ostatniej chwili zrezygnował i jego miejsce zajął Cork. Pytanie: dlaczego zrezygnował?

Stojąc na rozchwianej łajbie i patrząc, jak Knight, który miał być mózgiem operacji, rozkłada ją na całej linii, Cork zastanawiał się, jak mógł być aż tak głupi. Ale teraz już było za późno.

– MINĘLIŚMY HA TIEN, szykuj się – Knight wydał polecenie jak zwykle tonem nieznośnym sprzeciwu.

Dopływali do celu, małej wysepki Hon Tre Lon, zwanej też lokalnie Wyspą Piratów. Rzucili kotwicę w sporej odległości od brzegu, zdecydowanie poza zasięgiem wzroku, po czym Cork i Knight przesiedli się do *dinghy*, małej łódki napędzanej niewielkim silnikiem. Zgodnie z planem mieli znaleźć się na wyspie w nocy, w końcu nie mieli wiz ani pozwoleń, ale Knight nie chciał o tym nawet słyszeć. Był na skraju wyczerpania nerwowego i nie zamierzał czekać ani minuty dłużej.

Gdy dopływali do brzegu, w pełnym słońcu, trochę po czternastej, zobaczyli kołyszącą się na turkusowej wodzie małą łódkę, a w niej rybaka w stożkowatym kapeluszu z bambusa przyglądającego im się badawczo.

Cork zeszytniał ze zdenerwowania, w powietrzu można było kroić napięcie.

– Machamy! Pomachaj mu! – zakomenderował Knight.

Obaj pogodnie pozdrowili rybaka, a ten odpowiedział niemrawo podobnym gestem, nie spuszczać ich jednak z oczu.

– Widzisz? Myśli, że jesteśmy turystami! Wszystko gra! – Knight cieszył się jak dziecko.

Cork nie był co do tego tak bardzo przekonany.

OSIEMNASTOLETNI GRAHAM stał na plaży, przyglądając się lustru wody. Podczas semestrów spędzonych w szkole oficerskiej marynarki wojennej nauczył się czytać mapy i topografię. Patrzył na

miejsce, które wcześniej widział na zdjęciach satelitarnych i szyfrowanych planach CIA w pokoju Knighta.

– Mój Boże... To jest tu, to jest ta wyspa...

Cork patrzył w hipnotycznym osłupieniu na skały pod wodą, na rafę oznaczoną na mapie kapitana Kidda, której nie było na innych planach. Zgadzały się wszystkie detale – cyple, kamienie, nawet linia lasu. To było to miejsce, gdzieś na tym wzgórzu ukryty został skarb i oni go teraz znajdują. Skrzynie pełne złotych łańcuchów, tysiące monet, szmaragdów, indyjskich rubinów i diamentów z Birmy. Coś, co do tej pory istniało tylko w legendach, teraz było na wyciągnięcie ręki. Trawy szumiały, a woda obmywała łagodnie brzeg. Cork stał nieruchomo i patrzył w przestrzeń.

– Będę bogaty... – szepnął.

ZŁAPALI ICH PÓŹNYM WIECZOREM. Piasek zgrzytał Corkowi między zębami, najadł się go, gdy pierwszy raz został rzucony na twarz. Teraz klęczał na ziemi i patrzył w lufy karabinów, a żołnierze krzyczeli coś wściekle po wietnamsku, trzymając ręce na spustach starych thompsonów. Jeden huknął go z całej siły kolbą w bok głowy i Cork ponownie upadł na trawę.

Gdy już wylądowali na plaży, wciągnęli łódź na brzeg i upewnili się, że to właściwa wyspa, postanowili odpocząć i posilić się zerwanymi z palmy kokosami. Wtedy drugi raz zobaczyli rybaka w stożkowatym kapeluszu, który przyglądał im się ze swojej łodzi. Dali nura w wysokie trawy z nadzieją, że nie dojrzy ich z dystansu, ale musiałby być ślepy jak kret, żeby przeoczyć jaskrawożółtą *dinghy* na pustej plaży, odcinającą się od niej jak mokra plama na jasnych spodniach w okolicach krocza.

Nie przeoczył.

Knight naiwnie wierzył, że wszystko w porządku, rybak popłynie na obiad do domu i zapomni o sprawie. Cork, dwa razy młodszy, ale wyposażony w odrobinę zdrowego rozsądku napędzanego strachem, wiedział, że tak się nie stanie. Zostali przyuważeni, jak w środku dnia lądują na pustej plaży w małej szalupie, a na horyzoncie nie widać łodzi, z której mogliby przyplłynąć. Knight był białym Anglikiem, a Graham – białym Amerykaninem. Nie mieli tu prawa przebywać, zwłaszcza sami. Rybak komuś o tym doniesie, wojsku albo policji.

Cork, leżąc w trawie i kryjąc się przed wzrokiem wietnamskiego staruszka, już wiedział, jak to się musi skończyć.

Zostaną oskarżeni o szpiegostwo i rozstrzelani.

WIETNAMCZYCY ZWIĄZALI ICH i odprowadzili do chaty. Knight mówił coś do nich po francusku, Cork prawie nic z tego nie rozumiał. Wiedział za to już od kilku dni, że Knight to szaleniec i nie można mu ufać. W końcu Cork był dla niego tylko gówniarzem, którego znał trochę ponad tydzień. Knight raczej nie był mu tatusiem, a gdy zrobiło się gorąco, każdy musiał radzić sobie sam.

Noc spędzili skuci, na bambusowej podłodze, patrząc przez szpary szalasu na pieniające się morze.

ZOSTALI WRZUCENI DO ŁADOWNI pod pokładem dużej łodzi, gdzie można było się ugotować od gorąca i udusić oparami oleju. Związani, nie mogąc się ruszyć, leżeli płasko na mokrym dnie i próbowali złapać choć trochę powietrza. W tych warunkach zostali przetransportowani do miasteczka Rach Gia, gdzie każdy z nich trafił do oddzielnej celi miejskiego więzienia.

Cela Corka przypominała średniowieczne francuskie lochy. Mała i ciasna, ale wysoka na siedem metrów, z zakratowanym, półokrągłym oknem w suficie, jak studnia widziana z dna. To więzienie wybudowali zresztą Francuzi, gdy okupowali Wietnam, a co jak co, ale więzienia Francuzi potrafili budować. Grube na dwa metry ściany i ciężkie żelazne drzwi odbierały resztki nadziei, wpędzając w grobowe przygnębienie. Na ścianach widniały wydrapane imiona więźniów, którzy tu przebywali wcześniej.

Cork myślał: „Jeśli mamy zginąć, to oby szybko, i żeby nie bili za bardzo”.

Niestety, bili.



– CORK, POMYŚL – powiedziałem, odkładając pałeczki. – Jesteś mądrzejszy o całe to doświadczenie, znasz ich metody, masz wiedzę i umiejętności. Mamy dużo czasu, to jest mała wyspa, Wietnam trochę się



już ucywilizował, możemy dobrze przygotować tę operację. Dlaczego nie? Przecież tam leży trzydzieści milionów dolarów.

Cork uśmiechnął się z mieszaniną litości i zrezygnowania.

Dochodziliśmy do tego punktu w każdej rozmowie.

– No dobrze, to jeszcze raz: co chcesz konkretnie zrobić?

– Powtarzamy wasz manewr, ale odpływamy z Kambodży i zostawiamy łódź na wodach międzynarodowych. Bierzymy mały ponton, na przykład zodiaca, noktowizory, narzędzia i wykrywacze. Zatapiamy ponton na skałach w atolu na północy. Po ciemku przebijamy się do dżungli i koczujemy do rana. Potem w ciągu dnia przygotowujemy transport i w nocy wracamy do pontonu.

– Wiesz, ile waży taki skarb?

– Pewnie z pięćset kilo każda skrzynka.

– No to jak chcesz to przenieść na zodiaca?

– W porcjach, przecież nie na raz. Możemy tam zresztą wracać, nie musimy przecież załatwić wszystkiego za jednym zamachem.

Cork wydał wargi i pokręcił głową. Swego czasu przeszedł szkolenie w bazie sił specjalnych Navy Seals w Salwadorze i przez cztery lata brał udział w tajnych operacjach amerykańskich jednostek specjalnych. Dopiero taki trening pozwolił mu zobaczyć jasno, jak amatorska była akcja Knighta. Dziwił się, że w ogóle przeżyli etap na morzu.

– To, co tu kreślisz, to normalna tajna operacja, *black op*. Chcesz się dostać nielegalnie na teren suwerennego kraju i wywieźć stamtąd skarb, który nie należy do ciebie. Myślę, że nadal nie zdajesz sobie sprawy z ryzyka.

– Zależy, kto będzie w ekipie... – spojrzałem znacząco.

– Ja? – zachnął się Cork. – Zgłupiałeś. Ja już jestem na to za stary.

– Daj spokój, nikt w to nie uwierzy. Masz do zdobycia trzydzieści milionów dolarów i jesteś na to za stary?

– Ryzyko, to raz, pieniądze, to dwa, bo taka operacja będzie kosztować. Ekipa, to trzy. Sam nie dasz rady, potrzebowalbyś dwóch lub trzech zawodowców.

– Jeśli jesteś pewny co do lokalizacji, to nie jest to ryzyko, tylko inwestycja, a stopa zwrotu jest całkiem niezła, umówmy się.

– Ja tam nigdy nie polecę, choćby nie wiem co – spoważniał Cork.  
– Dla mnie poszukiwanie skarbów skończyło się na gumowym wężu w więzieniu w Sajgonie. Jeśli zapłacisz za coś wystarczającą cenę, nigdy nie będziesz już chciał do tego wracać, obojętnie jak duża mogłaby być nagroda.



PIERWSZE DWA TYGODNIE wypełniły brutalne przesłuchania, które początkowe cztery dni trwały po kilkanaście godzin bez przerwy. Wietnamczycy bili go gumowym wężem po łydkach i brzuchu, niekiedy po plecach. Każde uderzenie odczuwał jak przypalanie gorącym żelazem. Nie pozwalali mu spać, krzyczeli, policzkowali. Wietnamczycy całym swoim jestestwem nienawidzili Amerykanów.

– Zapytam jeszcze raz, *mister* Graham. Co robiliście na tej wyspie?  
– zapytał inkwizytor o twarzy przypominającej żabi pysk z cienkimi, szerokimi ustami prawie pozbawionymi warg i ze spoconą, śliską skórą.

Przesłuchania prowadzone były w pokoju wyposażonym w biurko i lampę świecącą prosto w oczy. Pod ścianą siedział strażnik z karabinem gotowym do strzału.

– Tak jak mówiłem wcześniej, szukaliśmy skarbu.

Śledczy pokręcił głową z teatralną rezygnacją i zacmokał kilka razy.

– Upewnię się tylko, czy dobrze zrozumiałem. Poznaliście się z panem Knightem przez kolegę, którego nazwiska pan nie pamięta. Następnego dnia wsiadł pan z tym obcym człowiekiem na łódź, bo miał on mapę prowadzącą do skarbu, której jednak nie macie przy sobie. Potem przepłynęliście morze, bo jest pan dziennikarzem i lubi przygody. Nigdy wcześniej nie szukał pan skarbów, nie spotkał nigdy Richarda Knighta i popłynął z nim za darmo. Zgadza się?

Przedstawione w takim skrócie wydarzenia wyglądały rzeczywiście mało wiarygodnie, choć wszystko się zgadzało. Cork od samego początku przesłuchań postanowił mówić całą prawdę. Knight prosił go wcześniej, by udawał Brytyjczyka, bo amerykański paszport

zagwarantowałyby im pluton egzekucyjny, ale Cork go nie posłuchał. Od pierwszego dnia podawał swoje prawdziwe nazwisko i adres, odpowiadał na wszystkie pytania i prawie niczego nie ukrywał.

Prawie.

Nie powiedział, że poznali się przez Everinghama. Był on wtedy znany w całych Indochinach, po tym jak przepłynął nielegalnie Mekong, żeby wywieźć z Laosu swoją ukochaną. Wśród zachodnich dziennikarzy Everingham miał status bohatera, ale dla rządów, wojskowych i służb specjalnych był zdrajcą i kowbojem. Powołanie się na jego nazwisko nie mogło pomóc.

Cork nie przyznał się też, że jako dziecko mieszkał w Wietnamie, a jego ojciec był tu inżynierem w czasie wojny. Wreszcie, nawet nie próbował tłumaczyć, dlaczego wziął udział w tak żałośnie zorganizowanej ekspedycji, w towarzystwie człowieka, o którym nic nie wiedział. Nie próbował tego tłumaczyć, bo sam nie mógł uwierzyć we własną głupotę.

– Tak, to wszystko prawda – Cork potwierdził po raz setny. Śledczy westchnął ciężko i ponownie pokręcił głową.

– *Mister Graham*, wróci pan teraz do celi i przemyśli jeszcze raz tę historię. A jutro opowie nam nową, tym razem prawdziwą.

– Ale ja mówię prawdę! – krzyknął Cork.

Strażnik siedzący do tej pory spokojnie przy drzwiach szybkim ruchem odbezpieczył karabin.

– Nie mówi pan! – ryknął śledczy. – Musi się pan wreszcie przyznać! Przyznać! Jest pan szpiegiem CIA, panie Graham! I został pan wysłany, żeby wspierać kontrrewolucję oraz rozmontować to, co po tylu latach walki udało nam się osiągnąć! Jest pan szpiegiem, panie Graham! Zostanie pan rozstrzelany, jeśli się pan nie przyzna!

**CORK ZOSTAŁ PONOWNIE WRZUCONY DO CELI**, gdzie jego jedynym zajęciem było obserwowanie biegających karaluchów. Nie rozumiał, co się dzieje, czego od niego chcą Wietnamczycy. Na przesłuchaniach mówił prawdę, ale to im nie wystarczało.

Nie wiedział jeszcze wtedy, że była to inna prawda niż ta, którą zeznawał Knight, a ich wersje się wykluczały.

Po pierwsze, Knight pękł na pierwszym przesłuchaniu i mówił o

wszystkim szczerze, z pamięci i bez zająknięcia.

Po drugie, w kilku istotnych kwestiach Knight zwyczajnie okłamał Corka. Nie miał i nigdy nie widział żadnej mapy kapitana Kidda. Tę fotokopię, którą oglądali, Knight zrobił, odbijając w powiększeniu stronę książki historycznej z biografią słynnego pirata znalezionej w bibliotece uniwersyteckiej w Kalifornii. Nie było żadnego krewnego, żadnego biurka z odłamaną nogą i mosiężnej tuby z pieczęcią. Knight potrzebował argumentów, żeby zdobyć inwestorów, a nic tak nie przemawia do wyobraźni jak autentyczna mapa prowadząca do skarbu.

Na przesłuchaniach Anglik mówił więc prawdę, że żadnej mapy nigdy nie było.

Do tego Knight nie powiedział Corkowi, że już wcześniej bezskutecznie szukał skarbów na Karaibach, a przez swoją obcesowość i niesolidność zraził do siebie wielu ludzi. Nie był może oszustem, ale też nie grał całkiem *fair*. Bez mrugnięcia okiem składał obietnice bez pokrycia, czasem też traktował swoich biznespartnerów niezbyt uczciwie. Miał kilku zaprzysięgłych wrogów, a wielu ludzi, którzy się z nim zetknęli, nie chciało mieć już z nim nigdy do czynienia. Ogólnie nie cieszył się dobrą sławą.

Ale najważniejsze, co Richard Knight przemilczał, to fakt, że już wcześniej próbował się dostać do skarbu Kidda i był w tym celu w Wietnamie. Nie przyznał się, że zamówione z CIA mapy i zdjęcia satelitarne Agencja wysłała mu w kilku listach na podany przez niego adres korespondencyjny w Sajgonie, przez co Knight figurował w bazach danych wietnamskiego kontrwywiadu.

Cork nie wiedział też, że już na pierwszym przesłuchaniu śledczy pokazali Knightowi te listy, z emblematem CIA na kopertach, przez co przerażony Anglik postanowił iść na pełną współpracę, nawet jeśli miałby zrzucić całą winę na Corka, który w tym czasie opowiadał, że przyплыnęli po skarb i nic więcej nie wie.

Graham nie miał też pojęcia, co wydarzyło się na ich łodzi, gdy leżał związany w szalasy. Wietnamczycy namierzili ją i popłynęli aresztować wszystkich na pokładzie. Jedyne pasażerami byli Ti i Pi, którzy na widok żołnierzy wyciągnęli z kajuty pistolety i stary granat, po czym bez pytania otworzyli ogień.

W tym świetle opór Corca na przesłuchaniach rzeczywiście wyglądał na efekt szkolenia agentów specjalnych, jakie mógłby przejść gdzieś na Farmie CIA w stanie Wirginia.

O tym wszystkim Cork nie miał wtedy bladego pojęcia. Był tylko nastoletnim, przerażonym chłopakiem, który ponad wszystko chciał wrócić do domu. To się nie miało tak skończyć. Miał być fotoreporterem i poszukiwaczem skarbów, a skończył jako jeniec wojenny. Tego nie zakładał, nawet nie chciał zakładać.

Zwłókł się ze swojego trzcinowego posłania i przetarł rękawem kawałek ściany. W miękkim od wilgoci tynku, na kawałku czystej powierzchni, zaraz obok napisu: „1954 Dien Bien Phu”<sup>[3]</sup>, wyskrobał starannie: „13 czerwca 1983, Frederick Kurt Graham”.

Tej nocy nie mógł zasnąć. Nie pozwalały mu na to krzyki z sąsiedniej celi przeplatane odgłosami uderzeń gumowym wężem.

Cork przysięgłby, że nad ranem w tych krzykach słyszał było szaleństwo.

**PRZEWIEźLI GO DO INNEGO WIĘZIENIA**, w Sajgonie. Nie było lepsze, było tylko inne. W celi miał kubek wody i matę do spania. Raz dziennie dostawał miskę ryżu, czasem zupę na rybich głowach. Któregoś dnia przyszli do niego w nocy, po cichu, nie zdążył się nawet przebudzić. Bili go gumowym wężem po brzuchu i plecach, aż prawie stracił przytomność.

Na udach miał od ponad miesiąca paskudną infekcję. Czarne ropiejące rany z oleistą wydzieliną ciągnęły się od kolana do krocza, roztaczając zapach gnijącego mięsa. Nie zgodzili się na wizytę lekarza.

Ucho rozrywało mu zapalenie, wbijając się ostrym bólem w głębi czaszki. Trwało to kilka tygodni. Nikogo to nie interesowało.

Świat zapomniał o jego istnieniu.

**A POTEM NADSZEDŁ TEN DZIEŃ**, gdy został wyprowadzony na własną egzekucję.

– Za zbrodnię szpiegostwa przeciwko Socjalistycznej Republice Wietnamu – głos recytował bez emocji – zostajesz skazany na rozstrzelanie przez pluton egzekucyjny. Gotów! – padła krótka komenda. – Czy chciałby pan coś jeszcze powiedzieć, panie Graham?

Cork opanował się wreszcie, pociągnął nosem i stanął niepewnie

wyprostowany. Nic nie powiedział.

– Cel! – Karabiny zagrzechotały, przykładane do ramion żołnierzy. To już koniec. Spokój. Pal!

Trzasnęły iglice.

Wybuchł śmiech.

Żołnierze rechotali na całe gardło, patrząc na przerażonego nastolatka. Aż się przewrócił od siły wyimaginowanych kul, które nigdy nie wyleciały z pustych karabinów.

Cork też się śmiał, na granicy obłędu.

KOPERTA ZAADRESOWANA W TAJLANDII leżała na stole wśród przesyłek reklamowych i rachunków za prąd czy wodę. Frederick Graham Starszy, ojciec Corka, oglądał wieczorne wiadomości i kołysał się w swoim bujanym fotelu. Tego dnia nie wydarzyło się nic interesującego. Ciężko stęknął, podnosząc się z siedzenia, i podszedł do stołu, powłócząc nogami w kapciach. Otworzył kopertę i założył okulary do czytania.

„Drodzy rodzice, jeśli czytacie ten list, to znaczy, że siedzę w wietnamskim więzieniu...”

Frederickowi Grahamowi Starszemu zakręciło się w głowie.

TEN LIST URATOWAŁ CORKOWI ŻYCIE. Po pierwszej rozmowie z Knightem, gdy miał raptem te kilka godzin, by wrócić do Bangkoku, spakować się, umyć i z powrotem pognać na przystań w Pattayi, zostawił swojemu znajomemu list zaadresowany do rodziców. Poleciał mu go wysłać, gdyby nie wrócił w ciągu miesiąca. Na dobrej woli, pamięci i solidności tego człowieka opierał całą swoją nadzieję na wybawienie.

Do chwili gdy Frederick Graham Starszy wstał z bujanego fotela i otworzył list, nikt nie wiedział, że Cork jest w areszcie. Nie pozwolono mu się skontaktować z ambasadą, w więzieniu nie było innych białych i cały czas przebywał w jednoosobowej celi. Przez niemal pół roku nastolatek nie wiedział, czy ktokolwiek zdaje sobie sprawę, w jakim położeniu się znajduje.

W rzeczywistości nikt nie miał o tym pojęcia.

ZAALARMOWANA PRZEZ OJCA CORKA AMBASADA robiła wszystko, co w jej mocy, by wyjaśnić sprawę. Mogła zrobić

niewiele, to inna kwestia. Stany Zjednoczone nie utrzymywały wtedy stosunków dyplomatycznych z Wietnamem, nie miały jakiegokolwiek wpływu na reżim w Hanoi i jedyne, na co mogli liczyć dyplomaci, to obelgi i zgryźliwe komentarze.

Cork Graham przesiedział w wietnamskim więzieniu jedenaście miesięcy, w tym osiem w izolatce. Raz próbował uciec, za co został brutalnie ukarany. Przeszedł też lipny proces, który odbył się publicznie w formie widowiska propagandowego. Podczas posiedzenia zakazano mu mówić, a w imieniu całej załogi łodzi miał wystąpić Richard Knight. Przyznał się w ich imieniu do precyzyjnie skonstruowanych zarzutów i wygłosił kilka socjalistycznych frazesów na temat wielkości partii i zgnilizny Zachodu.

Dla Corka było to równoznaczne z samobójstwem. Knightowi nie można było ufać. Od początku przymilał się Wietnamczykom i próbował przerzucić winę na Corka, starając się w ten sposób odzyskać wolność.

Cork Graham został zwolniony po ustaleniu przez Wietnamczyków okupu w wysokości ówczesnych dziesięciu tysięcy dolarów, kwoty, za którą można było przeżyć w Azji rok. Ta suma znacznie przerastała możliwości finansowe rodziny Grahamów, więc jego ojciec zorganizował publiczną zbiórkę i spieniężył swój fundusz emerytalny. Gdy odbierał syna z lotniska w Waszyngtonie, był już całkowicie siwy. W ciągu roku postarzał się o dwie dekady.

Dwaj Tajowie, Ti i Pi, wyszli na wolność trzy lata później. Byli zagłodzeni niemal na śmierć i poważnie pobici.

Richard Knight również został dłużej w więzieniu. Mimo jego usilnych starań i pomocy ambasady brytyjskiej, nie znalazł nikogo, kto zgodziłby się wpłacić za niego okup. Próbował bezskutecznie popełnić w celi samobójstwo.

Wyszedł na wolność dzięki pewnemu biznesmenowi z Kalifornii nazwiskiem Kenneth Crutchlow. Podobno w zamian za wykupienie z więzienia Knight obiecał mu udział w skarbie kapitana Kidda oraz prawa do filmu i książki opowiadających o tych wydarzeniach. Biznesmen dotrzymał umowy. Za pośrednictwem ambasady brytyjskiej wpłacił okup i doprowadził do uwolnienia Anglika. Knight jednak nigdy



nie spełnił swojej obietnicy. Po opuszczeniu więzienia zapadł się pod ziemię.

Richard Knight zmarł niecałe pięć lat temu w przytułku w Brighton w Anglii. Zapił się na śmierć, wciąż szukając inwestorów skłonnych sfinansować kolejną ekspedycję po skarb na wietnamskiej Wyspie Piratów.



– ZASTANÓW SIĘ – spróbowałem raz jeszcze. – Czasy się zmieniły, zbierzemy dobrą ekipę, wskażesz nam tylko miejsce. Jesteśmy w stanie to zrobić naprawdę po cichu.

– Raz już próbowałem po cichu – odpowiedział Cork. – W dziewięćdziesiątym dziewiątym. Wtedy można już było pojawić się w Wietnamie turystycznie, więc wynająłem przewodnika i tak niby to bez celu popłynąłem sobie na wyspę...

– No widzisz.

– ... i spędziłem noc w tym samym szałasie na plaży co za pierwszym razem, bez paszportu i aparatu, pod okiem strażników. Zatrzymali mnie, gdy tylko wysiadłem z łodzi, a potem przez kilka godzin odpowiadałem na pytania tego samego oficera, który nas złapał, gdy byliśmy z Knightem.

Zatkało mnie. Co tam jest ukryte, że tak pilnują tej wyspy?!

– Dobrze, że się trochę zestarzałem i nabrałem nieco ciała, bo mnie nie poznał – kontynuował Cork. – Widziałem, że wydaję mu się podejrzany, ale nie mógł skojarzyć szczegółów. W końcu oddali mi paszport i kazali zniknąć z wyspy. Nie muszę ci chyba opowiadać, jak szybko wsiadałem do łodzi?

– Punkt dla ciebie – przyznałem kwaśno. – Ale jest dowód, że na tej wyspie naprawdę coś jest. Wiesz, że Knight opowiadał naokoło, że znalazł ten skarb, że on tam na pewno jest?

– Bzdura.

– Skąd wiesz?

– Bo to był właśnie taki facet. Opowiadał, że znalazł skarb i trzeba

go tylko stamtąd wywieźć. To była taka zachęta dla inwestorów, na którą się łapali. Opowiadał też, że podczas swojej pierwszej próby, jeszcze przede mną, dopłynął tam sam w *dinghy* i wyciągnął ją na plażę, a potem, wracając już z całą skrzynią złota, zepchnął ją na wodę. Chłopie, żeby ruszyć taką łódkę, potrzebujesz z sześciu silnych facetów. Detale, zawsze ci to mówię, analizuj detale, one są najważniejsze.

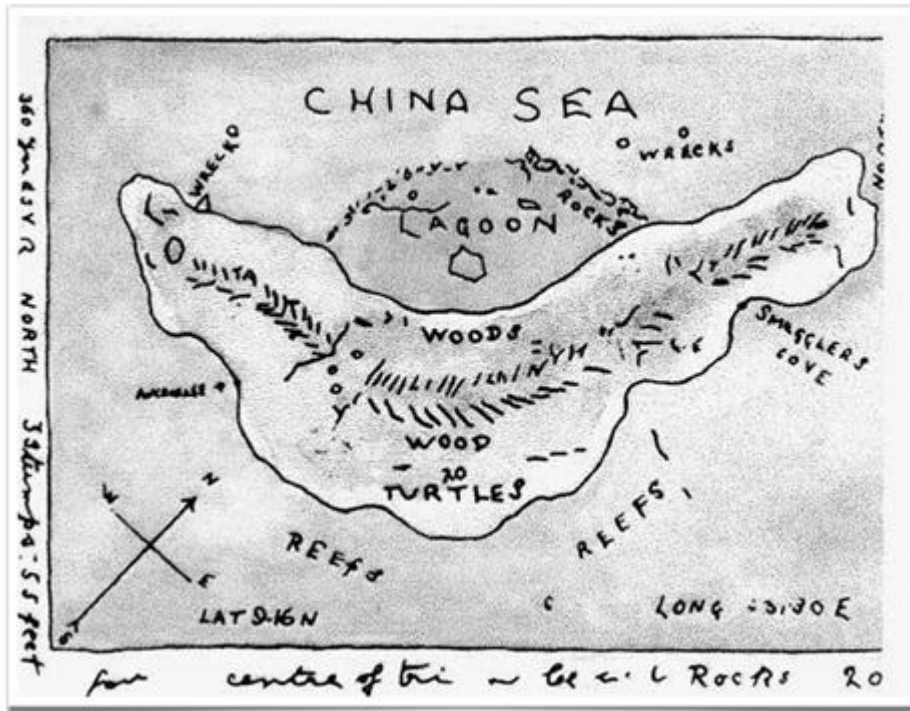
– Jakoś wtedy nie byłeś taki czujny – zauważyłem.

Cork pochylił się nad stołem.

– Wtedy nie byłem, a teraz już jestem. Jak spędzisz rok w wietnamskim kiciu, bo szukałeś skrzynki ze złotem z legendy, to też się zrobisz czujny. – Cork zamilkł na chwilę. – Zresztą wtedy to ja byłem zwyczajnie głupi – podjął. – Facet mi opowiedział historyjkę jak z filmu, dla dzieciaka to było spełnienie marzeń. Miałem za mało czasu, żeby się chociaż zastanowić na trzeźwo nad ryzykiem. Zostało tylko kilka godzin, latałem z miejsca na miejsce, nie było czasu na myślenie. Ale powiem ci coś... – Cork wziął dwa łyki zupy. Emocje wróciły, widać to było na jego puciołowatej twarzy. Był tam znowu, znów czuł tę ekscytację przed wyprawą po skarb. Słuchałem uważnie. – Wiesz, dlaczego się dałem namówić? Przez tę zasraną mapę – ciągnął. – Mapę, której nigdy nie było. Richard miał świetną gadkę, był cholernie pewny siebie i jeszcze te plany CIA, te mapy morskie, topograficzne, no, wyglądało to strasznie poważnie. A wiesz, jak on znalazł tę wyspę? Znał szerokość geograficzną, ale nie znał długości. I po prostu wziął globus i przeciągnął dookoła palcem, aż trafił na wyspę w Wietnamie.

– Ale trafił dobrze – zauważyłem.

– To bez znaczenia, miał fuksa. Za to popatrz, ilu ludzi nabrał na ten trik z mapą. Przygotował kupę dokumentacji, która sama w sobie już by wystarczyła, ale jak masz mapę, jesteś bardziej wiarygodny, i Knight o tym wiedział. Jakoś nikt się nie zastanawiał, co było napisane na odwrocie tej mapy, a przecież właśnie tam umieszczano szczegółowe instrukcje, wyjaśnienia albo dodatkowe tropy. Nikt nawet o tym nie pomyślał, za to kilka osób wyłożyło pieniądze, dając się nabrać na zwykłą historyjkę.



Jedyna

ocalała kopia oryginalnej mapy kapitana Kidda, którą pokazywał Richard Knight

– Gdy w grę wchodzi emocje, ludzie zwykle przestają trzeźwo rozumować – odpowiedziałem.

– Pamiętaj, że w tym wypadku te emocje ktoś w tobie wzbudza, na trzeźwo i z premedytacją. Poszukiwacze skarbów zawsze czegoś potrzebują: pieniędzy, sławy, kontaktów... Będą cię mamić, bo możesz im się przydać, możesz się okazać cenny. Będą ci opowiadać historie, które już od dawna masz w głowie. Takie, które uruchamiają cały szereg skojarzeń. Szkatuły, piraci, mapy... To są właśnie te rzeczy. I nawet gdy słyszysz taką historię pierwszy raz, masz wrażenie, że znasz ją od dawna, a przez to wydaje ci się prawdziwa. I tu popełniasz błąd. Bo widzisz, mój młody przyjacielu, i zapamiętaj sobie dobrze to, co teraz powiem... Słuchasz?

– Słucham.

– Sto razy ważniejsze od tego, co ci mówią, jest to, czego ci nie mówią. Detale, konkrety, szczegóły planów, ludzie biorący udział w operacji, ich wiedza. Łowcy skarbów są jak żołnierze na wojnie. Nie powiedzą ci niczego, czego nie muszą, bo ta wiedza to majątek i

gwarancja powodzenia całej akcji. Jeśli pozwolisz się wykorzystać, nie będą mieli skrupułów. Jeśli nie będziesz bardzo ostrożny, nawet nie zauważysz, jak zostaniesz sam, na lodzie i z majtkami przy kostkach. Dla nich liczy się tylko cel, czyli skarb, a tym niechętnie będą się dzielić. – Cork Graham spojrzał na mnie przeciągle, jakoś tak dziwnie, nie wiedziałem, o czym myśli. – Odpowiedz sobie na jedno pytanie. Szukasz pieniędzy czy przygody? Łowca skarbów musi szukać obu naraz, obu równie poważnie. Ja na tym pieprzonym skarbie Kidda już straciłem mnóstwo pieniędzy. Zabrali mi drogi sprzęt, musieliśmy zapłacić okup, prawie zostałem zabity, miałem potem polityczne kłopoty, przesłuchania... To nie jest dla mnie żadna inwestycja, to jest worek bez dna.

– Ale... – próbowałem wtrącić.

– Tu nie ma żadnego „ale”, choć na pewno wydaje ci się inaczej – usadził mnie Cork. – Ty wiesz, ilu ja poznałem poszukiwaczy skarbów? Oni wszyscy są tacy sami, mają klapki na oczach i przegrywają swoje życie. Marnują lata i pieniądze, cały czas, rok po roku. I wciąż wierzą, że już jutro, już za chwilę, wreszcie znajdą ten swój wymarzony skarb, którego jednak z jakiegoś powodu nie znaleźli przez ostatnie dwadzieścia lat. – Przetarł chusteczką czoło. – Parę godzin stąd leży Las Vegas, czasem tam jeżdżę – kontynuował monolog. – Wiesz, kogo widzę w kasynach? Ludzi szukających skarbu. To jest dokładnie ten sam typ, łowcy skarbów to zwyczajni hazardziści. Zastanów się... Obstawiają, opierając się wyłącznie na swojej nadziei, że ten skarb istnieje, na niczym więcej. Przecież to gra w ruletkę albo w kości. – Cork nachylił się jeszcze głębiej, patrzył mi prosto w oczy. – Poszukiwanie skarbów to najgorszy nałóg świata, bo twój narkotyk to nadzieja, której masz zawsze pod dostatkiem i która nic nie kosztuje. Żeby się z niego wyrwać, musisz zaryzykować nie pieniędzmi, a własnym życiem. Dopiero wtedy się otrząśniesz. Rozumiesz, jak potężny to jest nałóg, jak to wciąga? Jeśli raz w to wejdiesz, nigdy się już nie wydostaniesz, nie będziesz w stanie. Zapamiętaj to.

ZA OKNEM WIETNAMSKIEJ RESTAURACJI zapadał zmierzch. Deszcz wciąż siąpił, tworząc dość ponury nastrój. Ciepłe wnętrze lokalu nie zachęcało do wyjścia na zewnątrz, siedzieliśmy już

dobrych kilka godzin. Temat skarbu kapitana Kidda wracał co jakiś czas. Mimo przestróg jakoś nie mogłem o nim zapomnieć.

– Pomijając tę hochsztaplerkę Knighta, myślisz, że te skrzynie tam naprawdę leżały? – spytałem.

– O tak, na bank.

– Dowiedziałeś się, ile ich było?

– Trzy lub cztery, ukryte w trzech różnych miejscach.

– Skąd wiesz?

– Pominąwszy tę felerną mapę, Knight miał naprawdę dobrą dokumentację, wszystko się zgadzało. Za dużo elementów pasowało do siebie. W poszukiwaniu skarbów nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności. Jeśli widzisz za dużo zbiegów okoliczności, to zacznij się dobrze przyglądać, bo coś tam się kryje.

– Myślisz, że wciąż tam leżą?

– Jestem tego pewien. Dwie z trzech skrzynek są tam na sto procent. Jedną już zabrali Wietnamczycy.

– O proszę – zdziwiłem się. Cork rzadko wypowiadał się tak kategorycznie. – Skąd ta pewność?

Graham ściszył głos i ponownie nachylił się przez stół.

– Mnóstwo ludzi szukało tego skarbu, samo położenie wyspy to żadna tajemnica. Gdy byłem tam wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, wiesz, kiedy mnie znowu przesłuchiwali w szałasie, ciągle pytali, czy nie przyplłynąłem szukać skarbu. Oni są bardzo czujni, nie pozwolą nikomu się do niego dostać. Na tej wyspie jest wioska. Ci rybacy dobrze wiedzą, że siedzą na górze złota. Sami go szukają, ale nigdy im się to nie uda. Potrzebujesz dokładnych informacji, położenia, odpowiednich instrumentów. Możesz sobie biegać z wykrywaczem metalu przez rok i nic nie znajdziesz. Złota i diamentów nie wykryje żaden czujnik. Kidd nie był głupi, to miał być jego prywatny bank, a to były czasy, kiedy jak coś chowałeś, to chowałeś tak, żeby nikt tego nie znalazł przez tysiąc lat. I te skrzynki wciąż tam leżą. Nikt ich nie wyciągnął. Musisz znać dokładne instrukcje, a w naszych czasach znało je tylko dwóch ludzi. A teraz został już tylko jeden.

– Ty.

Cork uniósł filiżankę w niemym toaście i uśmiechnął się

szelmowsko.

– Cork, pozwól, że o coś spytam. Mówisz, że byliście jedynymi ludźmi na świecie, którzy wiedzieli, gdzie jest ten skarb, ale go nigdy nie znaleźliście.

– Aha – odpowiedział bez zastanowienia, przegryzając sajonkę.

– Ale mówisz też, że jednej ze skrzyń już nie ma, bo mają ją Wietnamczycy.

– Aha... – powtórzył wolniej.

– Coś mi się tu nie zgadza. Wylądowaliście na brzegu około piętnastej, przywiązaliście łódkę, ledwo zeszlście z plaży, zerwaliście kokosy i zobaczyliście łódź rybaka. Ale opowiadając, jak zostaliście złapani, powiedziałeś, że związali was, gdy było już ciemno.

Cork Graham prawie się zakrztusił. Od tamtych wydarzeń przez lata konsekwentnie utrzymywał, że nic na tej wyspie nie znaleźli. Dziś z jakiegoś powodu się zapomniał.

Powiedział o jedno zdanie za dużo.

– Cork, gdzie się podziały brakujące cztery godziny? – nie ustępowałem. – Coś ominąłeś, to się nie trzyma kupy. Czy ty przypadkiem właśnie mi nie powiedziałeś, że podczas tych czterech godzin znaleźliście jedną ze skrzynek, zrobiło się ciemno, gdy ją wyciągnęliście, złapali was Wietnamczycy i zabrali ją wam? I dlatego wiesz, że jednej już nie ma?

Cork popatrzył przeciągle, potem pociągnął łyk herbaty jaśminowej, kupując sobie trochę czasu.

– Nie grzeb w tym – odpowiedział po chwili nieco zmienionym głosem. – Mówię ci, odpuść i nigdy do tego nie wracaj.

– Czemu tak nagle spowaźniałeś?

Cork Graham patrzył znad filiżanki nieruchomo.

– Bo widzę, że jesteś tym samym chłopakiem, którym ja byłem w osiemdziesiątym trzecim – powiedział w końcu. – Tylko jeszcze nie wsiadłeś na łódź Richarda Knighta, ale niewiele ci już brakuje.



JADĄC PONOWNIE PRZEZ SAN FRANCISCO, myślałem o przestrogach Corka. Niewątpliwie mocno się sparzył na poszukiwaniu skarbów i z pewnością widział wielu, którzy szukając fortuny, stracili fortunę. Nie był to jednak typ mięczaka bojącego się własnego cienia i tym strachem zarażającego innych. Cztery lata ugania się za partyzantami w dżunglach Kolumbii czy Salwadoru w towarzystwie komandosów to jednak solidny trening. Do tego Cork to specjalista od psychologicznych efektów wojny, wie, co się dzieje w głowie pod wpływem silnego stresu, jak na niego reagować. To nie jest człowiek, który przestrzegałby przed byle czym.

A jednak przestrzega, i to mocno.

Coś musi być w tych skarbach, jakaś siła, o której jeszcze nic nie wiem. Coś sprawia, że ludzie przestają myśleć logicznie i poświęcają życie na wyniszczającą pogoń za czymś, co może w ogóle nie istnieć. Hazardziści, nie da się ukryć. Las Vegas faktycznie niedaleko, może warto tam podjechać. Znam w Mieście Grzechu kilka osób, które nie figurują w książkach telefonicznych, specjalistów od darmowej gotówki. Oni mi pokażą, na co uważać, i gdzie skończę, jeśli ich nie posłucham.

Ale najpierw na południe, do Los Angeles, skąd mam odebrać współnika, bo w tym biznesie każdy potrzebuje partnera. Sześćset kilometrów w dół wybrzeża, autostradą nad brzegiem morza.

Silnik mruczał cicho, zza chmur wyszło słońce.

Może chodzi o siłę wyobraźni? Skarby. Już na sam dźwięk tego słowa przed oczami stają obrazy okutych żelazem skrzynek i złotych monet wysypujących się z sakiewki. Wszyscy to znamy z dzieciństwa, z książek Verne'a i Stevensona, z filmów o awanturnikach i z legend o jednonogich piratach z papugą na ramieniu.

I nagle się okazuje, że to wszystko prawda.

Albo ktoś chce, żebym tak myślał.

„Nikommu nie ufaj”, mówił Cork.

Nikommu.

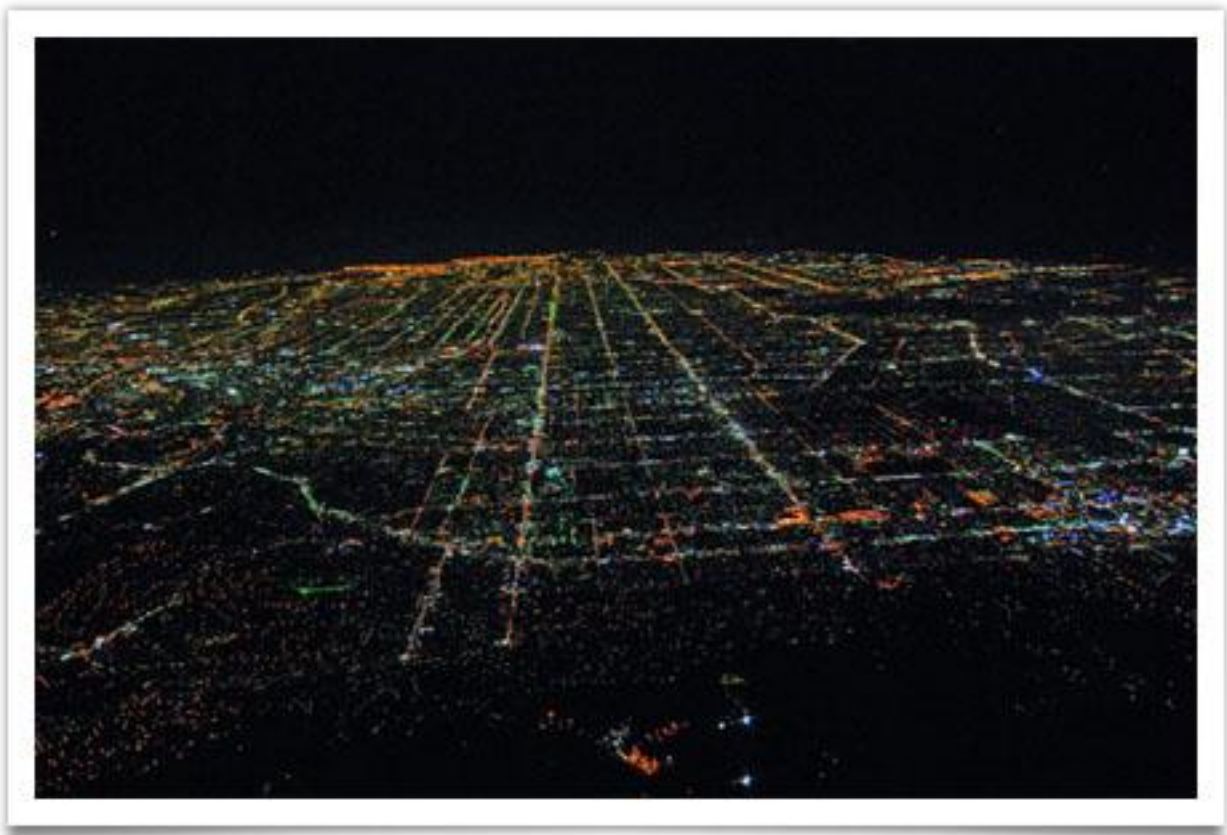




PÓŹNY WIECZÓR, już prawie noc. Na autostradach miliony świateł. Los Angeles.

Nie znoszę tego miasta. Paskudne, chaotyczne, betonowe miejsce bez duszy. Miasto latynoskich gangów, nocnych strzelanin w Compton i boisk do koszykówki z siatkami z łańcuchów. Miasto rezydencji w Beverly Hills, wystrojonych głupiutkich gwiazdek oraz sałatki z awokado i pestkami dyni podawanej na liściach bananowca. Miasto jak echo muzyki dochodzące z podziemnego klubu, które obiecuje chwile uniesienia, ale dla innych, lepszych, bogatszych. Nigdy dla ciebie. Miasto nieuchwytnych duchów straconych możliwości, błyskających zbyt szybko, by można je złapać. Nocnych miraży, kuszących obietnic, demonów szczęścia mamiących miliony naiwnych dusz, nieustannie szukających sławy, której tu nigdy nie znajdą. Miasto z betonu ciągnące się bez końca pasmami asfaltowych tuneli, jak labirynt, z którego nie ma ucieczki.

Lubię je tylko nocą. Miasto świateł.



## Los Angeles nocą. Najbardziej je lubię z daleka

LAX, lotnisko. Bezduszne jak całe to miejsce. To dużo mówi o Mieście Aniołów. Minąłem rząd limuzyn czekających na swoich ważnych gości i autobus dla tych, którzy dopiero tu przylecieli. Zajechałem pod wyjście, gdzie stali pasażerowie czekający na taksówkę. Dostrzegłem na chodniku znajomą postać. Podjechałem do krawężnika.

Głuchy stuk plecaka zrzuconego do bagażnika, trzask drzwi.

– Doktor Livingstone, jak sądzę?

– Kaczor, powtarzasz te same dowcipy. Przyłóżże się bardziej do dialogów.

– Mam wsiąść jeszcze raz?

Kaczor. Albo Kaczka, jeśli będzie trzeba. Oficjalnie Tomek, jak i ja, ale nikt tak do niego nie mówi<sup>[4]</sup>. Jeden z moich najlepszych przyjaciół, znamy się od lat. Posiadacz niebagatelnego, zaskakującego poczucia humoru i powiedzonek niemających sobie równych. Jedyny znany mi człowiek będący w stanie podołać absolutnie wszystkiemu, gdyż nie został wyposażony w tę funkcję wyobraźni, która mogłaby go przed czymś powstrzymać. Kaczor po prostu nie wie, że czegoś się zrobić nie da albo że czegoś lepiej nie ruszać. Dotknie wszystkiego, sprawdzi każdy element i wsadzi wszędzie nos, a jak mu go ktoś przytrzyma, to nie będzie płakał, tylko się nieco zdziwi.

Gdybym miał go komuś przedstawić, na przykład na przyjęciu, gdzie się mówi: „Poznaj, proszę, Jacka. Jest dziennikarzem, humorystą i koneserem urody swojej aktualnej żony”, albo: „To Andrzej, poznajcie się, z duszy bluesman, a z umysłu filozof”, to w przypadku Kaczora nie wiedziałbym, co powiedzieć. To jest człowiek składający się z nieprzystających do siebie kawałków. Dysponuje umysłem chłodnego analityka sąsiadującym z filmową niemal fantazją. Lubi zarówno wyszukane wygody, jak i spanie na gołej ziemi w deszczu. Ogląda tylko horrory, choć panicznie się ich boi i często przerywa w połowie, bo już nie może wytrzymać, nawet przy włączonych światłach.

I ma głowę, w której mieści się zadziwiająco dużo. Pamięta modele niemieckich samochodów sprzed czterdziestu lat i wyniki ligi siatkówki, której nigdy nie oglądał. Zna też na pamięć wszystkie, ale to

wszystkie teksty piosenek z lat osiemdziesiątych. I z drugiej połowy siedemdziesiątych, choć uważa, że nie miały jeszcze odpowiedniego brzmienia.

Zna te wszystkie numery, ale żadnego nie potrafi zaśpiewać. A gdy już próbuje, to rzadko się zdarza, by trafił poprawnie w trzy następujące po sobie dźwięki, bo niemiłosiernie piłuje falsetem, co wprawdzie dodaje autentyzmu w repertuarze Bee Gees, ale tylko w tym jednym.

Kaczor przez ostatni rok nieco spoważniał. Wyrzucił flanelowe koszule i kupił elegancki płaszcz. Awansował. Poznał dziewczynę i się zaręczył. Oddał swój stary Kaczkowóz, turkusowego opla corseę, i zaopatrzył się w nowy, koniecznie niemiecki, elegancki wóz dla człowieka o pewnym statusie.

Nie dajcie się temu zwieść.

– Masz wszystko? – spytał Kaczor.

– Gotowe. Twoja część?

– Sto procenta. Nowy Meksyk, *amigo*. Albuquerque City.

– No to czeka nas długa przejażdżka. Bo kończymy na Florydzie.

Plan był gotowy od dawna, teraz na miejsce wskoczyły ostatnie szczegóły. Przed nami droga przez całe Stany.

MÓJ PRZYJACIEL ODESPAŁ i zjadł burrito, o którym marzył od tygodnia. Zrobiliśmy obowiązkowy kurs po mieście, żeby mógł odhaczyć w pamięci najważniejsze atrakcje Los Angeles.

I to był koniec zwiedzania Stanów. Mieliśmy inne sprawy do załatwienia.

KACZKA USIADŁ ZA KIEROWNICĄ. Trochę się zaniepokoiłem, bo wiem, jak jeździ w Polsce. Żaden odstęp nie jest za mały, żadna nawierzchnia zbyt dziurawa, by wyprzedzać. Przynajmniej amerykańskie drogi są szersze i w lepszym stanie, uspokajałem się nerwowo.

Poprawił lusterka, założył okulary. Włączył radio i ustawił jakąś meksykańską stację. Rozprostował ręce i rozciągnął kark, kręcąc głową na boki jak bokser przed walką. Sprawdził, jak skaczą obroty, wciskając kilka razy gaz. Odślonił górne zęby w złowrogim grymasie.

I ruszył.

Spodziewałem się dymu spod opon, pisku gumy o asfalt, dzieci

uskakujących w popłochu z drogi, złorzeczących matek i ojców wygrażających pięściami.

Nic takiego nie nastąpiło.

Toczyliśmy się powolutku, od świateł do świateł. Kaczor wyglądał niezwykle fachowo, kontrolował otoczenie wprawnymi spojrzeniami i trzymał regulaminowy dystans. Zachowawczy, taksówkarski styl. Brakowało mu tylko rękawiczek.

Na początku myślałem, że się ze mnie nabija.

Wjechaliśmy na autostradę, na wschód. Po bokach śmigwały samochody, a zirytowani kierowcy rzucali nam wrogie spojrzenia. Ktoś zatrąbił, mijając nas, a dźwięk odpłynął w niebyt z dopplerowskim efektem. Zerknąłem ukradkiem na wskazówkę prędkościomierza. Dwadzieścia poniżej limitu. Dwadzieścia mil. Ugryzłem się w język, dusząc uszczypliwy komentarz.

Słońce zaczęło zachodzić, oblewając betonową szosę pomarańczową poświatą. Miasto Aniołów zostawało powoli za nami. Wyciągnąłem mapę. Do Albuquerque mieliśmy, bagatela, tysiąc trzysta kilometrów, na Florydę cztery i pół tysiąca. Wielka, amerykańska podróż przez pustkowia z *Thelmy i Louise*, przez Wielki Kanion, rezerwy Indian i opuszczone miasteczka w Teksasie. Po drodze kilka przystanków, nieplanowanych, gdzie wypadną. Patrząc na tempo jazdy Kaczora, spodziewałem się, że samych postojów na nocleg będzie raczej sporo. No nic, może coś nadrobię na moich odcinkach.

– Zjedź tu, proszę, na I-15 – wskazałem zieloną tablicę wiszącą nad czteropasmową jezdnią.

– He? A to czemu?

– Zrobimy mały objazd. Chciałbym się z kimś spotkać.

Kaczor przeturlał się na prawy pas. Trąbnięła pędząca ciężarówka.

– A co tam jest? – kontynuował niezrażony.

– Las Vegas.



– Ależ fantastycznie! Cekiny, schody, pióra, na scenie Cher i Rod Stewart... Nareszcie moje klimaty.

– Czasami mnie przerażasz.

Kaczor zaczął nucić *Viva Las Vegas* Elvisa. Toczyliśmy się irytująco wolno środkowym pasem, wyprzedził nas czterdziestoletni garbus pozbawiony kłapy silnikowej.

– A co tam jest w tym Las Vegas? – wrócił do rozmowy.

– Guy Lafitte. Poznałem go ze trzy lata temu, facet jest oszustem w kasynach, ekspertem w kwestii hazardu i ryzyka. Chcę z nim chwilę pogadać, zanim się władujemy w sprawy ze skarbami po uszy... Kaczor, do jasnej cholery, czy cię Bóg opuścił? – Nie wytrzymałem. – Co to jest? Jak ty jedziesz? Jak stara babcia!

– Ekonomicznie jadę.

– Ekonomicznie będziemy jechać do czwartej rano! Weź no przyduś trochę! To jest autostrada! Musiałeś o nich słyszeć od znajomych, którzy jeżdżą za granicę! Do diabła, wszyscy nas

wyprzedzają!

– Nie musisz się tak unosić od razu, spokojnie, bo ci kurki strzelą. Jadę bezpiecznie, odpowiedzialnie, dostosowuję prędkość do warunków...

– Jedziesz jak emerytka!

– O, to już było niepotrzebne, a do tego krzywdzące wobec starszych kobiet. Moja babcia na przykład... – zaczął Kaczor i urwał, bo z prawej strony, dokładnie w tym momencie, zaczęła nas wyprzedzać siwiuteńka Meksykanka w okularach grubych jak denka od butelek, przyklejona całym ciałem do kierownicy i z wielgachnym papierosem w zębach.

Popatrzyła w naszym kierunku krytycznie, pokręciła głową i powiedziała coś do siebie, po czym dała nam powąchać spaliny, znikając gdzieś z przodu.

– Wariatka. Stową chyba jechała – Kaczor pokręcił głową zde gustowany.

Do Las Vegas mieliśmy jeszcze pięć godzin jazdy.

PUSTYNIA MOJAVE znikła z tyłu, ginąc w zachodzącym słońcu. Przez ostatnie godziny wymieniliśmy wszystkie zebrane informacje i zreferowałem Kaczorowi ostatnie spotkanie z Corkiem. Opowiedziałem mu też o Richardzie Knightcie, który Kaczora wyraźnie zainteresował.

Zgodziliśmy się, że to, co wykonał Richard Knight, można określić tylko jednym słowem: majstersztyk. Był utalentowanym oszustem i niezłym aktorem, potrafił rozgrywać ludzi i ustawiać ich stosownie do swoich potrzeb. Przez pół życia zwodził i przekonywał do siebie kolejnych inwestorów, na koszt których żył, opływając w dostatki.

I nikt niczego nie podejrzewał.

Richard Knight odnalazł skarb kapitana Kidda jeszcze przed wyprawą z Corkiem. Rok wcześniej wypłynął z Malezji, w pojedynkę, wypożyczoną rybacką łodzią. Dotarł nią na Wyspę Piratów i odszukał jeden z trzech lub czterech schowków Kidda. W schowku znajdowały się trzy skrzynki pełne złotych i srebrnych monet, biżuterii, klejnotów, chińskiej porcelany, figurek z jadeitu i małych sztabek. Wydobył ten skarb, przetransportował go z powrotem na łódź, po czym ukrył na

wybrzeżu w Tajlandii, żeby później wrócić tam z odpowiednio przygotowaną ekspedycją i pozwoleniami na przewóz antyków. Z Corkiem miał płynąć tylko po pozostałą część, wiedząc dokładnie, gdzie i czego szukać.

Przynajmniej tak utrzymywał.

Ta historia weszła do klasyki opowieści o poszukiwaczach skarbów jako przykład z happy endem. Glenys Roberts, ówczesna gwiazda brytyjskiego dziennikarstwa, spisała ją w książce i wydała w dużym nakładzie. Historię Knighta opowiadały też największe media w Stanach i Wielkiej Brytanii. Jej prawdziwość nigdy nie była publicznie kwestionowana.

Cóż, do dziś.

To był kapitalnie skonstruowany przekręt, koronkowa robota, na której niemal nikt się nie poznał. Im dłużej badałem tę sprawę, tym większy podziw żywiłem dla Richarda Knighta. Moim zdaniem był geniuszem.

Potrafił przekonać wszystkich, że ta historia jest prawdziwa.

A był to falsyfikat, od początku do końca.

NIKT NIGDY NIE WIDZIAŁ żadnych dowodów na obecność tego wydobytego skarbu, a mimo to wszyscy uwierzyli Knightowi na słowo. Utrzymywał, że gdzieś na tajskim wybrzeżu zakopał absolutnie całe złoto ze schowka Kidda, nie zabrał nawet jednej monety, by ją komuś pokazać. I że ten skarb cały czas tam leży, wystarczy go wydostać. Z dzisiejszej perspektywy widać szycie grubymi nićmi, ale wtedy nikt niczego nie podejrzewał. Jak zręczny to musiał być manipulator!

Knight twierdził też, iż miał cztery negatywy zdjęć, na których uwiecznił swoją ekspedycję. One również zaginęły, skradzione ponoć przez tajskich piratów, którzy napadli go na morzu. Kolejny brakujący, nigdy nieistniejący dowód.

Z wietnamskiego więzienia wykupił Knighta Brytyjczyk Kenneth Crutchlow. Powiedział mi wprost: „To był wielki szwindel, a Knight był oszustem”. Z kolei biograf Knighta, wspomniana brytyjska dziennikarka Glenys Roberts, przyznała uczciwie, że Knight był jej jedynym źródłem, a uwierzyła mu, bo opowiadał wszystko tak szczegółowo. Nigdy nie



zweryfikowała jego informacji.

Jedynym świadectwem samotnej wyprawy Richarda Knighta po skarb kapitana Kidda była zatem opowieść Richarda Knighta powtórzona w książce poważnej reporterki o Richardzie Knightcie i w dziesiątkach wywiadów z Richardem Knightem.

Potrafił stworzyć iluzję, że historia została sprawdzona i zweryfikowana, po czym sprzedać ją mediom i inwestorom po obu stronach Atlantyku, choć była jednym wielkim kłamstwem. A kłamstwo powtarzane wystarczająco wiele razy staje się prawdą.

I to też było prawdą, przez dwadzieścia pięć lat.

KILKA LAT TEMU do domu Kennetha Crutchlowa zapukał gość. Żona Tatiana otworzyła drzwi i zobaczyła starego, słabego i wychudzonego człowieka. To był Richard Knight, ponad dwadzieścia lat później. Nie miał grosza przy duszy i żadnych przyjaciół, a Crutchlow był ostatnim człowiekiem, do którego mógł się zwrócić, nikt inny nie chciał mieć z Knightem nic wspólnego.

Tatiana wpuściła go do domu. Knight bardzo się zmienił, zniknęły gdzieś jego pycha i arogancja sprzed lat. Stał w kuchni, zmoknięty, a Crutchlowowie patrzyli na niego bez słowa.

Dawny poszukiwacz skarbów został złamany przez życie, które wybrał.

Knight mieszkał w domu Crutchlowów przez jakiś czas. Nie potrafili wyrzucić na bruk człowieka, który nie miał nic, nawet jeśli był oszustem. Z czasem zaczął się otwierać, poczuł najwyraźniej potrzebę spowiedzi, spłacenia rachunków przed postawieniem w grobie drugiej nogi. Z kubkiem gorącego kakao, owinięty kocem, patrząc pusto w podłogę, przyznał, że cała jego opowieść o skarbie, powtórzona w kilku artykułach, książce i kilkunastu programach telewizyjnych, była dobrze przemyślaną mistyfikacją. To był jego sposób na życie. Opowiadał tę historię, gdzie się dało, pozwalał jej obrosnąć mitami i spokojnie czekał na telefon.

Dzwonek zawsze w końcu się odzywał, a po drugiej stronie linii za każdym razem siedział ktoś, kto chciał wziąć udział w poszukiwaniach skarbu Kidda i był gotów za to zapłacić.

W ten sposób Knight zdobywał kolejnych współników. Leciał

potem do Australii, Singapuru albo Malezji, tam siedział wygodnie przy hotelowym basenie i przepuszczał beztrąsko pieniądze przeznaczone na ekspedycję, jednocześnie informując przez telefon inwestorów o kolejnych kłopotach, które trzeba pokonać, i kolejnej porcji gotówki, której potrzebuje. O drogim paliwie, wynajęciu łodzi, ochronie, sprzęcie albo o agentach wywiadu deptających mu po piętach. Strumień dolarów płynął, a Knight żył wygodnie za cudze pieniądze.

Do czasu.

Przeliczył się w osiemdziesiątym trzecim. Jeden z jego inwestorów, Australijczyk, połapał się w mechanizmie przekreślenia Knighta i wysłał jego śladem kilku oprychów mających wyjaśnić mu koncepcję uczciwej współpracy we wspólnym przedsięwzięciu o charakterze finansowym. Knight przestraszył się nie na żarty. Kilka razy ich zmylił, raz ledwo przed nimi umknął w Malezji i w ten sposób trafił do Bangkoku, gdzie naprędce zorganizował tę nieszczęsną ekspedycję z Corkiem.

Tak naprawdę nie płynął po skarb.

On uciekał.

KENNETH CRUTCHLOW wysłuchał tej opowieści, patrząc na człowieka, który nie miał już nic do stracenia. Powiedział mu, że powinien napisać drugą książkę i tym razem opowiedzieć, jak było naprawdę. Richard Knight posłuchał tej rady. Przez kilka kolejnych tygodni zapisywał brulion w kratkę równymi rzędami liter, opowiadając swoje życie na nowo.

Miesiąc później zmarł w przytułku w Brighton w Anglii, bez grosza przy duszy.

Rękopis leży w piwnicy Kennetha Crutchlowa, człowieka, który wykupił Knighta z wietnamskiego więzienia i tym samym stał się jego jedynym przyjacielem.

Słynny skarb Richarda Knighta nigdy nie istniał.



– TEN FACET musiał być naprawdę niezły w swoim fachu.

Gdyby taki numer odwalił w Las Vegas, szybko skończyłby na pustyni – skomentował Kaczor, gdy skończyłem opowiadać mu tę historię.

– Tak sądzisz? – spytałem.

– Nie oglądałeś *Kasyna*? W Vegas nawet policja zakopuje trupy na pustyni.

– Ciekawe, na co liczy taki facio? Jeśli kantujesz ludzi regularnie, ktoś musi się w końcu połapać i masz kilku wrogów więcej. Jeśli choć jeden się zawezmie, zostaje ci zniknąć z miasta. Strasznie krótkoterminowy biznes...

– A co to ma do rzeczy? Wolisz zarabiać dużo i w krótkim czasie, czy mało, ale za to tyrać całe życie? Mnie bardziej ciekawi, co ciągnie do kasyna zwykłych amatorów. Jaki sens ma postawienie tysiąca dolarów, gdy z matematycznego punktu widzenia masz właściwie pewność, że nie wygrasz?

– Dają się ponieść emocjom.

– Debilizm jakiś – podsumował Kaczor.

– Byłeś kiedyś w Las Vegas?

– No co ty. Najbliższy *casino* był w moim życiu zegarek Casio.

– Jak dojedziemy i wejdiesz do któregoś z tych przybytków, zobaczymy, czy tak samo będziesz śpiewał.

## WIELKI PRZEKREŃ

Tak jak mówił Cork, najważniejsze okazały się detale.

Knight podobno popłynął z Tajlandii dużym rybackim kutrem, który zostawił przy sąsiedniej wyspie, a do samej Hon Tre Lon dobił małą łódką z włókna szklanego długości dwunastu stóp. Następnie, jak twierdził, „wyciągnął ją na brzeg, przeciągnął przez plażę i obrócił dnem do góry”, a potem, wracając, wciągnął ją na wodę.

Nawet jeśli odkręciłby najpierw silnik, ważący dobrze ponad sto kilo, zostałyby mu jeszcze kadłub ważący sporo ponad dwieście. Był sam, więc albo zmyślał, albo powinien dźwigać ciężary na olimpiadzie lub występować w cyrku, bo taka siła to rzadko spotykany numer.

Ze wszystkich jego notatek wynika, że skrzynia ze skarbem miała „trzy stopy i dwa cale długości oraz dwie stopy szerokości”, czyli mniej więcej metr na sześćdziesiąt centymetrów. Wypełniona była

kosztownościami, w tym dużą ilością srebra i złota.

Gdyby tak było, zawartość tylko tej jednej skrzyni ważyłaby około tony. Pozostałe dwie zawierały lżejsze przedmioty, ale całość musiałaby ważyć z tysiąc pięćset kilogramów. Knight twierdził, że „zniósł całą tę zawartość na plażę w sześciu kursach”. Ponownie kłania się stalowy biceps pozwalający nieść po dwieście pięćdziesiąt kilo na raz.

Ta jego mała łódka, *dinghy*, wyładowana paliwem, narzędziami do kopania i toną skarbu poszłaby na dno przy pierwszej fali, a Knight zamiast liczyć kosztowności, musiałby suszyć majtki. Na dwunastostopową *dinghy* można załadować, powiedzmy, z sześćset kilo. Knight musiałby nią przewieźć trzy lub cztery razy więcej i pokonać dwadzieścia mil na otwartym morzu. Równie dobrze mógł opowiadać, że przeszedł po palach lub frunął na skrzydłach przemożnej radości.



Richard Knight podobno odkrył miejsce ukrycia skarbu wykrywaczem metalu Microtech 480. Skrzynie leżały na głębokości

jednego metra dwudziestu centymetrów, a jedynymi elementami, które mógłby wykryć aparat, były okucia i kłódka. Wykrywacze PI w latach osiemdziesiątych nie miały jeszcze zaawansowanych funkcji dyskryminacji (pracy selektywnej) i balansu gruntu. Nie wdając się w techniczne szczegóły: nie ma mowy, żeby w 1982 roku Knight za pomocą ręcznego wykrywacza metalu odnalazł drewnianą skrzynię na głębokości metra dwudziestu.

Już w Tajlandii cały skarb zakopał podobno w zwykłych workach, w mokrej ziemi przy brzegu morza. W tym porcelanę i kruche figurki, które zostawił na pastwę wody i soli. *Sir Knight* był chyba zbyt inteligentny, by popełnić taką niedorzeczność, nieprawdaż?

Ale niech będzie, przyjmijmy, że to wszystko się zdarzyło. Knight faktycznie wydobyl ten skarb, przewiózl go do Tajlandii i zakopał tam. W takim razie dlaczego przy drugim podejściu, już z Corkiem, ponownie ryzykował, płynąc na Wyspę Piratów? Czy nie lepiej było popłynąć do Tajlandii, wyciągnąć ten swój prywatny skarb i do końca życia saczyć margarity na jakiejś tropikalnej wysepce?

Po co ryzykował odsiadkę albo śmierć, skoro i tak część skarbu miał już w rękach?

Jedna z najslawniejszych historii o poszukiwaczach skarbów to mit.

Niniejszym ogłaszam to publicznie.



NA ŚRODKU PUSTYNI wyrosło z ciemności miasto. Las Vegas, Miasto Grzechu. Zbliżaliśmy się do jego światła, pędząc drogą przez ciągnące się przez wiele mil pustkowia. Od kilku godzin wokoło nie było żywej duszy, jedynie grzechotniki i kaktusy, i spękana ziemia. Wśród tej pustyni, za dnia rządzonej przez wiatr i piekące słońce, wybudowano żyjącą całą dobę metropolię.

Dojeżdżaliśmy nocą. Kaczor wyciągnął się na fotelu pasażera, opierając stopy o przednią szybę. Włączał na zmianę *Viva Las Vegas* Presleya oraz *It's Not Unusual* Toma Jonesa, których musieliśmy słuchać co najmniej przez godzinę w kółko. Im bliżej byliśmy, tym bardziej mój przyjaciel był podekscytowany.

- Myślisz, że coś jeszcze będzie otwarte?
- Na pewno. W Vegas zamknięte bywają tylko butelki.



W Las Vegas, zwłaszcza w kasynach, czas nie istnieje. Nie ma okien, zegarów, nie ma niczego, co pozwoliłoby śledzić minuty upływające przy stole do gry w kości albo ruletce. Wielu spędza w jednym miejscu całą dobę, napędzając się darmowymi drinkami i wiarą, że następny rzut będzie szczęśliwy.

W nocy miasto nie zasypia, a ulice do rana rozbrzmiewają dźwiękami udawanej zabawy.

Teatr zwodzący zmysły naiwnych.

Ulokowaliśmy się w motelu przy samym Stripie, głównej ulicy miasta, którą zawsze pokazują w filmach. Nad naszymi głowami przelatywały śmigłowce wożące VIP-ów z hotelu do kasyna lub na przyjęcie albo odwrotnie. Rozłożyliśmy rzeczy i wyciągnąłem notes z adresami.

– Długo jeszcze? Pora coś wygrać! – niecierpliwił się Kaczor.

– Moment.

– Najpierw sloty, na rozgrzewkę. Potem może ruletka albo kości, nie wiem, zobaczymy – gadał sam do siebie.

Popatrzyłem na niego zdumiony i wróciłem do wertowania notesu.

– Przemyślałem już w trasie system, to jest czysta matematyka.

Rozbijamy dzisiaj bank, kochasiu.

– Z pewnością. Uproszczę ci zadanie. Grą w kasynie, która daje ci największe szanse na wygraną, jest ruletka, i to jeśli stawiasz na czerwone lub czarne. Prawie pięćdziesiąt procent.

– Tak myślą amatorzy. Mój system nie ma słabych stron, zobaczysz. Muszę tylko przyjrzeć się rozkładowi.

– Z przyjemnością popatrzę.

Kaczor jeszcze nigdy nie był w kasynie, ale umiejętności liczenia i nieprzeciętnej inteligencji nie można mu odmówić, więc może rzeczywiście opracował jakiś system? No nic.

Wykonałem dwa telefony, zorientowałem się w sytuacji. Okazało się, że mamy czas do rana. Gdy odkładałem słuchawkę, Kaczor w wizytowej koszuli stał już przy drzwiach i tupał nogą ponaglająco.

WYSZLIŚMY NA LAS VEGAS BOULEVARD, niekończący się ciąg kasyn, hoteli i barów. Symbol i bijące serce tego miasta, które znają wszyscy, nawet jeśli nigdy tu nie byli.



Migoczące neony obiecują nocne szaleństwo. Dekoracje niczym teatralna scenografia błyskają kalejdoskopem kolorów. Rozneglizowane tancerki kuszą zabawą do rana.

Życie tętni nocą.

W niebo strzela wieża Eiffla, bo to Paris. Obok Statua Wolności – to New York, New York. Nad głowami przelatuje kolejka górską, która wypadła na chwilę ze środka jednego z kasyn. Po chwili piszczący z uciechy ludzie z łomotem kół o szyny ponownie znikają w dziurze w ścianie. W Wenecji zakochane pary płyną gondolkami na romantyczną przejażdżkę, z egipskiej piramidy w niebo leci słup światła. Z tylnych drzwi do zamku Excalibur wychodzą rycerze i zapalają papierosy, celebując swoją piętnastominutową przerwę.

Teatr wyobraźni.

I ten dźwięk. Dźwięk maszyn wypluwających pieniądze, brzęk szklanek, klaksony limuzyn, muzyka łomocząca z głośników przy każdych drzwiach, a przy każdych inna. Piosenki Sinatry, piosenki Elvisa, piosenki Cher i Roda Stewarta, wszystkie naraz. Trzask ulotek z kociakami do towarzystwa, którymi meksykańscy roznosiciele strzelają o brudne paznokcie. Bulgot nalewanych drinków i grzechot kostek lodu o metalowe ścianki mieszadeł. Śmiechy niknące gdzieś w oddali i huk dźwięku z olbrzymich ekranów zapraszających na spektakle światowej sławy iluzjonistów i cyrkowe rewie.

LAS VEGAS



Galeria

pomiń galerię



Las Vegas Boulevard, tak zwany Strip. Główna ulica Miasta Grzechu



Neony i dekoracje w Harrah's



Bellagio, najbardziej stylowe kasyno w mieście Bellagio, najbardziej stylowe kasyno w mieście Bellagio, najbardziej stylowe kasyno w mieście



Lobby MGM Grand



Krupier w Bally's. Kasyna działają przez całą dobę, choć frekwencja przy stołach jest niemal zerowa aż do wieczora





Sztuka *à la* Las Vegas. Cekiny,  
szklane sufity i pawie pióra



Automaty. Żyła złota dla kasyn i pralnia pieniędzy dla mafii



Paris z reklamą w postaci  
miniaturowej, choć gigantycznej wieży Eiffla

SZLIŚMY POWOLI CHODNIKIEM, chłonąc feerię barw i wrażeń istniejących tylko o północy i tylko na granicy snu. Otaczały nas obrazy, które mogły istnieć jedynie na srebrnym ekranie, a jednak były rzeczywiste. Senne miraż ulic Miasta Grzechu wciągały przechodniów do wnętrza, gdzie traci się pamięć i poczucie rzeczywistości.

Ominęły nas zataczające się, wystrojone dziewczyny z drinkami w rękach, z wulgarnym makijażem i szklistymi oczami. Za nimi wymuskani faceci w drogich koszulach rozpiętych pod szyją. Przemknęła limuzyna i kilka sportowych motocykli. Przed Flamingo stały tancerki przystrojone w pióra i patrzyły z ukosa na rozbawionych, pijanych gości zaludniających bar na parterze, których krzyki niknęły w powodzi muzyki i szumie miasta.

– No to który proponujesz? – spytał Kaczor.

– Nie wiem... – podrapałem się w głowę. – Wszędzie jest tak samo. Różnią się w sumie tylko limitami na stole i minimalną stawką. W MGM będzie pewnie z dziesięć dolarów za rzut, w Hooters może ze dwa. Jeśli chcesz coś taniej, musimy odjechać kawałek od śródmieścia.

– Żadne „taniej”, idziemy do któregoś z pierwszej ligi!

– Kaczor, nie poznaję cię! Przecież ty zawsze byłeś przeciwny hazardowi! Co się z tobą dzieje?

– No byłem, ale jeśli mam się gdzieś upodlić, to gdzie, jak nie tutaj? Pamiętaj: co się wydarzy w Las Vegas...

– ... zostaje w Las Vegas – dokończyłem popularny slogan.

– W takim razie do Bellagio! Zaróbmy trochę kasiorki. Z moim systemem nie da się przegrać.

– Bardzo jestem ciekaw, co to za system.



PÓŁ GODZINY PÓŹNIEJ staliśmy z powrotem przed kasynem, podziwiając pokaz tańczących do muzyki Debussy'ego fontann. Strumienie wody strzelały w niebo, oblewając nas chłodną mgiełką.

– Nie wiem, jak to możliwe... – Kaczor powtórzył po raz ósmy. – Przecież to jest czysta matematyka... – Trwaliśmy chwilę w ciszy, nie było co odpowiedzieć. – W końcu... – Kaczka urwał i zadumał się nad swoim systemem.

Bardziej niż strata drobnych bolała go ujma na honorze jego zdolności analitycznych.

– Zagramy jeszcze raz.

– Mówiłem ci, ruletka...

– Dobra, będzie ruletka – Kaczor wszedł mi w słowo. – Muszę tylko policzyć szanse. Będziemy grali albo wszystko na czerwone, albo pół na pół, na czerwone i nieparzyste. Muszę gdzieś usiąść z kartką.

– Kaczka, prześpijmy się, spróbujemy jutro.

Gdy zasypiałem, mój przyjaciel wciąż liczył na kartce swoje

szanse w starciu z kasynem. W telewizji leciał kanał nadający skróty turniejów pokerowych.

Miasto Grzechu nigdy nie kładzie się spać.



RANEK W LAS VEGAS odsłania zupełnie inne miasto. Neony, wyłączone o tej porze dnia, wyglądają na martwe, ulicami snują się bezdomni przeszukujący śmietniki w nadziei na kawałek pizzy. Na chodnikach Frank Sinatra albo tancerki samby z pawimi piórami namawiają nielicznych przechodniów do spróbowania szczęścia w jednym z ziejących o tej porze pustką kasyn.

W świetle dnia widać tandetne styropianowe fasady, zblakłe kolory, tani blichtr nocą udający przepych. To, co po ciemku robi wrażenie, w słońcu straszy dyktą i odrapaną farbą jak scenografia teatralna widziana z bliska, która odbiera całą magię fascynującemu spektaklowi.

Las Vegas za dnia to miasto kanciarzy i pijaków, lowelasów, oszustów i splukanych pokerzystów. Im dalej od eleganckiego krańca bulwaru, od MGM Grand i Ceasar's Palace, tym bardziej wszystko robi się zapyziałe. Więcej przydymionych klubów, pijaczków i podstarzałych tancerek egzotycznych w różowych bluzkach i podartych rajstopach. Drogie hotele ustępują z wolna miejsca coraz tańszym i nieco już podniszczonym, aż w końcu minimalny zakład przy rzucie kośćmi spada z dziesięciu dolarów do dwudziestu pięciu centów.

Tu nie przesiadują bogate dzieciaki i multimilionerzy, a emeryci z Kansas, którzy przez tydzień mogą wydać tylko sto dolarów. Albo przegrańcy wyrzuceni ze wszystkich lepszych lokali, niemający co ze sobą zrobić, bo granie na kredyt odeszło do przeszłości wraz z mafiosami, którzy niegdyś rządzą w Las Vegas.

ZJEDLIŚMY ŚNIADANIE: placki z syropem klonowym i kawę z mlekiem. Rzuciłem na stolik kilka monet napiwku. Chuda kelnerka z imieniem wyszytym na klapie fartucha zgarnęła je bez słowa. Z ekspresu za ladą z sykiem uszła para.



Czas na nas.

– No dobrze, już wszystko wiem. Wypracowałem system na ruletkę, wygramy na bank – powiedział Kaczor.



Las Vegas w ciągu dnia, czyli różnica jak między filmem a planem zdjęciowym. Styropian, dykta i odłóżająca farba

– Jest tylko jeden system w ruletce i nie da ci wygrać, co najwyżej wyjdiesz na zero – odrzekłem.

– Jaki?

– Obstawiasz czerwone albo czarne, jeśli przegrasz, podwajasz zakład i stawiasz jeszcze raz. Dużo nie wygrasz, jakieś grosze, ale dopóki siedzisz przy stole, przynoszą ci darmowe drinki, więc jeśli chcesz się ubzdryngolić za darmo, to jest to jakaś metoda.

– Nie, ja mam lepszą. Wszystko rozpisałem. Stawiam dwadzieścia dolarów i wychodzę, jak podwoję.

Zastanowiłem się. Może Kaczor rzeczywiście coś wymyślił? Jest



w końcu genialnym brydżystą, pamięta wszystko, co pojawiło się na stole, każdą lewę, liczy wszystko od góry do dwójki. Ma w małym palcu wyższą matematykę, więc może znalazł jakąś lukę, której inni nie zauważyli? Tak przecież dokonują się odkrycia.

Wyjąłem swój portfel, choć wciąż nie do końca przekonany.

– Jesteś tego pewny? – spytałem powątpiewająco.

– Jak babcię kocham.

– Dobra, masz tu jeszcze dwudziestaka ode mnie. Idź i rozbij bank, dzielimy się na pół. Ja odwiedzę mojego człowieka i znajdziemy się za jakiś czas.

– Szykuj plan na wieczór, kochasiu, bo idziemy balować.

Kaczor zniknął na ruchomych schodach prowadzących do jakiegoś gigantycznego kompleksu. Spojrzałem na zegarek. Dziesiąta pięćdziesiąt. Na mnie też pora.

**PRZESZEDŁEM PRZEZ OBROTOWE DRZWI** do wnętrza New York, New York, o tej porze wyludnionego i ponurego niczym cmentarna krypta. Spojrzałem z balkonu na główną salę. Przy automatach siedziały może trzy osoby. Krupierzy bezmyślnie tasowali karty, czekając na graczy, których nie należało się szybko spodziewać.

Ruszyłem w głąb galerii handlowej, gdzie nocami zwycięzcy kupują sobie drogie zegarki, a przegrani pieczone jabłka w karmelu na pocieszenie. Minałem kilka eleganckich butików i restaurację z nazwiskiem kucharza na szyldzie.

Muzyka co pewien czas uderzała z głośników, anonsując jakieś wieczorne wydarzenie, rewię albo może turniej karciany, i urywała się w pół frazy, jak na próbie dźwięku przed koncertem. Widocznie kasyna też mają chwile przerwy.

Skierowałem się do znajomego sklepu z akcesoriami dla graczy, gdzie można było kupić znaczone karty i podpiłowane kości. Za ladą stał Guy Lafitte. To do niego przyszedłem. Ukłonił mi się bez słowa i głową wskazał przepierzenie oddzielające sklep od zaplecza. Wchodząc za mną, poprosił szczupłą Mulatkę o krótkie zastępstwo, na co zgodziła się niemrawo, z braku lepszych zajęć.

Zaplecze okazało się ciasnym pokoikiem z podniszczonym biurkiem i dwoma taboretami, starym plakatem filmowym na ścianie i

gołą żarówką zwisającą z sufitu, oblewającą wszystko złotym półmrokiem. Niezły kontrast z wypucowanym frontem luksusowego kasyna, jak inny świat, z czasów mafiosów z gumowymi młotkami do łamania nadgarstków, pomyślałem.

Guy przysiadł na jednym z taboretów i wyciągnął nogi na biurku, jak gdyby siedział w gabinecie prezesa, a nie w zasmrodzonej kanciapie.

– Co słyhać?

– Co wiesz o poszukiwaczach skarbów? – odpowiedziałem pytaniem, bez wstępów.

– Nic nie wiem, to nie moja bajka.

– Podobno to zwykli hazardziści. Stawiają, przegrywają, znowu stawiają i tak w kółko. A jak już nie mogą inaczej, zaczynają kantować. Brzmi znajomo?

Lafitte odchylił się jeszcze bardziej i założył ręce za głowę. Patrzył na mnie z lekkim uśmiechem. Miał może z pięćdziesiąt lat i aparycję, obok której nie można było przejść obojętnie. Wyglądał jak muszkieter albo iluzjonista w przerwie między aktami. Nosił staromodne, podkreścone wąsiki i bródkę pod dolną wargą. Na nogach miał skórzane oficerskie buty, ubrany był w kamizelkę ze srebrnym zegarkiem na łańcuszku. Całości teatralnego *image*'u dopełniała przepaska na oko, pamiątka po niedawnym wylewie, sprawiająca, że wyglądał nieco jak siedemnastowieczny pirat albo fehmistrz, który raz źle obliczył odległość od ostrza przeciwnika.

Przysiadłem na drugim taborecie.

– A jak konkretnie brzmi pytanie? – spytał powoli.

– Ilu tu widziałeś ludzi, którzy stracili fortunę, próbując coś wygrać?

– Setki tysięcy.

– To dlaczego ciągle grają?

GUY PODNIÓSŁ ZE STOLIKA talię kart.

– Pokażę ci coś.

Wyjął karty z pudełka i szybko przetasował.

– Zobaczysz, dlaczego tu nikt nie może wygrać. Gotowy?

– Strzelaj.

– Mogę się z tobą założyć, że ogram cię w dowolnej wybranej

przez ciebie grze. Co więcej, przegrasz, nawet jeśli będziemy grali w otwarte karty i wybierzesz sobie te, które chcesz dostać do ręki.

– Przecież to niemożliwe.

– Zaraz zobaczymy – Lafitte odpowiedział poważnie. – Jaka jest twoja ulubiona gra?

– Poker.

– Który konkretnie?

Najpopularniejszy Texas Hold'em wyglądał na pułapkę, wybrałem więc starszą, nieco już zapomnianą odmianę.

– Niech będzie Five Card Draw.

– Proszę bardzo. Wybierzesz sobie pięć kart, jakbyś je dostał normalnie z rozdania, potem ja sobie wybiorę swoje. Gwarantuję ci, że wygram, obojętnie, co wybierzesz.

– Przecież nie masz szans.

– Tak myślisz?

MINUTĘ PÓŹNIEJ siedziałem z otwartymi ustami i patrzyłem na stół, nie mogąc pojąć, co się stało. Wszystko przebiegło zgodnie z zasadami, Guy nie oszukiwał przy tasowaniu, graliśmy w otwarte karty, wybrałem sobie najlepszy układ, a mimo to przerznąłem sromotnie.

Gdybyśmy grali na pieniądze, byłbym teraz bankrutem, bo przy tak dobrej ręce postawiłbym wszystko, co mam.

– Widzisz? – odezwał się Lafitte, chowając karty do pudełka. – Szczęście nie ma tu nic do rzeczy. To jest Las Vegas. Tu może ci się jedynie wydawać, że wiesz, na czym polega gra.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, że nie wygrasz, bo system ci na to nie pozwala. Jest tak pomyślany, że aby go pobić, musisz złamać zasady gry.

– Oszukiwać.

Guy wykonał gest, jak gdyby uchylał kapelusza. Był zawodowym szulerem, od lat poruszał się na granicy prawa. Czasem z jednej strony tej granicy, bo kasyna zatrudniały go, żeby analizował nagrania z kamer bezpieczeństwa i wyłapywał oszustów, a czasami... no, czasami z drugiej.

– W kasynie możesz nagiąć system, ale co mogą zrobić poszukiwacze? Znaleźć skarb, którego nie ma?

## SZTUCZKA Z POKEREM

Żeby zrozumieć ten trik, musicie znać zasady dobieranego pokera, popularnej „piątki”, w którą grają dzieci na koloniach. Jeśli nigdy w to nie graliście, ten tekst nie będzie miał dla was większego sensu.

Dla przypomnienia: każdy z graczy dostaje pięć kart, następuje pierwsza licytacja, każdy wymienia dowolną liczbę kart i następuje druga runda licytacji. Kto się w niej ostanie i ma najwyższy układ, wygrywa.

Przy odkrytych kartach i układach dobieranych jawnie z talii, wydawałoby się, że nie można przegrać.

To teraz patrzcie.

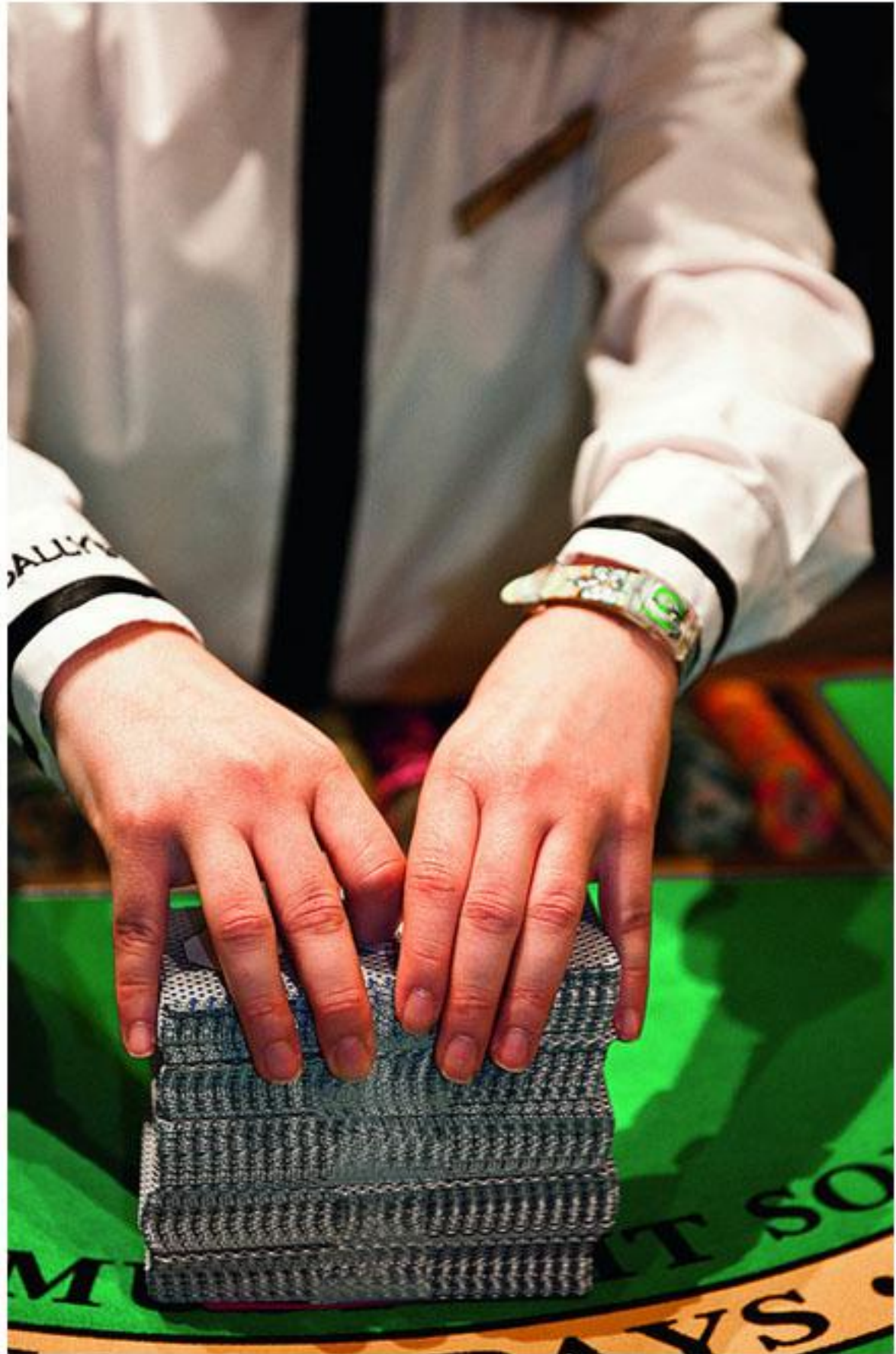
Guy pozwala mi wybrać pierwszy układ. Wybieram pokera do asa, najwyższe, co jest w grze. Guy też wybiera pokera do asa, w innym kolorze. Ponieważ w pokerze nie ma starszeństwa kolorów, partię musimy uznać za nierozegraną.

W kolejnym rozdaniu ja tasuję karty, więc zaczyna Guy. Wybiera nie pokera, a karetę dam, niższy układ, cztery damy i blotkę. Pozbawiony wszystkich dam z talii mogę wybrać pokera tylko do waleta. Teraz wymieniamy karty. Ja nie wymieniam nic, a Guy wymienia cztery karty, konstruuje pokera do damy, wyższego niż mój.

I pstryk, wychodzę w samych skarpetach.



W kasynach w Vegas gra się głównie w blackjacka, kości i Texas Hold'em. Pierwsze dwie to gry losowe z gwarantowaną procentową przewagą kasyna. Ostatnia, poker, to jednak gra taktyczna, więc wydawałoby się, że tu można mieć jakieś szanse, przy założeniu, że gra się naprawdę nieźle. Niestety przy każdym stoliku siedzi zawodowy pokerzysta, grający dla kasyna, cudzymi pieniędzmi i z potężnym bankrollem, dostępnym budżetem, którym zawsze może przelicytować innych graczy. Zgodnie z prawem stanu Nevada taka osoba musi się ujawnić, jeśli ktoś o to poprosi. Z egzekwowaniem tego prawa bywa różnie.





W kasynach są też *VIP-rooms*, sale dla graczy obstawiających wysoko. Tak naprawdę to są raczej sale dla aspirujących VIP-ów, grających rozdanie po dziesięć tysięcy dolarów lub trochę więcej. Dla szaraczków z sali wydają się niedostępne i dają posmak wielkiego świata.

Prawdziwi *high rollers* rozgrywają swoje partie w zamkniętych grach odbywających się w pokojach hotelowych. I tam stawki przekraczają najśmielsze wyobrażenia. To są gry *no limit*, pokerowa wolna amerykanka, podczas których z rąk do rąk przechodzą miliony dolarów pod czujnym okiem ochrony każdego z VIP-ów.

– A to zależy... Wiesz, ludzie generalnie dzielą się na tych, którzy wygrywają, i na przegrywających. Często trudno się zorientować, w której grupie sam jesteś. Być może ci twoi poszukiwacze tego w ogóle nie potrafią. W kasynach bardzo lubimy takich gości, nazywamy ich frajerami.

– Jeśli przy stole nie widzisz wokół siebie żadnego frajera, to znaczy, że sam nim jesteś – odpowiedziałem znaną pokerową maksymą.

– Dokładnie tak.

**KASYNO ZAWSZE WYGRYWA**, bo wszystkie gry są tak skonstruowane, żeby szanse nie były równe. To tak zwany *house edge*, minimalna procentowa przewaga kasyna, która dzięki efektowi skali pozwala zarabiać miliony dolarów.

W uczciwy sposób wygrać z kasynem można tylko dzięki naprawdę ciężkiej pracy. Trzeba śledzić wszystkie detale, analizować procenty i znać na wylot mechanizm każdej gry. Trzeba wpaść w odpowiedni rytm i w odpowiednim momencie go wykorzystać, a do tego mieć sporo szczęścia. To jedyna szansa, bo zwykła matematyka zasad gry zawsze sprzyja krupierowi.

Kasyno robi więc wszystko, żeby skupionego gracza wybić z tego zwycięskiego rytmu. A wachlarz służących do tego technik jest naprawdę imponujący.

Nagle, ni z tego, ni z owego, roznegliżowane kelnerki zaczną proponować darmowe drinki, świecąc głębokim dekoltem na wysokości oczu.



Krupier pójdzie na przerwę i zastąpi go inny, dużo szybszy albo wolniejszy, albo gadatliwy żartowniś, albo może irytujący ciamajda.

Wymienią talie, dodadzą nowe.

Stolik nagle zostanie zamknięty z przyczyn technicznych albo z głośników gruchnie hałaśliwa muzyka.

Pojawi się nowy gracz obstawiający bez zastanowienia duże sumy, który będzie grał pozornie bez sensu, zaburzając układ kart. Przy pokerze sprawdzi każdy bluff i przebiję każdą stawkę. Bo po kryjomu pracuje dla kasyna i gra cudzymi pieniędzmi, bez limitu.

Jeśli gracz się nie poddaje, do tego jeszcze wygrywa i idzie mu naprawdę nieźle, podejdzie menadżer sali, żeby osobiście pogratulować. Może zaprosi go na obiad albo zaproponuje nocleg w apartamencie prezydenckim na koszt firmy. Albo wręczy bilety na występ Celine Dion, który lada moment się rozpoczyna w sali koncertowej.

Może pojawią się ponętne blondynki niezwykle zainteresowane przystojniakiem z takim szczęściem. A może wianuszek kibiców komentujących każde zagranie. Kiedyś wręcz zatrudniano coolerów, ludzi specjalizujących się w rozbijaniu gry przy stoliku. To byli mistrzowie rozpraszania i dywersji, w kwadrans potrafili odebrać całą przyjemność z hazardu, a czasem i wyczyścić stół z żetonów.

Kasyno robi wszystko, żeby dezorientować gracza na fali.

Gracz, omamiony atencją i szumem wokół siebie, w końcu podchmieli się darmowymi drinkami, przepuści całą wygraną, a dziewczyny wyparują bez śladu i zostanie sam z pustym portfelem.

Przy takich przeciwnikach jak kasyna wiara w to, że uczciwie da się rozbić bank, jest tak samo zasadna jak w to, że przepustką do baletu jest bogate doświadczenie w tańcu erotycznym.

Dlatego w Las Vegas mieszkają tacy ludzie jak Guy Lafitte.

– Wiesz co? – odezwał się. – Ludzie myślą, że oszust chce rozbić bank albo wygrywać każde rozdanie. A prawda jest taka, że dobry oszust wygrywa tylko co jakiś czas, a potem wie, kiedy przestać. To jest praca, rozumiesz, ja chcę zarobić tylko tyle, żeby mieć na życie.

– Praca, w której po cichu kantujesz?

– Inaczej się nie da – Guy podpałił papierosa i strząsnął płomień z zapalki. Zaciągnął się głęboko dymem i dmuchnął nim w niski sufit. –

Zresztą ja już nie pracuję w kasynach, teraz głównie obcinam ludzi w ustawianych grach. Wiesz, łatwiej jest obrobić podpitego gościa w barze niż kasyno pełne kamer i ochroniarzy.

OSZUŚCI. Szulerzy działający pomiędzy światłami neonów, które ściągają do Vegas podekscytowanych graczy. Ludzie znający to miasto tak długo, że wiedzą, że uczciwie i za darmo to można tu najwyżej dostać w zęby.

Jest ich mnóstwo.

Oszuści w Las Vegas to mistrzowie karcianych sztuczek, eksperci w grze w kości i Texas Hold'em. Kilkuosobowe zespoły ludzi pracujących drużynowo, wymieniających niepostrzeżenie znaki i znających z góry wyniki rozdania. Przekupni krupierzy. Duety wyposażone w mikroskopijne kamery i nowoczesne gadżety. Zawodowi pokerzyści w przebraniach, matematycy z MIT i iluzjoniści po pracy.

Przyjeżdżają do Vegas nie wygrywać, a zarabiać pieniądze. Mają na to milion sposobów, jak Richard Knight. Anglik opierał się jednak głównie na swojej sile przekonywania, potrafił zjednać sobie ludzi i omamić ich historyjką o zakopanym skarbie. Oszuści w Las Vegas potrzebują dużo więcej. Przebrań, drogiego sprzętu, płatnych informatorów, skorumpowanych gliniarzy i nerwów ze stali.

Knight mógłby się od nich sporo nauczyć.

Przez przynajmniej trzydzieści lat kasyna w Vegas, ale też w Atlantic City, na Karaibach i w Europie okradała drużyna niejakiego Richarda Marcusa. Specjalizował się w operacjach na stołach do ruletki, blackjacka i gry w kości. Jego popisowy numer nazywał się Savannah.

Od imienia striptizerki, która dostała sowity napiwek po pierwszej wypłacie, którą w ten sposób zgarnęli.

Ekipa Marcusa wypracowała precyzyjny system umiejscawiania sztonów na stole do ruletki, zazwyczaj w zakładach płatnych trzy do jednego. Oszuści zajmowali miejsca i wykonywali kilka niewinnych zabiegów zmuszających krupiera do wykonania pewnych czynności w ściśle określonym porządku. Podczas gdy krupier był zajęty wymianą pieniędzy czy odpowiadaniem na jakieś banalne pytanie, jeden z oszustów, tak zwany mechanik, kładł na stole kupkę czterech sztonów. Jednym płynnym ruchem układał je w taki sposób, by krupier nie mógł

dojrzeć tego, który leżał na samym dole. Trzy górne żetony były czerwone, każdy wart pięć dolarów.

Ostatni był koloru czekolady. Kosztował pięć tysięcy.

Krupier po chwili kręcił kołem, kulka biegła po rancie i w końcu spadała na jeden z numerów. Jeśli Marcus miał szczęście i jego zakład wygrał, oszust po prostu zgarniał gigantyczną wygraną, gdy zdumiony krupier dojrzał wreszcie, że ta kupka czerwonych sztonów to nie dwadzieścia dolarów, a pięć tysięcy piętnaście.



Jednak cały trik polegał na tym, co oszuści robili, kiedy zamiast czerwonego wypadło czarne i oto za chwilę mieli stracić całą pulę. W chwili gdy krupier zaczynał wypłaty, „mechanik” w ułamku sekundy zgarniał ze stołu sztony i podmieniał je na łudząco podobną kupkę czterech czerwonych krążków, wartych faktycznie dwadzieścia dolarów.

Tak po prostu, na bezczelnego.

Krupier prawie nigdy nie dostrzegał tego ruchu, rzadko też inny

grający podnosił alarm. Jeśli tak się stało, „mechanik” po prostu rzucał się do ucieczki albo udawał pijanego i z przeprosinami odkładał na miejsce cztery czerwone sztony, które jakoby podniósł z zielonego sukna. Tak czy siak, pięć tysięcy dolarów zostawało u niego w kieszeni, bo krupier nigdy nie widział czekoladowego krążka.

Za każdym razem gdy oszuści wygrywali i krupier nabierał podejrzeń, ochrona kasyna sprawdzała zapis z kamer. Agenci ze zdumieniem odkrywali, że wszystko przebiegło uczciwie. Geniusz Savannah polegał na tym, że cały przekręt odbywał się tylko wtedy, gdy oszuści przegrywali, a kasyno nie miało powodu sprawdzać nagrania.

Gdy Marcus przegrywał, tracił dwadzieścia dolarów. Gdy wygrywał, zgarniał piętnaście tysięcy.

To był najlepszy numer w historii Las Vegas. Nie został nigdy rozpracowany przez ochronę kasyn, przez funkcjonariuszy NGCB, stanowej agencji do spraw hazardu, ani nawet przez agentów Griffin Investigations, najgorszych wrogów wszystkich szulerów, tropiących ich na zlecenie i stale depreczających ekipie Marcusa po piętach.

TAKICH ZESPOŁÓW są w Vegas dziesiątki. Jedna z włoskich drużyn potrafiła niezauważenie podkładać na stół dwa stosy żetonów, łącznie trzydzieści sztuk.

Tak zwani *card counters* przy grze w blackjaka liczą wszystkie spadające na stół karty, dzięki czemu wiedzą, co pojawi się za chwilę. Pomagają sobie przy tym sprytnymi urządzeniami w formie pilota do samochodu.

Niedawno pojawiła się ekipa z Francji, która oznaczała karty specjalnym roztworem. Opracowali jakąś mieszanekę, niedostrzegalną gołym okiem. Bezbarwna, bezwonna i niewidzialna, pięć tysięcy dolarów za trzy mililitry. Francuzi oznaczali nią karty w grach pojedynczą talią na niektórych stołach do blackjaka i bakarata. Wszyscy nosili specjalne szkła kontaktowe, dzięki nim widzieli znaki świecące jak lampki na choince. Po paru rozdaniach mogliby równie dobrze grać w otwarte karty, bo asy, króle czy damy przedstawiały się bladobłękitną łuną widzianą jednak tylko przez wtajemniczonych.

Nigdy nie zostali złapani.

Oszuści na występach solowych to z kolei głównie mechanicy,

zręczni iluzjoniści, którzy opanowali sztukę operowania kartami w określony sposób. Tasując, potrafią rozdać dowolny układ sobie i swojemu partnerowi albo ukryć w dłoni asa i trzymać go tam przez kilkanaście minut w sposób niebudzący najmniejszych podejrzeń.

Inni oznaczają karty paznokciem, niezauważenie podmieniają sztony na cenniejsze albo zabierają je ze stołu, jeśli karta nie doszła. To są ludzie o rękach szybszych niż dowolne oko, nawet oko kamery.

Przy nich Richard Knight to amator, który w końcu dał się pokonać pojedynczemu przeciwnikowi, podczas gdy oszuści w Vegas muszą pokonać armię agentów i arsenał sztuczek kasyna. Ryzykują też nieco więcej. Anglik musiał się liczyć najwyżej ze złaniem przez zbirów wysłanych przez australijskiego inwestora jego śladem. Oszuści w Vegas w najlepszym wypadku kończą w dość ciasnym pomieszczeniu, w towarzystwie kolegów o imionach Jamal albo Carlos, gdzie świat widzi się w kratkę i strach schylić się po mydło.

Kiedyś, gdy miastem rządziła mafia, oszustów zabierano na zaplecze i łamano im palce, nadgarstki lub kolana. Jeśli takie ostrzeżenie nie podziałało i po jakimś czasie któryś wracał, następnego dnia w palącym słońcu pustyni jego ciało rozszarpały sępy.

To jest jedyna droga na skróty do pieniędzy w Las Vegas.

A szczęście nie ma z tym nic wspólnego.

LAFITTE ZGASIŁ DOPALONEGO PAPIEROSA o podeszwę buta, rzucił niedopałek do kosza i wstał ze stołka.

– Ostatnio jeden z poszukiwaczy powiedział mi, że ważniejsze od tego, co ci ktoś powie, jest to, czego ci nie mówi – rzuciłem.

– Tak myślisz?

– Nie wiem, ty mi powiedz.

– Ujmijmy to tak: prawdziwi zawodowcy nie będą z tobą w ogóle gadać. Jeśli ktoś ci rzuca tylko kawałek i pokazuje jakiś drobiazg, a resztę masz sobie dośpiewać, to coś kombinuje – odparł Lafitte.

– Na przykład co?

– Nie wiem, cokolwiek. Może czegoś od ciebie chce, może cię kantuje, a może dopiero szykuje sobie do tego grunt. Jest wiele opcji.

– Chcesz przez to powiedzieć, że te skarby, o których mi opowiadają, tak naprawdę nie istnieją? Że szukają łatwej gotówki i

próbują mnie oskubać?

– Nie mam pojęcia. Ale dla mnie te twoje skarby brzmią jak jakaś bajka dla dzieci. Więc owszem, jest takie ryzyko. – Guy wyciągnął z tylnej kieszeni grzebień i przeczesał swoje kruczoczarne włosy.

Poprawił krawat. – Muszę wracać – powiedział i spojrzał na mnie z jakimś takim zrezygnowaniem. Zawahał się. – Posłuchaj, dzieciaku. Wyglądasz mi na naiwniaka, nie chciałbym, żeby cię ktoś przewiózł. Pytasz serio o tych poszukiwaczy skarbów? Naprawdę się tym zajmujesz?

– Serio.

– To pozwól, że udzielę ci rady. Jeśli oni faktycznie przypominają moich klientów tu, w Las Vegas, to przynajmniej połowa będzie cię chciała oskubać na zimno, a druga połowa będzie dramatycznie potrzebować pieniędzy na swój własny nałóg. – Guy Lafitte, zawodowy oszust i szuler z Las Vegas, otworzył kopertę swojego srebrnego zegarka i sprawdził godzinę. – Bo jeśli odejdą od gry – wyjaśniał dalej – będą musieli się przyznać przed sobą, że byli głupi i naiwni, że stracili furę pieniędzy i mnóstwo czasu, opierając się tylko na swoim wewnętrznym, niczym niepopartym przekonaniu, że wreszcie dopisze im szczęście.

Lafitte ruszył do wyjścia. Otworzył przepierzenie zastępujące drzwi. Zatrzymałem go ostatnim pytaniem.

– Kto tu przegrał najwięcej?

– Nie wiem – odpowiedział, nawet się nie obracając. – Tu się nie zwraca uwagi na przegranych. Tu wszyscy przegrywają.

SZEDŁEM W KIERUNKU FONTANN pod Bellagio, gdzie czekał na mnie Kaczor. Na chodniku jakiś raper występował *a cappella*, zbierając pieniądze do puszki. Minął mnie odświętnie ubrany osiemdziesięciolatek na wózku inwalidzkim pchanym przez pannę młodą w białej sukni z welonem, młodszą o dwie dekady. Bardzo się spieszyli, pewnie na jeden z tych ekspresowych ślubów za sto dolarów.

A może do szpitala, nie wiem.

Miasto powoli nabierało rumieńców. Zmęczeni nocą imprezowicze wypijali koktajle z witaminami, chroniąc przeczulone oczy za ciemnymi szklami okularów. W kasynach pierwsi maniacy znowu próbowali się ze swoim szczęściem, na chodniki wyleźli naganiacze i zaczepiali

przechodniów.

Kaczor stał oparty o marmurową barierkę przy fontannach.

Klepnąłem go w ramię.

– Jak poszło? – spytałem.

– No nie poszło...

– Przepułałeś wszystko?

Kaczor wzruszył ramionami przepraszająco.

– Ech... Nie mogę mieć chyba do ciebie pretensji, sam ci dałem pieniądze.

– Ale nie mów nikomu, OK? – zaczął Kaczor, drapiąc się w głowę.

– Co się wydarzyło w Las Vegas...

– ... zostaje w Las Vegas – odpowiedziałem.



JECHALIŚMY SZOSĄ 89A wijącą się przez góry Nevady i Arizony. Mieliśmy przed sobą długą drogę do Nowego Meksyku, do Albuquerque.

Urzeczywistnienie marzenia o Wielkiej Amerykańskiej Podróży. Prosta trasa po horyzont przez pustynię, w świetle zachodzącego słońca, w kurzu i pyle, z kolczastymi kulkami przebiegającymi przez drogę. Obrazek, który miałem w głowie od zawsze.

Nawet gdy przyjechałem do USA po raz pierwszy, wszystko wydawało mi się znajome. Znałem znaki przy drodze i pejzaże, knajpy, samochody i szkolne autobusy. Miałem w głowie sceny z tysiąca filmów, które mówiły mi o tym kraju więcej, niż mogłem przypuszczać. I oto snuliśmy się bezdrożami Arizony, a obok przemknęły Thelma i Louise w swoim kabriolecie, w okularach i z apaszkami, i z młodym Bradem Pittem na tylnej kanapie. Na horyzoncie odcinała się sylwetka Clint Eastwooda na koniu zmierzającym stępą w kierunku Rio Grande. Za nami doktor Emmett Brown gonił w galopie powóz panny Clayton, a Marty McFly uciekał przed kawalerią.

Mógłbym tak jechać godzinami.

Nie to, żebym miał wybór.



Ściemniało się pastelami, zmęczenie dawało o sobie znać.

– Pora obsadzić łóżeczko... – ziewnął Kaczor.

Wybaczył już sobie naiwność wiary w pokonanie kasyna w Las Vegas. Doszedł do tych samych wniosków co inni przed nim.



Pustynne „drogi po horyzont”. Ciągną się przez całą Kalifornię, Nevadę, Arizonę i Nowy Meksyk

Ludzie w obliczu bogactw wariują.

Tak było zawsze. Wygrywał silniejszy i bardziej bezwzględny. Imperia padały wymordowane i zrabowane, powstawały kolonie, eksploatowano słabszych. Ludzie okradali się nawzajem i oszukiwali bez zająknięcia. Wszystko w imię złotego kruszcu. Historia naszej cywilizacji.

Patrząc na czerwieniejące od wieczornej łuny skały, zastanawiałem się, jak daleko można się posunąć, dokąd wygiąć granice przyzwoitości i zdrowego rozsądku.

W co zamienia ludzi gorączka złota.



Isla Blanca, Zatoka Meksykańska, 1553

MORZE ŁAGODNIE OBMYWAŁO PIASZCZYSTY BRZEG, zostawiając na nim resztki białej piany i postrzępione kawałki desek. Tropikalna wyspa tonęła w ciszy. Brat Marcos ocknął się i gwałtownie wciągnął powietrze. Zakrztusił się, a potem wypluł trochę morskiej wody. Powoli zaczęły do niego docierać dźwięki otoczenia. Jakieś pokrzykiwania, szum fal i trzask płonącego drewna. Z trudem podniósł się na rękach, przewyciężając ból pleców. Powiódł wzrokiem po okolicy.

Na plaży krzżeli się ludzie, zbierając resztki rzeczy i ciała zabitych, które morze wyrzucało na brzeg. Marcos pamiętał sztorm i widok rozsypującej się armady. Dwadzieścia statków, dwa tysiące ludzi. Nie wiedział, co się z nimi stało. Pamiętał, że trzy okręty huragan zniósł w kierunku jakiejś wyspy, że ludzie spadali do wody, że kapitan próbował ratować statek, ale maszt pękł z suchym trzaskiem i upadł na rufę. Potem nie pamiętał już nic.

Podniósł się z trudem i otarł twarz z piasku. Na brodzie wyczuł resztki śliny. Morze po horyzont pokryte było szczątkami kadłubów, jakimiś beczkami, linami, kawałkami skrzynek, żagli i drewnianymi relingami kołyszącymi się łagodnie na spokojnej powierzchni. Na plaży Marcos widział kilkadziesiąt osób. Boże, zmiłuj się nad pozostałymi.

Cieężko powłócząc nogami, ruszył w kierunku czegoś, co zaczynało przypominać obóz.

ROZBITKOWIE zbudowali schronienia na plaży. Spędzili tam sześć dni, przymierając głodem. Zaczęły się już kłótnie, kilku mężczyzn się pobiło. W tej sytuacji przestały mieć znaczenie rangi i tytuły. Niewolnik był równy oficerowi, co nie wszystkim się podobało.

Ludzi było więcej, niż Marcos początkowo myślał. Z huraganu

uratowało się trzysta osób, niektórzy dopływali do brzegu jeszcze wiele godzin później, kurczowo uczepliwszy deski albo kawałki kadłuba. Trzysta osób z dwóch tysięcy pasażerów wspaniałej armady pełnej konkwistadorów, kupców i bogatych mieszczan wracających do domu z kufkami złota zrabowanego Indianom.

Przez te sześć dni spędzonych na plaży wyłowili też z morza wszystko, co mogło się przydać. Pojedyncze buty, trochę odzieży, kilkanaście skrzynek z jedzeniem. Przynajmniej wody mieli pod dostatkiem, za piaszczystymi wydmi płynał strumień. Niektórzy spędzili cały ten czas na wyławianiu resztek skarbu, który znajdował się na pokładzie trzech okrętów. Ludzie nigdy się nie zmieniają.

Trzeciego dnia morze wyniosło na brzeg szalupę. Od razu wysłali w niej kilku ludzi, by spróbowali sprowadzić pomoc. Od tamtej pory ich nie widzieli.

Jeśli coś się nie wydarzy, wszyscy umrą na tej rajskiej wyspie z głodu, chorób i wycieńczenia.

BRAT MARCOS ocknął się o świcie, obudził go jakiś ruch albo szelest. Szybko podniósł się z posłania i zamarł ze strachu. Wzdłuż całej plaży, aż do linii lasu, stali dzicy wymalowani w wojenne wzory. Nieruchomi, milczący, z łukami w rękach. Coraz więcej osób podnosiło się z ziemi, gdzieś dalej jakaś kobieta krzyknęła krótko, jej krzyk urwał się gwałtownie. Mężczyźni stali niepewnie, nie wiedząc, jak zareagować. Ciszę rozsadało napięcie.

Kawałek dalej któryś z Hiszpanów próbował przemówić do Indian i pokazywał coś rękami. Marcos słyszał głos, ale był za daleko, żeby zrozumieć słowa. Modlił się w duchu do swojego opiekuna o ratunek albo szybką śmierć.

DZICY NIE BYLI WROGO NASTAWIENI. Przyglądali się Hiszpanom z ciekawością, dotykając ich ubrań i skóry, czasem śmiali się na widok blond włosów albo wątlących mięśni wychudzonych szlachciców. Pokazali im, jak rozpalić ogień przy użyciu patyków i przynieśli trochę ryb. Na całej plaży płonęły ogniska i Hiszpanie ucztowali pierwszy raz od początku sztormu.

Marcos ogryzał ości, grzejąc przy ogniu stopy. Przysiadł się do niego jakiś oficer, którego nie znał z imienia, ale mężczyzna był chyba

kapitanem jednego z galeonów. Dominikanin dostrzegł, że nowo przybyły jest wyraźnie zdenerwowany. Kapitan rozejrzał się szybko, jakby się bał, że ktoś go może podsłuchać, i ściszył głos.

– Bracie Marcosie, musimy uciekać.

– A czemuż to?

– Musimy wydostać się stąd niezauważenie i ukryć w lesie, to nasza jedyna szansa.

– Ależ synu, zaufaj Panu. Gdyby chciał nam uczynić krzywdę, zginęlibyśmy na morzu. Wszyscy jesteście Mu winni wdzięczność, bo wreszcie mamy co jeść i spotkaliśmy dzikich, którym nieobce są dobro i miłosierdzie.

Oficer trząśnięty z niepokoju, ręce drżały mu, mimo że siedział przy samym ogniu. Rozglądał się cały czas czujnie, jak osaczone zwierzę.

– Co się dzieje, synu? Powiedz mi.

– Musimy uciekać – odpowiedział kapitan. – Natychmiast. Grozi nam tu olbrzymie niebezpieczeństwo.

– Ale ci Indianie...

– Ci Indianie – kapitan wszedł w słowo duchownemu – to Auia. – Powiew wiatru podsycił ogień, polana zasyczała. – Najgorsi kanibale Nowego Świata.

**DESZCZ STRZAŁ PRZYSŁONIŁ NIEBO.** Po plaży poniosły się wrzaski bólu i przerażenia. Brat Marcos nie zdążył nawet podnieść się z ziemi, gdy dwie strzały przeszły mu udo i ramię. Kapitan siedzący obok zginął na miejscu. Lotki z piór na drewnianym promieniu wystawały mu z czoła, grot wyszedł drugą stroną.

Marcos w popłochu zaczął się czołgać do linii lasu, próbując się skryć przed spadającymi wszędzie strzałami. Kątem oka zobaczył, że kilku Hiszpanów wdało się w bezpośrednią walkę z grupą Indian. Reszta rozbitków pierzchała gdzie popadnie, wbiegając na wydmy i skacząc do morza. Po okolicy niósł się wrzask dzikich i rozpaczliwe krzyki rannych, przerażonych i zdezorientowanych ludzi. Indianie długimi nożami podrzynali gardła tym, którzy byli najbliżej. Jeden chwycił za włosy przebiegającą obok kobietę w brudnej, dziurawej, niegdyś pięknej sukni i brutalnie rzucił nią o ziemię. Zniknęła pod gradem ciosów.

Marcos w panice czołgał się w kierunku lasu, obficie brocząc krwią. Serce nieomal wyskakiwało mu z piersi, w uszach szumiało przerażenie. W pewnym momencie czyjeś ręce uniosły go z piasku i pociągnęły dalej.

Zemdlał ze strachu.

**GDY SIĘ OBUDZIŁ**, zobaczył wokół siebie ścianę zieleni. Miejsce zgiełku bitwy zajął cichy świergot ptaków. Ktoś niósł go na plecach, przed sobą zobaczył kilku bosych Hiszpanów, roztrzęsionych i krwawiących, którzy przedzierali się przez dżunglę, torując drogę reszcie.

– Bracie Marcosie, udało nam się uciec! – jakiś młody chłopak zobaczył, że zakonnik się ocknął.

– Zamknij gębę! – warknął inny mężczyzna. – Nie wiemy, gdzie są.

Chłopak wycofał się pospiesznie jak zbity pies.

– Co... co się stało? – spytał Marcos cichym głosem. Był osłabiony, otwarte rany paliły.

– Te dzikusy wyrznęły wszystkich, którzy nie dali rady uciec po pierwszej salwie. Ukryliśmy ojca w lesie i ułamaliśmy strzały. Jest ojciec ciężko ranny. Kilku grupom udało się zbiec do dżungli, my byliśmy ostatni. Spróbujemy dojść do Panuco, to musi być niedaleko.

– Ja... jesteśmy bezpieczni?

– Ojcie, czy w tym miejscu ktokolwiek jest bezpieczny?

Chciwość, zgubiły nas chciwość i żądza. To nasza pokuta.

Mężczyzna zatrzymał się i przez chwilę nasłuchiwał.

– Co jakiś czas słyszymy ich za nami. Szukają nas. Długo nie damy rady tak uciekać.

**ZATRZYMALI SIĘ NA JAKIEJS MAŁEJ PLAŻY**. Marcos leżał prawie umierający, stracił dużo krwi. Widział, jak pozostali mężczyźni z jego grupy naradzają się nieopodal, żywo gestykulując. Z przyciszonych głosów wnioskował, że zastanawiają się, co z nim zrobić.

Po kilku minutach podszedł do niego ten największy, pewnie szlachcic albo oficer.

– Bracie Marcosie, nie damy rady tak dotrzeć do Panuco. Oni są coraz bliżej.

Dominikanin odpowiedział milczeniem.

– Zakopimy ojca na tej plaży, może miną i nie zauważą. Niech Bóg ma ojca w opiece.

Marcos wiedział, że zostawiają go na pewną śmierć. Miał świadomość, że i tak umrze, był zbyt ciężko ranny. Przerażeniem napawała go jednak myśl o rozszarpaniu przez kanibali, o tym, że zostanie zjedzony w tym zapomnianym przez Boga miejscu. Popatrzył na błękitne niebo przesłonięte białymi kłębkami chmur. Ptaki świergotały. Morze szumiało.

Hiszpanie zabrali się do pracy. Gołymi rękami wykopali płytki grób, w którym złożyli wciąż przytomnego Marcosa, na powierzchni zostawiając tylko jego twarz, żeby mógł oddychać. Stanęli nad nim i przeżegnali się pobożnie.

A potem oddalili się biegiem.

OCKNAŁ SIĘ, jak przez mgłę słysząc jakiś ruch. Kątem oka dostrzegł bosc stopy i końcówki włóczni migające na tle zieleni lasu.

Szybkie kroki i grzechotanie ozdób cichło w oddali, aż znikło zupełnie.

GDY SIĘ OBUDZIŁ, było już ciemno. Na niebie stał księżyc, oblewając wszystko trupioblada poświata. Marcos poruszył palcami, potem całą dłonią. Na gładkiej powierzchni ubitego piasku pojawiły się pęknięcia. Resztkami sił poranionego ciała wyciągnął na powierzchnię najpierw jedną rękę, potem drugą, a potem wypełził ze swojego grobu i długo odpoczywał, leżąc nieruchomo twarzą w zimnej ziemi.

W głowie kręciło mu się ze zmęczenia, ale rany już nieco przyschły. Na zmianę czołgał się i pełznął na kolanach wzdłuż plaży, o którą biły chłodne fale.

Gdy dotarł w ten sposób do lasu, ogarnął go chłód. Nocna dżungla parowała wilgocią. Zewsząd dobiegały go szmery, piski i skrzeki nieznanym mu stworzeń. Brnął dalej po omacku, raniąc dłonie i kolana o ostre kamienie leżące na ścieżce.

Pod palcami poczuł coś miękkiego, z obrzydzeniem cofnął rękę. Z ziemi patrzyły na niego martwe oczy jednego z Hiszpanów, zapadnięte w głąb białej jak papier twarzy pozbawionej życia brutalnym cięciem w poprzek szyi. Liście lepkie były od zimnej już krwi. Na ścieżce leżało

jeszcze siedem innych trupów: ludzi, którzy wynieśli go z plaży i uratowali przed gradem strzał. Mijał je na czworakach, drżącymi rękami brodząc w zaschłej posoce, a szkliste oczy przyglądały mu się z upiornym grymasem śmierci i przerażenia.

**STRACIŁ RACHUBĘ CZASU.** Czołgał się może godzinę, a może całą noc. Brnął naprzód ostatkiem sił, zawadzając o zarośla kikutami strzał, pchany nadludzką wolą dotarcia do jakiejś osady, do świata żywych. Jedyne, czego pragnął, to wydostać się z tego zielonego piekła, dżungli duchów i królestwa dzikich. Spijał wodę z liści i jadł miękkie kulki, owoce leżące wśród nich.

Był martwy, choć nie mógł umrzeć.

Gdy weszło słońce, opuściła go reszta sił. Pod palcami poczuł wodę. Zakręciło mu się w głowie i upadł twarzą prosto w strumień.

Ostatnie, co zobaczył, to zamglone postacie Indian zmierzające w jego stronę.

**BRAT MARCOS DE MENA** czołgał się w malignie przez dżunglę nie kilka godzin, a pełne cztery dni. Nad strumieniem znaleźli go Indianie zupełnie innego plemienia, nastawieni zdecydowanie bardziej pokojowo. Zanieśli go do swojej wioski i opatrzyli mu rany. Gdy wydobrzył i nabrał sił, z ich pomocą dotarł do Panuco i został ostatecznie uratowany. Miał w ciele pięć grotów strzał. Nosił je w sobie do śmierci.

Galeon, którym płynął brat Marcos i który rozbił się o Isla Blanca, wioził do Europy złoto i srebro zrabowane Indianom w Meksyku. Jak kilkadziesiąt innych płynących tą trasą każdego roku transportował ponad czterdzieści ton skarbu. Hiszpańskie galeony w ten sposób wywoziły bogactwo z Ameryki przez trzysta dwadzieścia lat. Łupem konkwistadorów padły bajeczne skarby Azteków i Inków, ale Hiszpanie grabili też perły, szmaragdy i biżuterię, mordując całe wioski.

Gdy wywieźli już wszystko, co Indianie wytworzyli, zagonili tubylców do niewolniczej pracy w kopalniach srebra. Pod ziemię trafiały całe wioski, bardzo często również dzieci, które pracowały skute łańcuchami i umierały z wycieńczenia.

Ładunki kosztowności wypływały z Nowego Świata raz w roku. Transporty monet, złotych dysków i srebrnych sztab płynęły do



kolejnych hiszpańskich królów, kupców, mieszczan i możnych czekających na nie w Sewilli. Na każdym okręcie płynął również specjalny transport przeznaczony dla Kościoła katolickiego, eskortowany przez duchownych.

Każdy kilogram tego skarbu był okupiony krwią.

BRAT MARCOS był jednym z dwóch Hiszpanów, którzy przeżyli sztorm i atak Indian Auiá. Drugim był niejaki Francisco Vasquez, pasażer jednego z okrętów. Niewiele o nim wiadomo. Podczas ataku Indian Vasquez skrył się na wydmach i tam przeczekał rzeź Hiszpanów. Spędził w ukryciu kilka tygodni, żywiąc się zabranym z plaży jedzeniem i wodą ze źródła. Gdy Indianie opuścili ten teren i skierowali się na północ, wrócił na plażę i zbudował na niej szałas.

Vasquez został odnaleziony rok później przez załogę hiszpańskiego statku. Był wychudzony i zarośnięty. Przez dwanaście miesięcy żywił się tylko rybami i kokosami. Isla Blanca leżała poza szlakami żeglugowymi, nie mógł mieć więc nadziei na ratunek.

Gdy Hiszpanie znaleźli Vasqueza, w jego szałasie leżało złoto, srebro i klejnoty, których nie byłby w stanie unieść.

Jego wybawcy zostali wysłani przez wicekróla Nowej Hiszpanii Luisa de Velasco I z zadaniem zlokalizowania i wydobycia skarbu, który zatonął, gdy armada roztrzaskała się o Isla Blanca. Mieli nowoczesny jak na tamte czasy sprzęt, czyli dzwony nurkowe, oraz najlepszych nurków, czyli niewolników z Jukatana. Udało im się wydobyć mniej więcej połowę zatopionego skarbu.

Gdy wrócili z nim do Hiszpanii, do wicekróla zaczęli się zgłaszać ludzie podający się za właścicieli przewożonego towaru, zleceniodawców albo rodziny setek pasażerów, którzy zginęli podczas przeprawy lub zostali zabici przez kanibali. Wiele osób otrzymało odszkodowania i dzięki temu niepomiernie się wzbogaciło.

Prawie wszyscy byli oszustami.



SENNE PARTEROWE DOMKI stały w równych rzędach aż po

horyzont, otoczone niskimi białymi płotami. Ktoś podlewał trawnik, ktoś podnosił z ganku gazetę.

– Albuquerque. Miasto seksu i biznesu... – Kaczor odezwał się głosem jak z reklamy.

Stolica Nowego Meksyku była oddalona o lata świetlne od rozwrzeszczanego Las Vegas i chaosu Los Angeles. Ciche, spokojne, nikomu nienarzucające się miasto dla ludzi, którzy odnajdują radość w życiu na lekkiej prowincji, z dala od głównego nurtu.

Jednym z jego mieszkańców był Tony Tucker, człowiek tak niepozorny jak całe to miasto.

Przynajmniej na pierwszy rzut oka.

TONY TUCKER stał oparty o swoją białą półciężarówkę i przyglądał się nam czujnie znad okularów. Zbliżyliśmy się z drugiej strony parkingu, nieco speszeni. Miał może z sześćdziesiąt lat i siwe włosy, nieco dłuższe, takie, jakie lubią panowie w jego wieku. Był ubrany w szare wojskowe spodnie, dzinsową koszulę i ciepłą kurtkę, a na głowie nosił czapkę z daszkiem.

Od razu było widać, że to człowiek bardzo konkretny, niemal szorstki. Pewnie był wymagającym, ale sprawiedliwym ojcem, który skąpił pochwał i stawiał sprawy jasno. Miał wyrobione zdanie na każdy temat, ale wiedział też, kiedy trzymać język za zębami. Z założenia nie ufał nikomu. Był typem mężczyzny, na którego zaufanie trzeba było sobie zapracować.

Zbliżyliśmy się szybkim krokiem, idąc przez parking pod restauracyjką serwującą śniadania składające się z jajek lub gofrów.

– Gotowi? – zaczął bez wstępów.

– Oczywiście.

Mieliśmy plecaki pełne wody i jedzenia, mapy, kompasy, latarki, liny i sporo ciepłych rzeczy. O tej porze roku na pustyni jest diabelnie zimno.

Tony kiwnął głową, wskazując wewnątrz swojego pick-upa. Od pierwszej chwili było oczywiste, że nie ma zamiaru nam matkować, stawia sobie wysokie wymagania i tak samo traktuje innych. Liczył więc, że będziemy przydatni i samodzielni, bo najgorsze, na co mógł trafić, to dwóch mazgajów z miasta, co nie potrafią czytać mapy.

Tony Tucker był poszukiwaczem skarbów od zawsze. Oficjalnie pracował w firmie sprzedającej maszyny górnicze, traktory i sprzęt geologiczny. Podróżował po całym Nowym Meksyku i ościennych stanach, zbierał informacje, a potem, już po godzinach, robił z nich użytek.

To był prawdziwy *oldtimer*. Pamiętał czasy, gdy pokłady złota wskazywały błyskawice. Trafiając w żyłę, zmieniały kolor. Gdy był dzieciakiem, w okolicy pojawiali się łowcy skarbów i wyciągali sztabki złota ze ścian starych kapliczek. Patrzył na to szeroko otwartymi z wrażenia oczami, a potem zaczął czytać wszystko, co wpadło mu w ręce, bo rozumiał, że kluczem do sukcesu w tym interesie jest wiedza. Uczył się historii i geologii, biologii, astronomii i chemii. Chciał wiedzieć jak najwięcej o taktyce i nawigacji, czytać samodzielnie stare mapy i dokumenty. Uczył się języków i zbierał materiały, nieustannie doksztalał się we wszystkich kierunkach, szukał ludzi, od których mógłby się czegoś dowiedzieć.

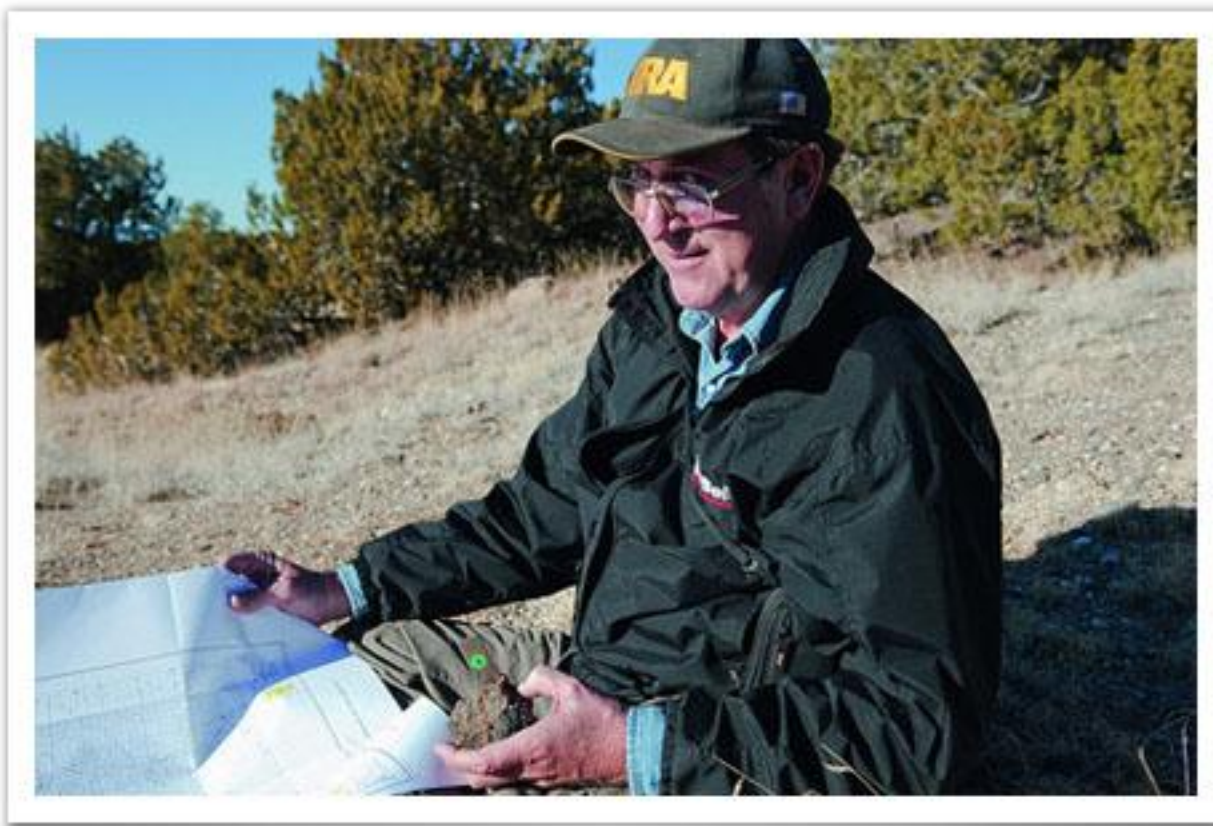
I nigdy niczego nie zapominał.

POWOLI WYJEŹDŻALIŚMY Z MIASTA drogą na południe. Zmierzaliśmy w kierunku gór Ceballos, zdecydowanie poza szlakami, gdzie można spotkać ludzi.

– Panowie, ustalmy zasady – odezwał się Tony. – Jedzicie ze mną pierwszy raz, więc musimy sobie coś wyjaśnić. Jeśli powiem: stać, to zatrzymujecie się w miejscu. Gdy powiem: w nogi, to biegniecie, gdzie wam każe, a potem zadajecie pytania. Rozumiemy się?

– Oczywiście, Tony.

Można było odnieść wrażenie, że Tony Tucker nieco przesadza, ale my wiedzieliśmy, że tak nie jest. W Nowym Meksyku nie szuka się wraków na dnie morza, gdzie kupa złota grzecznie czeka pod kamieniami balastowymi. Tu szuka się skarbów ukrytych w taki sposób, żeby nie napatoczył się na nie nikt niepowołany. A jak się napatoczy, to żeby nikomu już o tym nie powiedział.



Tony Tucker

Nowy Meksyk to był Dziki Zachód, jeszcze zanim go wymyślono. Po tych górach biegały hordy hiszpańskich oprychów i deztererów, którzy masowo rabowali i mordowali Indian. Czerwonoskórzy nie pozostawali dłużni, więc przez setki lat spadały głowy i płonęły wozy, a ziemia nasiąkała litrami iberyjskiej krwi. Dużo później swoje pięć minut mieli tu Meksykanie, którzy już wtedy wiedzieli, że wkrótce na ich miejsce wejdą amerykańscy żołnierze. Nie mylili się. Amerykanie nie dali się już przepędzić i koniec końców kawałek Meksyku należy do Stanów.

A wszystko przez złoto.

Jest tu tyle złota i srebra, że można budować z nich drogi. Wiedzieli o tym Hiszpanie, wiedzieli Meksykanie i wiedzieli konfederaci. Przez niemal czterysta lat Nowy Meksyk był obszarem gorączki złota na wielką skalę. Jednocześnie to miejsce od zawsze określano mianem *badlands*, złych ziem.

Bo trudniej niż znaleźć złoto, było je utrzymać.

Wszyscy – Hiszpanie, Meksykanie, Indianie, bandziory, złodziejaszki, dosłownie każdy, gdy tylko znalazł złoto, zakopywał je gdzieś dalej, w miejscu znanym tylko sobie. A potem dawał drapaka, licząc na to, że kiedyś po nie wróci. Są więc w Nowym Meksyku tysiące schowków różnej wielkości, gdzie można znaleźć złote sztabki, dyski albo worki drogiego pyłu. I wszystkie są bardzo dobrze zabezpieczone.

Właśnie dlatego Tony podczas swoich wypraw nie znosi sprzeciwu.

– JESTEŚMY NA MIEJSCU - powiedział, zaciągając ręczny hamulec. Wysiedliśmy z furgonetki, rozejrzałem się po okolicy. Setki niewielkich pagórków porośniętych z rzadka kaktusami i jakimś lokalnym krzakostanem, gdzieniegdzie większe krzewy albo małe drzewka. Z naszych ust wydobywały się kłęбки pary. W oczy kłuło ostre słońce, ale pod nogami skrzypiał śnieg.

– Bierzcie rzeczy.

Wyciągnęliśmy z przyczepy plecaki i zarzuciliśmy je na plecy.

– Ruszamy.

Tony mimo swojego wieku miał kondycję nastolatka. Widać było po nim, że ciągle biega po górach i pustyni. Szliśmy grzecznie i cicho, jak uczniowie za nauczycielem. Tony nie bardzo lubił obcych, co wtykają nos w jego sprawy. Wiele czasu zajęło nam przekonanie go, żeby się z nami w ogóle spotkał, a jeszcze więcej, żeby wziął nas ze sobą na pustynię. Bardzo nie chcieliśmy nadużyć jego zaufania.

W końcu nieczęsto się zdarza, żeby wyruszyć na poszukiwanie skarbów z człowiekiem, który już ich sporo znalazł.

Przeszliśmy może kilometr, Tony wyraźnie się rozluźnił, zaczął nam tłumaczyć różne rzeczy, nawet nie musieliśmy o nic pytać.

– Największym błędem, jaki ludzie popełniają na pustyni, jest to, że są idiotami – zaczął w swoim stylu. – Chodzą po złocie wartym miliardy dolarów i nawet nie zdają sobie sprawy, na co patrzą.

Zatrzymał się na moment.

– Co tu widzicie?

– Kamień?

– Kaktus?

## PUSTYNIA PEŁNA ŚLADÓW

Jeśli chcecie szukać skarbów na pustyniach Nowego Meksyku, Arizony czy na południu Kolorado, musicie nauczyć się myśleć jak Hiszpanie. Oni stacjonowali tylko tam, gdzie można było wydobyć rudy złota i srebra. Szukajcie więc wskaźników geologicznych, chociażby czarnego „piasku” – to tak naprawdę magnetyt, żelazo, które często niesie złoto. Albo czegoś, co Amerykanie nazywają *greenstone*, formacji zielonkawych minerałów będących ulubionym wskaźnikiem Hiszpanów.

Gdy Hiszpanie znaleźli rudę złota albo żyłę, zakładali obóz, który potem mógł zmienić się w kopalnię. Można więc też szukać śladów obozu. Jednym z nich będzie obecność czarnej juki. *Yucca* występująca naturalnie w Nowym Meksyku ma białe wąsy. Czasem można jednak znaleźć jukę z czarnymi nitkami rosnącą dużo dalej na południe, na terenie dzisiejszego Meksyku. Czarna juka mogła dotrzeć tak daleko na północ wyłącznie z hiszpańskim transportem, bo jej ziarna wplątywały się w sierść mułów, osłów i wołów. Gdy zwierzęta liniały, ziarna spadały na ziemię. Więc jeśli w jednej okolicy znajduje się kilka albo kilkanaście czarnych juk, jest to sygnał, że przez kilka miesięcy stacjonował tu hiszpański obóz.

A stacjonować mógł tylko z jednego powodu.

Można też szukać błyskotek, indiańskiej biżuterii albo małych grudek złota. Na pustyni żyją neotomy, gryzonie przypominające duże chomiki. Neotomy zbierają wszystko, co błyszczący, i chowają to w swoich norach, maskując je potem patykami. Ich domy wyglądają jak kupa gałęzi. Warto im się przyjrzeć. Jeśli w okolicy leżało cokolwiek błyszczącego, można to będzie znaleźć właśnie pod nimi.

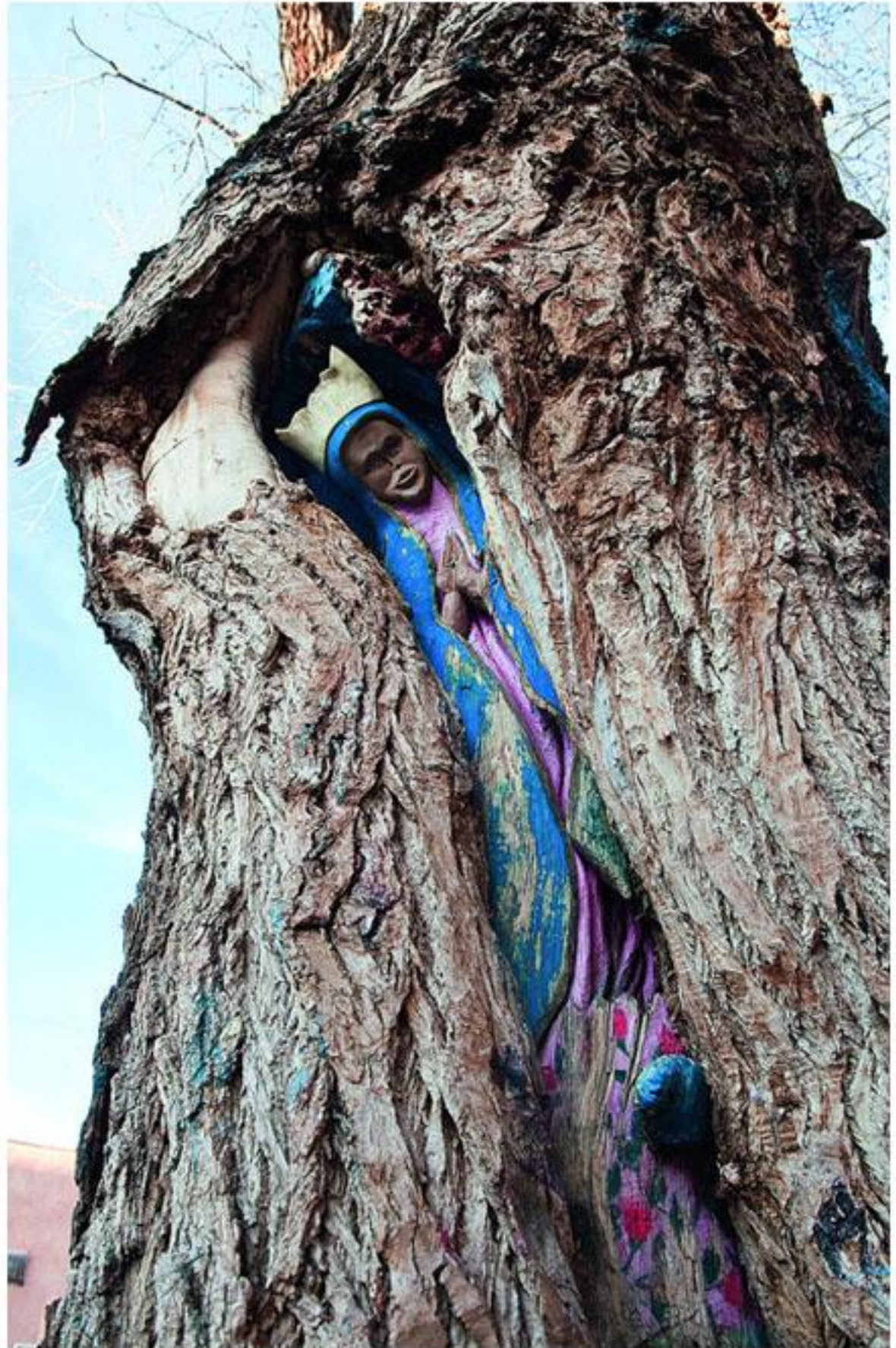




Można również celować w schowki drobnych poszukiwaczy. Ci z wydobytym (lub ukradzionym) złotem jechali do najbliższego miasta, jak Farmington czy Anama City, żeby tam pić i przesiadywać w burdelach, bo ile można było wytrzymać w towarzystwie zarośniętych, spoconych facetów. Jeśli górnicy mieli przy sobie nieco więcej złota, ukrywali je w skałach niedaleko miasta i oznaczali miejsce kupką kamieni, a ze sobą brali tylko tyle, żeby mieć na zabawę – kąpiel, kilka noclegów, kilka posiłków, dziewczyny i całe morze whisky. Gdy skończyły się im pieniądze i wytrzeźwiali, wracali po swoje ukryte złoto i jechali dalej.

Ale w tych barach stale dochodziło do bijatyk i strzelanin, to był w końcu Dzikie Zachód. Mnóstwo ludzi ginęło, w tym wielu górników, a wtedy ich schowki zostawały nieopróżnione na zawsze. Pod Farmington leży miejsce, które od dawna nazywa się Treasure Canyon, Kanion Skarbów. Jak myślicie dlaczego?





– Nie, do diabła. To, co tu widzicie, to znak. Widzicie ten duży głaz na tym małym? Taka sytuacja nie występuje w przyrodzie, a już na pewno nie w tych górach. Ktoś ten wielki kawał skały musiał wtaszczyć na ten mniejszy. Miał jakiś powód, a w tej okolicy był tylko jeden powód.

– No to sprawdźmy!

– Szkoda czasu, sprawdziłem to lata temu. Nic tam już nie ma.

Dużo później dowiedzieliśmy się, że Tony na pustyni wypatruje dwóch rzeczy. Śladów oraz symetrii. Symetrii nie ma w naturze, zdarza się bardzo rzadko. Interesowały go wszystkie regularne kształty, proste linie, powtórzenia kolorów, duże kamienie na małych, skały przerzucone przez strumień, głazy nieodpowiadające profilowi geologicznemu terenu. Wszystko, co było w jakikolwiek sposób nie na miejscu i po prostu musiało być dziełem ludzkich rąk.

Najbardziej interesowało go to, co wyglądało na naturalne, ale takie nie było. Tam, gdzie my widzieliśmy dołek, Tony widział zasypane wejście do kopalni. To, co dla nas było zwykłą pionową skałą, okazywało się ścianą jamy misjonarza.

Do Tony'ego pustynia mówiła.

Drugą rzeczą były właśnie znaki, ślady prowadzące do skarbu zostawione przez Hiszpanów. Ale o nich mieliśmy się dopiero dowiedzieć.



Pustynia w Nowej Hiszpanii, 1539

**SIEDEM ŻŁOTYCH MIAST.** Legenda o niewyobrażalnych indiańskich bogactwach, z którymi równać mogłoby się tylko Eldorado. Opowieść niepozwalająca konkwistadorom spać. Siedem Miast, a w nich ulice brukowane złotem i skarby przekraczające możliwości wyobraźni ograniczonej tym, co znane.



Miały leżeć gdzieś na północnych rubieżach Nowej Hiszpanii, dalej niż ktokolwiek miałby odwagę się zapuszczać. Na niezbadanych terenach, białej plamie na mapach północy. W piekielnej krainie, gdzie w ciągu dnia słońce pali żywym ogniem, a podczas mroźnych jak czarna otchłań nocy demony wyją z wiatrem, nękając tych, którzy odważą się tam zapuścić. Do Siedmiu Miast Cíbola prowadziła śmiertelnie niebezpieczna droga przez ziemie bezwzględnych indiańskich wojowników i skaliste, ponure góry pełne jadowitych węży oraz umęczonych dusz żyjących w jaskiniach.

Konkwistadorzy mówili, że po to złoto trzeba było zejść do piekła.

Wielu próbowało, wracali z pustymi rękami, ledwo żywi, zwykle połowa tych, którzy wyruszyli. Wrócił ulubieniec królewskiego namiestnika Francisco Vasquez de Coronado. Wrócił Hernando de Soto, zaufany porucznik słynnego pogromcy króla Inków, który przywiózł tyle złota, że wypełniło wielką komnatę. Wróciło wielu innych.

Ale ludzie Hernána Cortésa mieli dopiero wyruszyć.

Legendę o Siedmiu Miastach przywiózł jakiś rozbitek, jedyny ocalały ze sztormu, który roztrzaskał kilka okrętów o skały gdzieś na wschodnim wybrzeżu. Błąkał się po tej piekielnej krainie, czekając na śmierć, która nie nadchodziła. Podczas tego marszu spotkał plemię dzikich, od których dowiedział się o Siedmiu Miastach. Przez sześć lat wędrował sam, aż dotarł do hiszpańskich przyczółków na północy i opowiedział swoją historię Hernánowi Cortésowi, najsłynniejszemu konkwistadorowi Nowego Świata.

Cortés był gotów wysłać czterystu ludzi nawet następnego dnia, tak jak robił to wielokrotnie wcześniej. Spuściłby swoją horde morderców, a ich miecze spływałyby krwią tak długo, aż Siedem Miast padnie u jego stóp.

Ale wicekról wolał wysłać kogo innego, Coronadę, tego trefnisia i miglanca. Niech go wszyscy diabli.

MINEŁO PIĘĆ LAT, od kiedy rozbitek opowiedział mu o Siedmiu Miastach. Pięć lat to dużo czasu, Hernán Cortés nie zwykł czekać tak długo na nikogo, nawet na króla. Teraz miał zamiar odnaleźć te miasta sam, z królewską zgodą lub bez niej.

Uznał, że inni zawiedli, gdyż próbowali przeprowić się lądem,

tracąc siły na skalistej pustyni. Cortés miał inny pomysł, chciał znaleźć drogę wodną. Postanowił wyekspediować trzy lekkie okręty, które zbadają zachodnie wybrzeże Nowego Świata. Znajdą jakąś rzekę płynącą z głębi lądu, dużą na tyle, by lekki statek mógł nią pokonać jak najdłuższy odcinek. To skróci marsz przez skaliste Piekło.

Miał w Acapulco trzy okręty zdatne do tego celu: Santo Tomás, Santa á gueda i Trinidad.

Hernán Cortés, nie zważając na protesty królewskiego namiestnika, wysłał je po złoto Siedmiu Miast, a na zwierzchnika wyprawy wyznaczył swojego zaufanego porucznika Francisco de Ulloę.

**ZAUFANY PORUCZNIK FRANCISCO DE ULLOA** zdradził Cortésa już po kilku dniach. Gdy tylko żaglowce odpłynęły nieco na północ, przybił do portu w mieście Culiacán i zostawił na brzegu całą załogę okrętu Santo Tomás, bezwzględnie lojalną wobec Cortésa. Nie bardzo przejmował się zemstą. Płynął na niebezpieczną wyprawę, z której mógł nie wrócić. Jeśli wróci, to już bogaty i będzie w stanie przeciwstawić się Cortésowi. Jeśli nie wróci, cóż... Cortés nie będzie już wtedy problemem.

Ulloa zostawił na brzegu żołnierzy Cortésa i popłynął dalej na północ dwoma okrętami, wciąż szukając rzeki na tyle dużej, by dało się nią pożeglować na wschód, w kierunku Siedmiu Złotych Miast i ich nieprzebranych bogactw.

**TYDZIEŃ PÓŹNIEJ** pozbył się reszty niepotrzebnych mu ludzi. Zapakował ich na Santa á guedę i wysłał z powrotem do Acapulco. Gdy odpłynęli, Francisco de Ulloa został sam z dwudziestoma czterema najgorszymi oprychami, jakich nosiła ziemia. To byli jego najwierniejsi żołnierze, którzy nie cofną się przed niczym. Będą mordowali, rabowali, gwałcili i grali w karty, i pójdą za nim na koniec świata, bo wiedzą, że czeka tam na nich chwała i bogactwo.

Tych dwudziestu czterech ludzi to była przyboczna świta Ulloi, oddział żołnierzy, których lojalności nie kwestionował. Bo gdyby któryś dał mu do tego powód, bez wahania poderznąłby mu gardło na oczach pozostałych.

Jeśli szli do Piekła, to potrzebował właśnie takich ludzi.

**NA POKŁADZIE TRINIDADU**, okrętu Ulloi, zgromadzony był

majątek. Jego konkwistadorzy mieli ze sobą fortunę w srebrze i złocie zdobytą podczas wcześniejszych wypraw. Choć płynęli po skarby, nie mieli co zrobić z tymi, które już posiadali w sakwach, więc zabrali je ze sobą.

Hiszpanie ściągający do Nowego Świata to nie były romantyczne pięknoduchy, a najgorsza hołota. Kryminaliści, bankruci, mordercy i zwykle łotry, zazwyczaj przed czymś uciekający. Jedni przed prawem, inni przed Kościołem, jeszcze inni przed wierzycielami albo rozwścieczonymi ojcami córek, którym rosły brzuchy. Konkwistadorzy byli tak naprawdę banitami zostawiającymi za sobą dotychczasowe życie. Dlatego gdy wyruszali na wyprawę, zabierali wszystko, co mieli, bo nie planowali powrotu.

Na pokład Trinidadu też wzięli wszystko, co posiadali.

MINEŁO PÓLTORA ROKU, zanim znaleźli drogę w głąb lądu. Ulloa zdecydował się na rzekę San Luis Rey. Miał nadzieję dotrzeć nią do suchej, kamienistej pustyni, na której leżało Siedem Złotych Miast.

Trinidad zakotwiczył u ujścia rzeki. Ulloa zostawił na pokładzie trzech ludzi, a z resztą ruszył, żeby zbadać okolicę. Na statku została też połowa złota konkwistadorów, drugie tyle piechurzy taszczyli ze sobą, chorobliwie nie ufając nawet najbliższym towarzyszom.

Dotarli do indiańskiej osady i rozbili nieopodal obóz. Ulloa próbował się dowiedzieć więcej o Siedmiu Miastach, ale bezskutecznie. Indianie zbywali go, choć byli nastawieni pokojowo, zapraszali Hiszpanów do ognia i dzielili się z nimi jedzeniem.

Konkwistadorzy korzystali z tej gościnności, trzymając ich jednak z daleka od swojego złota.

MINAŁ TYDZIEŃ, spędzony w osadzie Indian. Hiszpanie byli skrajnie wyczerpani, targali nimi wymioty i gorączka. Choroba osłabiła ich tak bardzo, że większość nie była w stanie nawet chodzić. Kilku zmarło.

Dyzenteria. Od indiańskiego brudu i pożywienia.

Francisco de Ulloa uznał, że jedyną szansą jest powrót na statek, ucieczka jak najdalej od ogniska choroby. Hiszpanie pospiesznie opuścili obóz, zostawiając za sobą wszystko oprócz złota. Każdy ostatkiem sił taszczył swój skarb w płóciennych workach i sakwach,

choć wszyscy wiedzieli, że nie dadzą rady donieść go do oddalonego o kilka dni drogi Trinidadu.

Żaden nie chciał porzucić nawet jednego reala.

**GDY ODDALILI SIĘ OD WIOSKI INDIAN**, choroba zaczęła z wolna ustępować. Kiedy nabrali nieco sił, zerwała się burza i uziemiła ich w skalnych jaskiniach na sześć kolejnych dni.

Podczas tego postoju Hiszpanie postanowili ukryć złoto, którym do tej pory troskliwie się opiekowali. Mieli dużo czasu, deszcz nie ustępował. Zakopali skarby w kilkunastu schowkach i oznaczyli je odpowiednimi symbolami. Mogli tu wrócić kiedykolwiek i wydobyć je. Teraz najważniejsze było szybkie dotarcie na okręt.

**SIÓDMEGO DNIA WYSZŁO SŁOŃCE**. Konkwistadorzy zabrali resztkę zapasów i ruszyli w kierunku ujścia rzeki, zostawiając za sobą dorobek całego życia.

Gdy dotarli do miejsca, gdzie pozostawili stojący na kotwicy Trinidad, zobaczyli tylko pustą zatokę.

Trzech ludzi Ulloi pilnujących statku odpłynęło z połową skarbu, która została na okręcie.

**HISZPANIE OSTATKIEM SIŁ** wrócili do swojej kryjówki w skałach.

Umarli tam wszyscy, jeden po drugim, do końca nie chcąc opuścić swoich bogactw.

Ich złoto leży tam do dziś, obok zbieleiałych kościotrupów siedemnastu konkwistadorów, w krainie palącego słońca, nocnych mar i jadowitych węży.



**KRUCHA SKAŁA PEKAŁA POD BUTAMI** i osypywała się w dół zbocza. Szliśmy w milczeniu, coraz bardziej zmęczeni. Nie wiedzieliśmy, dokąd Tony nas prowadzi, ale nie mieliśmy odwagi pytać. Na szczycie jednego z pagórków zatrzymaliśmy się na chwilę odpoczynku. Tony zrzucił plecak i zaczął szukać czegoś do jedzenia. Zniecierpliwiony wyjął kilka rzeczy, które mu zawadzały. Mały młotek.

Gumową miskę. Pistolet.

Popatrzyliśmy po sobie z Kaczorem porozumiewawczo.

– Po co ci to?

Tony spojrzął znad okularów, nic nie odpowiedział, pokręcił tylko głową.

– Mogę obejrzeć? – spytał Kaczor.

– Tylko nie zrób sobie krzywdy.

Kaczka wprawnie wyjął z kabury broń, mały pistolet Desert Eagle 9 mm. Obejrzał, zważył w dłoni.

– Naładowany.

– A po co mi nienaładowana broń?

Tony dalej gmerał w plecaku. Coś mu zawadzało w kieszeni, wyjął z niej tym razem rewolwer. Popatrzyliśmy zdumieni. Wreszcie trafił na swój batonik orzechowy i wyciągnął go, wzdychając z wyraźną ulgą. Obok postawił zielony bidon z wodą. Chciał coś powiedzieć, ale dostrzegł nasze zdumienie. Zachnął się nieco i wytłumaczył:

– Mam znajomego, też szuka złota. Pracował przez dwa lata na terenie jednego z właścicieli, tu niedaleko.

Świetnie im się układało, opowiadał dalej Tony. Ten właściciel to był naprawdę porządny gość. Uczciwy, solidny, nie robił żadnych problemów, dotrzymywał umów. Szukali tego skarbu bardzo długo, próbowali na różne sposoby. Za każdym razem gdy wydawało się, że są na dobrym tropie, kończyli w ślepym zaułku. Przekopywanie tego małego kawałka pustyni zajęło im dwa lata.





W końcu znajomy Tony'ego obwieścił swojemu partnerowi sukces. Powiedział, że wreszcie znalazł dokładne miejsce ukrycia skarbu i najpóźniej następnego dnia go wykopie. Właściciel działki nie krył radości, w końcu wszyscy dość długo czekali na tę chwilę. Bardzo chciał brać udział w tych końcowych pracach, więc zabrał do pomocy swojego syna i we trzech pojechali wydobyć skarb.

Znajomy Tony'ego wyrzucał kolejne łopaty ziemi z coraz głębszego dołu, aż w końcu szpadel z głuchym dźwiękiem uderzył w coś twardego. Poszukiwacz puknął jeszcze dwa razy, żeby się upewnić, nabrał powietrza, żeby oznajmić sukces, i odwrócił się do swoich partnerów.

Z krawędzi rowu patrzyły na niego dwie lufy, a oczy ojca i syna były zimne jak lód. Powiedzieli mu: albo to będzie twój grób, albo odwracasz się, idziesz w swoją stronę i nigdy nikomu o tym nie opowiadasz.

Poszedł i nigdy nie wrócił.

– Złoto ma niesamowitą zdolność zmieniania ludzi uczciwych w nieuczciwych. Te zabawki bardzo się przydają, gdy spotkasz tych drugich – zakończył Tony.

POSZUKIWANIE SKARBÓW w Stanach jest nielegalne. Albo może ściślej szukać skarbów można, ale nie można ich znaleźć. O ile o wraki na dnie morza można się jeszcze procesować, to skarby zakopane w ziemi zawsze mają właściciela. Czasem jest to stan, czasem dysponent terenu, a czasem nie wiadomo i wtedy na wszelki wypadek konfiskuje je FBI.

Z prawnego punktu widzenia poszukiwacze skarbów to więc złodzieje i paserzy. Do tego większość kłamie jak z nut, a wielu z nich to zwykli bandyci bez żadnych skrupułów. Na pustyni nie można nikomu ufać, a jednocześnie trzeba, bo każdy potrzebuje partnera.

Zaczyna się od pracy detektywistycznej, od śledzenia tropów, kojarzenia faktów i studiowania starych zapisów. Tony chodzi po antykwariatach i szuka podniszczonych książek o historii, rozmawia ze starymi Indianami, spisuje legendy, wierzenia, zbiera dokumenty. Gdy zbierze ich wystarczająco dużo, przeważnie wyłania się z nich jakaś prawdopodobna historia. Wtedy musi ją umiejscowić, dojść do tego, gdzie to się wszystko działo.

Przeważnie działo się na ziemiach, które dziś mają już właściciela.

Wzdłuż dróg Nowego Meksyku przez dziesiątki mil ciągną się płoty ogradzające prywatne posesje. Są to powierzchnie nieprawdopodobnej wielkości, należą do farmerów, inwestorów albo Indian, różnie bywa. Niby zwykła pustynia, kaktusy i kamienie, ale czyjeś.

Jeśli zatem to potencjalne miejsce ukrycia skarbu leży na cudzym terenie, czy chcesz czy nie, musisz się dogadać z właścicielem.

Bo to nie jest tak, że wystarczy zakraść się w nocy z łopatą, spakować złoto do płóciennego worka i czmychnąć przed świtem. To jest poważna operacja. Często potrzebny jest ciężki sprzęt, jakieś koparki, buldożery, sporo specjalistycznej aparatury. Nie da się tego załatwić cichcem.

Zaczynają się podchody. Tony musi przekonać właściciela, że wprawdzie nie wie jeszcze, czy w ogóle jest czego szukać, ale ma dobre

przezwyciężenie. I że wprawdzie operacja jest nielegalna i obaj ryzykują odsiadkę w więzieniu stanowym, jednak się opłaca. Tylko muszą sobie zaufać.



Mapa złotonośnych złóż opracowana przez Tony'ego. Tony trzyma w ręku kawałek magnetytu, jeden ze wskaźników, że w okolicy może być żyła kruszcu

Bywa, że taki właściciel w ogóle nie chce o tym słyszeć, ale to się rzadko zdarza. Częściej oczy rozbłyskują kielkującą już gorączką złota i w jakiejś szopie, przy lampie naftowej, uzgadniane są warunki kontraktu.

Pierwszy kontrakt to przeważnie umowa na rok, z podziałem *fifty-fifty*. Przez dwanaście miesięcy Tony może biegać po wyznaczonym terenie do woli, a jeśli coś znajdzie, podzieli się tym z właścicielem pół na pół.

Rok to przeważnie za krótko, akurat tyle czasu, żeby zawęzić obszar poszukiwań i nabrać pewności, że jest czego szukać. Po upływie daty zawartej w umowie właściciel proponuje zazwyczaj nowy kontrakt, ale już z podziałem siedemdziesiąt na trzydzieści. Na swoją korzyść, rzecz jasna. Tony i tak zgodzi się na te warunki, bo lepiej mieć trzydzieści procent czegoś niż sto procent niczego.

Ten kontrakt to w gruncie rzeczy nie jest prawdziwa umowa, bo nie można zawrzeć umowy na wspólne dokonanie przestępstwa. To raczej forma obustronnego szantażu. Jeśli poszukiwacz znajdzie jakieś złoto i po cichu z nim zwieje, właściciel pokaże umowę FBI i wsadzi współnika do kicia. Jeśli na ostatniej prostej właściciel wynajmie sobie inną firmę, a partnera wystawi do wiatru, poszukiwacz zrobi to samo. Umowa, która ich wiąże, pozwala korzystać z terenu, a nie wydobywać skarby, więc jeśli coś naprawdę znajdą, wszyscy automatycznie stają się przestępcami.

Właśnie dlatego partnerów trzeba sobie dobierać bardzo ostrożnie.

– Chodźmy dalej – powiedział Tony, wsadzając rewolwer do kieszeni.

Kamienie znów zachręściły pod butami, wspinaliśmy się na kolejne zbocze.

– Tony, czy kiedykolwiek ktoś do ciebie strzelał?

– Strzelał.

– Z czego?



- Z karabinu snajperskiego.
- Robiło się coraz ciekawiej.
- Albo Tony miał bujną wyobraźnię.
- Raz też znalazłem odciski butów bez bieżnika, gdy pracowałem z Ramirezem. Jest tylko jedna grupa ludzi noszących takie buty. *Black ops*, wywiad.
- A kto to jest Ramirez?
- Ramirez to kupa gówna.



TONY POŚWIĘCIŁ TEJ SPRAWIE SIEDEM LAT. Trafił na trop prowadzący do opuszczonej kopalni leżącej na terenie niejakiego Ramireza. Uzgodnili wstępne warunki, Tony zrobił rozpoznanie, namierzył właściwą działkę, podpisali w szopie kontrakt.

Ściągnęli ciężki sprzęt i zaczęli kopać. Badali grunt, spuszczały sondy, szukali szybów, analizowali strukturę skał i warstwy. Byli coraz bliżej, mieli już pewność, że ta hiszpańska kopalnia naprawdę istnieje.

Ale im bliżej byli tych tuneli, tym dziwniej Ramirez się zachowywał. Znikał, nie było go, nie odbierał telefonów, wracał, zadawał dużo pytań. Tony nabrał podejrzeń. Przez jakiś czas tak się zwodzili.

Tony trafił w końcu na jeden z tuneli i znalazł tam rudę srebra wysokiej próby. To był ostateczny dowód, że są już bardzo blisko, bo Hiszpanie nie budowali kopalni dla jakiejś taniochy, interesowało ich tylko złoto i srebro, nic więcej. Ramirez zachowywał się coraz bardziej podejrzanie, ewidentnie coś kręcił na boku. Tony postanowił nie mówić mu o znalezionym srebrze, poinformował tylko, że są coraz bliżej.

Następnego dnia Ramirez kazał mu się wynosić i nigdy nie wracać. W głosie czaiła się groźba, w strzelbie za plecami i długim nożem myśliwskim za pasem też. Według ich kontraktu Ramirez miał oddać Tony'emu tylko dwadzieścia pięć procent. Widocznie uznał, że chyba nie chce się niczym dzielić.

Tony wtedy już wiedział, że pod ziemią jest dziewięć pomieszczeń

ze sztabami złota. I jedno, w którym są tylko gliniane dzbany *olla*, a w nich zrolowane papiery. Te papiery to były dokumenty na temat wszystkich hiszpańskich misji kościelnych w okolicy, ich ukrytych skarbów, kryjówek i kopalni, o których nikt nie wie.

Tony'ego interesowała tylko ta ostatnia komnata, resztę był gotów oddać bez dyskusji.

Wynajął adwokata i założył Ramirezowi sprawę. Minęło kilka miesięcy i odebrał od niego telefon. W słuchawce usłyszał głos prawnika:

– Jesteśmy w stanie wygrać ten proces. Mamy mocne papiery, to jest wygrana sprawa, ale... ci ludzie naprawdę cię nienawidzą, Tony. Możemy iść na całość, ale nigdy już nie będziesz mógł wrócić do domu. Oni cię zabiją. Albo zrobią krzywdę twojej żonie lub dzieciom.

– Opuuszczamy, Randy – odpowiedział Tony. – Podpiszemy ugode, niczego od nich nie chce.

Skarb Ramireza leży pod jego posiadłością do dziś. Firma, którą zatrudnił, nie była w stanie go znaleźć bez dokumentacji Tony'ego.



MINEŁO POŁUDNIE, zrobiło się nieco cieplej. Tony rozłożył mapę i coś mrucał pod nosem. Kaczor oglądał skalne okruchy pod lupą, szukając cech, których miał wypatrywać. Od rana uczyliśmy się czytać znaki i powoli zaczynaliśmy rozumieć, co Tony miał na myśli, gdy mówił, że ludzie to idioci.

Zbocza gór pełne były kamyków różnej wielkości, czasem z piaskowca, czasem z wapienia. Jasne, ciemne, proste, krzywe, różne. Raz Tony zatrzymał się w niewyróżniającym się absolutnie niczym miejscu i wskazał ręką skalne okruchy pokrywające ziemię, porośnięte już jakimiś krzaczkami.

Okazało się, że te okruchy to pozostałości po hiszpańskiej kopalni sprzed czterystu lat.

– Jeśli poszukacie w okolicy, pewnie znajdziecie na wierzchu żyłę. Te kamienie to zwałowisko, widzicie? Wszystkie są identycznej



wielkości, takie same. Tu była mała kopalnia, a to są jej pozostałości. No, do roboty, pokażcie, że czegoś się nauczyliście.

Żył srebrośny minerałów znajdowała się dwadzieścia pięć metrów w górę zbocza. Po prostu, na wierzchu, gotowa do pracy kilofem.

– Zapamiętajcie to miejsce, wrócimy tu – powiedział Tony, patrząc na zegarek. – Teraz musimy iść dalej.

JEDNA ZE SKAŁ wyraźnie odróżniała się od pozostałych, wyglądała jak ociosany głaz. Wysoka na trzy metry, długa i szeroka na cztery, jakby wycięta z większej całości. Trzeba było się na niej położyć i palcami przeciągnąć po krawędzi, zaraz za rantem, szukając odpowiedniego miejsca. Wgłębienie wyczuwało się od razu, kształt był bardzo charakterystyczny.

Tuż pod krawędzią był wyrzeźbiony w skale cyngiel karabinu.

Należało położyć się na brzuchu i złożyć do strzału z tej nieistniejącej flinty. W takiej pozycji od razu można było zauważyć wycięty w kamieniu celownik, muszkę i szczerbinę. Jedno oko zamknięte, palec na spuście...

A w miejscu, w które celował karabin, stał duży kamień na małym.

PUSTYNIE NOWEGO MEKSYKU to jedna wielka mapa skarbów. Hiszpanie przez czterysta lat pokonywali te tereny w poszukiwaniu złota. A gdy je znajdowali, wpadali w nerwową drżączkę. Po tych ziemiach grasowało tylu bandytów i dezertów, tylu oprychów, sprzedajnych duchownych, lokalnych watażków i tyle indiańskich oddziałów, że szczęśliwe dowieszenie do domu i skarbu, i własnej głowy graniczyło z cudem.

Zdrady były na porządku dziennym, niemal co noc podrywano komuś gardło, by nie dzielić się łupami. Drobne złodziejzki czyhały na drogach do miast, większe bandy łupiły załogi kopalni nawet na otwartym terenie. Hiszpanie mordowali się między sobą, misjonarze kradli królewskie skarby, a przekupni żołnierze wynosili grudki złota na lewo.

Cała pustynia roiła się od niewielkich grup pracujących na własną rękę, kopiących złoto lub srebro. Gdzieniegdzie całymi latami pracowały zdecydowanie większe załogi, dobrze zarządzane, z

zastępami niewolników do łupania kamieni pod ziemią. Miały wojskową eskortę, muły, ciężkie wozy, zapasy jedzenia na rok i królewskie rozkazy, których Hiszpanie musieli się trzymać.

Przez czterysta lat ziemiami Nowego Meksyku targały fale gorączki złota.

Korzyści były jednak warte ryzyka. Wystarczył dobry rok pracy, jeden solidny urobek i oto jakiś bandzior moczymorda stawał się majątnym mieszczaninem. Już do końca życia stroił się w fatalaszki z jedwabiu, choć nadal zalatywało spod nich higieną, powiedzmy, nie fanatyczną.

Bardzo często Hiszpanie nie wywozili znalezionej złota, lecz zakopywali je na pustyni, ukrywali w jaskiniach lub zbudowanych specjalnie na tę okazję schowkach. Aby później trafić w to miejsce, oznaczali je, zwykle bardzo przemyślnie. Mógł być to ślad ręki odciśniętej farbą w skale, kupa kamieni, a czasem wskazówki jak z filmów przygodowych, jakieś szyfry, zagadki i fałszywe tropy.

Robili też mapy, prawdziwe mapy skarbów. Hiszpański król Filip któryś tam wydał edykt, wedle którego wszystkie mapy prowadzące do złota miały być sporządzane w ten sam uniwersalny sposób. Nakazał je również tworzyć w trzech identycznych kopiach. Jedna była przeznaczona dla właściciela, drugą miał wysłać królewskiemu namiestnikowi w Nowym Świecie, a trzecia miała trafić do samego króla w Hiszpanii.

Wcześniej, gdy każdy rysował mapy po swojemu, wszystko było owiane tajemnicą. Jeśli właściciel schowka zginął na pustyni, zabierał tajemnicę ukrytego skarbu do grobu. Jednak gdy wszyscy oznaczali mapy tak samo, a do tego egzemplarze trafiały w ręce króla, w przypadku niefortunnej śmierci właściciela monarcha mógł się do tych skarbów dobrać na własną rękę.

Z punktu widzenia królewskiego skarbcza było to niezwykle korzystne.

Ale nie wszyscy Hiszpanie byli do końca uczciwi. Albo inaczej: większość nie była uczciwa ani trochę, więc królewskie edykty niewiele ich obchodziły. Zwłaszcza pięć tysięcy mil od pałacu w Sewilli, na pustyni, gdzie szukając złota, tak łatwo było zatruć się cudzym

żelastwem.

Stare hiszpańskie mapy pochodzące z terenu Nowego Meksyku to więc logiczna łamigłówka. Są pełne przeróżnych wariacji, zmyłek, kodów, podwójnych znaczeń i zagadek. Czasem to tylko kilka kresek i krzyżyk, czasem wielka płachta zarysowana z jednej, a zapisana z drugiej strony, zawierająca zaszyfrowaną instrukcję, jak dotrzeć do schowka, od którego kamienia ile kroków wykonać, dokąd skrócić i gdzie spojrzeć. Niektóre mapy tylko naśladowały królewską metodę, żeby zmylić niewtajemniczonych, inne zawierały pełną interpretację oznaczeń, schematy i odległości, a jeszcze inne były genialnymi fałszywkami prowadzącymi w pole.

Gdy te tereny podbili Amerykanie, w ich ręce trafiło wiele hiszpańskich map. Wtedy rysowało się je na skórze albo na grubym, sztywnym papierze. Jankesi stwierdzili, że to świetny papier pakowy i owijali nim gliniane dzbanki, indiańską biżuterię albo pistolety i wysyłali z transportami we wszystkich kierunkach Unii. Nie interesowało ich, co tam Hiszpanie nabazgrali po swojemu.

Do dziś w jakiejś Oklahomie, Kansas albo Nebrasce można znaleźć w antykwariatach stare hiszpańskie mapy sprzedawane za bezcen, bo na tamtych terenach hiszpańskie nazwy nikomu nic nie mówią.

Map już więc wiele nie ma. Natomiast to, co zostało na pustyni na zawsze, to same znaki.

I to ich kazał nam szukać Tony.

– JEŚLI W OKOLICY JEST ZAKOPANY SKARB, gdzieś nieopodal będzie *eyecatcher*, coś, co ma zwrócić uwagę – powiedział Tony, odejmując od oczu lornetkę.

Staliśmy na szczycie kolejnego pagórka, lodowaty wiatr smagał nas po twarzach. Po horyzont w każdą stronę nie było nic oprócz identycznych wzgórz porośniętych twardymi, karłowatymi krzewami, spod których wylaziły pędy nigdy niepoddających się roślin. Jakiś kamyk potoczył się ścieżką w dół.

Tony uczył nas czytać znaki, a przynajmniej ich szukać.

– Hiszpanie zostawiali znaki tak, żeby ich nie ominąć, gdy wrócą za dziesięć lat, ale też tak, żeby nie były oczywiste dla

niewtajemniczonych. – Ponownie podniósł lornetkę i przyglądał się czemuś w dali. – Jest jeszcze jeden problem. Znaki mogły zostać do dziś, ale złoto niekoniecznie.





Fałszywy hiszpański grób. Pod ziemią nie ma ciała, kopiec z krzyżem to stary znak prowadzący do schowka lub kopalni

Przez te czterysta lat skarby były tu chowane, odnajdywane, przenoszone, chowane ponownie i oznaczane na nowo. Indianie, Hiszpanie, Meksykanie, Amerykanie, wyjęci spod prawa bandyci... Oni wszyscy przeczesywali tę pustynię w poszukiwaniu cudzych skarbów i często na nie trafiali. Znaki, które przetrwały do dziś, często prowadzą więc do pustych schowków.

Dla hiszpańskich górników wyeksploatowana kopalnia stanowiła prywatny bank. Potrafili zebrać wszystko w worki lub skrzynki, ułożyć na dnie szybu, a potem poświęcić pół roku na posprzątanie całej okolicy, na mistrzowski kamuflaż. Zakrywali wszystkie ślady swojej działalności, nawet przenosili wydobyte na powierzchnię rozłupane kamienie i układali je gdzieś dalej, by zmylić tropy.

Hiszpanie budowali też ukryte pomieszczenia mające zmylić poszukiwaczy. Na wierzchu zostawiali jakąś małą szkatułkę i woreczek monet dla naiwnych, by ci myśleli, że to już skarb, podczas gdy poziom niżej znajdowało się drugie pomieszczenie wyładowane po brzegi srebrem i złotem.

Czasem schowek był w ogóle pusty, jak gdyby ktoś już skarb stamtąd zabrał, a tymczasem kosztowności czekały zamurowane w ścianach. Niekiedy nawet Hiszpanie zostawiali niby-skarby z pirytu, złota głupców, od tysiąca lat zwodzającego poszukiwaczy.

Obojętnie jak Hiszpanie chowali złoto, zawsze oznaczali jego położenie w sposób, który tylko oni mogli zrozumieć. Posługiwali się naturalną logiką – znaki umiejscawiali na wysokości oczu, na skałach, przy ścieżce. Używali do pomiarów długości części ciała – stóp, łokci, kroków. Na przykład zostawiali wskazówki na półkach, do których można było dosięgnąć z ziemi, stając na palcach. Znakiem mogło być wszystko. Plama na skale, trzy kamienie, kawałek deski albo grób z wbitym krzyżem, wskazującym kierunek. Często znaki układały się w pewien ciąg, trzeba było iść ich śladem i wiedzieć, czego gdzie szukać.

Hiszpanie znaki umieszczali tak, by dało się je dostrzec od razu, ale tylko z określonego miejsca. Jeśli przy ścieżce biegnącej między

pagórkami leżała kupka kamieni, trzeba było wspiąć się na jedno ze wzgórz i spojrzeć w dół, na szlak. Na którejś ze skał można było wtedy od razu zauważyć kolejną wskazówkę, choć ze ścieżki była niewidoczna.

Po kilkuset latach wiele z tych znaków już spłóviało na słońcu albo rozpadło się ze starości. Ale nie wszystkie.

Meksykanie z kolei podczas dwudziestu lat, kiedy Nowy Meksyk był faktycznie Meksykiem, wiedzieli, że niedługo podbiją ich Jankesi. A gdy już przyjdą, zrobią z nimi to samo, co z Indianami – wyrzną ich i okradną. Kto mógł, uciekał na południe, ale wielu postanowiło nie opuszczać domów.

Kto został, szykował się na przybycie najeźdźców. Przede wszystkim ukrywał na pustyni swoje złoto. Każdy Meksykanin chował je w siedmiu różnych schowkach. Zawsze siedmiu, bo to święta liczba. Przy każdym takim schowku zostawiał ukryty znak prowadzący do następnego, tylko jednego miejsca. Znakiem również mogło być wszystko. Kamień z kropką, kawałek deski, ślady węgla na skale. Czasem znakiem było nawet samo ułożenie skarbu w jaskini. Dzięki temu, gdy Amerykanie znaleźli jeden schowek, nawet nie przypuszczali, że w okolicy jest jeszcze sześć innych.

Ale to działało też w drugą stronę. Jeśli ktoś znalazł taki schowek i zabrał z niego złoto, to wraz z nim zniknął kierunkowskaz prowadzący do następnej skrytki.

I te sześć pozostałych skarbów leży tam do dziś, bo nie da się już ich odnaleźć.

– SPÓJRZ NA TĘ SKAŁĘ, tam na dole – powiedział Tony, podając mi lornetkę.

Przez szkła urządzenia zobaczyłem stojący pionowo głaz o nieregularnym kształcie.

– To jest hiszpański znak – dorzucił.

Przyjrzałem się dokładniej, szukając czegokolwiek, co by się jakkolwiek wyróżniało, jakiegoś *eyecatchera*. Nic. Żadnych kolorów, regularnych linii, absolutnie nic odbiegającego od normy.

– Nic nie widzę.

– I nie zobaczysz.



– No to skąd wiesz, że to znak?

– Później wam wytłumaczę, teraz musimy iść.

Kaczor zrobił kwaśną minę, poirytowany tajemniczością Tony'ego. Widać, nie do końca wierzył w takie opowiadki.

– Tony, jaki był najbardziej niesamowity znak, który widziałeś? – spytałem.

– Niedługo się dowiesz. Właśnie tam idziemy.

– STAĆ!

Zatrzymaliśmy się w pół kroku, pomni pustynnego regulaminu. Tony przeszedł ostrożnie jeszcze parę metrów i zaczął się przyglądać kilku gązom różnej wielkości, leżącym na naszej trasie. Po minucie wrócił.

– Obejdziemy to miejsce, wolę nie ryzykować.

– Ryzykować czego? – spytał Kaczor.

– Że to pułapka.

Zabrzmiało to cokolwiek nieprawdopodobnie. Uśmiechnąłem się pod nosem.

– Pułapka? Taka jak ta, gdy goni cię wielka kamienna kula?

– Mniej więcej.

Tony mówił zupełnie poważnie, choć był nieco nieobecny myślami. Patrzył jeszcze w skupieniu za siebie, w stronę głązów przy ścieżce. Spojrzałem na Kaczora. Zmarszczył brwi porozumiewawczo.

– Dobra, wracamy, musimy to obejść – zawyrokował Tony. – Niedawno znaleźliśmy oznaczenia pułapek w jednej z kopalni. Mam tam swoich ludzi, stale im powtarzam, że muszą pracować bardzo ostrożnie.

– A co jest w tej kopalni?

– Nie wiem, zobaczymy.

– Ale przecież tam może nie być nic.

– Może, jasne. Po takim czasie i tylu pokoleniach to nawet całkiem prawdopodobne.

– To warto ryzykować?



Kaczor uczy się rozpoznawać geologiczne wskazówki na pustyni. Dzięki nim można znaleźć pokłady kruszcu, przy których będą kopalnie albo schowki

– A jeśli jednak jest?

Tony wyminął nas i zaczął schodzić ścieżką z powrotem, szukając innego przejścia. Kaczor podbiegł do niego, zafrapowany.

– Powiedz coś więcej o tych pułapkach. Jak się je uruchamia?

– Wystarczy, że staniesz w niewłaściwym miejscu albo przesuniesz coś, co zwolni przeciwwagę – odpowiedział Tony, posapując ze zmęczenia. – Kamień się zapadnie, pociągnie za dźwignię, która przesunie kawałek sufitu w dół i nagle cały szyb zasypuje piasek.

– Ale blokuje ci wyjście czy cię zabija?

– Najchętniej i to, i to...

Stała mi przed oczami filmowa scena z latającymi strzałkami wyskakującymi z dziur w ścianach.

– ... albo strzałki zatrute trucizną zaczną wyskakiwać ze ścian... –

kontynuował Tony.

Bez żartów.

– ... albo spadnie ci na głowę kamień, albo zaostrome paliki zrobią z ciebie szaszłyk.

Tony mówił zupełnie swobodnie, bez większych emocji, jak o powszechnie znanych faktach. Ja i Kaczor z każdym kolejnym szczegółem coraz szerzej otwieraliśmy oczy, zdumieni i pełni niedowierzania, w równych proporcjach. To brzmiało jak scenariusz filmu albo książkowa przygodówka, ale Tony opowiadał, jak gdyby to się działo na dowolnym rogu w każdej pipidówce.

– Widzicie ten strumień, tam na zboczu?

– Nie.

– Płynie między krzakami, popatrz dobrze. To nie jest naturalne źródło, tu nie ma prawa być takiego strumienia. To jest dzieło ludzkich rąk.

– Chcesz powiedzieć, że Hiszpanie otworzyli tu źródło, żeby mieć wodę do chłodzenia kopalni?

– Nie, chcę powiedzieć, że to jest woda do zalania kopalni, jeśli wejdzie do niej ktoś niepowołany. Hiszpanie byli mistrzami inżynierii i hydrologii, potrafili budować specjalne kanały i śluzy, żeby odwrócić bieg strumienia albo go rozdzielić i wpuścić do szybu. Ale robili to tak, żeby można było ten proces odwrócić, żeby wrócić w to samo miejsce, przestawić dźwignię, znowu puścić strumień starym korytem i błyskawicznie osuszyć kopalnię. Jak myślisz, po co?

Tony opowiadał dalej, a my baliśmy się nawet odezwać, by tej opowieści nie przerwać.

– Woda, piasek i skały. To były ich trzy ulubione pułapki. Wystarczyło nacisnąć niewłaściwy kamień i w minutę cały szyp był zalany albo zasypany, albo na intruza spadał głaz większy od samochodu. To są genialne urządzenia.

Hiszpanie byli cholernie sprytni. Wykorzystywali ludzkie słabości. Zostawiali na przykład na ścianie jakiś napis. Wiedzieli, że każdy, kto będzie szukał ich złota i zobaczy znaki, podejdzie, żeby im się przyjrzeć. I wtedy właśnie stanie na tym kamieniu, który zwolni pułapkę. Albo ustawiali coś na drodze, na przykład w korytarzu. Coś, co łatwiej było

obejść niż pokonać górą. Te kilka kroków w lewo albo w prawo okazywało się wtedy ostatnimi krokami w życiu.

Hiszpanie budowali pułapki tak, żeby przetrwały i tysiąc lat. To byli ludzie żyjący w nadzwyczaj niebezpiecznym miejscu, myśleli w perspektywie zdecydowanie dłuższej niż do następnego wtorku. Wiedzieli, że będą musieli tu wrócić za wiele lat, a może po ten skarb przyjadą dopiero ich synowie albo nawet wnukowie, i ten majątek musi tu na nich czekać. Hiszpańskie pułapki to więc arcydzieła inżynierii wykonane z najprostszych materiałów. Takich, które przetrwają wszystko oprócz trzęsienia ziemi. I te stare mechanizmy są sprawne do dziś.

Gdy wchodzi się do starej kopalni, trzeba wypatrywać ostrzeżeń, bo często Hiszpanie oznakowywali pułapki, zawsze szyfrem. Na ścianie albo na pniu drzewa będzie na przykład widniała wycięta nożem twarz. Kształt głowy, usta, nos, oczy, do tego kapelusz albo włosy. To może być znak wskazujący ukrycie skarbu lub ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Jeśli wycięta w drzewie twarz ma otwarte oczy, mówi: „Stań tu gdzie ja i popatrz, na co ja patrzę”. Jeśli ma zamknięte oczy, mówi: „Zginiesz”. Tak więc gdy na pustyni zobaczysz duży głaz ustawiony na małym, to masz przed sobą wiadomość, że w pobliżu jest ukryta kopalnia albo schowek. Ale kamienie ułożone w ten konkretny sposób to też sygnał, że jeśli uda ci się znaleźć wejście, spodziewaj się pułapki.

Duży kamień symbolizuje śmierć. Mały symbolizuje ciebie.

– Tony, uruchomiłeś kiedyś jakąś pułapkę?

– Nie.

– Jakim cudem?

– Bo nigdy nie schodzę pod ziemię.

To było dość zaskakujące oświadczenie. Geolog, poszukiwacz skarbów, ekspert od wszystkiego, co związane z ukrytym złotem, który twierdzi, że nie wchodzi do podziemnych kopalni. Tony coraz bardziej pasował do przestróg Corka Grahama i Guya Lafitte’a. Opowiadał o niesamowitych rzeczach, pokazywał nam kilka drobiazgów, a resztę pozostawiał domysłom i wyobraźni. Gdy przypieraliśmy go do muru pytaniami, ucinał temat.

Na tego faceta trzeba było uważać.

Tony zatrzymał się, odwrócił do nas, pochylił swoim zwyczajem głowę, by widzieć znad okularów, i przyglądał się nam dłuższą chwilę, żując gumę.

– No dobrze, chłopcy, powiem wam, co i jak. Nie schodzę pod ziemię, bo zamknięte przestrzenie to nie moja specjalność. Mogę stać na straży, strzelać do intruzów, ale nie zejść do kopalni. Zresztą jeśli coś się tam wydarzy, to w moim wieku nie mam szans się stamtąd wydostać.

– Tony zrobił krótką pauzę. – I właśnie dlatego zabrałem ze sobą was.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Że jak dojdziemy na miejsce, to ty zostajesz na górze, a my włączymy do kopalni?

Tony milczał, żując gumę. Patrzył tylko z ledwo zauważalnym, niemal nieuchwytnym uśmiechem starego wygi.

TO BYŁA WIZJA RÓWNIE EKSCYTUJĄCA, co niepokojąca. Rzadko kiedy nadarza się okazja tego kalibru. Stary skarb ukryty pod ziemią, do którego spróbujemy się dostać.

Jednocześnie w starych hiszpańskich kopalniach można zginąć na sto sposobów, wedle życzenia. Nawet przyjmując, że udałoby nam się znaleźć ukryte wejście, a potem ominąć wszystkie zastawione pułapki, nie stanąć na niewłaściwym kamieniu, nie dać się ugryźć grzechotnikom i nie zgubić w labiryncie korytarzy, to i tak czekać na nas będzie jeszcze sporo innych niespodzianek.

Moglibyśmy dojść z Kaczorem do ściany, za którą według wszelkiego prawdopodobieństwa miałyby leżeć złoto. Kaczor trzymałby wysoko pochodnię i przetarł spocone czoło. Ja może splunąłbym w dłoń, zatarł je i wyciągnął kilof, po czym zaczął łupać w ścianę. Uderzylibym raz, drugi, przy trzecim zamachu większy kawałek muru wpadłby do środka, tworząc sporej wielkości dziurę.

I obaj padlibyśmy na ziemię, martwi.

Hiszpanie, opuszczając kopalnie, gdzie ukryli złoto, zamykali je nad wyraz szczelnie. Tamowali wszystkie kanały wentylacyjne, murowali wejścia i maskowali wszystkie otwory na powierzchni.

W tak dokładnie zamkniętej przestrzeni nie ma przepływu powietrza, natomiast z całą pewnością zostały tam jakieś przedmioty. Może kilof z drewnianym trzonkiem, może skórzana kurtka albo

wielniany koc. Te organiczne materiały będą stopniowo rozkładane przez bakterie, które pochłoną cały tlen w pomieszczeniu, po czym zmutują w beztlenowce.

A produktem rozkładu materiałów przez anaeroby jest siarkowodór. Wystarczy jeden wdech, a płuca i śluzówkę pokrywa kwas siarkowy i człowiek umiera, dusząc się w straszliwym bólu.

Może bylibyśmy świadomi tego zagrożenia i poruszałibyśmy się bardzo ostrożnie, by nie nawdychać się siarki ani nagromadzonego dwutlenku węgla, który też wystarczy, aby powalić człowieka. Doszlibyśmy do ściany, wyrabiali dziurę, wpuścili trochę powietrza, czekając w bezpiecznej odległości, a potem Kaczor wsadziłby łeb do środka i poświecił pochodnią. W jej świetle zabłyśłyby sztabki złota.

Nadal ostrożnie, pomni wszystkich ostróg Tony'ego, wsparci wiedzą z pamiętnika ojca, który całe życie poświęcił na badanie tematu, i z wyrutą w pamięci mapą, której w pamiętniku by brakowało, przeszlibyśmy przez dziurę w ścianie i bardzo uważnie obejrzelibyśmy wszystkie zakamarki oraz podłogę w poszukiwaniu zapadni i ukrytych pułapek. Upewniwszy się, że nic nam już nie grozi, nadal nie poddając się ekscytacji, zaczęlibyśmy ładować złoto do płóciennych worków, przyswiecając sobie pochodnią.

Dwa miesiące później Kaczor leżałby w śpiączce, a na moim grobie wyrastałaby już pewnie pierwsza trawa.

Hiszpanie oblewali swoje złoto arsenikiem, który wnikał przez skórę i powoli zabijał próbujących wykraść skarb. Inni wariowali, bo arsenik atakował system nerwowy, jeszcze inni umierali dużo szybciej, bo zamiast arseniku Hiszpanie oblali złoto rtęcią. Dlatego mówiło się, że na tych skarbach ciąży klątwa.

Może zresztą tę kopalnię znaleźliby już wcześniej Amerykanie, w czasach, gdy konfederaci przeczesywali pustynię w poszukiwaniu ukrytego złota. Jeśli tak, mogłyby na nas czekać inne niespodzianki, nieco nowsze. Moglibyśmy się struć cyjankiem albo wylecieć w powietrze, uruchamiając zapadkę pułapki z dynamitem. Albo cokolwiek w tej tonacji.

Ale nawet gdybyśmy wiedzieli o tym wszystkim zawczasu, powstaje inne pytanie.

O ilu rzeczach byśmy jeszcze nie wiedzieli?

WCHODZILIŚMY NA KOLEJNE WZGÓRZE, identyczne jak wszystkie pozostałe. Tony od dłuższego czasu prowadził w milczeniu, widać znudziło go tłumaczenie nam wszystkiego. Stawiałem ciężko kolejne kroki, pokonując coraz większe zmęczenie. Za mną słyszałem sapanie milczącego Kaczora.

Rozmyślałem o sprawach, o których opowiadał nam Tony. Pułapki, ukryte skarby, Indianie, bandyci... Trudno było w to uwierzyć. Pamiętałem też słowa Corka Grahama: „Ważniejsze od tego, co ci mówią, jest to, czego ci nie mówią”. A Tony od kilku odpowiedzi się wykręcił, jak choćby o tę pionową skałę będącą podobno pozostawionym przez Hiszpanów znakiem. Do tej pory nie wiedziałem, co miał na myśli. Może się z nas nabijał, może nas sprawdzał?

Sam w końcu twierdził, że tu nie można nikomu ufać.

Doszliśmy do szczytu wzgórza, Tony zatrzymał się i zrzucił na ziemię plecak.

– I co teraz? – spytałem.

– Teraz czekamy.

Znowu nie wiedziałem, o co chodzi.

SIEDZIELIŚMY NA TYM SZCZYCIE, czas płynął upiornie wolno. Tony przeglądał jakieś mapy i pogwizdywał cicho trudną do uchwycenia melodię. Zjadłem trochę suszonego mięsa, które zabraliśmy w charakterze prowiantu. Kaczor otworzył nawet puszkę gotowanej fasoli z bekonem, żeby poczuć się jak w westernie.

Czekaliśmy.

Zabijając kolejne godziny, zdążyłem już dobrze poznać okolicę. Jak okiem sięgnąć pustynia i pagórki. Płaty śniegu, krzaki i kaktusy. Głazy i skały. Na południu, trzy czy cztery kilometry dalej, wyrastała górską ścianą, wyższą niż wszystko wokół. Miała może trzysta metrów wysokości i wyraźnie odcinała się barwą od zieleni krzaków i małych drzewek porastających pustynię dookoła. Na północy po horyzont tylko pagórki, podobnie na wchodzie i zachodzie. Cisza. Sępy szybujące wysoko na niebie. Hibernujące w skalnych wykrotach grzechotniki. Wiatr przeciskający się przez szpary ze świstem.

Usiadłem ponownie na swoim kamieniu i poddałem się



wszechobecnemu bezruchowi. Kaczor wygrzebywał resztki fasoli z puszki, myślał o czymś, przeżuując bez słowa.

Tony spojrział na zegarek, potem na niebo. Wrócił do przeglądania jakichś papierów wyciągniętych z plecaka.

– Tony, widziałeś kiedyś gorączkę złota?

– Widziałem.

– U kogo?

– U wielu ludzi.

Zastój powrócił, bawiłem się kamykiem trzymanym w dłoni.

– Gorączka dopada każdego, prędzej czy później – podjął Tony po chwili, sam z siebie. – Najgorsze jest to, że nigdy nie wiesz, na kogo trafi. Czasem to będzie twój partner, czasem ktoś, kto cię obserwuje, czasem zwykły wynajęty górnik, a czasem jego żona, której powie wieczorem, co znaleźliście.

– A ty?

– Ja już się uodporniłem.

– Każdy tak mówi.

– To prawda. – Tony złożył papiery i wsadził je do plecaka. Potem zdjął okulary i zaczął je czyścić ściereczką wyciągniętą z górnej kieszeni dżinsowej koszuli. Przez chwilę trwaliśmy w milczeniu. – Jeśli coś znajdziesz, trzymasz język za zębami. To jedyna szansa – kontynuował. – Możesz wariować ze szczęścia, ale nie możesz dać tego po sobie poznać. W przeciwnym razie ktoś cię sprzeda, z zazdrości albo przez chciwość.

– Kto?

– Nie wiem, ktokolwiek. Twój wspólnik, właściciel ziemi, paser... To jest brudny interes. Przez wiele lat złotem nie można tu było nawet handlować. Mój Boże, ileż to razy widziałem jak FBI wyciąga z domu jakiegoś poszukiwacza, bo jego paser grał na dwa fronty...

Tony spojrział na okulary pod światło, wypatrując smug. Nie był do końca zadowolony i wrócił do pucowania szkieł.

– Jak można rozpoznać gorączkę? – włączył się Kaczor.

Tony na moment przerwał czyszczenie. Zamyślił się, marszcząc brwi.

– Nie wiem. Nie, nie da się. Widzisz, gorączka złota to jest bardzo

nietypowy stan. Z jednej strony otepia, ale z drugiej stajesz się bardzo czujny, bo nikomu nie ufasz i świetnie się maskujesz.

– To jak możesz poznać, że sam jesteś już za daleko?

– Normalnie pracujesz z ciągłą myślą: „Ostrożnie, powoli”.

Analizujesz wszystko, liczysz koszty, szacujesz ryzyko. Jeśli zamiast tego masz w głowie myśl: „Będę bogaty!”, to już jesteś skończony.

– I co wtedy?

– Wtedy jest już za późno – Tony rzucił bez zastanowienia i spojrzął na zegarek. – No dobrze, chłopcy, pora na nas.

Zaczęliśmy zbierać rzeczy, Tucker powstrzymał nas gestem.

– Najpierw posłuchajcie. Pamiętacie tę pionową skałę? Mówiłem, że to hiszpański znak.

Pokiwałem głową. Wreszcie może się coś wyjaśni.

– Nie mogliście go zobaczyć, bo było za wcześnie. Oni wycięli w tej skale krawędzie, tak żeby w popołudniowym słońcu tworzyły cień o określonym kształcie. Możesz patrzeć na skałę przez godzinę, a i tak nic nie dostrzeżesz, bo to, co ma znaczenie, jest na ziemi.

Nie bardzo chciało mi się w to wierzyć.

– To, co wam pokażę, działa na podobnej zasadzie – kontynuował Tony z powagą, jak gdyby wydawał rozkazy przed akcją. – Popatrzcie na południe.

Odwróciłem się i spojrzałem na tę wysoką skalną ścianę kilka kilometrów dalej.

Nogi ugięły się pode mną z wrażenia. Kaczor coś szepnął bezgłośnie.

Na skale, w miejscu, w którym wcześniej nie było nic konkretnego, zobaczyłem kształt. Wyraźna sylwetka konia układająca się z cienia rzucanego przez zbliżające się do linii horyzontu słońce. Nie, to nie był koń, to był muł. Widziałem wyraźnie wszystkie detale. Głowa, chrapy, stojące uszy, juki na plecach, rzemienie przeciągnięte pod brzuchem, napięte, wyprostowane przednie nogi, jakby schodził z góry... Hiszpański muł transportowy, taki jak te, które przez czterysta lat woziły tu skarby.

– Niemożliwe... – szepnąłem.

W tej jednej chwili pozbyłem się wszystkich wątpliwości, aż

zrobiło mi się głupio, że nie do końca wierzyłem Tuckerowi.

Te skarby tu faktycznie są. To się dzieje naprawdę.

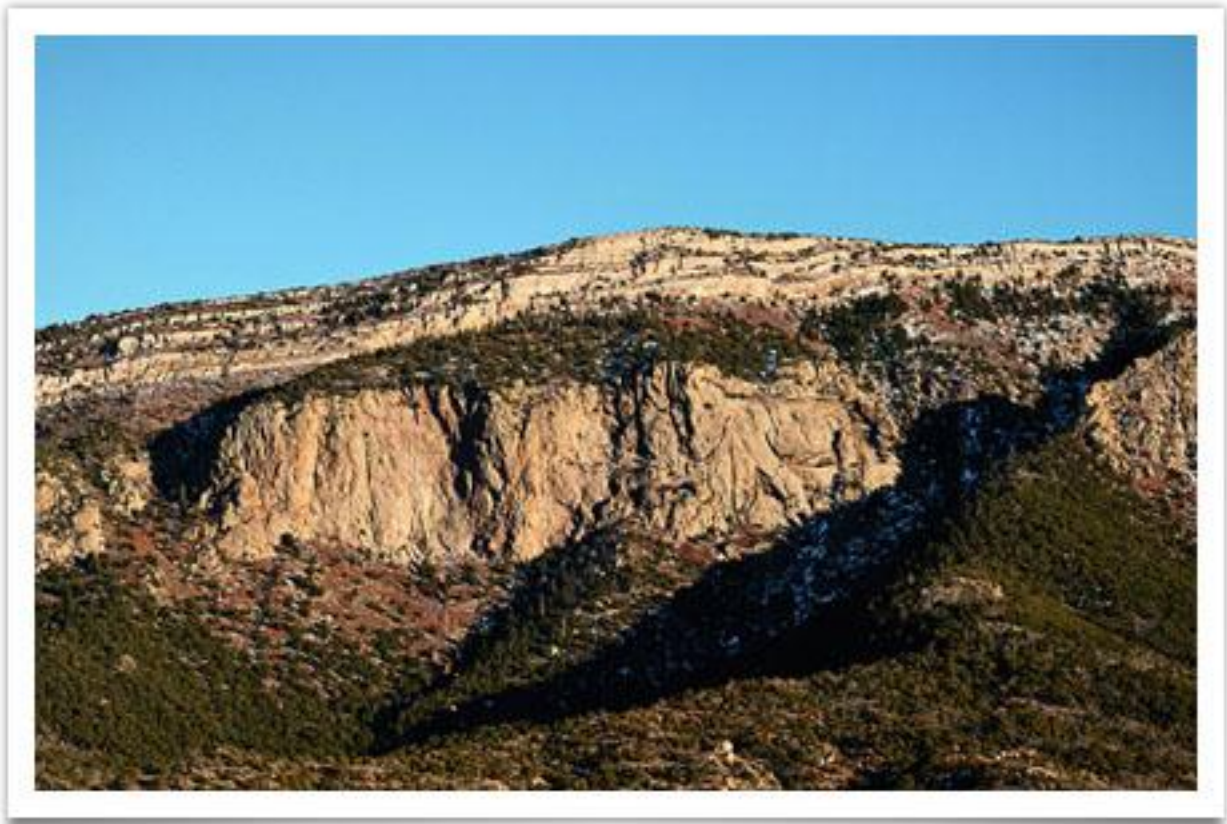
Spojrzałem oniemiały na Tony'ego. Przyglądał się rzeźbie przez lornetkę, żując gumę.

– Tam musi być coś cholernie ważnego – powiedział, nie odrywając lornetki od oczu. – Musieli wisieć na linach i odkuwać kawałki skały, żeby wyrzeźbić coś tak olbrzymiego... Ten muł ma ze sto, sto dwadzieścia metrów w pionie... Widzicie tę grań, jakby w przerwie między dwiema skałami, zaraz przy ścianie lasu?

– Aha.

– Myślę, że tam, pod tą skałą, coś jest. Ta grań wygląda mi trochę na zwałowisko, tam mogła być duża kopalnia.

– No to co tam ukryli?



– Widzisz, właśnie o to chodzi. Nigdy nie wiesz. – Tony oderwał lornetkę od oczu. – Ale za to wiem, że to będzie coś niesamowitego.

Musieli rzeźbić tego muła przez kilka miesięcy, widać go tylko późnym popołudniem i tylko z tej strony góry. To jest największy znak, jaki widziałem w życiu. Hiszpanie nie marnowali czasu bez potrzeby, nigdy. Tam musi być ukryte coś, co nie ma sobie równych. – Tony spojrział jeszcze raz przez lornetkę. Wiatr przetoczył kilka okruchów i rzucił nimi o krzaki. – Powiem wam, gdzie musimy iść.

– Tam gdzie patrzy? Dokąd niesie towar?

– Nie w tym wypadku. Musimy dostać się tam, skąd ten muł idzie. Skąd niesie skarb.

– No to ruszajmy! – podpalił się Kaczor.

– To nie takie proste, chłopcy – Tony ponownie zawiesił lornetkę na szyi, tym razem odwrócił się i popatrzył nam prosto w oczy. – Tam, gdzie idziemy, zaczyna się terytorium Indian. Jak nas tam zobaczą z wykrywaczami, zrobi się bardzo nieładnie. Tu się nic nie zmieniło od czasów Dzikiego Zachodu, za takie numery nadal możesz zarobić kulkę w plecy.

Wiatr świszczwał w rozpadlinach. Nad naszymi głowami krążył sęp.



*Niestety, ze względu na obietnicę złożoną Tony'emu, nie mogę opowiedzieć tej historii do końca i muszę ją przerwać w tym miejscu. Taka była umowa, którą zawarliśmy na początku. Nie mogę jej złamać. Wybaczcie.*

Droga międzystanowa I-40, Nowy Meksyk-Teksas, kilka dni później

NASTĄPIŁ PUNKT ZWROTNY naszej podróży. Od tej pory nic już nie mogło być takie samo.

Kaczor odkrył muzykę country.

Im bardziej zbliżaliśmy się do Teksasu, tym więcej radio łąpało rozgłośni nadających wszelkie odmiany *country & western*, od staroci Hanka Williamsa po młode gwiazdy w rodzaju rodziny Perrych. Po jednym dniu słuchania Kaczor znał już na pamięć wszystkie przeboje, a

mnie od tych akustycznych gitarek, bandžo i jęczących skrzypek puchła głowa.



– „Dała mi, po co przyszedłem, w jakimś meksykańskim motelu...” – Kaczor wtórował Toby’emu Keithowi, ciągnąc swoją partię fałszem, który nie brał jeńców.

Słuchaliśmy tej piosenki siódmy raz, leciała co godzinę.

Za oknem krajobraz powoli zmieniał się z suchej, spękanej od słońca ziemi, niskich kaktusów i pędzących przez drogę kolczastych kulek w trawiaste prerie po horyzont, po których snuły się terenowe półciężarówki prowadzone przez farmerów w kowbojskich kapeluszach.

– Co ci się w tym tak podoba? – spytałem zrezygowany, słysząc pierwsze dźwięki kolejnego ulubionego szlagieru Kaczora, o dziewczynie, która lubiła traktory.

– Goście mają klasę.

– Klasę?! Przecież to faceci od przerzucania gnojówki i wypasania



krów. Tyle że są ubrani w kraciaste koszule, dżinsy i kowbojki.  
– E tam, zazdrościsz.



Kaczor, niezrażony, powrócił do rozkoszowania się swoją nową namiętnością. Ujęła go do reszty teksańska pewność siebie i styl, z którym kowboje obnoszą się dumnie, jak gdyby to były ostrogi. Teksas to kraj sam w sobie, butna, odważna zbiorowość ludzi nawykłych do ciężkiej pracy i ceniących dobrą zabawę, wierzących równie mocno w Boga, co w pistolet w kaburze.

Można by uznać, że Tekszańczycy zadzierają nosa, że czują się lepsi od całej reszty Amerykanów, a już na pewno od miastowych wymoczków z Północy. Bije z nich jakaś kowbojska hardość i gotowość do obrony swoich racji w dowolnym momencie. Na przykład w innych stanach na znakach przy drodze widnieje napis: „Nie śmieć”.

Tutaj na tych samych tablicach jest również drugie zdanie: „Nie zadzieraj z Teksasem”<sup>[2]</sup>.

Teksas był tylko kolejnym stanem na naszej trasie. Jechaliśmy na Florydę, mieliśmy przed sobą jeszcze trzy tysiące kilometrów przez całą kowbojską prerię, bagienną Luizjanę i czarne Missisipi.



# AMERYKAŃSKIE POŁUDNIE



Galeria

pomiń galerię



Plaża w Venice, centrum życia na pokaz. Los Angeles, Kalifornia



Teksas



Wielki Kanion Kolorado widziany z północnej krawędzi. Wrażenie  
nie do opisania



Kubańsko-haitańsko-latynoska zabawa przez całą dobę. Miami,  
Floryda



Zielony żółw morski, z którym pływałem rano, po tym jak wyszedłem nad morze umyć zęby. Big Island, Hawaje



Santa Monica, Kalifornia





Arizona, jeden z moich ulubionych, pustynnych stanów. Właściciel tych skrzynek ma do sąsiada 110 kilometrów



Tombstone, ikoniczne miasteczko Dzikiego Zachodu, do dziś  
celebrujące wydarzenia sprzed lat



Noc w Nowym Orleanie, miasteczko muzyki i ciemnych zaułków



Key West, Floryda, obecnie

SEAN FISHER SIEDZIAŁ W SWOIM FOTELU w jasnym biurze i patrzył przez żaluzje na rozświetlone słońcem nabrzeże Key West. Po wodzie przemknęła biała motorówka, ciągnąc za sobą jakąś dziwną aparaturę. Pokręcił głową. Kolejni... Nie ma roku, żeby nie przyплыли tu jacyś łowcy skarbów. Wynajmują łodzie, sprzęt, sonary, magnetometry, robią dużo szumu, gadają po barach. Zawsze potem zwijają interes i po cichu dają nogę, żeby już nie wrócić. Zawsze z pustymi rękami i dziurą w kieszeni.

Nigdy się nie uczą.

Niedawno pojawił się tu gość, który wydał milion dolarów tylko na dostrojenie jednego urządzenia, wykrywacza EMP. Chciał go tak ustawić, by wyszukiwać złoto i srebro na większych głębokościach, do tego na fatalnym dnie z twardej gliny.

Siedzi tu od trzech lat, sprzedał swój stary dom i wydał łącznie trzy miliony. I nie jest ani trochę bliżej skarbu niż pierwszego dnia.

Nigdy się nie uczą.

Sean wrócił do pracy. Podniósł ponownie mozaikę specjalistycznych fotografii układającą się w kształt niemal nietkniętego kadłuba okrętu z osiemnastego wieku. Leżał na siedmiu tysiącach metrów, w absolutnej ciemności, z całym ładunkiem, jaki wiozł. Sean przeliczył w myśli. Będą potrzebować drogiego sprzętu. Batyskafów, łodzi podwodnych, sonografów, radarów, specjalistów od robotyki i sejsmografii, modeli komputerowych... Stać go na to, był szefem największej spółki poszukującej skarbów na świecie.

Spojrzał ponownie za okno, na wodzie został już tylko kilwater motorówki.

Nigdy się nie uczą. Żółtodzioby.



## Siedemnaste piętro wieżowca, Filadelfia

TIM DIRKES PATRZYŁ NA BIUROWY ZEGAR zawieszony nad drzwiami wejściowymi i liczył minuty. Miał na sobie szary, wygnieciony garnitur, którego nawet nie chciało mu się prasować. Ciasno zawiązany krawat uwierał pod szyją. Balansował na odchylonym do tyłu krześle i zrezygnowany obserwował, jak wskazówki przeskakują rozpaczliwie wolno.

Przychodził do tej roboty dzień w dzień na dziewiątą i siedział w niej do siedemnastej. Był księgowym. Przeglądał rachunki obcych ludzi i sprawdzał, czy sumy w słupkach się zgadzają. Zawsze się zgadzały. Siedział w boksie z szarej dykty, metr na metr, przy białym blacie, na którym stał komputer i koszyk na ołówki. Nie tak wyobrażał sobie pracę w firmie Asher & Co., gdy czytał ogłoszenie oferujące „ekscytującą, samodzielną pracę w młodym, dynamicznym zespole”.

Niech ich diabli.

Tim Dirkes patrzył w przestrzeń, tak samo jak dzień wcześniej i jeszcze wcześniej, jak przez cały ostatni rok. Dzięki tej pracy miał ubezpieczenie i opiekę dentystyczną. Mógł zaciągnąć kredyt, odłożyć coś na przyszłość, może nawet kupić kiedyś domek z ogródkiem.

Miał też narastające, coraz bardziej niepokojące uczucie, że marnuje w tym miejscu życie.

Tego dnia postanowił, że nigdy już tu nie wróci.

Tydzień później siedział w barze w Key West na Florydzie i popijał rum, słuchając kubańskiej muzyki i historii o zatopionych galeonach, które opowiadali podchmieleni wyspiarze.

Jego życie miało się niebawem dramatycznie zmienić.



DOKTOR EUGENE LYON STRZEPNAŁ Z TECZKI KURZ, który zatańczył w powietrzu w ostrym słonecznym świetle wpadającym przez wąskie okno z witrażem. Na stole leżało kilkadziesiąt takich teczek, *legajos*, jak mówili Hiszpanie. Zdjął okulary i przetarł zmęczone oczy. Spędzał w tym archiwum całe dnie. Przeglądał stare zapisy Królewskiego Biura Handlowego w poszukiwaniu tropów, które pomogłyby odnaleźć wraki. Konkretnie jeden, z 1622 roku. Almirantę – galeon wiozący skarb dla króla. Czterdzieści ton srebra, a do tego prywatne kosztowności czterdziestu ośmiu pasażerów i trzydzieści pięć skrzyń kościelnego złota. To wszystko leżało gdzieś na dnie oceanu. A on miał się dowiedzieć gdzie, szukając jednego papierka wśród milionów innych.

Przerzucił już dziesiątki tysięcy stron. Manifesty statków, raporty z bitew morskich, wyroki sądowe, pisma załadunkowe, prośby, odmowy, nominacje, dzienniki pokładowe, kapitańskie pamiętniki, plany budowy, schematy, mapy, nieistotne listy, istotne notatki... Tu było wszystko, miliony poślizniętych ze starości paczek przewiązanych sznurkiem, które przyplłynęły tu z całego hiszpańskiego imperium, ze wszystkich kolonii Nowego Świata, bibliotek i małych archiwów. Większość nie była nawet skatalogowana, części nikt nawet nie dotykał od tysiąc siedemset któregoś tam, gdy tu trafiły.

Doktor Lyon zakaszłał sucho, kurz dawał mu się we znaki. Odrzucił na kupkę kolejną teczkę, bardziej obcesowo niż wymagałoby tego dostojność starych dokumentów. Sięgnął po następną. Przez chwilę przebiegał wzrokiem przez pierwsze akapity. Potem, nie odrywając spojrzenia od kartki, zaczął macać po stole w poszukiwaniu staromodnego telefonu. Wykręcił zamorski numer.

– Tu Eugene. Znalazłem coś niezwykle interesującego.



MARKIZ DE CALDEREITA obserwował załadunek swojej floty, która miała odpłynąć z powrotem do Hiszpanii. Po trapach wbiegali chudzi niewolnicy, taszcząc na plecach worki. Inni wnosili beczki albo skrzynki. Nadzorcy strzelali z batów i krzyczeli ponagląco. Całe nabrzeże pełne było gwaru przygotowań.

To była wspaniała armada. Osiem olbrzymich galeonów, siedemnaście kupieckich *nao* i trzy małe *patache* wypełniały całą zatokę. Wyborny widok. Markiz stał nieruchomo z założonymi rękami i patrzył z zadowoleniem, jak jego flota szykuje się do wyjścia w morze. U jego boku pojawił się kapitan jednego z żaglowców.

– Panie, do zmierzchu będziemy gotowi.

– Bardzo dobrze, generale Moran. Dziękuję.

Flota Caldereity miała już sześć tygodni opóźnienia. Pogoda im nie sprzyjała i wszystko trwało dłużej niż zwykle. Musieli się też zatrzymać w Portobelo i Cartagenie dłużej, niż planował markiz, żeby załadować wszystko, co musieli zabrać. Zresztą ładunek też był większy, niż zakładał. To opóźnienie źle wpływało na załogę. Jego ludzie przesiadywali w tawernach i obłąpiali portowe dziwki, pili na umór i grali w karty. Gdy tylko wyjdą w morze, trzeba będzie doprowadzić ich do porządku.

Na nabrzeżu przekrzykiwali się kupcy. Nad głowami krążyły mewy, popiskując. Wszędzie pętały się też boscie dzieciaki, ganiające między ładunkami gotowymi do wniesienia na pokład. Okręty kołysały się łagodnie na wodzie, napinając cumy. Dwóch marynarzy wypadło z portowej speluny i wszczęło pijacką przepychankę, choć obaj ledwo trzymali się na nogach. Markiz pokręcił głową, mlaszcząc z niesmakiem.

Ktoś potrącił go znienacka, aż musiał się podeprzeć o skrzynkę, żeby odzyskać równowagę. Odwrócił się poirytowany. Zobaczył, że został bezceremonialnie usunięty z drogi przez kilku franciszkanów. Zakonnicy prowadzili w kierunku galeonów tragarzy niosących trzydzieści pięć skrzyń kościelnego złota. Jeden z hierarchów, w



bogatym aksamitnym odzieniu wykończonym koronką, rzucił mu przez ramię pogardliwe spojrzenie. Kolumna kilkudziesięciu tragarzy mijała go bezgłośnie. Uginali się pod ciężarem skrzyń, na ich plecach perlił się pot.

Markiz de Caldereita wyprostował się dumnie, udając, że sprawy nie było. Przeszedł kilkadziesiąt metrów wzdłuż wcinającej się w morze części portu, do miejsca, gdzie zacumowane były jego dwa największe galeony, Atocha i Margarita. Przy trapie Atochy stał królewski urzędnik spisujący manifest załadunkowy. Przekupna świnią. Podczas tych sześciu tygodni opóźnienia kupcy dowozili coraz to nowe towary i płacili mu na lewo, żeby zgodził się wnieść je na pokład poza protokołem. Urzędasa nie obchodziło, że okręt ma swoje limity, bo sam zostawał w porcie. W końcu to kapitanowie będą musieli się o to martwić, ale już potem, na morzu.

Caldereita podszedł do burty galeonu i spojrział na zanurzenie. Pokręcił zrezygnowany głową i westchnął ciężko. Gołym okiem było widać, jak bardzo okręt jest przeładowany. To nic nowego, wszystkie hiszpańskie floty odpływające z Nowego Świata były zapakowane w sposób, który graniczył z obłędem. Zazwyczaj na każdą skrzynię oficjalnego towaru pod pokładem płynęło drugie tyle kontrabandy. Z powodu tych piekielnych sześciu tygodni pewnie będzie wiozł jeszcze więcej niż zwykle.

Najbardziej jednak dowódcę floty martwiła konstrukcja Atochy. Niby nowy galeon, ale słabo zbudowany. Zamówił go u schyłku życia król Filip III, który chciał mieć piękny okręt, ale jakoś poskapił na niego środków. Do tego wyznaczył termin niemożliwy do dotrzymania żadną miarą. W efekcie tam, gdzie miało być pięć gwoździ, były dwa. Tam, gdzie uszczelnienie winno być zalane smołą, spomiędzy desek wystawały luźne trociny. Króla interesowało tylko, by złoto trafiało do skarbcza. To, w jaki sposób do niego trafiało, nie było jakoś przedmiotem jego rozważań.

Markiz przywołał gestem Pedra Pasquiera, kapitana Atochy, który zbliżył się dystyngowanym krokiem.

– Jak sprawy, kapitanie?

– Martwi mnie pogoda. Zaczyna się sezon huraganów.

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedział uspokajająco Caldereita.  
– Mamy pomyślne wiatry i słońce, do tego jutro będzie koniunkcja, która powinna nam dać jeszcze ze trzy dni dobrej pogody. Wystarczy, żeby przejść przez rafy i wyjść na ocean. Wyływamy o świcie, proszę zebrać ludzi.

Markiz nie mógł sobie pozwolić na dodatkową zwłokę. Król nie zwykł długo czekać na należny mu skarb. Za to zwykł skracać o głowę tych, którzy się zanadto spóźniali.

A nowy król nie był cierpliwy. Jego Porywczosć Filip IV miał wtedy szesnaście lat.

W NIEDZIELNY PORANEK armadę Tierra Firme żegnały tłumy. W ciągu roku były tylko dwa dni wielkiego święta – gdy flota przybijała do portu i gdy z niego wychodziła. W niebo wzbijały się dźwięki fletów i bębnow, z nabrzeża powiewały kolorowe wstążki, a tysiące gapiów wiwatowały na cześć żeglarzy, którzy powrócą dopiero za rok. Z okien wyglądały zapłakane metresy, karczmarze przeliczali zyski i straty, kupcy objuczali muły i sposobili się do wielotygodniowej podróży do domu.

Gdy flota znikwała za horyzontem, każdy port, a więc i Hawana, pustoszał.

ARMADA USTAWIAŁA SIĘ POWOLI w odpowiednim szyku. Wojenne galeony szły przodem, za nimi wszystkie kupieckie *nao* i *patache*, a pozycję w ariergardzie zajęła Atocha będąca okrętem admirała, który miał objąć dowodzenie w przypadku ataku.

Kapitan Atochy od wyjścia z portu przeglądał manifest załadunkowy i sprawdzał umocowanie towarów pod pokładem. Wieźli zdecydowanie za dużo. Miał w ładowniach planowane piętnaście ton kubańskiej miedzi i dwanaście tytoniu, ale urzędnicy królewscy rozkazali mu jeszcze zabrać czterdzieści ton królewskiego srebra.

Widział też trzydzieści pięć skrzyń kościelnego skarbu zamocowanych na rufie, niefigurujących w protokole. Arogancja franciszkanów nie miała granic. Do tego wiózł jeszcze czterdziestu ośmiu pasażerów, z czego większość stanowili bliźsi i dalsi członkowie rodziny królewskiej. Trzeba było na nich chuchać i dmuchać. Nie obchodziły ich limity załadunkowe, bo kufry z osobistymi

kosztownościami musiały się przecież zmieścić.

Atocha płynęła ciężko, przeciekając nieco na dziobie.

PO POŁUDNIU W NIEDZIELE czwartego września roku pańskiego 1622 armada Tierra Firme płynęła równo na północ przez Bahamy, by złapać pomyślne wschodnie pasaty i pożeglować w kierunku Sewilli. Okręty floty były wyładowane po brzegi peruwiańskim srebrem, kolumbijskim złotem i szmaragdami oraz perłami z Wenezueli.

Na wszystkich pokładach roiło się też od ludzi. Żołnierze, żeglarze, drobni szlachcice, wysoko urodzone, zadzierające nosa gówniarstwo, opiekunki, duchowni, kupcy, oficerowie... Na dwudziestu ośmiu okrętach płynęło ponad sześć tysięcy ludzi.

Pogoda im sprzyjała. Najtrudniejsze rafy Bahamów zostawili za sobą w niedzielę wieczorem.

A W PONIEDZIAŁEK pękło niebo.

Sztorm, który się zerwał, ciskał galeonami, jakby były z papieru. Armada, do tej pory ustawiona w równym szyku, rozsypała się bezładnie. Na każdym okręcie trwała walka o życie. Pociemniało. Z ciężkich, czarnych chmur lunął deszcz. Dzioby fregat i galeonów raz za razem niknęły pod spienionymi grzbietami fal.

Atocha nabierała wody. Z powodu słabości konstrukcji nie radziła sobie z żywiołem. Deski pokładu odskakiwały, niewystarczająco mocno trzymane dwoma gwoździami zamiast pięciu. Drzazgi długości łokcia strzelały w powietrze, zabijając na miejscu tych, którzy znaleźli się na torze lotu. Wśród huku fal słychać było krzyk i płacz. Kobiety tuliły swoje dzieci, łkając. Żołnierze przywiązywali się do czego popadło, do masztów i relingów, nawet do skrzyń w kajutach. Duchowni klęczeli na pokładzie i głośno wznosili modły, śpiewając jakieś hymny po łacinie. Kapitan Pasquier próbował obrócić okręt rufą do wiatru, wrzeszcząc na ogarniętych paniką podkomendnych. Złapał za koszulę przebiegającego obok oficera, osadził go siłą w miejscu i przekrzykując hałas, próbował wydać komendę:

– Natychmiast zrefować... – kapitan nie zdążył dokończyć, pięciometrowa fala zmyła go z pokładu i poniosła w morze.

Jeden z trzech masztów pękł z suchym trzaskiem i spadł do

oceanu, ciągnąc za sobą przywiązanych linami żołnierzy, wrzeszczących z przerażenia. W pokładzie ziała kilkumetrowa dziura, w którą fala wcisnęła zakrwawioną diuczesę razem z trzymającym się kurczowo jej sukni czteroletnim, rozplakany synem. Ciała franciszkanów wały się bezładnie po pokładzie, zmywane kolejno do morza przez wdzierającą się na pokład wodę.

Najpotężniejszy galeon armady Tierra Firme szedł na dno wraz z czterdziestoma siedmioma tonami skarbu.

NASTĘPNEGO DNIA na gładkiej jak tafla lustra powierzchni morza wały się szczątki niegdyś wspaniałej hiszpańskiej floty. Na dno poszło osiem okrętów, topiąc cały skarb i towary znajdujące się w ładowniach, zginęli niemal wszyscy na pokładach.

Spośród dwustu sześćdziesięciu sześciu pasażerów Atochy sztorm przeżyło pięciu. Dryfowali ogrzewani pięknym, tropikalnym słońcem, trzymając się kurczowo ułamanego masztu i omdlewając z wycieńczenia.

Na dno poszedł cały skarb – srebro, biżuteria, kosztowności i trzydzieści pięć skrzyń kościelnego złota przemycanego na rufie.

Wszystko dlatego, że markiz de Caldereita bał się gniewu szesnastoletniego króla i mimo ostrzeżeń wierzył, że dobra pogoda utrzyma się jeszcze przez trzy dni.



OD TYCH WYDARZEŃ minęło niemal czterysta lat. Atocha zatonała w pobliżu miejsca, w którym dziś leży Key West, małe miasteczko u wybrzeży Florydy, wysunięte daleko w morze i połączone ze stałym lądem długą autostradą biegnącą po wodzie. Szczątki galeonu tkwią na głębokości dwudziestu metrów, rozrzucone po dnie przez prądy i ruchome piaski.

Skarb z Atochy jest dziś wart ponad miliard dolarów. Dzień w dzień w jego poszukiwaniu schodzą pod wodę łowcy skarbów, nurkowie Mel Fisher's Treasures, największej firmy poszukiwawczej świata.

Razem z Kaczorem mieliśmy do nich dołączyć.

HISZPAŃSKA EKSPLOATACJA Nowego Świata była dobrze zorganizowaną operacją. Co dwanaście miesięcy z Sewilli wypływały dwie floty, które rozdzielały się na Antylach i opływały najważniejsze hiszpańskie porty w Ameryce. Flota Nueva España okrążała Portoryko, Hispaniolę i Kubę, po czym dobijała do meksykańskiego portu Veracruz. Druga armada, Tierra Firme, płynęła aż do Kolumbii i Wenezueli, po drodze zostawiając mniejsze kupieckie statki. Później razem odpływały na północ, by wraz ze wschodnimi pasatami przemierzyć Atlantyk, z powrotem do Hiszpanii.

Przez trzysta dwadzieścia lat hiszpańskich podbojów Atlantyk przekroczyło siedemnaście tysięcy żaglowców wiozących skarby. Szacując bardzo ostrożnie, można przyjąć, że dziesięć procent z nich nigdy nie dopłynęło do celu. Czyli na dnie, głównie na Karaibach i u wybrzeży Florydy, leży co najmniej tysiąc siedemset wraków z drogocennym towarem.

Podróż tam i z powrotem trwała nawet dziewięć miesięcy. W tym czasie okręty zatapiały prądy, sztormy i huragany. Żaglowce po minimalnych błędach nawigatorów wpadały na nieoznaczone na mapach rafy, często też tonęły po uderzeniach błyskawic.

Na Atlantyku pasażerowie wymierali masowo od chorób i odwodnienia. Korsarze, piraci, Holendrzy i Anglicy łupili statki zarówno u wybrzeży Nowego Świata, jak i w pobliżu Hiszpanii czy nawet podczas postojów aprowizacyjnych na Azorach.

Zamorskie wyprawy były tyleż opłacalne, co ryzykowne.

Najniebezpieczniejszym rejonem dla hiszpańskich flot były wody wokół Bahamów. Płytkie, najeżone podwodnymi skałami morze, regularnie targane huraganami, o zmiennych prądach, których Hiszpanie nie potrafili rozszyfrować. Ich przeciążone, słabo skonstruowane okręty tonęły regularnie z dziurami w kadłubach, grzebiąc w głębinach wszystkich na pokładzie wraz z ich majątkiem i kosztownościami.

I to właśnie północne wybrzeże Kuby, dwa stare kanały żeglugowe przez Bahamy oraz wschodnie wybrzeże Florydy stanowią dla łowców skarbów odpowiednik rozświetlonych kasyn Las Vegas. To tu przyjeżdżają, żeby spróbować szczęścia. To tu wydobywa się z dna fortuny i tu się je traci.

To jest królestwo łowców skarbów.

**JECHALIŚMY Z KACZOREM** na samo południe Stanów Zjednoczonych, na Key West, gdzie mieliśmy dołączyć do załogi jednej z trzech łodzi szukających szczątków Atochy. Trzy tysiące kilometrów przez zmieniające się co i rusz okolice, przez pięć stanów i trzydzieści różnych światów. Wszystko po to, by mimo wszystkich ostrzeżeń przed gorączką złota zmierzyć się z nią na własną rękę.

Poszukiwanie skarbów wokół Florydy to ruletka. Wrak na dnie morza będzie skrywał fortunę albo tylko zniszczone przedmioty codziennego użytku, albo nic nie będzie skrywał. Wszystko zależy od tego, skąd i dokąd płynął statek oraz czy próbowano wydobyć z niego skarb.

Bowiem gdy Hiszpanie tracili okręt, rzadko kiedy oddawali skarb bez walki. Przeważnie wysyłali ekspedycję ratunkową, która miała za zadanie nie tyle odnaleźć ewentualnych rozbitków, ile odzyskać jak największą część kosztowności. Byli przy tym zadziwiająco pomysłowi. Budowali dzwony nurkowe pozwalające zaczerpnąć tchu głęboko pod wodą, używali materiałów wybuchowych, potrafili nawet rozłożyć leżący na dnie okręt na części i wyciągnąć z niego skarb. W takich wypadkach Hiszpanie mieli naturę po swojej stronie. Ten sam czynnik, który zatapiał statki, pomagał im odzyskiwać złoto. Leżało raptem kilka sążni pod kilem.



Gdzieś w Missisipi. Kaczor próbuje sobie przypomnieć trzecią zwrotkę piosenki *It's a Heartache* Bonnie Tyler. Myśli nad tym od Fort Worth w Teksasie

Wody wokół Florydy nie są głębokie, często to jedynie kilka metrów. Większość wraków też leży stosunkowo płytko, na dziesięciu-dwudziestu metrach. Z takiej głębokości Hiszpanie nawet w szesnastym czy siedemnastym wieku byli w stanie wyciągnąć niemal wszystko. Mieli na to dziesiątki sposobów.

Najskuteczniejsi byli poławiacze pereł, niewolnicy specjalnie przywożeni z Jukatenu i Antyli. Hiszpanie wrzucali ich po kolei do wody i pozwalali wrócić na pokład tylko tym, którzy wyłowili coś cennego. Poławiacze wynosili więc na powierzchnię srebrne monety albo tonęli wycieńczeni. Wtedy na ich miejsce handlarze niewolników przywozili następnych.

Jeżeli Hiszpanie znali położenie wraku i leżał on nie głębiej niż siedemdziesiąt stóp pod powierzchnią wody, rzadko zostawiali w nim



jakikolwiek skarb.

W ZNALEZIONYM WRAKU może więc leżeć góra złota albo może on być pusty. Jeśli okręt płynął z Europy, ładownie miał zapakowane po brzegi, ale towarem ze Starego Świata – winem, papierem, włoskimi pończochami albo żelazem, w koloniach często cenniejszym niż złoto. Poszukiwacze skarbów nadal mogą coś tam znaleźć, bo na każdym statku płynęło kilkudziesięciu bogatych mieszczan i szlachciców, a wszyscy wieźli osobiste kosztowności, które dziś też mają sporą wartość.

Rozbić bank można jednak tylko w jeden sposób.

Odnajdując okręt, który wracał z kolonii do domu wyładowany srebrem, złotem oraz klejnotami, taki, którego Hiszpanie nie potrafili znaleźć i wyczyścić.

Każda hiszpańska flota, zwana armadą, zgodnie z dyrektywami Królewskiego Biura Handlowego musiała pływać przez Atlantyk w określonym porządku. Zmieniał się on wprawdzie przez lata, ale zawsze chodziło o minimalną liczbę okrętów i rodzaj zbrojnej eskorty. W połowie szesnastego wieku urzędnicy Korony zdecydowali, że armada ma się składać przynajmniej z dziesięciu okrętów o ładowności stu ton każdy, a eskortować mają je przynajmniej dwa wojenne galeony.

O ile towarowe karawele, karaki, *nao*, *patache* czy fregaty były prywatnymi okrętami kupieckimi, o tyle chroniące je galeony należały zawsze do króla. Władca Hiszpanii miał bowiem żywotny interes w tym, żeby transporty płynące z Nowego Świata docierały bezpiecznie do Sewilli. Każdy ładunek z kolonii był obłożony srogim podatkiem, a król od wszystkich kosztowności inkasował swoją „dziesięcinę”, *quinto real*.

Królewski podatek był pobierany jeszcze w Nowym Świecie, gdy armada stała w porcie. Urzędnicy pobierali dwadzieścia procent każdego ładunku i składowali je oddzielnie. Taksowali rzecz jasna wyłącznie towary przewożone oficjalnie. Drugie tyle trafiało na pokład poza protokołem, za co królewscy urzędnicy przyjmowali opłaty prywatne i bez pokwitowania.

Każdej armadzie towarzyszyły co najmniej dwa wojenne galeony: capitana i almiranta. Capitana była okrętem flagowym, na którym płynął generał, dowódca całej floty. Płynęła zawsze pierwsza, w awangardzie.

Odpowiadała za bezpieczeństwo, broń, żołnierzy i skrupulatnie prowadzoną dokumentację.

Ostatnia w szyku szła almiranta, okręt admirała floty przejmującego dowodzenie w wypadku napaści piratów lub starcia z fregatami obcego mocarstwa. Do armady często był włączany jeszcze trzeci galeon – guberni, a przy większych transportach było ich więcej, nawet osiem, choć pozostałe okręty wносиły już jedynie siłę ognia.

Srebro i złoto dla króla było przewożone wyłącznie na dwóch najważniejszych galeonach, zwłaszcza na almirancie. Miały być nieustannie gotowe do walki i nie mogły zabierać komercyjnego towaru, choć i tak to robiły. Czasem były tak zapakowane, że trudno było się poruszać po pokładach, a gdy dochodziło do bitwy, okazywało się, że nie ma na nich wystarczająco dużo miejsca, by strzelać z dział.

Skarby znajdowały się więc na każdym z siedemnastu tysięcy żaglowców przekraczających Atlantyk na wschód. Nawet jeśli to nie był królewski podatek z almiranty czy capitany, na okrętach płynęły prywatne transporty srebra, przemycane złoto, klejnoty w kajutach oficerów i osobiste kosztowności wysoko urodzonych pasażerów. Do króla płynął też urobek ze wszystkich kopalni w Peru, Meksyku czy Kolumbii, będących własnością Korony.

Almiranta wiozła często dwieście ton skarbu upakowanego w czterech i pół tysiąca skrzynek. Na pokładzie były też setki szmaragdów, pereł, ametystów czy diamentów oraz bogato zdobiona zastawa, muszkiety, paradne szpady, złote puchary i sporo biżuterii.

A gdy żaglowiec wpadał w objęcia sztormu, to wszystko szło na dno.

Dla poszukiwacza skarbów istotny jest więc każdy okręt, którego Hiszpanie nie dali rady odzyskać. Ale prawdziwa fortuna czeka na tego, kto znajdzie almirantę płynącą na wschód, najlepiej spóźnioną i wyładowaną po brzegi, z dużym transportem złota i srebra, której Hiszpanie nigdy nie odnaleźli.

Dokładnie taką jak Atocha markiza de Caldereity.



**NIECZĘSTO WIDZI SIĘ COŚ TAKIEGO.** Autostrada wychodząca prosto w morze, znikająca za horyzontem. Droga ciągnęła się dwieście kilometrów z Miami na południe, po palach, jak gigantyczny most, który biegnie donikąd i nagle kończy się na małej wysepce już daleko na oceanie.

Jechaliśmy tą malowniczą trasą w popołudniowym słońcu, patrząc, jak pelikany obsiadają balustrady i kłapią swoimi wielkimi dziobami. Na mieniących się złotem falach podskakiwały motorówki, zostawiając za sobą rozpieniony, znikający po chwili ślad.

Zmierzaliśmy ku ostatniemu przystankowi, dosłownie i w przenośni. Mieliśmy trzymać się tej autostrady do samego końca, aż do miejsca, skąd szosa nie ma już dokąd dalej bieć. To był też ostatni punkt naszej podróży po Stanach, ostatnia scena naszego filmu drogi, która powinna mu nadać jakiś sens, happy end albo dramatyczny finał.

Czas rozciągnął się niemożliwie. Miałem wrażenie, że widziałem się z Corkiem w San Francisco lata, a nie tygodnie temu. Z kolejnymi kilometrami pogoda zmieniała się jak pory roku. Choć twarz jeszcze mnie piekła od suchego, jesiennego wiatru w Las Vegas, na dłoniach nadal czułem mróz pustyni w Nowym Meksyku. Teraz przyszło lato, czas na lniane spodnie i wzorzyste koszule. Palmy kołyszące się nad brzegiem morza, drinki z palemką, sandały i żar tropików.



Stragan z kubańskimi cygarami na Key West

Wyspiarskie życie.

Jechaliśmy na Key West, miejsce trochę poza zasięgiem zainteresowania oficjeli z Waszyngtonu. Stamtąd jest bliżej na Kubę niż do jakiegokolwiek amerykańskiego miasta. Na dobrą sprawę to mogłyby być równie dobrze karaibski kraik, jakby mała amerykańska republika bananowa. Połowa mieszkańców pracuje na czarno albo przebywa tu z przeterminowaną od lat wizą. Wiele osób żyje sobie spokojnie z dnia na dzień, nie płaci podatków, wynajmuje domy na lewo, pali na ulicach skręty i przesiaduje na słonecznych tarasach knajp wychodzących na nadmorskie deptaki. Więcej tu imigrantów niż Amerykanów, przedziwny amalgamat kultur i języków, który rządzi się swoimi prawami, od długiego czasu unikając radarów sił prawa i porządku omiatających okolice z kontynentu. W gruncie rzeczy ta wyspa z resztą Stanów ma wspólną tylko autostradę.

Idealne miejsce dla wszystkich kanciarzy i naciągaczy.

I poszukiwaczy skarbów.

ZAPARKOWALIŚMY SAMOCHÓD przy promenadzie z widokiem na morze. Na ulicach było dość gęsto, spragnieni słońca wczasowicze z Ohio czy Montany ścigali tu widocznie na wakacje. Z otwartych na ulicę barów płynęły leniwe rytmy reggae, fale szumiały, mewy krzyczały, a przechodnie spacerowali na bosaka.

Ruszyliśmy Greene Street na południowy zachód, w stronę klubu jachtowego i oceanarium. Doszliśmy do niewielkiego skweru na rogu, przy którym stał dwupiętrowy budynek z szarej cegły, zakończony spadzistym dachem z białą lamówką.

Weszliśmy po schodach na placyk przed wejściem, mijając dwa żelazne hiszpańskie działa ustawione na postumentach jak pomniki. Ominęliśmy główne drzwi prowadzące do niewielkiego muzeum, eksponującego stare hiszpańskie monety, rapiery i srebrne zastawy stołowe z siedemnastego wieku, po czym zgodnie z instrukcją skierowaliśmy się do bocznego wejścia prowadzącego do części nieprzeznaczonej dla turystów.

W drzwiach przywitał nas śniady Kubańczyk o ujmującym uśmiechu. Przedstawiliśmy się, powiedział, że jesteśmy oczekiwani. Zostaliśmy poprowadzeni przez kilka biurowych pomieszczeń, gdzie pracowało parę osób w szortach i rozpiętych koszulach z krótkimi rękawami. Wentylatory szumiały cicho, a przez uchylone żaluzje wpadało słońce, pokrywając wszystko równymi paskami światłocienia. Jeden z pokoi wyłożony był drogą boazerią z egzotycznego drewna, oświetlony nastrojowo nisko zawieszonymi kinkietami. Na ścianach wisiały stare hiszpańskie mapy i kilka pożółkłych dokumentów, w kącie stała amerykańska flaga. Przypominało to raczej wnętrze ekskluzywnego klubu palaczy cygar niż centralę nowoczesnej firmy.

Zaproszono nas do niewielkiej sali konferencyjnej. Na jednej ścianie wisiał duży ciekłokrystaliczny telewizor w ramie z motywami morskimi, na pozostałych – nowoczesne plany kartograficzne z pozaznaczanymi w technicznym stylu kółkami i liniami układającymi się w nierozpoznawalny kształt. Na stoliku stało radio odzywające się co jakiś czas zniecka szumem i skrzeczącymi komunikatami. W kącie pyszniła się dostojnie wielka pancerna szafa.

Popatrzyliśmy po sobie z Kaczorem nieco onieśmieleni.

To miejsce robiło wrażenie.

Byliśmy w kwaterze głównej największej na świecie firmy zajmującej się poszukiwaniem skarbów. Podobnych jest może dziesięć, najwyżej piętnaście, a wszystkie i tak patrzą na nią z zazdrością. Mel Fisher's Treasures. MFT. Legenda łowców skarbów, ludzie stanowiący inspirację dla całej branży. Dowód na to, że choć wielu wraca do domu z pustymi rękami, warto próbować.

Założyciel firmy Mel Fisher szukał galeonu Nuestra Señora de Atocha, almiranty floty z 1622 roku. Tego, który poszedł na dno, bo markiz de Caldereita bał się gniewu nastoletniego króla, i tego, na którym franciszkanie przemycali trzydzieści pięć skrzyń kościelnego złota.

Spędził na tych poszukiwaniach szesnaście bezowocnych lat. Czas leciał, a on nie miał się czym pochwalić. Zaryzykował wszystko, co posiadał. Sprzedał dom i szkołę nurkowania, po czym wraz z żoną i czwórką dzieci przeniósł się na Florydę, by szukać skarbów. Kupił łódź oraz podstawowy sprzęt i zaczął przeczesywać ocean, opierając się tylko na przecuciu i szczątkowej wiedzy. Postawił na jedną kartę wszystko, co miał, podobnie jak wielu przed nim i wielu po nim, wiedząc, że prawie nikomu się to nie opłaciło.

W trakcie tych poszukiwań Fisher splukał się do zera pięciokrotnie, cała jego rodzina przez dziesięć lat mieszkała na łodzi, w tragicznym wypadku na morzu stracił syna, a mimo to nie chciał nawet słyszeć o zarzuceniu swojego pomysłu.

Przez szesnaście lat znajdował tony nic niewartego żelastwa, jakieś łuski pocisków i puszki po sardynkach, raz trafił nawet na uzbrojoną torpedę. Przepłynął w tym czasie sto czterdzieści tysięcy mil morskich i tylko raz na jakiś czas wyciągał z piasku obrośniętą koralami srebrną monetę albo kawałek łańcuszka.

Aż któregoś dnia wskoczył do wody i zobaczył na dnie dywan ze złota.

Fisher ze swoim zespołem znaleźli wtedy górę skarbu. Srebrne sztaby, złote łańcuchy, dziesiątki tysięcy monet, szmaragdy, biżuterię i tysiące ozdobnych przedmiotów. Całość była warta ponad pięćset

milionów dolarów. Do dzisiaj jest to największy skarb, jaki komukolwiek udało się wydobyć.

Obecnie Mel Fisher's Treasures to firma prowadząca operacje wartości niemal dwudziestu milionów dolarów rocznie. Zatrudnia dziesiątki specjalistów, od researcherów i archeologów po nurków wojskowych. Wykorzystuje technologie NASA, satelity, bezzałogowe urządzenia do badania dna na dużych głębokościach, specjalnie dostrojone magnetometry i sonary oraz mnóstwo innych urządzeń, których nazw nie da się zapamiętać. Przez okrągły rok trzy łodzie prowadzą poszukiwania pozostałych skarbów Atochy, równoległe trwają prace nad dwoma innymi wrakami.

Dawniej w barach w całym Key West nurkowie Fishera byli wyśmiewani. Dziś stawia się im darmowe kolejki.

– WITAM, PANOWIE - rozległ się chrapliwy głos zza naszych pleców.

Poderwałem się szybko i uścisnąłem podaną mi dłoń. Wiedziałem dokładnie, kto stoi przede mną, wiedziałem o tym człowieku wszystko. To był Sean Fisher, wnuk Mela i dyrektor operacyjny firmy, jeden z najważniejszych poszukiwaczy skarbów na świecie, absolutna pierwsza liga.

Już sam fakt, że siedzieliśmy w tym biurze, był dla nas olbrzymim wyróżnieniem. Tu nie wpuszcza się byle kogo. A to i tak tylko początek, następnego dnia mieliśmy wypłynąć na jednej z trzech łodzi szukających Atochy i dołączyć do jej załogi, by przeczesać dno w poszukiwaniu złota i szmaragdów.

Sean usadowił się wygodnie w fotelu po przeciwnej stronie mahoniowego stołu i założył ręce za głowę. Na szyi, na ciężkim łańcuchu nosił *ocho reales*, starą hiszpańską monetę ze srebra. Dałbym sobie uciąć rękę, że wyłowił ją sam.

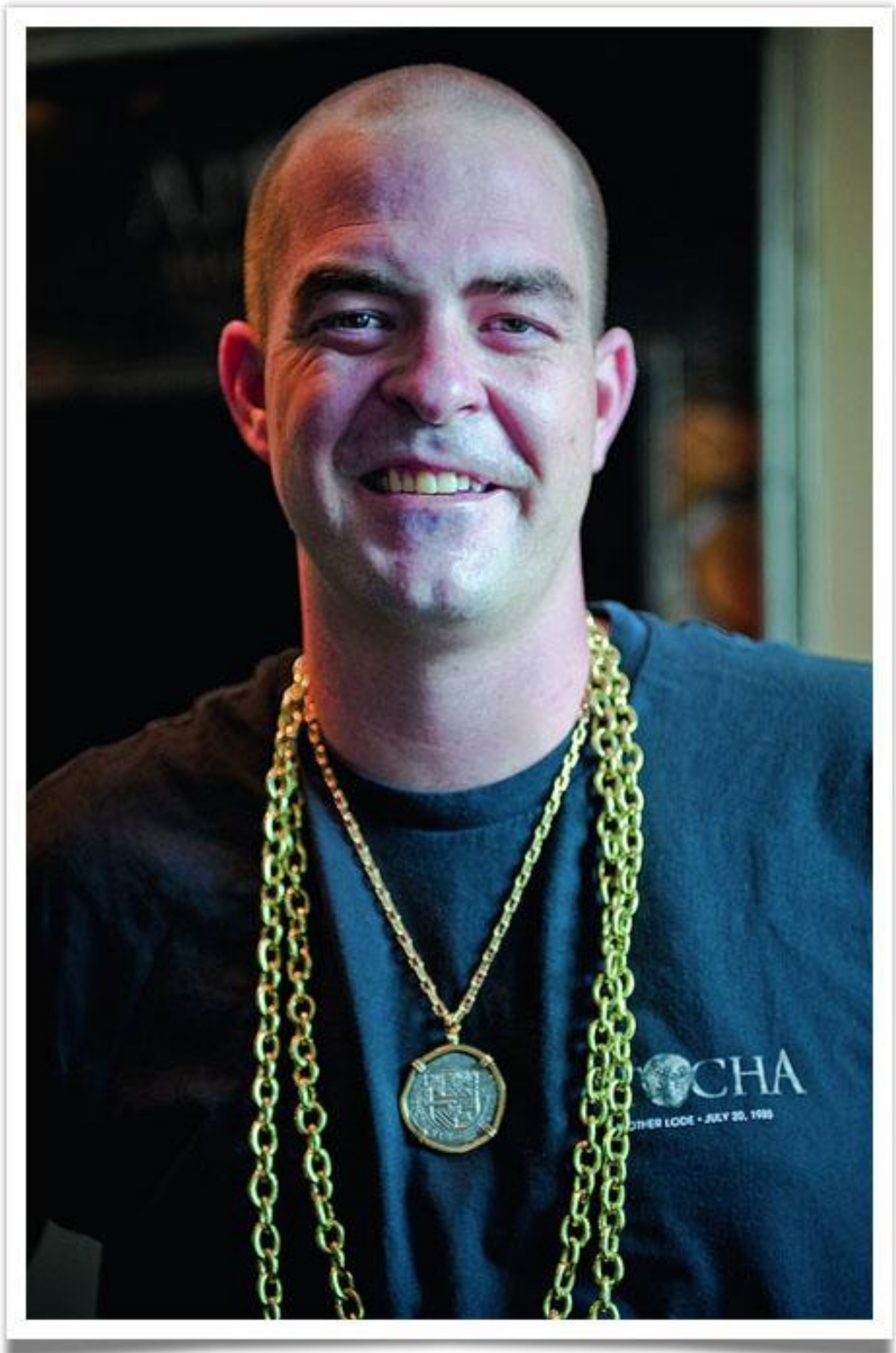
– No dobrze, chłopaki. Do rzeczy. Przydzieliłem was do Magrudera, pod komendą kapitana Andy'ego Matrociego. Jutro rano zabierzecie się z transportem kilku części na łódź. Macie wszystko, co trzeba?

Kiwnąłem głową.

– Świetnie – kontynuował Sean. – Na miejscu słuchajcie, co



mówią wszyscy pozostali, dopóki nie zorientujecie się w procedurze. Na dole chłopaki pokażą wam co i jak, więc przyglądajcie się uważnie. I uważajcie na siebie.



## Sean Fisher ze swoją srebrną *ocho reales* na szyi

– Oczywiście.

WSZYSTKIM WYDAJE SIĘ, że szukanie skarbów polega na wskakiwaniu do wody i rekreacyjnym pływanku tam i z powrotem. Że daje się susa z łodzi i patrzy w dół, a tam na dnie stoi wielki żaglowiec z olinowaniem i flagą na maszcie powiewającą nieco z morskim prądem. W bocianim gnieździe siedzi może szkielet jakiegoś majtka w bermudach, a kapitan, świecąc białą kości, stoi w trójkątym kapeluszu na mostku i trzyma się jedną ręką barierki. Bosman z papugą na ramieniu siedzi przy stole, dzierżąc jeszcze w dłoni nóż, w połowie jakiejś rubasznej opowieści, a koło sterowe kołysze się, gdy obok przepłynie ryba.

Gdy słyszy się słowo „skarb”, przed oczami staje skrzynia z niedomkniętym wiekiem, spod którego wystają złoty łańcuch i puchar, a pod nimi widać stos błyszczących monet. W ładowni powinny leżeć rzędy kufrów i beczek skrywających nie wiadomo jakie cuda. Wystarczy podpłynąć i coś wyciągnąć.

Tymczasem prawdziwe poszukiwanie skarbów to cholernie ciężka, fizyczna robota. To jak praca na budowie, tylko pod wodą, albo na platformie wiertniczej, gdzie wszystko się psuje. Trzeba przeciągać liny, mocować skrzynie i nosić łańcuchy. Pod wodą kopać łopatą doły, mocować boje i cały czas walczyć z prądem. To ciągle naprawy, spawanie i malowanie, konserwacja silników albo wymiana części ważących po pół tony. To nie jest miejsce dla lalusiów i romantyków. Jeśli ktoś nie wytrzyma tempa, wraca do domu.

A wrak pod wodą? Też niedokładnie wygląda tak, jak można było przypuszczać.

Przyjmijmy, że kupiecka fregata wpadła na rafę, z powodu dziury w kadłubie zatonała z gracją i spoczęła elegancko na dnie. Nie za głęboko, akurat tak, że rzeczoną flagą na czubku masztu powiewa fala.

W ciągu kilku miesięcy ciągle ruchy wody, pływy, prąd i ciśnienie poluzują mocowania i żaglowiec rozpadnie się na kilka części. Maszt zapadnie się pod pokład, pół burty odpadnie na piasek, a deski i belki zaczną puszczać i spadać do ładowni. Bijące fale będą pompować do

wody tlen, który sprawi, że wszystkie elementy żelazne pokryją się rdzą, a potem zostaną przezarte na wylot. Żywiące się drewnem malutkie robaki *toredo* zaczną ucztować, stopniowo rozkładając fregatę na coraz mniejsze części, które porywane przez prądy będą toczyć się po dnie coraz dalej i dalej.

W ciągu pięćdziesięciu lat wrak przestanie przypominać okręt. Zmieni się w kupę drewna i kamieni bezładnie porzrzucanych po dnie. Gdzieś niedaleko będzie leżało na wpół zakopane w piachu działo albo dwa, kawałek dalej z dna wystawać będzie może kotwica. Wszystko pokryje się piaskiem i mułem, porośnie koralami i wielorakim morskim życiem.

Pod tą kupą kamieni i żelastwa będzie wprawdzie czekał skarb, ale też nie taki, jak go sobie wyobrażacie.

Srebro i złoto transportowane było w beczkach i skrzyniach, które rozpadną się dokładnie tak samo, jak pozostałe elementy z drewna. Duże transporty przewożono w ładowniach na dnie okrętu, na kamieniach balastowych ważących nawet po sto kilogramów. Luźne monety i sztabki opadną na samo dno, pod tę górę kamieni, i tam zostaną na zawsze. Srebro pokryje się warstwą czarnego jak smoła siarczku srebra, nie będzie ani błyszczeć, ani wyglądać zachęcająco. Mówiąc szczerze, łatwo je pomylić z kawałkiem skały wulkanicznej i przepłynąć obok bez większego zainteresowania.

Jedynie złoto się nie zmieni. Będzie nadal czyste, świecące i magiczne.

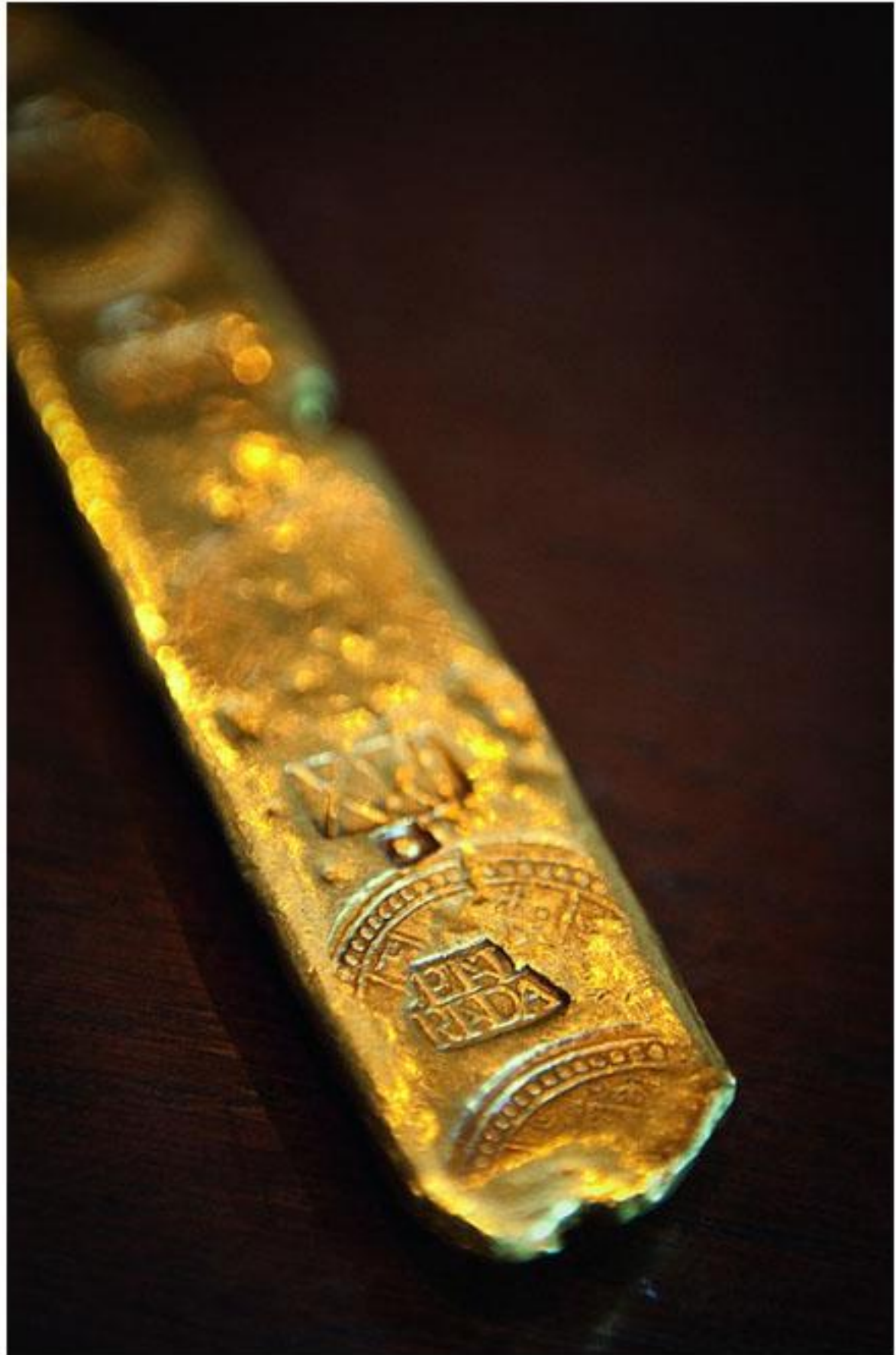
– Pokażemy wam zaraz, co się dzieje z przedmiotami, które wyciągamy na powierzchnię, zobaczycie to w laboratorium. – Sean kontynuował odprawę. – Musicie dobrze zrozumieć ten proces. To są artefakty sprzed niemal czterystu lat, nikt ich przez ten czas nie dotykał, leżały w bardzo dziwnym środowisku. Wystarczy drobna nieostrożność i przepiękny przedmiot można bezpowrotnie zniszczyć.

– Czego teraz szukacie? – spytałem.

Sean podniósł się z fotela i podszedł do technicznej mapy na ścianie.

– To jest schemat położenia skarbu, który do tej pory znaleźliśmy. Tu, gdzie są te czerwone i niebieskie kółka, leżała jego główna część,

czyli to, co Hiszpanie wieźli w ładowniach. Te linie i kropki to szlaki, które eksplorujemy od tamtej pory, badając dno. Jak widzicie, idziemy w dwóch kierunkach – Sean pokazał rozchodzące się w przeciwne strony odgałęzienia na schemacie. – Gdzieś tam leży jeszcze cała rufa Atochy i wszystkie kajuty oficerskie.



Jeden ze złotych artefaktów pochodzący z XVII wieku, wydobyty  
z Atochy

Znałem historię Atochy na pamięć, wiedziałem, o czym mówił Sean. Podczas huraganu uderzyła w jedną z zewnętrznych raf wokół Florydy i zatonała bardzo płytko, na dziesięciu *brazas*, ówczesnej miary głębokości, czyli raptem dwudziestu metrach. Obserwowali to rozbitkowie z Santa Margarity, siostrzanego galeonu. Dokładnie widzieli tonącą Atochę, bo znajdowali się tylko nieco kawałek dalej na zachód. Atocha opadła na dno na tak niewielkiej głębokości, że połowa jej grotmasztu wystawała z wody, jednoznacznie określając położenie wraku.

Niedługo później na dno poszła też Santa Margarita, topiąc sto czterdzieści trzy osoby. Kapitan Margarity znalazł się w wodzie i dryfował przez kilka godzin. Jego i pozostałych rozbitków uratował tego samego dnia przepływający obok jamajski żaglowiec. Na jego pokładzie dotarli niebawem do portu w Hawanie.

Hiszpanie natychmiast rozpoczęli akcję ratunkową. Zlokalizowali Atochę, co nie było szczególnie trudne, skoro jej maszt sterczał z wody jak krzyżyk na mapie skarbów. Nurkujący niewolnicy nie byli jednak w stanie dostać się do ładowni, bo wszystkie włazy były zaklinowane. W ten sposób żeglarze szykowali się na nadejście sztormu. Atocha osiadła na piaszczystym dnie, jedyne dojście do skarbu – przez dziurę w kadłubie – było zablokowane.

Dowódca ekipy ratunkowej Gaspar de Vargas postanowił wrócić do Hawany po wiertła i ładunki wybuchowe, którymi planował wysadzić pokład Atochy. Gdy dotarł do portu, przez wybrzeże przetoczył się kolejny sztorm. Ponowną ekspedycję kapitan Vargas mógł przedsięwziąć dopiero miesiąc później. Ale gdy w końcu dotarł na miejsce, gdzie zatonała Atocha, nie znalazł po niej nawet śladu. Październikowy huragan musiał przetoczyć ją po dnie i zabrać w niewiadomym kierunku. Dlatego Hiszpanie nigdy nie odnaleźli tego żaglowca.

– Według naszych ustaleń – kontynuował Sean – drugi huragan rozerwał okręt na dwie części. Od dziobu i ładowni oderwała się cała



rufa i jeden z pokładów. Ładunek srebra i złota, który znaleźliśmy, był tak ciężki, że został w miejscu. Natomiast oba rozdzielone fragmenty okrętu sztorm niósł coraz dalej w morze, prawdopodobnie w różnych kierunkach, obijając po dnie oraz rozsypując po drodze ich zawartość. To, co Hiszpanie wieźli w ładowni na dziobie, już znaleźliśmy, teraz szukamy drugiej części okrętu, rufy.

– Czego się tam spodziewacie? – spytałem.

– Na rufie była kabina kapitana i kajuty oficerów, tam też sypiali bogaci pasażerowie. Powinniśmy tam znaleźć mnóstwo prywatnego złota, pewnie dublonów i łańcuchów, a do tego sporo kosztowności, biżuterii i Bóg wie ile klejnotów. Prawdopodobnie szmaragdów i diamentów, bo to była ulubiona waluta bogatych mieszczan i szlachciców. Z tyłu płynęło też trzydzieści pięć skrzyń kościelnego złota franciszkanów. Więc umówmy się, że jest czego szukać, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę tylko to, co figuruje w manifeście Atochy...

Patrzyliśmy na schemat, analizując go przez chwilę.

– Ile jest warta ta część skarbu, której ciągle szukacie? – spytał Kaczor.

– Jakieś czterysta milionów. A to jest inny projekt, nad którym pracujemy – Sean podniósł z blatu mozaikę komputerowo obrobionych fotografii.

Układały się w wyraźny kształt kadłuba, na pierwszy rzut oka widać było, że to żaglowiec.

– Fregata z końca siedemnastego wieku – powiedział Sean. – Leży na siedmiu tysiącach metrów. Próbujemy ją zidentyfikować.

Podniosłem wydruk i przyjrzałem mu się dokładnie. Wrak był zachowany w świetnym stanie, niemal nienaruszony. Siedem tysięcy metrów! Siedem kilometrów to prawie taka wysokość, na jakiej latają samoloty pasażerskie. Na takiej głębokości panuje absolutna ciemność, a ciśnienie jest takie, że zabije każdego nurka w parę sekund, lecz równocześnie nie pozwala na absorpcję soli przez drewno czy inne materiały. Tak głęboko nie ma też wolnego tlenu, więc żelazo nie rdzewieje jak w płytkich wodach Karaibów. Ciśnienie dodatkowo trzyma kadłub w całości i nie biją w niego żadne fale. Pewnie dlatego okręt mógł przetrwać do dziś niemal nienaruszony.

Do tej pory myślałem, że na takiej głębokości łowcy skarbów nie są w stanie pracować. Widziałem coś takiego pierwszy raz w życiu, to było niesamowite.

– Jak... jak wy to robicie? – spytałem, nie kryjąc wrażenia.

– Używamy ROV-ów, bezzałogowych łodzi podwodnych kontrolowanych zdalnie. Są naszpikowane elektroniką, robią nam rozpoznanie.

– Ile kosztuje taka operacja? – kręciłem głową z niedowierzaniem.

– Dwanaście-piętnaście milionów rocznie.

Nawet Kaczor był w szoku. Przeważnie jest na bieżąco z najnowszymi technologiami, ale to była inna liga. Dla niego to było, jak gdyby odkrył sklep z cukierkami, o których nigdy nawet nie słyszał.

– I co, będziecie go wyciągać? – spytał.

– Jeszcze nie wiemy – odpowiedział Sean.

Szukanie zatopionych skarbów to bardzo śliska działalność. Można wiele zainwestować, urobić się po łokcie, a na koniec dowiedzieć się, że to wszystko i tak nie miało sensu. Tony Tucker na pustyni Nowego Meksyku ma względnie jasną sytuację. Gdy znajdzie skarb i komuś o tym powie, panowie z FBI wsadzą go do mamra. Szukać może, znaleźć nie.

W przypadku wraków na dnie morza sprawa jest dużo bardziej skomplikowana. Prawo morskie jest niejednoznaczne, próby jego ujednoczenia spaliły na panewce, po wodach buszują współcześni piraci wyciągający na lewo wszystko, co znajdą, a kraje, na wodach których leżą wraki, patrzą wszystkim na ręce.

**ŻEBY ODNIEŚĆ SUKCES** w poszukiwaniu skarbów, trzeba pomyślnie przejść trzy etapy. Po pierwsze – zlokalizować wrak, po drugie – wydobyć z niego skarb, a po trzecie – skarb utrzymać. I wbrew pozorom ta ostatnia część jest chyba najtrudniejsza.

Zatopione okręty leżą na dnie od wieków i w gruncie rzeczy nie wiadomo, do kogo należą. Okręt mógł być królewski, ale ładunek prywatny. Część mogła być ubezpieczona, a część nie. Niektóre skrzynie płynęły legalnie, inne były przemycane poza protokołem. Mógł je wieźć właściciel, agent albo pośrednik. Do tego wszystko zatoneło i nie wiadomo, gdzie jest, aż ktoś zainwestuje środki i energię, by taki

wrak odnaleźć. Zanim to się stanie, okręt nie należy do nikogo, bo go po prostu nie ma.

Ale gdy zostanie wydobyty na powierzchnię, nagle okazuje się, że wiele osób uważa się za jego właścicieli.

Zgodnie z prawem znalezionej wraku nie można, ot tak sobie, ogołocić ze wszystkiego. Najpierw potrzebne jest pozwolenie na eksplorację, potem trzeba całość odpowiednio udokumentować. Następnie w dowolnym sądzie na świecie należy złożyć wniosek o przyznanie wyłącznego prawa do wydobycia skarbu. Prawo morskie zakłada, że wrak należy do tego, kto jako pierwszy wyciągnął z niego jakikolwiek przedmiot, o ile nikt inny nie rości sobie do niego pretensji.

Od chwili otrzymania pozwolenia można zatem wydobywać skarb, ale nie można go sprzedać, rozdać ani ukryć, bo nie należy jeszcze do znalazcy.

Do sądu zajmującego się określonym wrakiem zaczynają spływać roszczenia. Zgłosi się może jakiś potomek siedemnastowiecznego kupca, przekonany, że jego pradziad był właścicielem kilku beczek srebra. A może jakaś ubezpieczalnia, która dawno temu wypłaciła za zaginiony skarb odszkodowanie. Pewnie jakiś karaibski kraik, na wodach którego leży okręt, też uzna, że coś mu się z tego tytułu należy. Stałym udziałowcem tych przepychanek jest oczywiście również Hiszpania.

Korona zgłasza bowiem roszczenia do absolutnie każdego wraku odnalezionej gdziekolwiek.

Ciężko mi wprawdzie zrozumieć, jak w zgodzie z własnym sumieniem Ich Królewskie Mości mogą uważać, że po tylu latach nadal są prawowitymi właścicielami krwawego skarbu, który konkwistadorzy zrabowali Indianom, gwałcąc ich i mordując. Jeśli się nad tym choć przez chwilę zastanowić, złoto i srebro powinno wrócić – i to z kwiatami i wisienką na torcie – do Peru, Meksyku czy Kolumbii, skąd wyjechało na plecach niewolników. Nie wiem więc, co dzieje się w monarszych głowach, ale efekt jest taki, że Korona składa roszczenia do każdego wraku i o każdy walczy równie zaciekle.

A potem zaczyna się batalia sądowa, w wyniku której jedna z zainteresowanych stron zostanie uznana za właściciela skarbu i dopiero

od tej chwili będzie mogła dysponować nim wedle swej woli. A wtedy fakt, kto wrak odnalazł i wydobył kosztowności, nie ma żadnego znaczenia.

W przypadku Atochy ta batalia trwała ponad osiem lat. Na same honoraria prawników Mel Fisher wydał półtora miliona dolarów. Musiał wygrać ponad sto procesów, w tym jeden przed amerykańskim Sądem Najwyższym, i dopiero wtedy skarb Atochy stał się jego własnością.

– Nie wyciągamy każdego wraku, nad którym pracujemy – powiedział Sean. – Obserwujemy przez cały czas kilkanaście różnych zatopionych okrętów i prowadzimy coś na kształt rankingu opłacalności. Zabieramy się do roboty dopiero wtedy, gdy mamy pewność, że nie zrobimy pięknego prezentu królowej Sofii...

Sean wrócił do stołu, usiadł na swoim miejscu i znowu rozparł się nonszalancko. Radio zaszumiało, z głośnika popłynął ciąg cyfr i kilka słów. Jakieś zakodowane informacje z którejś z łodzi.

– Jak możecie wygrać z takim przeciwnikiem jak Hiszpania? – spytał Kaczor. – Przecież oni mają nieograniczone zasoby. Nie lepiej iść z nimi na układ?

Sean uśmiechnął się kwaśno.

– Pewnie, że lepiej – odpowiedział swoim chrapliwym głosem.

– Więc w czym problem?

– W tym, że oni na te układy nie idą.

Oparł się łokciami o blat stołu, moneta na szyi stuknęła o drewno.

– W takim razie co wam zostaje? Czarny rynek? – spytał Kaczor.

– Na czarnym rynku nie da się z tego utrzymać – odparł Sean. – Widzicie, na galeonie mogło być na przykład sześćset tysięcy srebrnych monet, wartych dzisiaj pięćset milionów dolarów. Ale warte będą tyle wyłącznie odpowiednio odczyszczzone, legalne i z certyfikatami autentyczności. Gdybyśmy próbowali je sprzedać na lewo, będą warte może osiemnaście milionów, nie zwrócą nam się nawet koszty operacji. Na czarnym rynku dostaniesz tylko wartość kruszcu, możesz nawet dla wygody te monety przetopić w sztabki. Skarb jest dużo wart tylko legalnie.

POSZUKIWACZE





Poszukiwanie skarbów to praca z pogranicza detektywistyki, historii i sportów ekstremalnych – dość nietypowe połączenie. Ocean jest ogromny, więc jedyna nadzieja w porządnej dokumentacji, która pozwoli zawęzić obszar poszukiwań. Tu zaczyna się wielka łamigłówka. Ważne są najmniejsze detale.

Żadna mapa nie będzie miała wartości bez wiedzy, że aż do 1884 roku każdy kraj liczył współrzędne geograficzne inaczej, zazwyczaj za punkt zero uznając własną stolicę. A hiszpańska uncja srebra wcale nie ważyła dwudziestu ośmiu gramów, tylko dwadzieścia siedem, bo mennice też oszukiwały. Trzeba wiedzieć, czym są monety *dos mundos* (*encuentro de dos mundos*), czym się różni *pasavolante* od *perdero* i od kiedy kotwice wieszano na łańcuchach, a nie na sznurach.

Najważniejszą zasadą poszukiwaczy jest: nie bierz za informacje wszystkiego, co znajdujesz w książkach, magazynach i opowieściach. Wśród łowców skarbów funkcjonują „duchy”, informacje o okrętach, które nigdy nie istniały. Za takimi wrakami jak Santa Rosa, Lexington czy Augusta uganiają się legiony poszukiwaczy, gdy tymczasem nie ma czego szukać. Jednym z tych *ghost galleons* jest City of Rio de Janeiro. Początkowo pojawiły się informacje, że wiózł pół miliona srebrnych dolarów, potem plotka powtarzana w kolejnych periodykach rozděła tę kwotę do dwóch milionów. A naprawdę okręt ten wiózł cynę i herbatę. Nie przeszkadza to łowcom amatorom uganiać się za jego wrakiem, bo gdy okręt raz pojawi się w książkach i na mapach, potem te informacje powielane są w nieskończoność.

To dziwne, że poszukiwacze wydają tyle pieniędzy, by zdobyć informacje o wrakach, a tak mało, by wyeliminować plotki i bezwartościowe tropy.

Dla profesjonalistów źródłami wiedzy są wyłącznie oficjalne dokumenty: zapisy bitew morskich, manifesty armady, dzienniki pokładowe i pamiętniki kapitanów, dokumenty z procesów sądowych, archiwa kościelne, informacje dawnych banków i firm ubezpieczeniowych, ówczesne gazety, doniesienia reporterskie oraz informacje starych urzędów i ministerstw. Interesują ich wyłącznie informacje źródłowe, bo reszta to plotki i legendy. Dlatego bez dostępu



do oryginalnych dokumentów spisanych w języku starohiszpańskim nie ma co marzyć o polowaniu na skarby.

Najważniejsze zawsze jest pytanie: ile to jest warte? Odpowiedź jest niezwykle trudna, bo ceny złota i srebra bardzo się zmieniały przez lata. W siedemnastym wieku złoto było siedemnaście razy droższe niż srebro, dziś jest warte czterdzieści razy więcej. Natomiast nominalna wartość kruszcu jest niczym w porównaniu z wyceną artefaktów. Złoty krzyż wysadzany rubinami może być „w metalu” wart dwadzieścia tysięcy dolarów, a jako obiekt o wartości historycznej – dziesięć milionów.

Dużo niewiadomych i dużo ryzyka. A nadal tyłu próbuje.

– Czyli co, pozostaje wam tropić prywatne statki, które zatoniły głęboko na wodach międzynarodowych? – spytał Kaczor.

Sean pokiwał głową z uznaniem.

– Dokładnie tak. Jeśli pływasz tak, jak kombinujesz, widzę dla ciebie przyszłość w tym biznesie...

– No, jeśli liczy się pływanie pieskiem... – odparł Kaczor.

PO ZAKOŃCZENIU ODPRAWY z Seanem roznosiła mnie ekscytacja. Te wszystkie skarby, cały ten podwodny świat był na wyciągnięcie ręki. Musieliśmy jednak zaliczyć po drodze jeszcze kilka przystanków.

Zadziwiająco stara winda zatrzymała się wreszcie ze zgrzytem. Odsunęliśmy kratę zasłaniającą drzwi i wyszliśmy na korytarz. Na drugim piętrze budynku mieściły się laboratoria i pracownie konserwatorów. To tu trafiał każdy przedmiot wydobyty z dna, przez te pokoje musiały przejść absolutnie wszystkie artefakty, od zardzewiałych gwoździ po złote dyski wysadzane rubinami.

Weszliśmy do laboratorium wypełnionego białym, ostrym, niemal szpitalnym światłem. Na środku stały duże prostokątne rynny do elektrolizy, w których leżały zardzewiałe przedmioty o bliżej nieokreślonym kształcie. Na stołach porozkładane były dokumenty i zdjęcia, ktoś musiał na chwilę odejść od pracy. Na końcu pomieszczenia stał dobrze zbudowany mężczyzna z krótkimi, siwymi włosami i przyglądał się pod światło kliszy ze zdjęciem rentgenowskim. Założyłem, że to był John, którego mieliśmy odnaleźć. Dostrzegł nas i

podszedł szybkim krokiem, uśmiechając się przyjaźnie.

– Uszanowanie. Rozumiem, że to wy płyniecie jutro na Magruderą?

Mężczyzna wyglądał na eks-wojskowego. Miał tę żołnierską sprężystość, podkreśloną jeszcze schludnie przyciętym trzydniowym zarostem. Nosił rozpiętą koszulę *khaki* z krótkimi rękawami, spod której na lewym ramieniu wyzierał tatuaż w chińskie wzory. Reszta pasowała do wyspiarskiego stylu – bermudy i klapki, typowy biurowy strój na Key West.

Podprowadził nas do stołu, gdzie były ustawione małe kuwety wypełnione jakąś cieczą, szczelnie zamknięte kolorowymi pokrywkami. Otworzył jedną z nich, w środku leżał trójkątny przedmiot, cały pokryty szarą skorupą, jakby koralowcami albo kamieniem.



John ze zdjęciami jeszcze niezidentyfikowanych przedmiotów wydobytych dzień wcześniej z wraku

– To jest prochownica z Atochy, żołnierze nosili w nich proch do muszkietów. Wyciągnęliśmy ją przedwczoraj. Jak widzicie, cała jest pokryta warstwą soli i martwych organizmów, ma trochę kamienia, jakieś muszle. Trzymamy ją w morskiej wodzie, bo jeśli wyschnie, sól się skryształizuje i rozsadzi materiał.

John zachęcił mnie do wyjęcia z wody artefaktu. Niepewnie sięgnąłem do kuwety i poczułem pod palcami szorstkość czterystu lat spędzonych pod wodą. Delikatnie wyjąłem prochownicę i przyjrzałem się jej z bliska. To było coś nieprawdopodobnego. Trzymałem w rękach przedmiot, który spędził czterysta lat pod wodą, zagrzebany w piachu. To był świadek sztormu, który zatopił Atochę.

Może ta prochownica należała do któregoś z przerażonych żołnierzy? Może cisnął ją na pokład, bo zawadzała mu, gdy w panice próbował przywiązać się do masztu, który i tak niebawem miał pęknąć z trzaskiem i zwalić się do morza, ciągnąc nieszczęśnika za sobą? Aż usłyszałem huk fal i wrzaski na pokładzie, który rozpadał się na kawałki.

John kontynuował wyjaśnienia, dźwięki sztormu odpłynęły gdzieś, niknąc powoli, aż został tylko szum wentylatora i cichy syk bąbelków w rynnach do elektrolizy.

– Zaczynamy od zdjęcia wierzchniej warstwy zanieczyszczeń. Używamy narzędzi, które przypominają instrumenty dentystyczne. Małe wiertła, pilniki, zgłębniki i tak dalej. W ciągu kilku dni zostanie tylko metal i drewno. Potem... – John zrobił dwa kroki do dużego zbiornika na środku – artefakt trafia tu. Przykładamy mały elektryczny ładunek, przedmiot spędza tu kilka miesięcy i powoli redukuje. Jony soli stopniowo ściągane są do anody i katody, co parę tygodni zmieniamy roztwór i czekamy, aż z takiej prochownicy wypłynie cała sól, jaką zaabsorbowała pod wodą.

W sali stało z dziesięć takich zbiorników, wszystkie były poznaczane żółtymi fiszkami.

– A gdy skończy się ten proces, przedmiot wygląda mniej więcej tak – John podniósł ze stołu za sobą długi sztylet i podał mi go.

Z największą trudnością opanowałem chęć, by podskoczyć z radości i zacząć cieszyć się jak dziecko. Czułem się, jak gdybym został przypadkiem zamknięty na noc w muzeum i wreszcie mógł bez

przeszkód bawić się zawartością gablot, którą za dnia można tylko podziwiać przez szybę.

Sztylet był piękny, z długą, smukłą klingą i zdobioną rękojeścią. Jelec chroniący dłoń fechtmistrza był uzupełniony dwoma zawiniętymi obłękami dodającymi całości elegancji i finezji.

– Też siedemnasty wiek, jak wszystko z Atochy – wyjaśnił John. – Po budowie można przypuszczać, że to produkcja...

– Toledańska – wszedłem mu w słowo.

– Tak jest, widać po ażurowych obłękach. Ma trochę ponad pół metra, dziwny rozmiar. Nieco za długi na *stiletto*...

– ... i za późno na mizerykordię. Może to broń dla dziecka?

– Może. Będziemy to badać.

Niesamowite uczucie, niesamowita praca. Jak zagłębienie w dawno wyrwane kartki kalendarza. Można snuć domysły, szperać w starych dokumentach, kojarzyć fakty. To jest jak praca detektywa, ale rozwiązującego sprawy nieruszane od czterystu lat.



Kaczor podniósł leżące na stole zdjęcie rentgenowskie i spojrzał na nie pod światło.

– Czasem sprawdzamy, co jest w środku, bo zdarza się, że po kształcie trudno się zorientować. – John podszedł do niego.

Na kliszy było widać wyraźnie jasne kontury rapierów. Ułamane głównie, wygiętą rękojeść, kilka kształtów, które trudno było rozpoznać. John wyminął nas i przeszedł do następnego pomieszczenia. Przez drzwi poinformował zapraszająco:

– A tutaj mamy już odczyszczony muszkiet.

Kaczor odłożył film i przeszliśmy do drugiego pokoju. John trzymał w rękach poczerniałą od wody długą czarną rurę, która kiedyś musiała być jakimś arkebuzem albo rusznicą. Trudno mi się jednak było skupić na detalach, nie mogłem się powstrzymać od ciągłego zerkania na inny przedmiot, leżący obok na niebieskim, przemysłowym stole, ot tak, po prostu, na wierzchu. John zauważył moje zainteresowanie i przerwał wykład.

– Śmiało, obejrzyj – powiedział.

Na stole tuż obok mnie, w ponurym świetle zbyt słabych żarówek, błyszczało żywe srebro. Wielka jak cegła sztaba kruszcu, kawałek najprawdziwszego skarbu z Atochy, na wyciągnięcie ręki. Pochyliłem się ostrożnie, oniemiały z wrażenia. Ingot był porowaty, odrobinę nadgryziony zębem czasu. Na powierzchni widniały wyraźnie odcisnięte symbole. Duży, stylowy monogram AR, a obok wybite litery ULXX i coś jeszcze, już nieczytelne. Prawdziwy, stary skarb. Nie miałem odwagi go dotknąć.

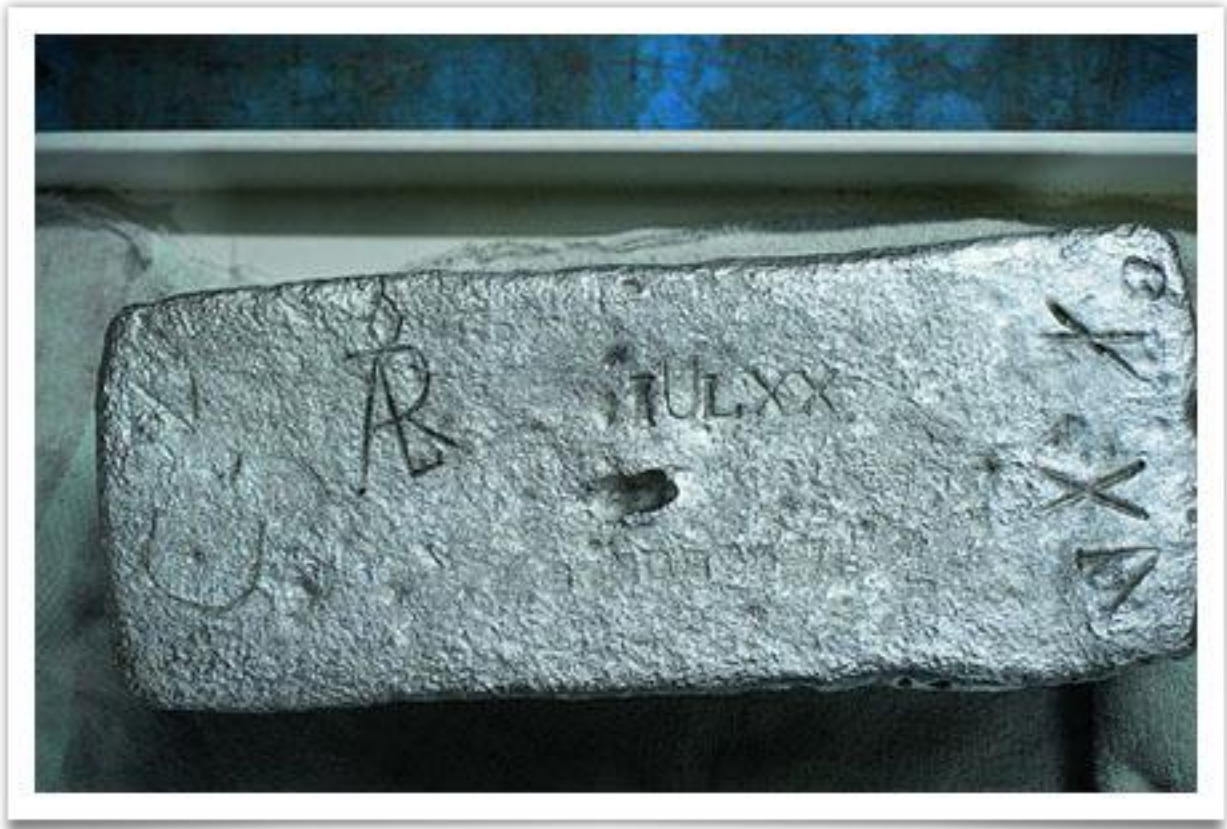
– Mamy tu taki konkurs, może chcecie wziąć udział. Jeśli dasz radę podnieść ją jedną ręką, jest twoja – odezwał się John.

Myślałem, że żartuje, ale najwyraźniej mówił zupełnie poważnie. Popatrzyłem na Kaczora, który z oczami wielkości pięćzłotówek kiwał głową uradowany, dopingując mnie do tego testu.

Zastanawiałem się, gdzie może być haczyk, ale nic nie przychodziło mi do głowy. Cegła tej wielkości ważyłaby kilogram, może dwa. Srebro jest cięższe, ale co tam, niech waży nawet pięć razy tyle, nadal to najwyżej dziesięć kilo. Jeśli nie było przytwierdzone do



stołu śrubami, wrócimy do domu ze sztabką.



Spojrzałem jeszcze raz na Johna, żeby się upewnić – skinął głową zapraszająco. Podciągnąłem rękaw koszuli i ostrożnie objąłem palcami kawałek kruszcu. Potem trochę odważniej, aż w końcu chwytałem już z całej siły i ciągnąłem całą mocą, wszystkim, co miałem, byle tylko unieść sztabkę choćby o centymetr, żeby chociaż drgnęła.

Srebrny ingot nawet nie ruszył się z miejsca.

John wybuchł głośnym śmiechem.

– Nikomu się jeszcze nie udało, nie przejmuj się.

Ta sztabka srebra wielkości cegłówki ważyła pięćdziesiąt pięć kilogramów. Na pokładzie Atochy takich sztabek było ponad czterysta.

– BYLIŚCIE JUŻ w laboratorium?

– Tak jest.

– To chodźcie ze mną.

Sharon była pierwszą kobietą, jaką tu spotkaliśmy. Mieliśmy się



do niej zgłosić, żeby podpisać stosowne dokumenty. Wszystkie firmy poszukujące skarbów bardzo poważnie podchodzą do kwestii zabezpieczeń. Każdy, kto w nich pracuje, musiał przejść testy na obecność narkotyków i policyjny wywiad środowiskowy, regularnie sprawdza ich też FBI. Gorączka złota nie jest tu jakimś abstraktem, to jest problem, z którym trzeba sobie radzić cały czas. Gdy ludzie wystarczająco długo patrzą na srebro i złoto, prędzej czy później zaczynają mieć głupie pomysły. Zazwyczaj sprowadzają się one do przygarnięcia nadprogramowej porcji poza regulaminem, w taki czy inny sposób.

Jest tylko jeden lek na gorączkę złota – mieszanka strachu i poczucia lojalności. W firmach takich jak Mel Fisher's Treasures nie ma najemników, są poszukiwacze skarbów. Za tydzień pracy nurkowie dostają w sumie psie pieniądze, po trzysta dolarów. Natomiast każdy z nich ma zapewniony udział w skarbie, który znajdują, i to jest ich właściwe wynagrodzenie.

Raz w roku organizowany jest „tydzień podziału”. Całe srebro i złoto wydobyte podczas ostatnich dwunastu miesięcy rozdzielane jest pomiędzy inwestorów i poszukiwaczy wedle niezwykle skomplikowanego algorytmu. Każdy z poszukiwaczy jako dodatek do tej marnej pensji dostaje więc też srebrne monety, puchary czy łańcuchy, w uczciwych proporcjach i na przejrzystych zasadach. Dlatego gdy ktoś coś sobie przywłaszcza, okrada swoich kolegów, a nie jakiegoś anonimowego krwiopijcę pracodawcę. To w połączeniu ze wspólną pracą w niebezpiecznych warunkach buduje silną więź, poczucie lojalności, konieczne zaufanie, jak w wojskowym oddziale.

Mimo to gorączka złota co jakiś czas dopada któregoś z nurków. Tak jak mówił Tony, złoto ma niesamowitą zdolność zmieniania ludzi uczciwych w nieuczciwych. Trzy lata temu jeden z pracowników firmy wyciągnął z dna ponad trzydzieści pereł i schował je do kieszeni kurtki, zamiast złożyć do wspólnego podziału. Każda perła była warta dziesięć tysięcy dolarów, miał w tej kieszeni mały majątek.

Minęło kilka dni i wyrzuty sumienia żarły go tak strasznie, że po prostu musiał się komuś wygadać. W największym zaufaniu powiedział o tej sprawie swojemu bratu, który również pracował w MFT, choć z

inną załogą.

Jego własny brat bez mrugnięcia okiem wydał go policji.

Następnego dnia o świcie FBI wparowała do domu nurka z bronią gotową do strzału, wśród krzyków i dzwonienia kajdanek.

Wyprowadzili go w samych majtkach i przeszukali mieszkanie, szybko znajdując perły. Groziło mu piętnaście lat w więzieniu federalnym, za *grand theft*, najpoważniejszy rodzaj kradzieży.

W ostatniej chwili Fisherowie wycofali zarzuty. Uznali, że po tylu latach uczciwej pracy dopadła go gorączka złota, której prawie nie można się oprzeć.

SHARON PODAŁA MI PLIK PAPIERÓW do wypełnienia i obejrzała bez większego zainteresowania moją licencję nurkową. Siedzieliśmy w sali konferencyjnej, gdzie wcześniej widzieliśmy się z Seanem.

– Wypłyniemy jutro około dziewiątej, zabiorę się z wami, długo już nie byłam na wodzie.

Sharon wstała z fotela i podeszła do schematu na ścianie. Jej rude włosy wyraźnie kontrastowały z białą koszulką na samych ramiączkach, spod której wysypywały się setki piegów.

– Gdzie będziemy jutro pracować? – spytałem.

– Tu – Sharon puknęła palcem w mapę. – Mniej więcej w tym miejscu straciliśmy ślad i eksplorujemy okolice, żeby go odnaleźć. Tam leży jeszcze sto tysięcy monet, góra szmaragdów, skrzynie ze złotem i nie wiadomo ile kontrabandy. Gdzieś to wszystko musi być.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy, patrząc na mapę.

– Jak znaleźliście to miejsce? Przypadkiem? – spytałem.

– Przypadkiem? W tej branży nie ma przypadków – odpowiedziała Sharon, wracając do stołu. – Mieliśmy genialnego researchera, doktora Eugene’a Lyona. Przesiedział w archiwach w Sewilli z dziesięć lat, przeglądając *legajos*, takie stare dokumenty, które Hiszpanie zwieźli tam pod koniec osiemnastego wieku. Stopniowo zawęził obszar poszukiwań, tłumaczył kolejne relacje rozbitków i ekipy poszukiwawczej mającej odnaleźć Atochę. Co jakiś czas dzwonił z informacją, że znalazł coś ciekawego i wtedy łodzie zmieniały kierunek. Tylko dzięki tym dokumentom i jego pracy trafiliśmy na „bank Hiszpanii”, główny

ładunek Atochy. Bez niego moglibyśmy pływać w kółko do dziś. Dokumentacja jest ważniejsza niż same poszukiwania.

Wróciłem do wypełniania papierów, Kaczor też skrobał długopisem po swoim egzemplarzu. Obaj skończyliśmy i oddaliśmy pliki Sharon, która przejrzała je pobieżnie.

– No, to chyba tyle, jeśli chodzi o przygotowania... – Sharon nagle urwała i podniosła do góry palec, najwyraźniej wpadł jej do głowy jakiś pomysł. – Pokażę wam jeszcze coś. Myślę, że będziecie chcieli to zobaczyć.

Zniknęła za drzwiami i wróciła po chwili z pękiem kluczy. Jednym z nich otworzyła wielką pancerną szafę stojącą w kącie i wyjęła z niej czarną kasetkę. Zatrasnęła stopą drzwi sejfu i podeszła ponownie do naszego stołu, kładąc na nim tajemniczą skrzynkę.

– Gotowi?

Sharon uchyliła wieko. Obaj z Kaczorem mimowolnie aż wstaliśmy z foteli.

W środku leżał skarb – kuferek był pełny złotych łańcuchów, monet i szmaragdów.

Jak z książki.

Ale prawdziwy.

– To jest jakaś jedna stutysięczna tego, co znaleźliśmy. Możecie sobie wyobrazić, jak musiało wyglądać dno, gdy Mel wskoczył wtedy do wody.

– I... Ile to jest warte?

Sharon zaczęła wyciągać po kolei różne przedmioty, podając nam je, jakby to były świecidełka, a nie siedemnastowieczne złoto.

– Ten łańcuch pewnie z trzysta tysięcy, dysk z dwieście pięćdziesiąt. Taka sztabka prawie dwieście... A tego złotego ingota Mel używał do mieszania rumu.

Sharon podała mi kawałek złota grubości palca, długi na piętnaście centymetrów. W błyszczącej powierzchni odcisnięte były królewskie pieczęcie i kilka symboli określających wagę i pochodzenie sztabki.

Ręce trzęsły mi się z wrażenia. Trzymałem w dłoniach prawdziwy skarb, złoto z siedemnastego wieku wyciągnięte z galeonu, który zatonął podczas sztormu. Dotykałem historii, która działa się czterysta lat temu,

a miałem ją przed sobą, żywą. Z namaszczeniem podnosiłem kolejne bezcenne znaleziska. Gruby złoty łańcuch ciążył w dłoniach. Spojrzałem na jeden ze szmaragdów pod światło, po twarzy przebiegły mi zielone refleksy. Zerknąłem na Kaczora, który zafascynowany zapomniał nawet żartować. Oglądał z bliska monety i złoty dysk ważący z półtora kilograma.



W tej jednej chwili zrozumiałem, czemu oni wszyscy mówią, że gdy zaczniesz szukać skarbów, nigdy już nie będziesz w stanie przestać. To było coś więcej niż podniecenie, nigdy nie przeżyłem nic nawet w połowie tak intensywnego. Ogarniało mnie obezwładniające uczucie. Czułem, jak mnie to wciąga, jak otwiera się przede mną ukryty świat, o którym myślałem, że nie istnieje. Że historie z kart powieści Stevensona są prawdziwe, że zaraz wyjdę przez drzwi, a tam nie będzie już przystani, motorówek i turystów w sandałach. Że zobaczę fort i łopoczące flagi, a na horyzoncie bując się będzie szkuner o czarnych

żaglach. Będę stał boso, w lnianych bermudach i z przepaską na głowie. Wrócę na okręt w cieknącej łódce, gdzie kapitan z drewnianą nogą, strasząc brązowymi pieńkami zębów, wrzeszczał będzie o stu tysiącach beczek rumu i poganiał załogę najgorszych łotrów, jakich nosi ziemia. I będziemy pływać, i śpiewać, i łupić królewskich strachliwców. A w chwilach złości przeciągniemy kogoś pod kilem albo przynajmniej wyślemy na spacer po desce. Załoga będzie wtedy wrzeszczeć z uciechy, tupać i walić nożami o nagle.

Złoto ma w sobie coś magicznego, coś, czemu nie można się oprzeć.

Sharon zaczęła zbierać przedmioty do szkatułki, przypominając nam jeszcze raz, gdzie i o której godzinie mamy się zjawić następnego dnia.

– Magruder dawał dziś znać, że są o jeden dzień od znalezienia czegoś dużego – powiedziała na koniec. – Wyśpijcie się dziś dobrze, chłopaki.

Wiedziałem, że to niemożliwe. Tej nocy nie będę w stanie zmrużyć oka.



RANKIEM NASTĘPNEGO DNIA wjechaliśmy na teren przystani jachtowej na północnym krańcu wyspy. Sharon czekała na nas przy pięknej siedmiometrowej łodzi, którą mieliśmy dopłynąć do Magruder. W kokpicie krzątał się jakiś mężczyzna koło czterdziestki.

– Shawn Cowles – przywitał się, ściskając nam dłonie. – Wszystko macie?

Kiwnąłem głową, wskazując torbę ze sprzętem nurkowym.

– No to nie ma na co czekać.

Zapakowaliśmy się do łodzi. To była szybka, zadaszona motorówka, stająca dęba, gdy sternik ostro przyspiesza. Po chwili ciszę poranka zmaćcił niski baryton odpalanych silników, który poderwał do lotu pelikany obsiadające mola przystani. Minutę później Shawn upewnił się, że mamy gdzie siedzieć i czego się trzymać, po czym

jednym ruchem manetki dał upust mocy pięciuset koni ukrytej w dwóch motorach za rufą. Dziób łodzi podniósł się lekko i pomknęliśmy po przezroczystych jak szkło wodach wokół Florydy, wśród tropikalnych wysepek i turkusowego morza, zostawiając za sobą biały ślad, znikający po chwili.

Do filmowości tej sceny brakowało tylko muzyki, jakiegoś kubańskiego numeru El Gran Combo, w którym słyhać byłoby słońce i buzujące karaibskie życie. Stałem, trzymając się relingu, i patrzyłem, jak pędząca motorówka obsypuje morze bryzgami wody. Był piękny dzień, słońce zmieniało lustro wody w miliony mieniących się świecidełek. Na niebie nie było ani jednej chmury. Piękne lato, takie jak w filmach o gliniarzach z Miami. Pędziliśmy w stronę horyzontu, coraz dalej od wyspy, po płytkiej wodzie, w której widać było mozaikę dna.

Wiedziałem, ilu ludzi płynęło tak jak ja, też opuszkami palców czując zbliżającą się fortunę, i ilu wróciło potem bez grosza do domu, jeśli mieli jeszcze dom. Pamiętałem Tony'ego i jego przestrogi wypowiedane znad okularów. I minę Corka, gdy wracał wspomnieniami do swojej celi w Wietnamie, gdzie zaprowadziło go dokładnie to samo uczucie. Wiedziałem, jak to się kończy i ile można stracić, że to hazard i gra, w której nie można wygrać. I wiedziałem, że oto stawiam pierwsze kroki na drodze, na końcu której czekają same nieszczęścia.

A mimo to nie mogłem się powstrzymać, po prostu musiałem spróbować. Magia skarbu w zatopionym galeonie. Okupiona krwią przeklęta fortuna, której nikt nigdy nie potrafił się oprzeć.

**PRZEKLETA**, bo nikomu nie przyniosła szczęścia. To było prawdziwe złoto głupców. Nurkowie, którzy odnaleźli skarb Atochy, też do nich dołączyli. W dniu, kiedy odkryli główny ładunek galeonu, na łodzi wybuchło szaleństwo. Poszukiwacze wskakiwali do wody i wyciągali na pokład garście skarbu. Nie słuchali wezwań archeologów, ich próśb, nie słuchali rozkazów przez radio, nakazujących natychmiastowe przerwanie operacji. Wracali pod wodę raz za razem, ogarnięci gorączką, z oczami zaciągniętymi mgłą. Przestały się liczyć zasady, przestało się liczyć cokolwiek. Jedyne, co widzieli, to skarb, którego szukali szesnaście lat.

Gdy pod wieczór padli ze zmęczenia, na pokładzie ich łodzi

Dauntless leżało siedem ton srebra.

Dużo później każdy z nich otrzymał należną mu porcję skarbu. Wywozili go do banków taczkami, niektórzy ciągnęli płócienne worki wypełnione srebrem i złotem. Jednak gdy zgasły światła telewizyjnych kamer i przestały błyskać flesze, skarb zmienił się w złoto głupców.

Poszukiwacze wrócili do domów i na własną rękę zaczęli wyprzedawać swoje artefakty. Z przerażeniem odkryli, że wrażliwy rynek antykwaryczny zalała fala siedemnastowiecznych ozdób, starych hiszpańskich monet, ingotów i szmaragdów. Ceny poleciały na łeb na szyję, nurkowie sprzedawali bezcenne przedmioty za ułamek ich wartości, żeby mieć na opłacenie rachunków i jakoś przeżyć kolejny miesiąc.

Do ich drzwi zaczął pukać urząd podatkowy, który na podstawie zeznań wyliczył należne państwu procenty. Małżeństwo niemal od początku biorące udział w poszukiwaniu Atochy dostało od urzędu wezwanie do zapłaty sześciuset tysięcy dolarów podatku, choć oboje nie byli w stanie uregulować nawet rachunku za prąd. Najcenniejszym przedmiotem, jaki mieli w swojej porcji skarbu, był olbrzymi szmaragd wyceniony na blisko pół miliona. Tylko za niego mieli zapłacić urzędowi dwieście czterdzieści pięć tysięcy. Sprzedali go w końcu za mniej niż wynosił podatek, który mieli za niego odprowadzić.

Większość poszukiwaczy czuła się okradziona i wykorzystana. Siedzieli w swoich ciasnych mieszkaniach albo obskurnych motelowych pokojach na bezwartościowych workach skarbu. Mieli w rękach upragnioną fortunę, która przyniosła same nieszczęścia.

Wielu zalewało problemy alkoholem, jeden swoje srebrne trzysta tysięcy zamienił na kokainę i wciągnął całość nosem w ciągu roku. Żaden z poszukiwaczy nie wiedział, jak sobie poradzić emocjonalnie. Tak długo szukali tego skarbu, że gdy już go znaleźli, stracili w życiu cel. Czuli się puści w środku, nie wiedzieli, co ze sobą zrobić. Chodzili nocami po ulicach, szukali guza w barach. Coraz bardziej staczali się w nicość.

Przeklęta fortuna.

ŁÓDŹ PODSKAKIWAŁA na niewielkich falach, z łoskotem bijąc dnem w wodę. Sharon opalała się, siedząc na rufie. Shawn w skupieniu



sterował, skryty za ciemnymi okularami i czapką z daszkiem. Trzymając się relingu, przeszedłem do kokpitu i usiadłem obok.

– Podekscytowany? – spytał.

– Nie musisz chyba pytać.

– Prawda, nie muszę. Wszyscy są tak nakręcenii za pierwszym razem.

– Dziwisz się?

– Absolutnie nie. Pracuję przy wraku Atochy już prawie dwadzieścia lat i za każdym razem, gdy znajduję coś na dnie, mam dokładnie to samo uczucie. Zobaczysz, skacze adrenalina, wpadasz w euforię. Nie da się tego wyjaśnić. Gdy raz coś znajdziesz, nigdy już nie będziesz w stanie robić w życiu nic innego. – Spod dziobu bryznęła biała piana, łódź zwała się z hukiem na kolejną falę. Silniki pruły wodę. – Tutaj nigdy nie wiesz, kiedy coś znajdziesz – kontynuował Shawn. – Kiedyś odebrałem telefon z jakiegoś kutra do połowu krewetek, mówili, że wyłowili w sieciach drewno i może chcielibyśmy je obejrzeć. Zebrałem chłopaków i popłynęliśmy do nich. Zeszliśmy na dół, a tam leżał El Cazador, bryg z osiemnastego wieku pełny srebrnych monet, które płynęły z Luizjany do Hiszpanii.

– Dziwisz się, że tu jest tylu poszukiwaczy, gdy stale słyszy się takie historie? – skwitowałem.

– Ani trochę. Nawet mój sąsiad przymocował do małej łodzi sonar i coś tam dłubie po godzinach. Dlatego jak coś znajdziesz, trzymasz gębę na kłódkę. Bo tu jest zbyt wielu ludzi, którzy taką wiedzę potrafią wykorzystać.

– Sharon twierdzi, że bez researchu nie da się nic znaleźć.

– Ma sporo racji – odpowiedział Sean. – Patrz, my mieliśmy ludzi w Sewilli, którzy pracowali na okrągło, dostęp do dokumentów, relacje wszystkich rozbitków, a i tak znalezienie Atochy zajęło nam szesnaście lat. Rozejrzyj się dookoła, to jest cholernie wielki ocean. Połowa sukcesu to wiedzieć, gdzie wrak nie leży.

– Domyślam się, że nie dajesz swojemu sąsiadowi większych szans?

– Nie bardzo – Shawn cmoknął kącikiem ust i pokręcił głową. – Mamy na piętrze taki katalog, nazywamy go Archiwum Biegania Bez

Sensu. Wsadzamy tam rewelacje wszystkich ludzi, którzy do nas przychodzą, twierdząc, że mają wiedzę o jakimś wraku i chcą ją sprzedać.

– Cokolwiek się sprawdziło? – spytałem.

– Nie bardzo. Część z nich to zwyczajni wariaci. Większość ich informacji już na pierwszy rzut oka nie trzyma się kupy. Czasem trafi się coś ciekawego, ale rzadko.

Tymczasem podszedł do nas Kaczor. Stał przy wejściu, trzymając się mocno barierki nad głową i przysłuchiwał się rozmowie. Shawn kiwnął mu głową na powitanie.

– Jak już dopłyniemy, starajcie się nie przeszkadzać. To jest zgrana ekipa, głównie byli wojskowi z Navy albo straży przybrzeżnej. Mają swój rytm i nie znoszą, jak im się go zakłóca. Więc starajcie się wpasować jak najszybciej. Czasami się zdarza, że odsyłamy ludzi do domu tylko dlatego, że nie pasują do zespołu.

– Jasna sprawa – odpowiedziałem.

Sean mówił głośno, by przebić się przez huk silników.

– Gdy już będziecie w wodzie, miejcie oczy dookoła głowy. Śruba cały czas będzie chodzić, łatwo jest dać się wciągnąć. Straciliśmy tu już młodego chłopaka w ten sposób, innym obcięło rękę albo nogi – Sean relacjonował sucho, jak gdyby opowiadał przebieg meczu. – Po powierzchni mogą pływać motorówki, więc nie wyląźcie na ślepo. Jeśli dostaniecie się pod wyciąg do czyszczenia dna, wyrzuci was na powierzchnię w sekundę, nie będzie nawet czego zbierać. Poza tym dziś jest sporo meduz, uważajcie na nie, to są paskudne cholerstwa. Czasem mogą też podplynać rekiny rafowe, nie przejmujcie się nimi. Będą tylko ciekawskie, nic wam nie zrobią. Generalnie jednak nikt się nie będzie wami opiekował, jesteście zdani na siebie.

Kaczor podrapał się po głowie z niewyraźną miną.

– A dostaniemy rękawki?

Shawn wybuchł śmiechem. Potem osłonił dłonią oczy i wskazał palcem coś przed dziobem.

– No dobra, panowie. Widzicie tę kropkę na horyzoncie? To Magruder. Szykujcie się.

Wróciliśmy chwiejnie na rufę, łódź wciąż pędziła, tnąc wodę.

Upewniłem się, że nasze rzeczy są zawiązane w workach. Przysiadłem na burcie.



Punkt na horyzoncie stopniowo się powiększał, aż urósł do rozmiaru dużego kutra z granatowymi burtami i białą nadbudówką. Statek stał na trzech kotwicach, trzymany naprężonymi linami. Na jednej przysiadło kilka mew, które wyglądały, jak gdyby ucinały sobie pogawędkę. Po pokładzie krzatali się ludzie.

Shawn zrzucił kotwicę w pobliżu statku i poprosił przez radio o transport na pokład. Po minucie od Magruder'a oderwała się mała łódź i zaczęła się do nas zbliżać. Słońce świeciło niemiłosiernie. Oślepiające refleksy tańczyły po wodzie.

– Piętnaście jardów na sterburcie! – usłyszeliśmy z daleka głos z pokładowych megafonów, a po nim echo szczęknięć i dzwonienia.

– Mamy sporo szczęścia – rzucił Shawn. – Piękna pogoda. Jak się robi ciemno i zaczyna wiać, to tu się dzieją takie rzeczy, że włosy stają

dęba. Wiecie, to jest to samo morze, które zatapiało hiszpańskie galeony. Nic się pod tym względem nie zmieniło.

– Bill. – Ręka zza burty wystrzeliła w moim kierunku. Jej właściciel stał w łódce z Magruderą, która przybiła do naszego boku, i oto bez zbędnych wstępów dokonywał prezentacji.

Uścisnąłem prawicę nieco w szoku. Gdybym obsadzał filmy o marynarzach, Bill zagrałby główną rolę. Potężnie zbudowany pięćdziesięciolatek, z mięśniami jak bochny chleba, ale i z piwnym brzuszyskiem. Nosił niemodny od dawna wąs i miał skołtunione włosy jak z lat siedemdziesiątych. Miał dwa tatuaże. Jeden na ramieniu – okrąg z wody i ognia. Drugi na piersi – serduszko z napisem „Mamusia”.

Przesiedliśmy się na starą łajbę Billa, a po chwili przybiliśmy do burty okrętu J.B. Magruder. Podaliśmy rzeczy, odebrały je anonimowe ręce na pokładzie, i wspięliśmy się po drabinie. Moim oczom ukazała się grupa ludzi, którą opisać można jedynie słowem „przedziwna”.

Załogę stanowili ewidentnie twardzi goście, tworzący razem zbiór niepowtarzalnych, kolorowych oryginałów. Wszyscy oprócz Billa mieli po trzydzieści, najwyżej trzydzieści pięć lat.

Jeden wyglądał na harleyowca albo może frontmana kapeli metalowej. Miał pomarańczowe włosy wygolone po bokach i ściągnięte do tyłu w kitkę. W uszach nosił czarne kolczyki w kształcie kółek, po jednej stronie jego szyi widniał wytatuowany wykrzyknik, a po drugiej znak zapytania. Stał w pełnej nurkowej piance i przyglądał nam się badawczo, ale bez większego przekonania.

Drugi przypominał wagabundę albo nowoczesnego pirata. Nosił pokaźną brodę i nieco za długie brązowe włosy przewiązane błękitną opaską. Oczy skrywał za ciemnymi okularami. Siedział bez koszulki rozparty na krześle ustawionym w pełnym słońcu i skubał zarost, patrząc na morze.

Trzeci wyglądał na surfera, w granatowych szortach za kolana i cienkiej, obcisłej koszulce firmy produkującej sprzęt dla maniaków sportów wodnych. Na łódce miał tatuaż dziewczyny z rozwianymi włosami w bikini, i opartej na desce wbitej w piasek plaży. Spojrzał na nas bez zbytniego zainteresowania i znikł w wejściu do nadbudówki.

Mówiąc szczerze, właśnie tak wyobrażałem sobie poszukiwaczy

zatonionych wraków – gości lubiących adrenalinę i wyzwania, którzy żyją szybko, umierają młodo i mają w dupie pracę na etat.

– Pięć minut! – rozległ się z głośnika trzeszczący głos.

Nurkowie podnieśli się leniwie z miejsc i rozpoczęli przygotowania do zejścia pod wodę.



Bill przed kolejnym zejściem pod wodę

Rozpoczął się rytuał powtarzany dziesiątki razy dziennie. Dwaj łowcy skarbów włożyli pianki i resztę sprzętu, z szafki wyjęli wykrywacz metalu, długą rączkę zakończoną okrągłą sondą, po czym zeszli po drabince do wody i czekali w niej na sygnał kapitana.

– Dobra, jedzicie – zaskrzeczał megafon.

Nurkowie zniknęli pod powierzchnią, zostawiając za sobą bąbelki powietrza.

Rozpoczęło się poszukiwanie skarbów.

ŻYCIE NA ŁODZI nie jest łatwe. Rozkładem dnia rządzi rutyna i

monotonia. Te same czynności powtarza się niezliczoną ilość razy. Je się w kółko to samo i śpi w jednej kajucie z piątką innych facetów, którzy chrapią, mlaszczą i sadzą przez sen baki. Pracuje się od świtu do nocy, dzień w dzień, w dwutygodniowych turach, na brzeg wracając tylko na dwa dni.

Trzeba nosić czterdziestokilowe kotwice, przeciągać sznury, mocować maszyny. W ciągu jednej chwili ciężki łańcuch może cię ściągnąć do wody, jeśli ktoś ubiegłej nocy przymocował go niedokładnie. Ciężka praca, jak w stoczni.

Magruder za każdym razem jest ustawiany w precyzyjnie określonym przez GPS miejscu i stoi nieruchomo przytwierdzony trzema kotwicami. Musi stać bezwzględnie w jednej pozycji, sztywno, mimo że morze buja i prąd ściąga go na wschód. Grube liny aż trzeszczą pod naporem sił, a jeśli pękną, mogą obciąć głowę. Dno przeszukuje się partiami, więc co jakiś czas trzeba przesunąć łódź o kilka metrów, nawijając liny na dwa ciężkie kabestany średnicy łokcia.

Z rufy łodzi zrzuca się do morza „skrzynki pocztowe”, urządzenia pompujące w kierunku dna słup wody, który wymywa w nim dziurę średnicy dziesięciu metrów i głębokości półtora. Lekkie drobiny piasku unoszą się w wodzie jak wielka żółta chmura i odpływają z prądem, a wszystkie nieco cięższe przedmioty, a więc również srebro i złoto, opadają ponownie na dno.





Gdy chmura piasku odpłynie, do wody schodzą nurkowie. Jeden omiata dziurę wykrywaczem metalu, drugi prowadzi badanie wizualne – przegląda wszystkie szpary i szczeliny, gdzie mogło się cokolwiek schować. Zwłaszcza klejnoty, których urządzenie nie wyczuje. Nurek z wykrywaczem porusza się metodycznie wzdłuż wirtualnych linii, by przeszukać dokładnie całe dno. Na koniec jego partner opłynie rant dziury i specjalną łopatą pogłębi ją jeszcze o kilkadziesiąt centymetrów, by wykrywacz przy drugim przejściu mógł „spojrzeć” nieco dalej. Jeśli nurkowie znajdą cokolwiek, zawsze zabierają to na pokład. Czasem bezkształtny kawałek koralowca kryje w sobie srebrną monetę.

Gdy poszukiwacze wyjdą na powierzchnię, statek jest przesuwany o kolejne kilka metrów i procedura powtarza się od początku. Znowu trzeszczące liny, upiornie ciężki kabestan i kolejna dziura w dnie.

I tak dzień w dzień, po dwanaście godzin na dobę.

– Dziesięć jardów na sterburtę! – odezwał się głos w megafonie.

Przy kabestanach stał Bill i Tim, ten z wykrzyknikiem na szyi.



Zaczęli mozolnie obracać urządzeniami, zmieniając położenie statku. Shawn nanosił na elektroniczną mapę położenie kolejnej dziury, którą właśnie przeczesali. Po drabince wyszło na pokład pozostałych dwóch nurków. Ryan, surfer, i drugi Tim, brodac.

– Nic – rzucili krótko.

– Właśnie dlatego to się nazywa „szukanie”, a nie „znajdywanie” skarbów – skomentował Shawn, nie odrywając wzroku od ekranu.

Magruder łagodnie bujał się na falach w południowym, ostrym słońcu. Po horyzont w każdym kierunku tylko błękit wody, na niebie ani jednej chmury. Upał. Na pokładzie leniwość przetykana pracą.

Tim usiadł obok i zaczął zdejmować piankę.

– Prąd się pojawił, nawet niezły. Weź więcej balastu – powiedział.

Tim pracował kiedyś jako księgowy, na siedemnastym piętrze szklanego biurowca w Filadelfii. Podliczał ludziom podatki, przesiadywał w małym biurowym boksie i patrzył na zegar, odliczając upływające minuty. W końcu stwierdził, że tego nie zdierży. Rzucił pracę, spakował rzeczy i przeniósł się na Florydę, aby zatrudnić się w Mel Fisher’s Treasures. Zapuścił brodę, wyrzucił wszystkie garnitury, pija rum z colą i szuka pod wodą skarbów. Nie ma zamiaru nigdy wracać do tamtego życia.

– Ej, pokazywałem ci tę monetę, którą znalazłem?

– Ze trzy razy, Tim.



Tim Dirkes, eks-księgowy z Filadelfii

– O stary, ale to było uczucie... Mówię ci, patrzę, patrzę, no jak nic, srebro, chociaż całe czarne. Zacząłem się rozglądać, ale widać było na półtora metra, strasznie mętna woda, nikogo nie było w okolicy. Cieszyłem się jak dziecko, mówię ci, zacząłem tańczyć i śpiewać. Prawie się udusiłem, bo przestałem kontrolować tlen. Nigdy tego nie zapomnę.

Tim pracował na tej łodzi od ośmiu miesięcy. Moneta to było jego pierwsze znalezisko.

PRZY NADBUDÓWCE stał mały pojemnik z wodą morską, do którego nurkowie wrzucali wszystkie znalezione na dnie przedmioty. Jakies gwoździe, kilka monet, parę większych, nierozpoznanych jeszcze elementów. Srebrny real Tima też tam leżał, oblepiony tlenkiem srebra i kawałkami muszli. Znalazł go, ale nie mógł go zatrzymać. Całość trafiała do wspólnego skarbca. Jego zawartość podzielią pod koniec roku.

Kabestany zaczęły się obracać, skrzypiąc. Naprężone liny jęczały,

zmuszone do przesuwania łodzi o kilka metrów na północ. Od strony rufy doszedł mnie warkot silnika, „skrzynki pocztowe” zaczęły czyścić dno. Podszedłem do burty. W wodzie już unosiła się mlecznożółta zawiesina piasku wymywanego z dna. Tropikalne morze ciągnęło się we wszystkich kierunkach po horyzont. Jak można znaleźć w nim jeden, konkretny wrak? Przecież to jest prawie niemożliwe.

Mewy siedzące dotąd na linach poderwały się do lotu i krążyły wokół łodzi, pokrzykując. Biała farba łuszczyła się ze starości, odchodząc nieco od metalu. Zawsze myślałem, że łodzie poszukiwaczy to luksusowe jachty w kształcie dużych motorówek z chromowanymi relingami i błyszczącym nowością pokładem. Tymczasem Magruder był starą krypą, pewnie przerobionym kutrem. Przeciekał i trzeszczał, i rdzewiał wieczorami.

Shawn nadal siedział przy komputerze, Ryan oznaczał pozycję kolejnych dziur na wielkiej mapie w kajucie. Tim wrócił do skubania brody i opalania się na krześle. Bill czytał książkę. Na tej łodzi istniały tylko dwa stany – sprint i marazm, nic pomiędzy. Teraz załoga miała chwilę spokoju.

Przyglądałem się tej ekipie awanturników, skąd przyszli i dokąd zmierzają. Jak wszyscy inni, nie myśleli za bardzo o przyszłości, żyli chwilą i dbali, żeby była godna zapamiętania. Bill był kiedyś żołnierzem, ale od szesnastu lat pracował na Magruderze. To już było całe jego życie, nawet gdyby chciał, nie miałby do czego wracać.

Drugi Tim, ten z wykrzyknikiem na szyi, pracował wcześniej na platformach wiertniczych. Pływał w MFT od półtora roku, za jakiś czas pewnie przeniesie się gdzieś indziej, też bez większego planu, jak wyjdzie.

Shawn siedział w tym biznesie od dwudziestu lat, całe swoje dorosłe życie. Zdawał sobie sprawę, że skarby już go wciągnęły bezpowrotnie i nigdy nie będzie w stanie robić nic innego. Wzruszał na to tylko ramionami.

Teraz wszyscy siedzieli leniwie i cieszyli się słońcem gdzieś na morzu, kołysząc się wraz z łajbą nad wrakiem siedemnastowiecznego żaglowca. Wiedli życie, o jakim marzą inni, o jakim opowiada się historie, które zawsze wydają się zmyślane. Chyba byli szczęśliwi.

Pamiętałem dobrze słowa Tony'ego Tuckera, o wiele starszego od nich wszystkich. Przeszedł już tę drogę, którą oni teraz zmierzali. Mówił, że jeśli zamiast szacować ryzyko i liczyć koszty, myślisz: „Będę bogaty!”, to jesteś skończony, choć jeszcze tego nie widzisz.

Ciekawe, co myśleli ci goście, gdy wskakiwali do wody, ryzykując kolejny dzień życia jak pokerową stawkę.

Z NADBUDÓWKI wyszedł Ryan, trzymając sztywną tekturę z klipsem i kilkoma kartkami.

– Panowie, dziesięć minut. Uwaga, zespoły. W pierwszym Tim Duży i Shawn, w drugim Bill z Tomkiem.

Bill zafalował mięśniami na piersiach jak kulturysta i porozumiewawczo puścił do mnie oko. Zaczęliśmy się przygotowywać.

Serce waliło mi coraz mocniej. To nie było rekreacyjne nurkowanko, gdzie instruktor chucha na ciebie i dmucha. Łowcy skarbów łamali wszystkie regulaminy nurkowe, gwizdali na nie. Schodzili, jak im się chciało, i wychodzili tak samo. Nie było czasu na zazwyczaj obowiązkowe sprawdzanie sprzętu, jedyne, na co każdy rzucał okiem, to to, czy ma jeszcze choć trochę powietrza w butli.

# ŁOWCY SKARBÓW



Galeria

pomiń galerię





Odczyszczona moneta *ocho reales*, osiem reali, bita we wszystkich hiszpańskich koloniach w Ameryce. Na pokładzie Atochy było ich ponad sto tysięcy. Część z nich wciąż czeka na dnie



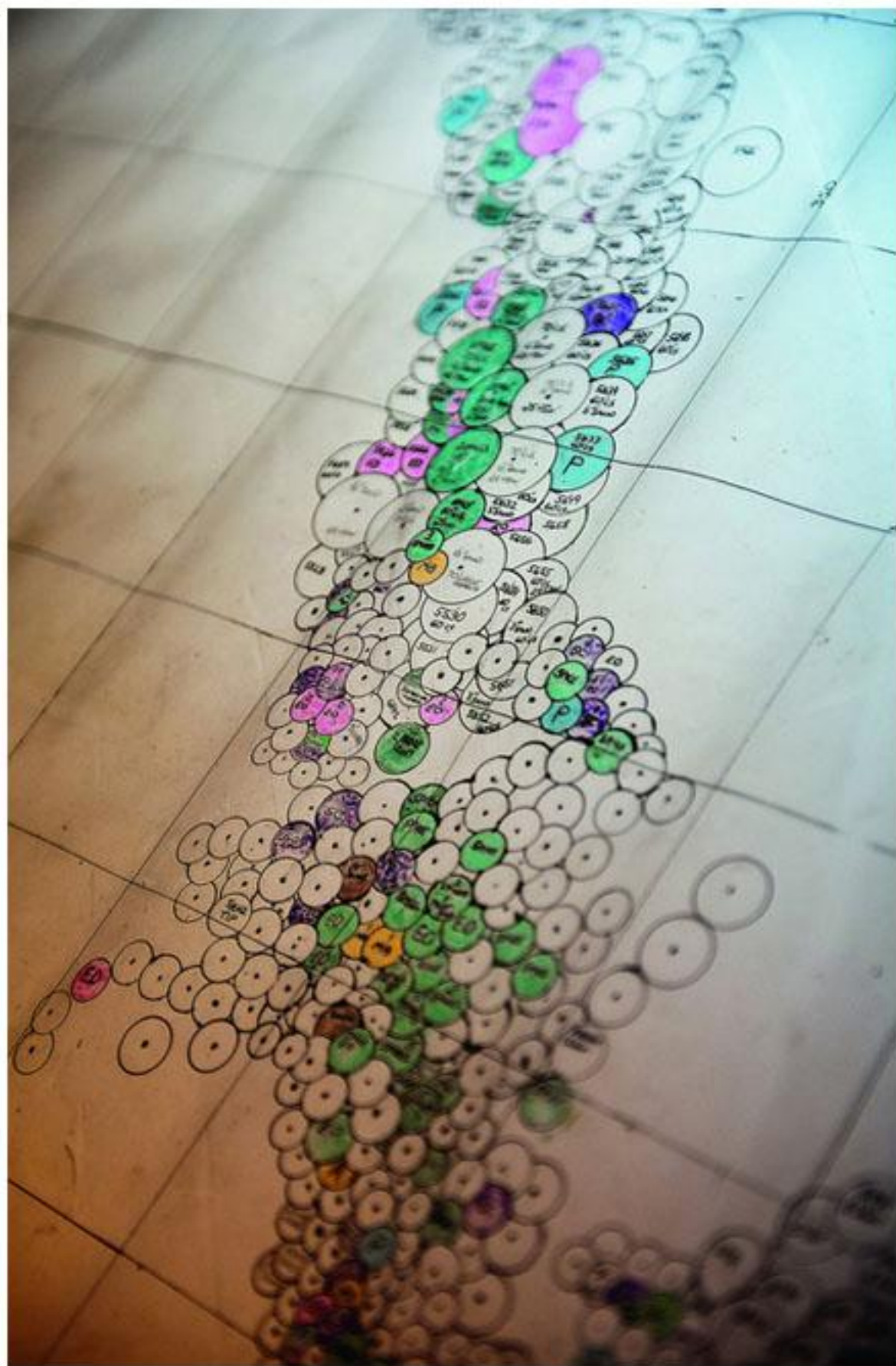




LightSpeed16 SYSTEM 0000  
EX: 15493  
Se: 8 SCOUT  
Im: 1

Jeden z etapów wielomiesięcznej procedury czyszczenia i  
identyfikowania artefaktów z Atochy – zdjęcia odkrywające zawartość  
kawałka bezkształtnej skały



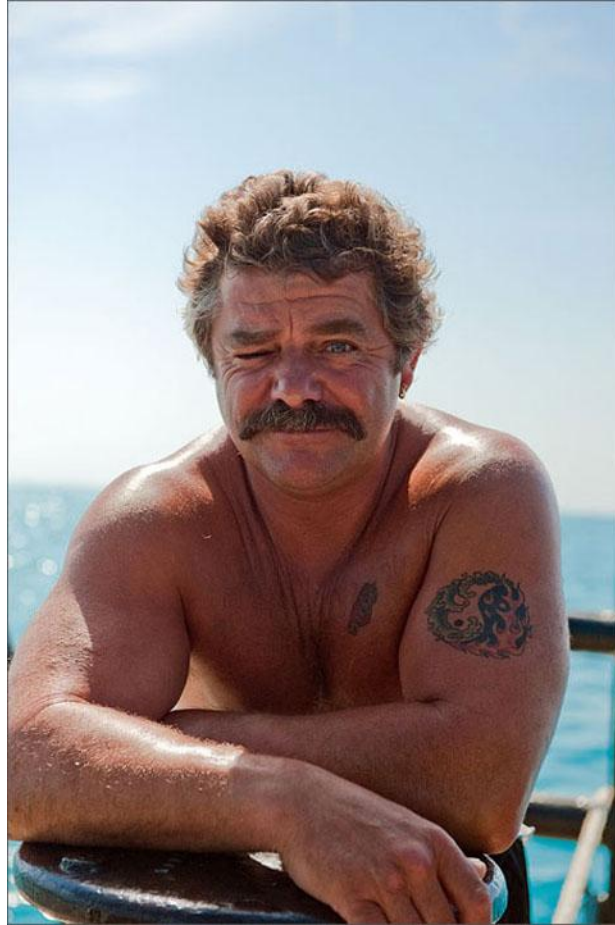


Mapa poszukiwań na pokładzie J.B. Magruder. Poszczególne kolory to znalezione przedmioty: srebro, złoto, antyki...



Sharon Wiley, jedna z niewielu kobiet w zespole MFT





Bill – archetyp marynarza i awanturnika z dawnych czasów. Były wojskowy, obecnie poszukiwacz skarbów na pełny etat



Chwila przed sygnałem do zejścia pod wodę. Przynajmniej dwadzieścia razy dziennie



Pierwsze znalezisko tego dnia, jeszcze niezidentyfikowane. W warstwie koralu może być ukryte cokolwiek. Po kilku dniach okaże się, że to puszka po sardynkach





Pojemnik ze wszystkimi artefaktami wydobytymi z dna. To akurat żelazny gwóźdź okrętowy. W XVII wieku w Ameryce byłby cenniejszy niż ważące tyle samo złoto

Bill bez większego zainteresowania zerknął na ciśnieniomierz. Kątem oka dostrzegłem, że wskazówka jest już prawie na rezerwie. Uznał, że wystarczy. Włożył resztę kombinezonu i nałożył kaptur. Tego dnia woda była podobno chłodnawa. Bill pływał na starym, wysłużonym sprzęcie, w zielonym „skrzydle” o wojskowym kroju, z ponaszywanymi emblematami jakiejś jednostki. Shawn zakładał błyszcząca nowością ekwipunek, najdroższy, jaki widziałem w życiu, sprzęt zawodowca.

Drżącymi rękami sprawdziłem swój zestaw, w myślach odhaczając kolejne punkty. Byłem coraz bardziej roztrzęsiony, udzieliła mi się lekka nerwowość. Wiedziałem, że zniknie, gdy znajdę się w wodzie, ale na razie w niej nie byłem. Za moment miałem przestać przyglądać się łowcom skarbów, miałem stać się jednym z nich.

Niech się dzieje, co chce, to jest ten moment.

Gdy nadszedł czas, stanąłem na burcie Magrudera i bez zastanowienia skoczyłem do morza, które zatapiało hiszpańskie okręty.









BŁĘKITNA TONÍ zamknęła się nad moją głową, tłumiąc dźwięki znad powierzchni. Ogarnęła mnie ta cudowna cisza, której można doświadczyć tylko pod wodą. Rozejrzałem się szybko i zobaczyłem, że tu także nikt nie traci czasu na procedury. Wszyscy już mknęli w dół, więc podążyłem za nimi, zostawiając za sobą szumiącą chmurę bąbelków powietrza.

Na piaszczystym dnie wyraźnie widać było wielką dziurę, którą mieliśmy przeszukać. Dziesięciometrowy dół o łagodnych zboczach. Widziałem jak Tim zostawia na środku marker i trochę sprzętu, jak po chwili uruchamia wykrywacz i zaczyna poruszać się wzdłuż pierwszej linii.

Dotarłem do dna i zacząłem robić swoje. Dno pod piaskiem wyglądało jak porowata skała z setką szczelin i zagłębień, gdzie mogły się ukryć małe przedmioty. Zacząłem przeglądać je wzdłuż rantu, zgodnie z instrukcją, oglądając dokładnie każdą wyrwę i wsadzając wszędzie dłonie. Za każdym razem puls przyspieszał na myśl, że w najbliższej szczelinie może coś znaleźć. Może monetę, może szmaragdy, może złotą spinkę. Sprawdzałem – pusto, ale adrenalina znowu skakała na widok następnego pęknięcia w skale. Podpływałem, żeby je sprawdzić, również było puste, ale kawałek dalej czekały już dziesiątki kolejnych.

Zrozumiałem, dlaczego to się nigdy nie kończy. Dlaczego można szukać skarbów przez całe życie. Podniosłem wzrok i powiodłem nim dokoła. Zobaczyłem setki szczelin w ziemi, a w każdej z nich mogło coś na mnie czekać. Szukanie skarbów może trwać wiecznie, bo wiara w szczęście nic nie kosztuje.

Machnąłem płetwą i zbliżyłem się do następnego zagłębienia. Coś błysnęło w słońcu. Serce nieomal wyrwało mi się z piersi.

– Mój Boże, będę bogaty.

<sup>[2]</sup> Wszystkie kwoty w tej książce będę przeliczał tak, aby liczby odpowiadały dzisiejszej wartości nabywczej danej waluty. W 1983 roku skarb Kidda był wyceniany na 16 milionów dolarów, dziś jest to dokładnie 35,4 miliona.

<sup>[3]</sup> W 1954 roku rozegrała się bitwa o Dien Bien Phu między siłami Viet Minh a Francuzami, która zakończyła okres kolonializmu w Wietnamie.

<sup>[4]</sup> Obecnie tak do niego nie mówi już nawet jego babcia Adelka.

<sup>[5]</sup> Bardzo ładna gra słów. Na tych tablicach jest napisane: „Don't mess with Texas”. *Mess* to „zadzierać”, ale też „bałagan”.

## MAPA MORSKA



Na mapie zaznaczono miejsca związane z poszukiwaniami skarbów. Kliknij w obrazek, aby dowiedzieć się więcej



## MAPA LĄDOWA



Na mapie zaznaczono miejsca związane z poszukiwaniami skarbów. Kliknij w obrazek, aby dowiedzieć się więcej

TATENDE





POD DRZEWEM stała, strzygąc uszami, pasiasta zebra. Jestem w Afryce.

Hermanus, Republika Południowej Afryki

– MÓJ BOŻE, będę bogaty.

Patrzyliśmy na wzburzone wody wokół Przylądka Dobrej Nadziei, które kryły setki wraków wylądowanych po burty skarbami. Brytyjskie, holenderskie i portugalskie galeony zatopione przed laty leżały gdzieś na dnie, czekając po cichu, aż je wyciągnę i wzbogacę się niepomierne, nie wysilając się przy tym zbytnio.

– Nie będziesz – odpowiedział Neels. – Gdyby dało się je wyciągnąć, to ja byłbym bogaty od dawna.

Neels Terblanche miał może czterdzieści lat, płowe włosy, rozchełstaną koszulę i widoczne na pierwszy rzut oka mięśnie ze stali. Poznaliśmy się przypadkiem, szukając informacji o galeonach wokół Przylądka, a skończyliśmy na nurkowaniu z uwielbianymi przez Neelsa żarłaczami białymi.

Był typem człowieka, który przestaje słuchać, gdy tylko ktoś mówi, że czegoś się nie da zrobić. Kiedyś na przykład przestał słuchać przyjaciół próbujących mu wytłumaczyć, że nie da się przepłynąć oceanu w pojedynkę, on jednak postanowił spróbować. Wsiadł na łódź, wlał do zbiorników dwieście litrów wody, zapakował jedzenie, a na maszcie zamontował antenę radiową. I ruszył z Kapsztadu, kierując się do Miami, na skos przez Atlantyk.

Antena przestała działać dwa tygodnie później, po pięciodniowym sztormie, po którym nadeszła makabryczna cisza trwająca kolejne trzy dni.

Dla zabicia czasu Neels zwariował.

Może od soli w powietrzu, może z nudów, a może ze strachu. Słyszał głosy, widział zorze polarne, nawet rozmawiał przez dwa dni z psem, który wziął się nie wiadomo skąd i towarzyszył Neelsowi podczas flauty, siedząc z nim w pełnym słońcu i merdając ogonem.

Gdy tylko zaczęło wiać, kapitan Terblanche zatańczył z radości na

pokładzie. A potem przewiązał się liną w pasie i krzyżąc na całe gardło, wyskoczył za burtę, zostawiając jacht na żaglach.

Dopiero gdy chłodna woda nieco go otrzeźwiła, zdał sobie sprawę, że być może nie uda mu się na jacht dostać z powrotem. Gdy to do niego dotarło, pruć już fale czerwoną od bólu twarzą, pędząc na napiętej linie jak za motorówką.

Wcześniej nigdy się jakoś nie zastanawiał, jak ciężkim zadaniem musi być wspięcie się na samych rękach po mokrym sznurze, gdy woda jest twarda jak beton, łódź gna, a lina ma dziesięć metrów. Do tej pory nie wpadło mu również do głowy, że za jachtem być może coś płynie, a jeśli płynie, to może być głodne. Neels przez dwie godziny wkładał całą swoją siłę w proces powracania na pokład, w czym wydatnie pomagało mu rosnące z każdą chwilą przerażenie. Na łódź wrócił niemal nieprzytomny z wyczerpania. Antena nie działała nadal.

Neels przepłynął w końcu ocean, choć schudł dwadzieścia kilo i prawie wpadł pod tankowiec. Od tamtej pory nie słucha, gdy ktoś mówi, że czegoś się zrobić nie da, ale za to słucha uważnie, gdy ktoś mówi, że coś jest niebezpieczne. I właśnie dlatego nigdy, ale to nigdy nie próbował się dobrać do wraków leżących w wodach wokół Przylądka Dobrej Nadziei.

– Wiesz, ile razy się zastanawiałem, jak się do nich dostać? – westchnął Neels. – Myślę o tym od trzydziestu lat. Ale to jest samobójstwo, chłopie. Nic z ciebie nie zostanie.

Popatrzyłem na postrzępione skały i białą pianę leniwie obmywającą brzeg. Na skałach stały eleganckie białe domki ze starannie wypielegnowanymi ogrodami. W oknach stylowe okiennice, na horyzoncie nieco mniej stylowy landszaft z zachodem słońca, a na brzegu zakochane parki. Widok przypominał Morze Śródziemne – południe Grecji albo Sycylię. Było tak ładnie, że nawet przez głowę przemknęła mi myśl, że mógłbym się tu osiedlić, gdy będę się zbliżał do emerytury.

Uroda okolicy sprawiała, że niezwykle ciężko było uwierzyć, iż to jest właśnie to miejsce, którego przez wieki tak bali się żeglarze.

A bali się go jak diabli.

Znacie ten przesąd, że gdy odpala się papierosa od świeczki, to

gdzieś na morzu ginie marynarz? No więc zazwyczaj ginie właśnie tu.

Tędy biegł Szlak Przypraw, dawniej najniebezpieczniejsza trasa żegluga świata, a Przylądek był jej najgorszym etapem. Dwanaście tysięcy mil do Indii i szesnaście tysięcy do Półwyspu Indochińskiego albo i jeszcze więcej do Chin czy Filipin. Potem rafy Andamanów i Nikobarów, monsuny i epidemie na pokładach.

Podróż do Azji Szlakiem Przypraw przy dobrej pogodzie trwała osiem miesięcy. Okręty, które ją przetrwały, płynęły potem do domu nawet dwa lata. Na tej trasie Portugalczycy tracili średnio połowę żaglowców. Były okresy, kiedy do domu nie wracał żaden statek, choć wpływało ich kilkanaście. Za każdym razem gdy okręt przybijał szczęśliwie do Lizbony, w całej Portugalii zaczynało się wielkie świętowanie.

Przez stulecia Przylądek Dobrej Nadziei był najgorszym koszmarem kupców i marynarzy. Przez stulecia stąd aż do Przylądka Igielnego rosło cmentarzysko wraków. Żaglowce roztrzaskiwały się o skały albo rozpadały w drzazgi na pełnym morzu, załogi tonęły, a skarby znikły bezpowrotnie w odmętach. Dno jest upstrzone szczątkami ruf i dziobów, a jakiś kabestan, rumpel czy inny bomkliwer z szesnastego wieku wydobyty na powierzchnię nie byłby tu szczególną sensacją.

Na Przylądku Dobrej Nadziei kompasy wariują i nie wiedzą, gdzie jest północ. Wiatry zrywają się i cichną bez ostrzeżenia. Na powierzchni wyrastają przedziwne, monstrualne fale, które łamią statki na pół. Od setek lat ludzie tu ginęli i giną, a morze zabiera wszystko i nic nie oddaje. Leży tu ponoć trzysta osiemdziesiąt wraków, a niektóre czekają na swoich odkrywców od sześciuset lat.

– Raz na jakiś czas pojawia się tu ekipa ze sprzętem. Myślą, że dadzą radę dostać się do któregoś wraku – kontynuował Neels, przekrzykując wiatr. – Nie przypominam sobie, by komuś się udało.

Nie udaje się, bo skarby leżą głęboko, nawet bardzo głęboko. Woda jest lodowata, a wiatry za silne, żeby w spokoju pracować choćby kilka dni w jednym miejscu. Wkoło pływają rekiny, głównie czterometrowe żarłacze białe. I te cholerne fale, niepodobne do niczego na świecie, wyrastające pionowo z morza, łamiące potężne fregaty jak zapalki. Koszty i ryzyko – dwa kryteria, które biorą pod uwagę wszyscy

inwestorzy, nawet na tyle stuknięci, żeby wkładać pieniądze w poszukiwanie skarbów. Na Przylądku Dobrej Nadziei oba czynniki osiągają najwyższe wartości.

A na skalistym dnie, w absolutnej ciszy i ciemności, leży majątek. Diamenty, złoto, srebro, rubiny. Antyki. Oficerskie muszkiety, sztylety, rapiery. Armatnie kule, kufry, szkatuły. I to w niewyobrażalnych ilościach. Gdzieś w tej ciemnej toni leży marzenie wszystkich poszukiwaczy skarbów, skrzynie z osiemnastowiecznego brytyjskiego Grosvenora, który w swoich ładowniach wiozł skarby wartości trzech milionów funtów.

Gdzieś obok spoczywa Santo Espirito, tajemnicza portugalska fregata, nieopisana w żadnych oficjalnych dokumentach, o której wiadomo jedynie tyle, że w głębokiej tajemnicy wiozła do domu chińską porcelanę z czasów dynastii Ming.

Bonaventura, Stavenisse, Santo Alberto, Idomene, Nossa Senhora de Belém, São Bento, São João...

I setki innych, o których prawdopodobnie nie ma żadnej wzmianki. Jeden z tych mitycznych skarbów wart był wtedy dwanaście milionów dolarów. Próbowałem przeliczyć w myślach dzisiejszą wartość wszystkich. Okazało się, że nie znam tak dużych liczb. Skarby przekraczające możliwości wyobraźni.

I do których nigdy się nie dostanę.

Neels zobaczył najwyraźniej moje rozczarowanie, bo poklepał mnie po ojcowsku po plecach, a potem rozejrzał się w obie strony i ściszył nieco głos, jak jakiś tajny agent z kiepskiego kryminału.

– Pozwól, że ci coś doradzę. – Spojrzał mi prosto w oczy. – To jest Afryka, a nie Karaiby. Tu skarbów nie szuka się pod wodą. Tu, jeśli potrzebujesz złota, zabierasz je komuś innemu.



Pretoria-Johannesburg, RPA

GDYBYM WIEDZIAŁ, jak to wszystko się skończy, wyjechałbym do Kirgistanu, a nie do południowej Afryki. Tam siedziałbym sobie spokojnie w jurcie, pogryzał baranim flakiem i patrzył na ośnieżone szczyty. Celebrowałbym bez końca niezmacony niczym spokój i nie musiałbym na zmianę biegać i chować się po krzakach.

No ale nie wiedziałem i w efekcie przyszło mi przeżyć jedną z najwspanialszych przygód w moim krótkim życiu.

– Jeśli się odwrócisz w lewo, zobaczysz żyrafy.

Nie wiem, może to Afryka. Może ten kontynent po prostu nie zna kompromisów i rzuca człowieka w wir wydarzeń, z którego później nie można się wyrwać. A może zwyczajnie każdy z nas, choćby tylko siedział w kapciach w fotelu, w głębi duszy pielęgnuje w sobie wielkiego podróżnika, którym mógłby być, gdyby niechący nie został księgowym. I gdy postawi w końcu stopę na ziemi swoich pobratymców, odkrywców i myśliwych, Livingstone’a i Stanleya, beczek prochu, korkowych kapeluszy i wielkich białych plam na mapie, ten przyczajony wewnętrzny podróżnik znienacka puka od środka, bo czuje, że oto wreszcie czas odłożyć aktówkę i podnieść strzelbę.

Bo gdy raz poczuje się zapach sawanny, nie można go zapomnieć do końca życia. I niech się dzieje co chce. Jestem w Afryce.

– Strusie. Tam, za akacją.

To Łukasz, z którym przemierzam Czarny Ląd. Znamy się od zawsze i wiele razem przeszliśmy, metaforycznie i dosłownie. Na tyle dużo, że potrafimy śmiać się z żartu, którego żaden nie powiedział głośno, ale obaj pomyśleliśmy w tym samym momencie.

Mój przyjaciel to typowy wolny duch. Pracuje, kiedy chce i tylko z tymi, których uważa za wystarczająco inteligentnych, by poświęcić im swój cenny czas. Szczerze nienawidzi wszystkich przejawów ludzkiej głupoty i zawsze ma swoje zdanie, choć niezwykle rzadko je wypowiada. Na pierwszy rzut oka Łukasz to milczący samotnik, ale to tylko fasada. Kryje się za nią krytyczny umysł bezkompromisowego człowieka, ponad wszystko kochającego swoją osobistą wolność.

Przyjechaliśmy do Afryki, podążając tropem skarbów czy może raczej kolejnych ich poszukiwaczy. Tu, na samym południu, są miejsca, gdzie po deszczu można wciąż znaleźć żyłę złota, a na plażach błyszczą

diamenty. Skrzynie pełne kosztowności leżą na dnie oceanu, a zaraz obok spoczywają wraki dziesiątek naszpikowanych elektroniką łodzi do ich wydobycia. Afryka to dzisiejszy Dzikie Zachód. Są bandyci, świszczące kule i gorączka złota. Nie ma tu tylko szeryfów.

Jest jeszcze inny powód – otóż Łukasz się tu wychował. W Republice Południowej Afryki spędził siedem lat beztróskiego dzieciństwa, uganiając się za zebami i robiąc fikołki na sawannie. Od tamtej pory ma w głowie wyidealizowany obraz Afryki z czasów, gdy białe było białe, a czarne było czarne.

Dla mnie ta podróż to nowy rozdział, a Łukasz wraca do domu.



– POWIEM CI, że bardzo jestem ciekaw, jak to teraz wygląda. – Łukasz przyglądał się zarysowanemu na horyzoncie budynkom Pretorii, miasta, w którym mieszkał kiedyś z rodzicami. Za oknem samochodu przesuwał się spłowiały krajobraz przerzedzonego cywilizacją buszu.

– Na twoim miejscu nie spodziewałbym się eleganckich domków i przystrzyżonych trawniczków, które pamiętasz.

– Słyszałem, że się sporo zmieniło.

Łukasz mieszkał w Sunnyside, słonecznej dzielnicy, w jednej z najlepszych części miasta. Gdy wychodził z domu do szkoły, miały niskie, eleganckie płoty, zza których przyjaźnie machali mu ogrodnicy. Na rogu pan policjant kierował ruchem, a mamy prowadziły za ręce swoje córeczki, którym rano wplotły we włosy kolorowe wstążki.

Wszyscy byli biali.

To było jeszcze w czasach apartheidu, czy może raczej pod jego koniec. Świat był wtedy podzielony na jasno wydzielone części, choć tak naprawdę składał się tylko z dwóch: tej dla białych i tej dla całej reszty. Mały Łukasz mógł przebywać tylko w tej pierwszej, wyznaczonej przez administracyjny dekret i rodzicielskie przykazy. Jak w inkubatorze chroniącym przed całym strasznym złem czającym się poza granicami dystryktu. Co to było za zło, nie do końca wtedy wiedział, ale wszystkiemu winni byli czarni.

Do szkoły Łukasz nosił odprasowany mundurek i musiał mówić grzecznie „dzień dobry” i „dziękuję”. To była bardzo porządna szkoła. Gdy nie uważał na lekcji albo ciągnął koleżanki za warkocze, nauczyciel wymierzał mu karę świszczącym cięciem linijką. Od czasu do czasu, ale raczej z rzadka, któremuś z uczniów zdarzyło się wyrazić w sposób, jaki nie przystoi dobrze wychowanym młodzieńcom. Jeśli miał pecha, w gabinecie dyrektora za karę musiał zjeść kawałek mydła.

Takie i podobne atrakcje powodowały, że Łukasz niezbyt lubił tę szkołę. Dość często uznawał, że poza jej murami będzie mu jednak lepiej i zamiast na lekcje chodził na wagary do parku, żeby posiedzieć w cieniu palm. Zajadał kanapki z masłem orzechowym przygotowane mu przez pyzatą gosposię i patrzył na idealnie czyste samochody prowadzone przez gładko uczesanych panów. Na pozamiatane ulice przystrojone gustownie kwiatami w doniczkach i ocienione koronami kwitnących fioletowo dzakarand. A gdy wracał do domu autobusem, wielkie afrykańskie słońce zachodziło na pomarańczowo.

To było w czasach, gdy biali farmerzy strzelali do Afrykanów dla zabawy. I gdy czarni byli zamykani w wydzielonych gettach oraz bici przez policję bez powodu. Nie mogli jeździć „białymi” autobusami ani siadać na niektórych ławkach. Nie pisali, nie czytali i nie mieli obywatelstwa własnego kraju. Na dobrą sprawę w oczach białej, ale rządzącej mniejszości nie byli nawet ludźmi.

Łukasz wtedy pływał w basenie, w przepięknym ogrodzie sąsiedniego budynku, i nie miał o tym wszystkim pojęcia. To było dwadzieścia lat temu.



– CHYBA SUNNYSIDE nie jest już takie *sunny*... – powiedziałem.

Łukasz siedział nieruchomo i patrzył przed siebie z nieskrywanym przerażeniem. Osiedle Schubert Park wyglądało jak strefa wojny. Niegdyś eleganckie apartamentowce stały zdewastowane. W oknach sterczały kawałki szyb przykryte gdzieś tam płytami z dykty.



Brakowało większości drzwi, a w środku wały się porwane kartony. Niewielkie domki stojące przy samej jezdni, kiedyś otoczone eleganckimi płótkami, dziś były zakratowane po dachy, a większość zasłaniały mury wysokie na trzy i pół metra, wykończone drutem kolczastym. Na ulicach sterczały kupy gruzu i porzewiałego żelastwa.

Było pusto i posępnie, i pochmurno. Kropił deszcz.

Brakowało zwłaszcza ludzi. Na rogach stały tylko grupki biednych Afrykanów w znoszonych łachach, którzy spędzali tak całe dnie. Po prostu trwali, zawieszeni w czasie. Gdy mijaliśmy taką grupę, w ich czarnych oczach odbijała się nieufność.

Pokonywaliśmy kolejne przecznice, cała dzielnica wyglądała identycznie.

– Tu... tu mieszkała moja przyjaciółka... – Łukasz wskazał wysoki, niegdyś luksusowy apartamentowiec z kortami tenisowymi do dyspozycji. Teraz budynek był całkowicie spalony i została po nim tylko pusta skorupa. Wszystko, co dało się wynieść, rozkradziono dawno temu.



## Schubert Park, centrum Pretorii

Łukasz otrząsnął się z pierwszego wrażenia i kantem dłoni przetarł oko. Rozejrzał się i dostrzegł idącą w naszym kierunku grupkę czarnych<sup>[6]</sup>. Pociągnął mnie za rękaw.

– Chodźmy stąd, to nie jest miejsce dla nas.

– Nie wygłupiaj się, bardzo cię proszę – zaprotestowałem. –

Wpadasz w paranoję.

Łukasz tylko machnął ręką zniecierpliwiony i zaciągnął mnie za róg, a potem szybkim krokiem ruszył dalej.

Dwie godziny później, w zupełnie innym, jasnym i czystym miejscu, powiedział:

– Musimy sobie coś wyjaśnić już na samym początku, dobra?

– Dobra.

– Ja wiem, że ty jesteś idealistą, że wszyscy ludzie są równi, że kolor skóry nie ma znaczenia i tak dalej, te wszystkie twoje stałe motywy. Ale teraz nie jesteśmy w domu ani w twojej ukochanej Azji. To jest RPA. Tu każdy ma kolor skóry. Tutaj jesteś biały, czy ci się to podoba czy nie. Nawet jak będziesz po swoim kochał cały świat, to on tu tej miłości nie odwzajemni. I jak wleziesz w nieodpowiednie miejsce z tym swoim uśmiechem, to poderzną ci gardło, a mnie zaraz potem. Rozumiemy się?

– Łukasz, z całym szacunkiem, uważam, że pieprzysz głupoty.

– Tomek, z całym szacunkiem, nie masz o tym pojęcia.

Jeszcze wtedy tego nie wiedziałem, ale Łukasz miał całkowitą rację.



POZOSTAŁA CZĘŚĆ PRETORII nie była tak zniszczona. No, przynajmniej nie cała. Mieszkaliśmy w sympatycznej dzielnicy willowej, gdzie białe rodziny w niedzielne popołudnia kultywowały tradycję *braaia*, wspólnego grilla w ogrodzie. Zraszacze oblewały wypielegnowane trawniki, zataczając koła i turkoczając miarowo. W

niskich domkach z werandami mieszkali biali urzędnicy, lekarze i biznesmeni na korporacyjnych kontraktach. Ci, których było stać na ucieczkę z nienależących już do nich dzielnic.

Wszystkie domy bez wyjątku otaczał wysoki mur zakończony paskudnym drutem kolczastym. Na dobrą sprawę to nawet nie był drut kolczasty, tylko jeszcze gorszy, wysadzany sterczącymi na wszystkie strony żyłkami. Większość ogrodzeń dodatkowo wieńczyły przewody pod napięciem. Wysokości napięcia nie regulowało prawo, a instalacje wykonywali przypadkowi elektrycy, celując, ale też nie nazbyt precyzyjnie, w wartość, która nie zabija, ale potrafi nieźle przysmażyć.

W oknach każdego domu widniały solidne kraty, a w bramach – łańcuchy, których nie dało się przeciąć bez użycia sprzętu górniczego. Po podwórkach biegały wyszkolone psy, a na płotach wisiały tabliczki informujące, która służba ochrony będzie strzelać bez ostrzeżenia.

Pretorianie chyba zawsze lubili się dobrze zabezpieczyć.

Na pierwszy rzut oka to osiedle było sielskie, anielskie. Cisza, spokój, mało ludzi...

Nikogo. Ulice puste.

W tej okolicy nikt nie zostawiał samochodu na chodniku. Dzieci nie chodziły same do szkoły – były w obie strony odwożone przez rodziców. Na zakupy też jeździło się samochodem. Jeśli nie było takiej potrzeby, nikt nie wychodził z domu, a gdy siedział w środku, brama była szczelnie zamknięta. Na chodnikach rzadko widywało się kogokolwiek.





Standardowe zabezpieczenia: drut żyłtkowy i przewody pod napięciem. Na każdym ogrodzeniu w mieście

Myślałem, że to zbiorowa paranoja. Kolejne dni otwierały mi jednak powoli oczy na sprawy, których nie da się dostrzec od razu. Ci ludzie się naprawdę nienawidzili.



– DZISIAJ COŚ SIĘ MUSI STAĆ, bo tu codziennie coś się dzieje. Jeśli któregoś dnia nic się nie wydarzy, to coś będzie nie w porządku. To właśnie Afryka, *vibrant and violent*, buzująca i brutalna.

– Ale co się ma wydarzyć?

– Nie wiem, nigdy nie wiesz. Ale coś się stanie na pewno.

– PRZYSZLI DO NAS w środku dnia, stary. A ja mieszkam w jednym z tych osiedli, wiesz, psy, ochrona z bronią, sami biali, kolczatki i tak dalej. Mieszkamy na szóstym piętrze, do nas się nie da wejść, to

miejsce jest jak forteca. Przyszli koło trzeciej, w domu była moja matka i siostra, wiesz. Związali je, leżały trzy godziny na dywanie, a oni wynosili wszystko. Zabrali nawet żyrandole.

– Ale nic im się nie stało? Znaczą twojej siostrze i mamie? Nie zgwałcili ich?

– Jeśli w środku jest biała kobieta, zawsze ją zgwałcą.

– PRZEDSTAWIĘ CI jutro moją przyjaciółkę, Janine. Jest saperem w policji, rozminowuje bankomaty. Bo oni podkładają ładunki pod bankomaty, żeby się dostać do pieniędzy, ale nie mają o tym pojęcia i stale podkładają za dużo. Janine mówi, że ma dobry dzień, jeśli nie musi zbierać z chodnika ludzkich szczątków.

– MÓJ ZNAJOMY pracuje w sklepie, razem z żoną i synem. Wszyscy noszą kamizelki kuloodporne.

– Ale co to za sklep, jubiler?

– Nie, warzywniak. Obrabowali ich pięć razy, za każdym razem z bronią.

– O, ZNOWU NIE MA ŚWIATŁA. Pewnie znów ukradli przewody.

– Dajżeż spokój, jak można ukraść przewody...

– Stale je kradną, dla miedzi. W zeszłym tygodniu kolejny się usmażył i wisiał całą noc na drutach, dopiero rano zdjęła go straż pożarna.

– NAJBARDZIEJ TO SIĘ BOJĘ tej ich „brzytwy”. Nie słyszałeś o tym? Idziesz po zakupy, wracasz do samochodu z torbami. Patrzysz, czy nikt za tobą nie idzie albo czy nie czai się przy samochodzie. Rozglądasz się. Pusto, w porządku. Otwierasz drzwi i wrzucasz zakupy do środka. Ale pod twoim samochodem leży koleś z brzytwą. On nawet nie mrugnie okiem, potnie cię po kostkach, aż ścięgną zwiną ci się pod kolanami. To jest podobno taki ból, że człowiek mdleje. I wiesz po co to wszystko? Żeby ci zabrać portfel. Albo torebkę.

„ZADBAJ O BEZPIECZEŃSTWO swoje i swoich bliskich! Zamontuj w samochodzie nasz miotacz ognia! Kula płomieni da ci cenne sekundy na ucieczkę! Tylko w ten weekend! Przyjedź, obejrzyj! Nasz salon mieści się na...”

– MASZ W DOMU BRONŃ?

- Śpię z pistoletem pod łóżkiem.
- A ty?
- Czy karabin snajperski się liczy?
- PRZYSZLI W NOCY, we dwóch. Jednego postrzeliłam. Wiesz, co mi powiedziała policja? „Musi go pani dobić”.
- Beż żartów...
- Powiedzieli, że jeśli do niego strzeliłam, ale żyje, to mam go dobić, bo potem on wróci z prawnikiem i ubezpieczeniem, i jeszcze będę mu płacić rentę.
- I co zrobiłaś?
- ...
- NIE SŁUCHAJ TEGO, to są brednie, oni wszyscy panikują. Jak sobie jeden z drugim postawi mur, zainstaluje prąd i kupi strzelbę, to się czuje ważny. To wszystko dla szpanu.
- A ty gdzie mieszkasz?
- No, na osiedlu.
- Jednym z tych zamkniętych, chronionych?
- No tak. Ale chodzę po ulicach od trzydziestu lat i żyję.
- MUSISZ BARDZO UWAŻAĆ, naprawdę. Policja ma teraz nowe rozkazy, *shoot to kill*, mają strzelać, żeby zabić. Wystarczy, że za szybko sięgniesz do kieszeni po dokumenty, od razu wpakują ci w klatkę cały magazynek. To nie jest miejsce, gdzie ludzie mają czas na wątpliwości.
- NAJGORZEJ JEST W HILLBROW. Tego się nie da opisać. Kiedyś, jak któryś chciał mieć mieszkanie, to po prostu wchodził i wyrzucał z niego lokatorów, czasem postrzelał po ścianach albo kogoś poranił.
- Kiedyś?
- To były dobre czasy. Teraz wchodzi do mieszkania, bez słowa strzelają do pierwszej osoby, jaką zobaczą, a ciało wyrzucają przez okno.
- Ale co im to daje?
- Ktoś wezwie karetkę, a oni zastrzelą sanitariuszy, żeby dobrać się do narkotyków.
- NAJGORZEJ JEST W ALEXANDRZE. Oni mają tam ten swój



„naszyjnik Winnie”. Zakładają ci na głowę oponę, a ręce wiążą z tyłu sznurem. Potem wlewają do opony benzynę i ją podpalają. Biegasz jak kurczak w kółko, jednocześnie płoniesz i się dusisz.

– Mój Boże... To jest kara? Za co?

– Za cokolwiek.

– Najgorzej jest w Yeoville...

– ... w Diepsloot.

– ... w Tembisa.

– Zwierzęta.

– *Umlungu*.

– Skurwysyny.

– DOŚĆ, nie mogę już tego słuchać. Przecież co najmniej połowa z tych historii to efekt jakiejś zbiorowej hysterii! Kiedy ostatnio czytałeś o czymś takim w gazecie, ale tak na serio?

– Tomek, to się dzieje tak często, że przestali już o tym pisać w gazetach.

„MINEŁA DZIEWIĄTA, pora na wiadomości radia Jacaranda 94.2 FM. W weekend policja przeprowadziła szeroko zakrojoną akcję w północnej części dzielnicy Berea. Zatrzymano tysiąc pięćset osób i zarekwirowano nielegalną broń, narkotyki, elektronikę oraz kradzione samochody o rynkowej wartości dwunastu milionów randów.

Trwają poszukiwania sprawców gwałtu na dwunastu białych nastoletnich dziewczynach, do którego doszło w jednej z okolic mieszkalnych wczoraj wieczorem. Policja przyznaje, że do tej chwili nie ma żadnych śladów.

Odnaleziono ciało szwedzkiej turystki porwanej w ubiegłą sobotę w *township* Guguletu w pobliżu Kapsztadu. Kobieta spędzała w RPA miesiąc miodowy ze swoim mężem, który podczas porwania został wyrzucony z samochodu. Sprawcy porzucili zwłoki wraz z uprowadzonym pojazdem kilka kilometrów od miejsca zdarzenia. Kobieta zginęła od strzału w tył głowy, przed śmiercią prawdopodobnie została wielokrotnie zgwałcona.

Teraz sport...”



ONI. Słowo, które słyszałem na każdym kroku. Ich, z nimi, przez nich. Oni. Mantra społeczeństwa chorego z nienawiści, zmożonego widzeniem świata w dwóch kolorach. W RPA wydarzyło się tyle zła, tyle krzywdy i tyle niesprawiedliwości, że między ludźmi powstała przepaść. To jest kraj przełamany na pół, przecięty.

Podobno czas leczy rany. Nie tu, bo w tym kraju historia wciąż trwa.

Wystarczyło mi kilka dni, żeby dogłębnie zrozumieć słowa Neelsa, że w Afryce skarbów się nie szuka, tylko zabiera się je komuś innemu. To było twarde zderzenie moich wyobrażeń szkatuł pełnych szafirów i złota z rzeczywistością. Skarby są, poszukiwacze też, ale nie tacy, jak myślałem, bo konkurencja jest zabójcza. Tu zwyczajnie trwa permanentna walka o pieniądze, do której dochodzi powszechna nienawiść do ludzi innego koloru skóry.

To społeczeństwo wyniszcza się nawzajem.

**WYOBRAŹCIE SOBIE MIASTO**, w którym łatwiej jest kogoś zabić niż okraść i gdzie życie jest warte mniej niż drobne w portfelu. Takie miejsce, gdzie każdy ma broń i bez wahania ciągnie za spust, obojętnie, czy to matka z dzieckiem czy aptekarz.

To, że niemal każdy ma broń, nie stanowi jeszcze nadzwyczajnej okoliczności, na południu USA też tak jest. Natomiast tu, w Pretorii, niemal każdy ma w sobie odwagę, by strzelić do innego człowieka bez chwili zastanowienia. I to jest dopiero przerażające.

Żeby tak reagować, trzeba mieć w głowie pewien permanentny stan. To musi być integralna częśćka ciebie, a nie wyuczony na ringu zestaw uderzeń. Odruch zagłuszający strach i gdy trzeba walczyć lub uciekać, rozkazujący: atakuj pierwszy i wal z całej siły.

A teraz wyobraźcie sobie życie w miejscu, gdzie absolutnie każdy postawiony pod ścianą, będzie gryzł i kopał. Tak jakby dawno przekroczyli granicę, za którą nie ma już bezbronnych ofiar. Niemal wszyscy są uzbrojeni po zęby i żyją w ciągłej gotowości do walki, bo

wiedzą, że nie mogą sobie pozwolić na komfort opuszczenia gardy nawet na chwilę.

Tak wygląda Johannesburg i tak wygląda Pretoria.

Miasta ludzi gotowych na wszystko, gdzie codziennie słychać strzały, a obawa o życie nie ma formy pytania „czy?”, tylko „kiedy?”.

Dla nas to jest miejsce jak z koszmaru, cholernie mroczny świat. A jednak ludzie w nim żyją jak gdyby nigdy nic.

Oni po prostu już dawno przestali się bać.

NIEWYTLUMACZALNE, przynajmniej dla mnie. Żyją wśród zdarzeń, które nam nie mieszczą się w głowach. Szajki Nigeryjczyków rozbierają ludzi na części i sprzedają szamanom. Policja ma oddział do walki z okultyzmem, tropiący czarne gangi gwałcące białe kobiety, bo przestępcy wierzą, że w ten sposób można się pozbyć groźnych chorób.

Dzielnice mieszkalnych pilnują prywatne bojówki, którym lokatorzy płacą haracz za ochronę przed innymi bojówkami. Czasem płaci im też policja za pomoc w odbijaniu zajętych nielegalnie budynków. Po ulicach chodzą setki tysięcy dilerów, a każdy nosi broń. Gangsterzy wjeżdżają do sklepów przez szyby wystawowe, strzelają do wszystkich, łapią, co się da, i znikają tak szybko, jak się pojawili.

W RPA ludzi zabija się, bo tak jest wygodniej.

Na tydzień przed naszym przyjazdem spłonął w Pretorii budynek sądu. Podobno miał akta spraw, które były nie na rękę zbyt wielu bandziorom. Policja jest skorumpowana do granic możliwości. Każdy rzezimieszek, którego przyłapiesz na włamaniu, da gliniarzom w łapę kilka dolarów i nie dojedzie nawet na posterunek. Ale potem wróci po ciebie i nie będzie miał litości.

Na kogo można liczyć w takim miejscu?

DO TEGO DOCHODZI RASIZM, straszny.

Każde duże miasto otaczają gigantyczne *shanty towns*, slumsy z blachy i dykty. Mieszkają w nich miliony czarnych. Rozboje, napady i morderstwa popełniają też tylko czarni. Czasem można zobaczyć, jak płoną całe budynki. To znaczy, że zajęły się od ognia w jednym z mieszkań, bo czarna rodzina funkcjonuje wokół paleniska, obojętne, czy mieszka w chacie z eukaliptusa czy w wieżowcu. Czarni są leniwi, głupi i niewykształceni, ale groźni.

Tak to wygląda po białej stronie. Dlatego biali nienawidzą czarnych. Bo się ich boją.

Czarni natomiast nienawidzą białych od zawsze. Powodów mają nadto i żadnego nie można im odmówić. Całkowita, niezaprzeczalna i makabrycznie systematyczna eksploatacja Afryki przez białych trwała przez setki lat i trwa nadal. Systemy się zmieniają, rządy powstają i padają, prawo jest przepisywane na nowo, ale w gruncie rzeczy nic się nie zmienia. Biali wzbogacili się na złocie i diamentach, na handlu ludźmi i rabunku afrykańskiej ziemi. A raz zdobyte bogactwo utrzymują w swoich rękach. W RPA jest czterdzieści pięć milionów mieszkańców, ale tylko siedem milionów z nich płaci podatki. Wśród nich jest pięć milionów białych.

### RPA NIE TAKA STRASZNA

Jeśli wydaje się Wam, że przesadzam, że RPA tak nie wygląda, po części macie rację. Tak wyglądają przede wszystkim Johannesburg, Durban i Pretoria, w innych częściach kraju jest nieporównanie lepiej. Do Johannesburga zresztą też można przyjechać i wyjechać z niego cało przy odrobinie zdrowego rozsądku. To w końcu popularne wśród podróżnych miasto. A już na pewno nie Wam się stanie w parkach narodowych i miejscach przeznaczonych dla turystów.

Nie odbierajcie więc mojej relacji jako recenzji kraju, całego RPA. To tylko jedna z jego twarzy, ta najbardziej mroczna. Prawie na pewno przy zwykłym wyjeździe turystycznym nawet się z nią nie zetkniecie.

Niemniej to nie oznacza, że ten makabryczny świat, który opisuję, nie istnieje. O, istnieje, zapewniam. Tylko musicie patrzeć w odpowiednim kierunku i rozmawiać z właściwymi ludźmi.

Na początek zainteresujcie się działalnością dwóch firm z Johannesburga, Red Ants i Bad Boyz. Obie wyręczają policję w wymierzaniu sprawiedliwości, często dokonując zinstytucjonalizowanych samosądów.

Potem prześledźcie statystyki. W każdej dużej firmie codziennie ktoś bierze wolne na pogrzeb w rodzinie. W samym Jo'burgu codziennie umiera na AIDS tysiąc pięćset osób. Codziennie, każdego dnia. Tak podają oficjalne, zaniżone statystyki.

Kapsztad i Johannesburg figurują w większości rankingów najbardziej niebezpiecznych miast świata, ale tak naprawdę nikt nie wie, ile popełnia się w nich morderstw. Policja przez dziesięć lat „nie zdołała” opublikować żadnych liczb. Potem z każdym kolejnym rokiem zmieniała kwalifikacje kategorii przestępstw, więc w dokumentach nie ma żadnej ciągłości, nie można nawet stwierdzić, czy jest lepiej czy gorzej.



Zresztą o jakich statystykach mówimy, gdy miliony ludzi żyją w slumsach, gdzie policja nawet nie wchodzi?

Podobno przynajmniej połowa przestępstw, o których się słyszy, jest popełniana z innych powodów niż podane oficjalnie. Powtarzają się stałe motywy – narkotyki, długi i gniew, ale policja wszystko przedstawia jako napady rabunkowe.

Siedemdziesiąt procent praw jazdy jest sfałszowana, kupuje się je na lewo za tysiąc randów. Policja codziennie zabiera z chodnika ciała

zabitych ludzi, śledztwa w większości przypadków nawet nie są rozpoczynane. Wielu czarnych mieszkańców slumsów wierzy, że można się pozbyć HIV, uprawiając seks z białą kobietą lub ją gwałcąc. Równie popularna jest wersja o seksie z dziewczyną, nawet z dziewczynką.

Sprawdźcie też, co to *heita*, a co to *fafi* i *lapansula*, jak również co to oznacza na ulicy.

Potomkowie Holendrów, czyli Burowie, mają swoje zamknięte osiedla – strzeżone, ogrodzone, przeznaczone tylko dla nich. Żeby tam zamieszkać, trzeba przejść wywiad środowiskowy, odpowiadając na pytania o pochodzenie, rodzinę i religię. Jeśli nie jesteś jednym z Burów, nie możesz się tam osiedlić. To jakiś absurd, jeśli jedni biali nie akceptują już nawet innych białych, ale pomyślcie, jakie procesy mogły doprowadzić do takiej sytuacji.

Do niedawna najgorszą dzielnicą Johannesburga było Soweto, ale to się zmieniło przed mistrzostwami świata w piłce nożnej. W Soweto jest już bezpiecznie, została tam tylko zła sława. Szukacie przygód? Wybierzcie się do Hillbrow, Alexandry albo Berei. Lecz naprawdę przestrzegam: tam nie ma żartów, to są bardzo niebezpieczne miejsca.



Biali mieszkają w eleganckich domach i dobrze zarabiają. Ich dzieci kończą prywatne szkoły. Budują nowe *townships*, ale już nie dla czarnych, a dla siebie. W ich ogrodzonych fortecach na przedmieściach mogą mieszkać tylko biali. Co więcej, w niektórych z nich mogą mieszkać wyłącznie Burowie, potomkowie holenderskich osadników. Do jakiego absurdu już doszło, jeśli jedni biali nie uznają już nawet innych białych.

Biali się izolują, a czarnych traktują nadal po wielkopańsku, z odwieczną wyższością kolonizatorów. Słowo „Murzyn” w ich słowniku to synonim pracownika fizycznego albo złodzieja i biedaka. Mówią na przykład: „Zrobię mojemu Murzynowi obiad”, albo: „To była fajna, bezpieczna, biała dzielnica, a nie takie Murzynowo jak teraz”. Biali niechętnie rozmawiają z czarnymi, bo uważają, że nie ma z nimi o czym rozmawiać.

Pod Kapsztadem są winnice, w których pracują kolorowi. Mieszkają w brudnych barakach, a biali właściciele płacą im za pracę



winem. Przecież to jest definicja niewolnictwa.

Biali wciąż czują się panami na cudzej ziemi. Dlatego czarni ich nienawidzą.

Obie strony tej wojny oficjalnie się tolerują. W biurach pracują obok siebie i nawet mówią sobie „dzień dobry” i „dziękuję”. To tylko pozory. Wojna kolorów rozgrywa się w głowach, rozmowach i na ulicach, gdzie nie obowiązują żadne zasady.



– ŁUKASZ, czemu oni tu mieszkają? Czemu po prostu nie spakują się i nie wrócą do Europy?

– Bo to jest ich dom. Mają tylko afrykańskie paszporty. To jest też ich kraj.

– Jasne, Afryka zawsze była biała...

– Podbijali ją ich dziadkowie, oni tu tylko mieszkają.



– GREG, podasz mi masło?

– Bardzo proszę.

To było jedno z tych popołudni, kiedy świat jest piękny. Słońce świeciło, herbata pachniała ziołami, a po trawniku chodził żółw. Greg i Hanna przygotowali królewskie śniadanie, którym delektowaliśmy się na tarasie już dobre półtorej godziny. Dla Łukasza była to wycieczka w przeszłość, do czasów, gdy tak wyglądała każda sobota.

Hanna i Greg mieszkali w Pretorii od bardzo dawna, choć oboje urodzili się gdzie indziej. Mieli dwie nastoletnie córki i wyglądali na zadowolonych z życia. Już dawno przyzwyczaili się do reguł rządzących tym miejscem i najwyraźniej niewiele rzeczy robiło na nich wrażenie.

Utrzymywali się ze studia jogi prowadzonego za swoim domem w ogrodzie i mieli jasno sprecyzowany cel – wynieść się z Pretorii, osiedlić na pustyni Kalahari i prowadzić warsztaty dla tych, którzy zdobędą się na odwagę rzucenia na tydzień wszystkich swoich

dotychczasowych przyzwyczajzeń. Niezwykle barwni ludzie, z pustymi kieszeniami przejechali świat dookoła, przez lata wiedli życie filmowych bohaterów, pakowali się w kłopoty, nielegalnie przekraczali granice i pracowali w dziesiątkach miejsc na ziemi, a jednak postanowili osiedlić się właśnie tu.

– No więc jaki macie plan, chłopaki? – spytała Hanna.

Łukasz odpowiedział z ustami pełnymi papai i truskawek, starając się nie pluć za bardzo po stole:

– Spróbujemy przekupić któregoś *zama zama*.

– Nie dacie rady – odpowiedział Greg.

*Zama zama* byli poszukiwaczami skarbów, można ich chyba tak nazwać. Wydobywali nielegalnie złoto w opuszczonych szybach kopalni jak kiedyś pionierzy na Dzikim Zachodzie.

Tereny wokół Johannesburga to tak zwany Wielki Rand, największe tereny złotonośne na świecie. Złota jest tu tak dużo, że międzynarodowe korporacje zarządzające kopalniami szczególnie cenne żyły kruszcu chowają na gorsze czasy. Ściany złota pod ziemią są celowo zasypywane lub przykrywane warstwą tynku jako oszczędności na czarną godzinę. Potem taki szyb zamyka się pod pozorem wyeksploatowania lub naruszenia zasad BHP, a załogę rozprasza i przenosi gdzie indziej. Złoto zostaje pod ziemią i czeka, aż ceny podskoczą.

I właśnie w tym momencie wkraczają *zama zama*.



W ICH ŚWIAT WPROWADZIŁ NAS JONAS, wysportowany blondyn o wystudiowanej fryzurze. Siedzieliśmy w jednej z kawiarni w Pretorii, a Jonas na zmianę rozmawiał z nami i załatwiał przez telefon swoje sprawy. Wystarczyła minuta rozmowy, by wiedzieć, z kim mamy do czynienia. Jonas był niebezpiecznym człowiekiem.

Pod kawiarnię podjechał srebrnym luksusowym bmw i robił interesy z ludźmi, którzy nie lubili przedstawiać się z nazwiska. Nie sądzę, by był jakiś biznes, którego Jonas by nie zrobił ze względu na

zasady, gdyby mu się to opłacało. Nie sędzę też, by się długo certolił z tymi, którzy wchodzili mu w drogę. Nie mam pojęcia, gdzie mieszkał i czym oficjalnie się zajmował, i uwierzcie, nawet nie miałem zamiaru pytać. Był moim kontaktem ze światem *zama zama* i tyle mi wystarczyło.

Wokół Johannesburga jest trzysta kopalni i pewnie z pięć tysięcy szybów. Ich właściciele są niebotycznie bogatymi ludźmi. Niemniej to ich wzbogacanie się wymaga nieco zachodu. Żyły złota, na które polują *zama zama*, to rzadkość, częściej kruszec trzeba odzyskiwać ze skał, rozdrabniając je, topiąc i obrabiając na różne sposoby.

W każdej tonie kamieni wyciągniętych na powierzchnię jest raptem siedem gramów złota. Niewiele. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, w jakich warunkach pracują kopacze. Trzy kilometry pod ziemią, przy stuprocentowej wilgotności powietrza, w temperaturze, w której woda w tkankach niemal się gotuje i którą redukuje się za pomocą specjalnych urządzeń do znośnego poziomu trzydziestu dwóch stopni Celsjusza. Hektolitry wody, chemikalia, dwadzieścia faz procesu, a na końcu mała grudka złota po tysiąc czterysta dolarów za uncję, czyli za trzydziści jeden gramów. Tak to wygląda przy legalnym działaniu.

W świecie *zama zama* jest zupełnie inaczej. Nielegalni kopacze schodzą pod ziemię na własną rękę, tylko z kilofami i lampami naftowymi. Wprowadzają ich przekupieni pracownicy, najczęściej ochroniarze i kierownictwo średniego szczebla. *Zama zama* dekują się w opuszczonych szybach i nie wychodzą na powierzchnię bez względu na wszystko. Dzień w dzień rozłupują żyły złota. Potrafią tam siedzieć przez kilka lat. Trudno w to uwierzyć, wiem, ale to jest właśnie Afryka.

Nie bardzo to odpowiadało moim romantycznym wyobrażeniom poszukiwaczy skarbów jako ludzi z zawadiackim błyskiem w oczach i złotymi łańcuchami w dłoniach, ale kto powiedział, że rzeczywistość musi być filmowa? Miałem przed sobą najprawdziwszych poszukiwaczy złota, tyle że w wersji afrykańskiej.

Wodę, jedzenie i papierosy dostarczają *zama zama* biznespartnerzy z kopalni, oni też odbierają urobek i wynoszą go na powierzchnię. Kopacze pracują w niemożliwym upale, w ciemności, bez wymiany tlenu i jakichkolwiek zabezpieczeń. Ale za to zarabiają niebotyczne

pieniądze.

Pomyślcie: całe ściany czystego złota, żadnej kamiennej rudy, którą trzeba potłuc, przemieścić i wyplukać, żeby otrzymać jakieś żałosne okruchy. Całe głązy złota. Wystarczy je przetopić, a potem upłynnić na czarnym rynku.

Legalni górnicy w kopalni zarabiają jakieś dwa tysiące randów, czyli ze trzysta dolarów miesięcznie. Albo połowę tego, jeśli są z Mozambiku. Mieszkają w blaszakach na terenie kopalni, jedzą parszywe kopalniane jedzenie i pracują po dziesięć godzin dziennie.

*Zama zama* trzysta dolarów zarabiają za jedną uncję złota, choć muszą się nimi podzielić z partnerami i paserami zyskującymi na tym procederze najwięcej. Trzysta dolarów za trzydzieści jeden gramów. Obok ściana złota. Rozumiecie, o jakich pieniądzach mówię?

Dość regularnie w tym przedziwnym *joint venture* złodziei i górników zdarzają się jednak niesnaski, a wtedy *zama zama* strzelają do swoich kontrahentów, bo nie po to wypruwają sobie żyły pod ziemią, by potem dać się okradać oszustom. Kopacze zarabiają majątek, a potem wychodzą ślepi i wychudzeni albo nie wychodzą w ogóle i umierają w kopalni.

– Jonas, jeśli oni tyle zarabiają, to dlaczego nie wyjdą po paru tygodniach na powierzchnię? Przecież będą już wtedy mieli mały majątek.

Jonas przeczesał palcami swoje długie włosy i poprawił kołnierzyk.

– Nigdy tego nie zrozumiem. To się najwyraźniej nie mieści w czarnej głowie. Czarny będzie kopał i kopał, aż zdechnie w tej dziurze albo go zastrzelą. Nigdy nie będzie miał dość. Oni są po prostu głupi.

Łukasz spojrział na mnie porozumiewawczo.

– Mam wrażenie, że w tych ich czarnych łepetynach nie ma po prostu pojęcia „jutro” – ciągnął Jonas. – Jeśli czarny ma dziś sto tysięcy dolarów, od razu je wyda, bo myśli, że jutro może ich już nie będzie miał. Oni myślą tylko „do wieczora”, za nim nie ma już żadnej przyszłości. To są idioci. Papierosa?

TO NIE SĄ IDIOCI, to tylko gorączka złota ogarniająca wszystkich, choroba, na którą nie ma lekarstwa. Dokładnie ta sama,

która spowodowała, że Ramirez wyrzucił Tony'ego ze swojego terenu, a jeden z nurków MFT ukradł trzydzieści pereł po dziesięć tysięcy dolarów każda. Nie można się jej oprzeć, teraz już to wiedziałem z doświadczenia.

Przecież w tych samych kopalniach pracują legalni górnicy, ci, co niby zarabiają po tysiąc randów miesięcznie. Myślicie, że oni przechodzą obojętnie obok niewyobrażalnego bogactwa i nie kradną?

A skądże.

Złoto wynosi się z kopalni we włosach. Złoty pył pracownicy wcierają w swoje gęste czupryny, a po powrocie do domu płuczą głowy nad miską. W ten sposób są w stanie codziennie wynieść z kopalni trzydzieści gramów. Trzysta dolarów.

Inni używają gołębi pocztowych, żeby się nie rozdrabniać. Jeden transport to dwieście pięćdziesiąt gramów. Ponad dwa tysiące dolarów.

Jeszcze inni ukrywają się na terenie kopalni po odbiciu karty, po czym nocami przetapiają hałdy odpadowe i zbierają płynne złoto. Nazywają to pracą na drugą zmianę.

W wielu kopalniach ochrony prawie nie ma, a jeśli jest, to przekupna. Co miesiąc znika więc z terenu kopalni mnóstwo rzeczy. Narzędzia, miedziane przewody, benzyna, buty... Wszystko, co da się sprzedać. Do niedawna nie było na dobrą sprawę żadnych zabezpieczeń, jakieś plastikowe karty pracownika dające się bez problemu kopiować i wypożyczać za pieniądze nowym *zama zama*. Teraz to się zmienia, bo dyrektorzy wprowadzają skanery siatkówki oka. Najwyraźniej za dużo tracili ze swojej własnej lewizny.

Każdą kopalnią zarządza wąskie kierownictwo, które zazwyczaj ma udział w tym „odzysku z opuszczonych szybów” uskutecznianym przez *zama zama*. Myślicie, że prosty górnik potrafi upłynniać złoto na czarnym rynku? Dyrektor za to potrafi wszystko.

Jonas nigdy mi nie powiedział, jaka jest jego rola w całym tym biznesie, a ja nigdy nie spytałem.



SŁOŃCE ŚWIECIŁO, herbata pachniała, żółw chodził po trawniku. Greg i Hania słuchali uważnie historii o *zama zama*. O istnieniu Jonasa i naszych kontaktach z kopaczami nie mieli nawet pojęcia.

– ... więc teraz spróbujemy dostać się do jednej z takich kopalń i zobaczymy co dalej – zakończył Łukasz.

Hania i Greg popatrzyli po sobie.

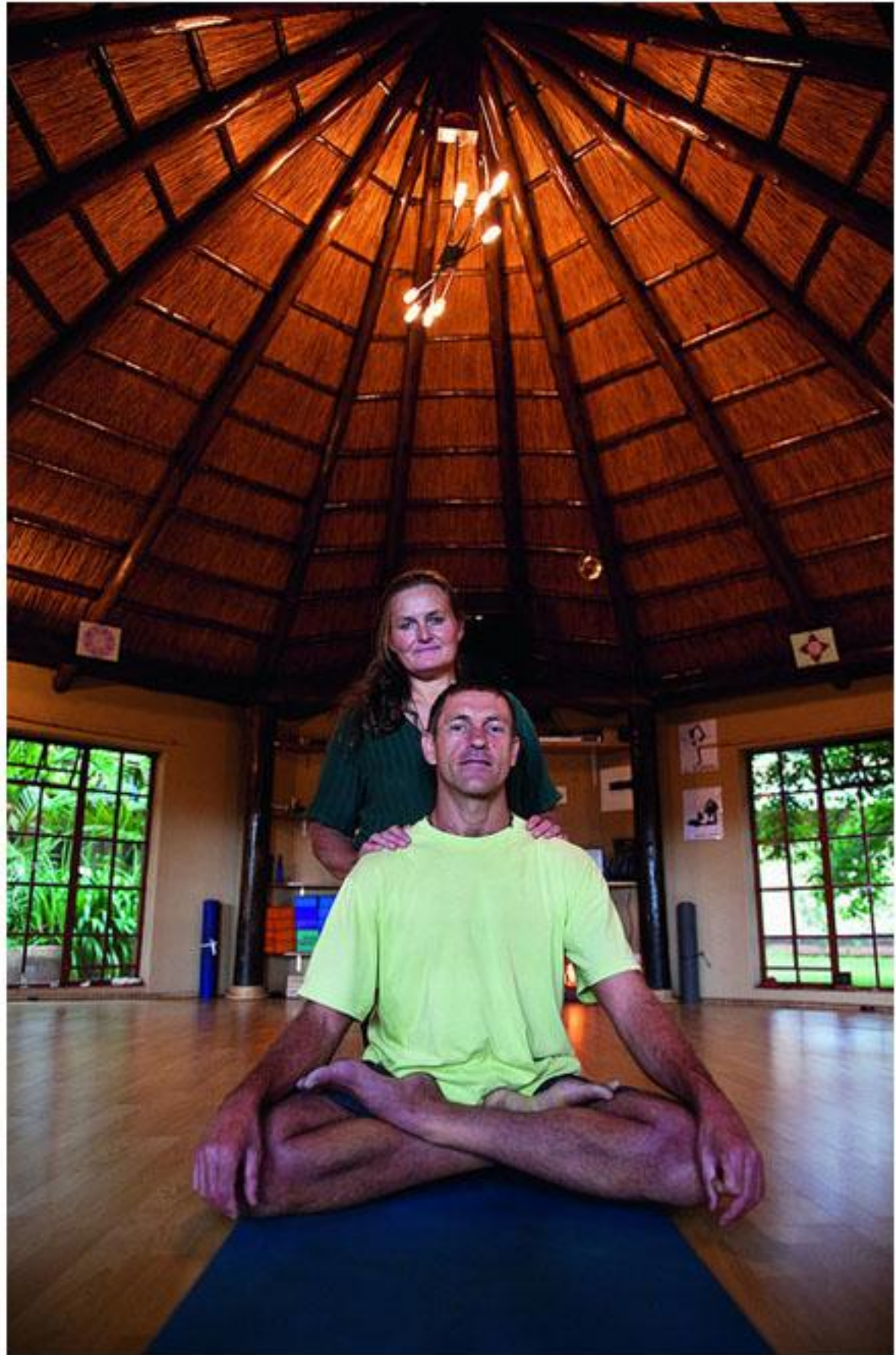
– Chłopaki, marnujecie czas. Nikt na to nie pójdzie. Oni naprawdę albo siedzą pod ziemią, albo nie żyją – powiedział Greg.

– Niedawno zapadła się jakaś kopalnia, bo rozpalili sobie ognisko i wszyscy się podusili, a potem poszedł z dymem cały szyb. Zginęło kilkadziesiąt osób – dorzuciła Hania.

– Przemyślcie to, chłopcy. To są niebezpieczni ludzie.

Greg był kiedyś żołnierzem i patrolował sawannę w poszukiwaniu min. Chodził po Angoli w pełnym rynsztunku i na zmianę chował się przed wrogiem oraz rozbijał ładunki. Hanna wychowała się w Tanzanii, gdzie jej tata budował pierwsze drogi. Jak każde dziecko musiała jak najwcześniej nauczyć się obchodzić z bronią i prowadzić samochód, bo po okolicy pętały się lwy i stale trzeba było albo strzelać, albo uciekać.







## Greg i Hanna w swoim domowym studiu jogi

Jeśli tacy ludzie mówią, że coś jest niebezpieczne, słucham tego bardzo uważnie.



– MASZ TU JESZCZE PAPU – Hanna matczynym gestem nałożyła Łukaszowi kolejną kopiastą łyżkę kukurydzianej mazi bez smaku. Łukasz nie podziękował. Popołudniowe słońce kładło się chłodnym cieniem. To była pożegnalna kolacja.

– W Zimbabwie jest bezpieczniej niż tutaj – powiedział Greg. – Tylko nie dajcie się wplątać w jakikolwiek sposób w politykę.

– Ani w nic, co ma związek z handlem zwierzętami – dorzuciła Hanna. – To nie jest teren, na który chcecie się zapuszczać.

– Nie mamy takiego zamiaru.

– I dobrze.

Jechaliśmy do Zimbabwe, żeby odnaleźć *korokoza*, tamtejszych kopaczy złota. W mieście Kwekwe były ich podobno tysiące. Zwierzęta nas nie interesowały.

– Niedawno złapali dwóch kłusowników – kontynuowała Hanna. – Tu, u nas. Polowali na nosorożce, strzelali z helikoptera z karabinów snajperskich.

– Smutne – powiedział Łukasz.

– Jeden z nich zastrzelił się przed procesem – włączył się Greg.

– Mam nadzieję, że na drugiego nie będziemy długo czekać – włączyłem się.

– Tak czy owak, w Zimbabwie jest ich od groma. Trzymajcie się od nich z daleka, dobrze?

– Dobrze.

– Masz tu jeszcze papu – Hanna nałożyła mi kukurydzianej brei. Nie podziękowałem.



– MUSZĘ CIĘ O TO SPYTAĆ. Greg, dlaczego tu mieszkacie? Czemu się nie wyniesiecie w jakieś bezpieczniejsze miejsce? Przecież macie córki, to nie jest miejsce dla nich.

– Miałem tu kiedyś kolegę, Portugalczyka, álvaro – odpowiedział Greg. – Prowadził sklep, przemiły facet. Stale mu ten sklep obrabowywali. Za każdym razem myślał, że to już koniec, że go zabiją. Po którymś takim przypadku stwierdził, że dłużej tego nie zniesie i postanowił wyjechać. Przeniósł się na Maderę. Wiesz, mała wysepka, małe miasteczko, po prostu przeciwległy biegun. Mieszkał tam pół roku. Któregoś dnia pokłócił się z sąsiadem, bo kosił trawnik i było za głośno. Ten sąsiad poszedł do domu i wrócił z pistoletem. Zastrzelił álvaro strzałem z dwóch metrów.

– No i czego to ma dowodzić?

– To dowodzi wszystkiego.



Droga Beitdbridge-Bulawayo, Zimbabwe

– JAK DOBRZE, że wreszcie stamtąd wyjechaliśmy – odetchnąłem głębiej. Przez cały czas pobytu w RPA przychodziło mi to z trudem. Łukasz nie odpowiedział.

– Nie mogłem już tego wytrzymać – kontynuowałem. – Morderstwa, gwałty, jakieś rozboje, ta cała nienawiść. Jakaś makabra.

Silnik autobusu warczał miarowo, co jakiś czas rżąc niemiłosiernie.

– Przyjechaliśmy tu szukać skarbów, a nie patrzeć na taki syf – mówiłem dalej. Daj jeszcze tego biltonga, dobre to.

Łukasz podał mi torebkę z suszonym mięsem antylopy kudu.

– Proponuję zjechać nieco z trasy, żeby trochę się wprowadzić w

klimat. Lekka odsapka, wiesz, trochę Redforda i Meryl Streep.  
– Trzy i pół.



Nielegalna rzeźba z kości słoniowej. Finalny produkt działalności kłusowników i przemysłowców. Bulawayo, Zimbabwe

– Co „trzy i pół”?

– Dowcip na trzy i pół, w skali do dziesięciu. Stale go powtarzasz i zawsze myślisz, że jest śmieszny.

– A nie jest?

– No jest, na trzy i pół.

Za oknem w żółtym tempie przesuwały się akacje. Autobus widział już lepsze czasy i oglądał je już bardzo długo. Po workach z ziarnem, ułożonych w przejściu między fotelami, przeszedł jakiś facet w porwanych klapkach i kamizelce od garnituru. Oparł się przy tym bezceremonialnie na ramieniu Łukasza. Ten nie zareagował, ale spojrzął karcąco. W powietrzu pachniało smażonym kurczakiem i olejem silnikowym.

– Uwaga, kontynuuję – powiedziałem, rozkładając mapę. – Niedaleko stąd jest park Antelope, mają w nim dzikie lwy. To będzie nasz pierwszy przystanek. Potem może obierzemy kurs na zachód.

– Mieliśmy chyba jechać do Kwekwe?

– Możliwe, że jest lepszy trop. W Namibii żyją podobno ojciec i syn, którzy razem dzierżawią sto pięćdziesiąt metrów plaży. Mają starą ciężarówkę, bedforda, i gdy przychodzi odpływ, wjeżdżają nią do morza i ładują całą przyczepę piachu, który potem przesiewają. W tym miejscu morze wyrzuca diamenty, a oni je wybierają. Żyją podobno jak tralala.

– Nie ma co, strategicznie położona plaża – odpowiedział Łukasz. – Jak już tak idziemy po całości, to może poszukamy skarbu Krugera? Po co się rozdrabniać?

– To miała być ironia?

– Ależ skąd... Pamiętam to jeszcze ze szkoły. Gdzieś tam nad Limpopo jest podobno zakopany wielki skarb Paula Krugera: złoto, srebro, monety, całe skrzynie. Wprawdzie od stu lat wszyscy w RPA go szukają, ale jak mamy jechać przez pół kontynentu, żeby odwiedzić papę z synkiem, to może lepiej skupić się na niestworzonych bujdach, które są nieco bliżej?

– Inaczej będziesz śpiewał, jak znajdziemy skrzynię złota.

– Na pewno.

Zawsze mnie zastanawia, jak to możliwe, że Łukasz pamięta takie detale. Ja z okresu, gdy miałem dziesięć lat, pamiętam głównie grę w chowanego i rzucanie jajkami w staruszki na ulicy, a on wciąż potrafi rozpoznać gatunki antylop i wie, które tereny zamieszkuje jakie plemię.

W tym chłopaku jest coś, co powoduje, że jakby nie do końca pasuje do żadnego miejsca na świecie, oprócz Afryki. Zjechał mnóstwo kilometrów, mieszkał w kilku różnych krajach, ale wszędzie jest trochę obcy. Oprócz tego miejsca.



– POWODZENIA – kierowca rzucił przez okno i odjechał, pokaszując zatkanym silnikiem.

– I co dalej? – spytałem retorycznie.

– Jak to co, idziemy – odparł Łukasz.

– Dwanaście kilometrów?

– Chciałeś Afrykę, masz Afrykę.

Po horyzont nie było nic, oprócz przestrzeni. Krajobraz wypełniały żółtosiwe trawy, spomiędzy których okazjonalnie wyrastały niepozorne drzewka. Kawalek afrykańskiej pocztówki.

AFRYKAŃSKA POCZTÓWKA ciągnęła się kolejnymi kilometrami, które wypacaliśmy w niemożliwym do wytrzymania upale, powłócząc nogami pod ciężarem plecaków. Mówiono mi wiele razy, że po Afryce ciężko się poruszać bez własnego samochodu. Nigdy mnie to jakoś nie przerażało i tym razem też nie dałem wiary ostrzeżeniom.

Więc szliśmy piaszczystą drogą, a ta się ciągnęła niezmordowanie. W takich chwilach Łukasz wpada w interesujący letarg pozwalający mu mechanicznie wykonywać niekończący się ciąg kroków najwyraźniej bez uczucia znużenia. Szedł ciężko, kołysząc się nieco na boki i miażdżąc ciężkimi butami zeschnięte patyki, których wiatr nie zabrał w porę z drogi. Wiatru zresztą nie było, powietrze stało nieruchomo, jakby robiąc nam na złość i udowadniając, że na Czarnym Lądzie zawsze będziemy tylko gośćmi.

- WITAMY W ANTELOPE, czym mogę służyć?
- Sekundę, niech no złapię oddech.

Rozejrzałem się wokoło. To było eleganckie miejsce, nie wiem nawet, czy nie nazbyt eleganckie jak na możliwości naszego budżetu. Recepcja mieściła się w okrągłej chacie stylizowanej na tradycyjne domostwa, zwieńczonej równo przyszyżoną strzechą. Na ścianach wisiały maski, dzidy i tarcze, a pracownicy nosili identyczne koszule safari. Miejsce dla tych, którzy myślą, że tak właśnie wygląda prawdziwa Afryka.

Do Antelope przyjechaliśmy podglądać lwy. W tym rezerwacie mieściła się ochronka dla kotów, gdzie młode osobniki uczyły się tropić i polować. Potem były przewożone do parków narodowych i tam musiały już sobie radzić same. Dzięki takim programom populacja afrykańskich lwów rosła, powoli wracając do normy. Delikatny proces, któremu nie pomagały strzelby myśliwych ściągających do Zimbabwe po trofea.

Recepcjonista z przyjaznym uśmiechem przedstawił nam różne możliwości, od spaceru o wschodzie słońca po nocny wyjazd na podglądanie lwów przy polowaniu. Zdecydowaliśmy się na przechadzkę z młodymi kociakami i spanie pod gołym niebem, żeby jakoś ratować nasz budżet.

Menadżer strzelił palcami i w sekundę obok niego wyrósł młody chłopak – z uśmiechem od ucha do ucha, wyprężony jak struna.

– To jest Bothwell, będzie waszym opiekunem. Spełni wszystkie wasze życzenia i odpowie na każde pytanie.

– Witam, *sir* – ukłonił się Bothwell.

– Jak ja nie lubię takich miejsc... – mruknął pod nosem Łukasz.

Bothwell prowadził nas ścieżkami przez ocieniony park, pokazując, co i gdzie znajdziemy. Basen, bar, restauracja... Apartamenty, bungalowy, krokodyle... W każdym zdaniu dorzucał to cholerne „*sir*”, którego szczerze nienawidzę. Co chwila próbował też nieść nasz bagaż.

– Bothwell, przyjacielu, musimy sobie coś wyjaśnić już na samym początku. Ja nie jestem „*sir*”. Nie jestem tutaj panem ani właścicielem. Ja mam na imię Tomek, a to jest Łukasz. To w zupełności wystarczy.



– Tak każą nam się zwracać do gości...

– Domyślam się. Ale nie tym razem.

Bothwell kiwnął głową i po raz pierwszy popatrzył na nas naturalnie, bez tego przyklejonego do twarzy nieszczerego uśmiechu, z dumnie podniesioną głową. Teraz stał wyprostowany, ale nie wyprężony, jak młody wojownik, a nie lokaj. Wreszcie. To była Afryka, po którą tu przyjechałem.

– Rozwieście moskitiery. Przyjdę za godzinę i wyruszamy.

– Świetnie.

Gdy tylko Bothwell oddalił się nieco, rozejrzałem się w poszukiwaniu Łukasza. Stał nieruchomo kilkanaście metrów dalej, na brzegu jeziora, i patrzył na wodę. Podeszedłem do niego, buty zachręściły na żwirze. Staliśmy bez słowa dłuższą chwilę.

– Nigdy nie będą twoimi przyjaciółmi, co? – spytałem.

Łukasz pokręcił głową, bardzo powoli.

– Łukasz, czy ty jesteś rasistą?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– Jestem. Ale nienawidzę tego w sobie.

SWOBODNYM KROKIEM zmierzaliśmy w głąb buszu, do miejsca, gdzie bawiły się lwy. Bothwell na samym początku wręczył każdemu z nas krótki kijek, który miał być później przydatny. Minęliśmy tablicę z napisem: „Uwaga na krokodyle”, a potem z: „Uwaga, lwy na wolności”, i przeszliśmy przez most, za którym zaczynało się już królestwo Matki Natury. Bothwell bardzo precyzyjnie wyłuszczył zasady:

– Panowie, to nie jest atrakcja dla turystów, tylko program ochrony przyrody. Za chwilę się przekonacie, że to olbrzymia różnica. Te lwy nie są tresowane ani szkolone, wręcz przeciwnie, staramy się wyostrzać w nich naturalne instynkty i reakcje. Jeśli popełnicie błąd, one was zaatakują, a my nic na to nie poradzimy.

Spojrzałem na Łukasza porozumiewawczo, odpowiedział skinieniem głowy i słowami:

– Ty na mnie tak nie patrz, tylko słuchaj. Ja wiem, co można, a czego nie, ale ty lepiej rób notatki.

– Po pierwsze: nigdy, ale to nigdy, nie uciekaj – kontynuował

Bothwell. – To są koty. Jak zaczniesz uciekać, lew zacznie cię gonić, a biegnie sześćdziesiąt na godzinę, więc i tak nie masz szans. Po drugie: nigdy się nie schylaj. Dopóki jesteś od nich wyższy, będą cię uważać za członka stada, może nawet przywódcę. Jak przyklękiesz albo się schylisz i twoje oczy znajdą się na tym samym poziomie co jego, zaatakuje. Po trzecie: nigdy nie stawaj do nich tyłem. Po czwarte...

Lista zakazów była długa. Po chwili żałowałem, że nie robiłem notatek. Nie można było podnosić niczego z ziemi ani oddalać się od grupy, bo lwy polują na pojedyncze sztuki, nie można pozwolić, by cokolwiek wisiało luźno i przypominało zabawkę. I wiele, wiele innych.

– Na tym wzgórzu czekają trzy koty, młode, od ośmiu do trzynastu miesięcy. Nie dajcie się zwieść pozorom, to są niebezpieczne zwierzęta. Niedaleko jest inny ośrodek podobny do naszego, Chipangali. Tydzień temu lew obciął swojemu opiekunowi głowę. Ten gość pracował z lwami od dwunastu lat.

– Co się stało?

– Stał tyłem do dorosłego kota. Lew mu dosłownie urwał głowę jednym uderzeniem łapy. Zaraz zobaczycie ich pazury i sami zrozumiecie. Oto i one.

Lwy wylegiwały się w cieniu drzewa akacjowego, leniwie poruszając czarnymi pędzlami na ogonach. Żadnej pogoni za antylopą, żadnego przerażającego ryku ani krwawej walki z bawołem. Po prostu słodkie lenistwo w letnim cieniu. Na pierwszy rzut oka maskotki dla dzieci, które aż chce się pogłaskać.

A potem jedna z maskotek się podniosła. Młoda lwica, w sumie jeszcze dziecko, a już wielkości dorosłego labradora. Przeciągnęła się, a pod skórą zagrały mięśnie. Ziewnęła, odsłaniając ostre jak gwoździe zęby i pazury rozmiaru małych noży. Machnęła ogonem i spojrzała trzeźwo. Kotek w jednej chwili zmienił się w maszynę do zabijania.

Między nami nie było żadnej klatki, bariery, smyczy, łańcuchów. Byliśmy na terenie młodej królowej, zdani na jej łaskę. Nawet Łukasz, który w dzieciństwie nieraz przesiadywał z lwami, był pod wrażeniem.

Kocica stała bez ruchu, wolno mrużąc oczy. Po chwili dołączył do niej samiec Mayo oraz druga kocica, Kali. Postanowili ruszyć na przechadzkę, a my mogliśmy tylko podążać ich śladem.





Zdarzają się takie momenty w podróży, które nie tylko pamięta się do końca życia, ale i przeżywa ciągle na nowo. Krótkie i ulotne chwile niebycia sobą, a bycia gdzieś daleko, kiedy udaje się dotknąć świata naprawdę.

Przez chwilę pod palcami miałem szorstką sierść dzikiej lwicy, która podeszła, żeby mi się lepiej przyjrzeć. Na zewnętrznej stronie dłoni poczułem delikatne łaskotanie jej wąsów i ciepły oddech. Stałem nieruchomo i pozwalałem obejść się dookoła. Młoda królowa oddaliła się w końcu, zezwalając mi łaskawie na przebywanie w swojej obecności. Wysoka trawa więziła moje stopy. Lwy znikwały w niej co chwila, przywierając do ziemi lub przemykając bez najlżejszego szmeru. Widziałem tylko wystające nad morze spalonych słońcem traw czarne końcówki uszu Kali i jak dostojnie, majestatycznie stąpa Mayo, który chadzał zawsze nieco dalej, swoimi drogami.

Co jakiś czas dostrzegałem też skaczące zwinnie impale, małe antylopy o rdzawej sierści. Na ich widok lwy podrywały się błyskawicznie i zamierały w bezruchu, oczekując w napięciu okazji, która nigdy nie nadchodziła. Przyglądałem się bez końca nieustannym pojedynkom na kły i pazury, którym kociaki oddawały się z lubością. Te kły i pazury poszatkowałyby człowieka na kawałki.













To był moment spełnienia wszystkich moich afrykańskich marzeń, kontakt z czymś skończenie doskonałym, czystą postacią pięknej natury w całym jej dostojeniu. To było dotknięcie świata, który znika, który niszczy. Niesamowite doświadczenie.

WIECZOREM, po zmierzchu, we wspólnej jadalni pod dachem podano kolację. Języki ognia oplatały skwierczące poledwice ułożone na ceglanym palenisku, a spod strzechy sączył się w niebo dym, ginąc w ciemności. Między konarami drzew migotały gwiazdy, które nie układały się w żaden ze znanych mi zbiorów.

Czarna służba przygotowała dziewięć dań, mimo że gości nie było wielu. Biali poszukiwacze przygód, którzy tu dotarli, hałaśliwie nakładali jedzenie na swoje talerze. Następnie zasiedli pod dachem z trzciny, by napełnić brzuchy i popić importowaną whisky.

Usiedliśmy po przeciwnej stronie pomieszczenia, jak najdalej. Zobaczyłem Bothwella zmierzającego z niewielką porcją do kwater dla personelu ośrodka. Zawołałem go i zaprosiłem do naszego stołu. Usiadł, choć wyraźnie nie czuł się w tym miejscu swobodnie.

Jedliśmy kolację, prowadząc niewiele znaczącą rozmowę o sawannie i lwich tajemnicach. Bothwell wyraźnie się rozluźnił, zwłaszcza gdy pozostali goście zaczęli powoli zmierzać ku swoim apartamentom, by wypaść się przed jutrzejszą wycieczką na słońcach lub przejażdżką jeepem. Stuknęły szklanki.

Krótkofalówka Bothwella zatrzeszczała bez ostrzeżenia i z głośnika popłynął strumień słów, których nie rozumiałem. Nasz przewodnik odpowiedział coś w szona.

– Za chwilę przyjdzie tu jeden ze strażników, John, ma coś dla mnie – wyjaśnił.

John był wysokim szczupłym dwudziestolatkiem w stroju rangera, strażnika parkowego. Przez ramię miał przewieszony stary karabin FN FAL. Spojrzałem z wyrazem zdziwienia.

– Na kłusowników – odpowiedział na to niewypowiedziane pytanie.

– Przecież to jest szturmowa broń.

– To są niebezpieczni ludzie – odparł beznamiętnie.

– Napijesz się czegoś? – spytał Łukasz, wskazując puste krzesło. John spojrział na Bothwella, a ten odpowiedział ledwo zauważalnym kiwnięciem głowy.

– Czemu nie.

John oparł karabin o drewniany filar i usiadł przy stole.

– Mamy tu sporo problemów z kłusownikami – zwrócił się do mnie Bothwell. – Zabijają nam zwierzęta, rozkładają wnyki. John jest w jednym z patroli.

– To musi być intratny biznes, skoro opłaca im się podejmować tak duże ryzyko – wskazałem wzrokiem karabin.

– Tysiąc dolarów za zebrecę, do dwóch tysięcy za lwa.

Łukasz gwizdnął cicho i pokręcił z niedowierzaniem głową. Tysiąc dolarów to w Zimbabwie koszt utrzymania rodziny przez pół roku.

– Ale za co? Za skórę? – spytałem.

– Za wszystko: skórę, mięso, czaszkę, kły, całą głowę...

– Wciąż się stąd wywozi trofea?! Co to jest, dziewiętnasty wiek?

– Coś w końcu trzeba powiesić nad kominkiem, prawda? – odpowiedział pytaniem John. Jego czarna jak noc twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Ale jakim cudem im się to udaje? Przecież są certyfikaty, są limity odstrzału, przecież podobno to wszystko jest pod kontrolą rządu.

– O tak, rząd wszystko trzyma w ryzach.

Bothwell i John wybuchli śmiechem i śmiali się bardzo długo.

– Limity są fałszowane – Bothwell spoważniał po chwili. – Nikt nie wie, ile jest tak naprawdę zwierząt, to są wszystko jakieś szacunki. Wystarczy, że minister dostanie odpowiedni prezent i nagle liczby w tabelkach się podwajają. A potem wylicza się na ich podstawie limity odstrzału. Dam ci przykład. W Afryce jest już tylko piętnaście albo dwadzieścia tysięcy lwów, niecałe dziesięć procent tego, co było tu jeszcze pięćdziesiąt lat temu. A w statystykach nagle widzisz, że jest ich na przykład dwa razy więcej, więc bezpiecznie można w ciągu roku odstrzelić na przykład dwa tysiące, tyle więc wynoszą limity. Rozumiesz mechanizm?

– Ale kto na tym robi pieniądze, komu to się opłaca?

– O masz, ale pytanie. Organizatorom polowań, eksporterom,

falszerzom dokumentów, paserom, strażnikom, którzy dostają łapówki, przewodnikom...

– Hanka miała rację – wtrącił Łukasz. – To faktycznie mafia...

John zapalił papierosa i rzucił pustą paczkę na stół. Odchylił się na krześle, balansując na jego tylnych nogach. Patrzył na nas z lekką wyższością, może nie pogardliwie, ale z ironicznym uśmiechem. Jego zdaniem nie mieliśmy o niczym pojęcia.

Trwaliśmy przez chwilę w ciszy.

– John, czy oni strzelają też do ludzi? – spytałem.

Ranger zbył pytanie nonszalanckim milczeniem, jak gdyby nie było o czym mówić.

– Bothwell?



Okolice Marondery, Zimbabwe, wcześniej

**BOTHWELL MAKOLO** pracował na dwa etaty. W ciągu tygodnia był przewodnikiem w prywatnym parku safari Imire. Weekendami dorabiał jako strażnik na pobliskiej farmie. Właściciel płacił mu za jeżdżenie po okolicy odkrytą półciężarówką i odstraszenie kłusowników.

Miał dziewiętnaście lat.

To była pogodna letnia noc, która nie różniła się niczym od innych. Krowy pasły się swobodnie na łąkach farmy, księżyc świecił. Bothwell drzemał w pozbawionym dachu jeepie, w upiornie niewygodnej pozycji. Na sąsiednim fotelu drugi strażnik trzymał wartę. W trawie grały świerszcze.

Obudził go ruch i dźwięk ciężkich wojskowych butów opadających z deski rozdzielczej na metalową podłogę jeepa. Otarł ręką zdrętwiałe policzek i spojrzał na swojego partnera. Drugi strażnik stał, przyglądając się czemuś w dali. Bothwell podniósł się szybko i spojrzał w tym samym kierunku. Kilometr dalej, pod skrajem lasu zobaczył

światła reflektorów – ruchliwych szperaczy, które białymi snopami omiały okolicę. Ktoś czegoś szukał.

– Podjedźmy. Przygotuj broń – polecił.

Drugi strażnik wyjął strzelbę i sprawdził, czy w środku są wszystkie trzy naboje. Tyle amunicji mieli przy sobie na każdym patrolu i z każdej sztuki musieli się rozliczać.

Bothwell uruchomił silnik, który zaskoczył błyskawicznie. Włączył długie światła i szybko ruszył w kierunku błyskających reflektorów. Dwie minuty później byli na miejscu.

Pierwsze w snopach światła pojawiły się maskujące kolory karoserii, potem sylwetki mężczyzn, a na końcu ciężkie wiązane buty na grubej podeszwie. Żołnierze. W tym momencie szperacze obróciły się w stronę rangerów, całkowicie oślepiając Bothwella.

– Opuścić światła – rozkazał ktoś skryty za blaskiem reflektorów. Światła opadły, a Bothwell opuścił ręce, którymi zasłaniał oczy. Nic nie widział.

– Strażnicy. Bardzo dobrze – powiedział głos. – Znakomicie. Dobra robota.

Powoli z jasności w oczach Bothwella zaczęły wyłaniać się kształty. W ciężarówce stało sześciu żołnierzy, wszyscy z kałasznikowami w rękach. Jeden z nich podniósł rękę w uspokajającym geście.

– Spokojnie, panowie, wszystko w porządku. Patrolujecie teren? Bothwell kiwnął głową.

– Wspaniale, bardzo dobrze. Uważacie na kłusowników?

Bothwell ponownie skinął głową, nie spuszczać oczu z dowódcy.

– Dostajemy raporty o gangach kłusowników w tej okolicy – ciągnął wojskowy. – Nasz komendant wydał rozkaz, żebyśmy pojawiali się co kilka nocy i patrolowali teren, by ich odstraszać. Wygląda na to, że jesteście po tej samej stronie. Co tam trzymacie dla ochrony?

– Trzysta trójkę.

– Dajcie im dwa magazynki.

Jeden z żołnierzy schylił się do stojącej obok skrzyni, po okolicy poniosło się echo metalicznego grzechotania. Po chwili zeskoczył z przyczepy i wręczył Bothwellowi dwa zestawy pocisków.

– Będziecie lepiej chronieni – rzucił dowódca. – No nic, trzeba wracać do roboty, prawda? Powiedzcie właścicielowi, że będziemy się tu co jakiś czas pojawiać, niech się nie niepokoi. Jedźmy! – rzucił krótko na koniec i przeszedł na przód przyczepy. Wyraźnie powłóczył lewą nogą.

Wojskowa ciężarówka odjechała w ciemność, hałasując dieslowskim silnikiem. Bothwell stał nieruchomo w jeepie.

– Wracamy na farmę, natychmiast – rzucił krótko.

Tej nocy w okolicy słychać było strzały z karabinów. Rano farmerzy znaleźli martwą krowę. Zostały z niej tylko głowa i nogi, reszta zniknęła.

ZZA DRZWI EDMUNDA LANCASTERA dobiegło nieznoszące sprzeciwu wołanie.

– Wezwać mi tu młodego Makolo, ale już!

Minutę później Bothwell wbiegał po schodach typowego wiejskiego domu leżącego pośrodku farmy. Zatrzymał się przed drzwiami, obciągnął koszulę, przygładził włosy i zapukał nieśmiało.

– Wejść! – rozległ się głos ze środka, jak zwykle w tonie kategorycznego polecenia.

Bothwell wszedł. Stary Lancaster siedział w fotelu przy biurku.

– To tyś widział w nocy żołnierzy na mojej farmie?

– Tak jest, *sir*.

– Odebrałem właśnie telefon – ciągnął Lancaster – od dowódcy oddziału. Poinformował mnie, że dali ci trochę amunicji i będą się tu jeszcze pojawiać.

– Proszę im nie wierzyć, *sir*. Zabili jedną z naszych krów.

– Wiem o tym. Ten człowiek przedstawił się jako Tarue Matanga. Bothwella zmroziło.

– *Sir*, znam to nazwisko, ta rodzina mieszka w sąsiedniej wiosce.

– I co z tego? – Lancaster spojrział bez zainteresowania.

– Jego starszy brat jest generałem w wojsku. Tarue nie jest żołnierzem, tylko rzeźnikiem. To są oszuści.

NASTĘPNEGO DNIA BOTHWELL stawił się w swojej drugiej pracy, w rezerwacie Imire, gdzie pełnił zupełnie inną rolę – był przewodnikiem. Z samego rana pobiegł do kwater ochrony rezerwatu.



– Mieli automaty i wojskowe szperacze, mówili, że będą się tu jeszcze pojawiać. Chłopaki, musicie uważać, to są niebezpieczni goście.

Szefem patrolu był Cosmos, starszy z braci Mapfumo. Wysłuchał uważnie opowieści Bothwella, a potem splunął przez miejsce, gdzie powinny się znajdować górne jedyunki.

Stracił je dawno temu w jakiejś barowej bijatyce.

– Bothwell, przyjacielu, chcesz powiedzieć, że na farmę tego starego pierdziela Lancastera przyjechali w nocy żołnierze i zastrzelili krowę? Masz niesamowitą wyobraźnię, dzieciaku.

– Cosmos, ja nie zmyślam! Tak było! Nie musisz mi wierzyć, po prostu dzisiaj w nocy weźcie więcej sprzętu.

– Ty się o nas nie martw. Wracaj do swoich podopiecznych i zabawiaj ich żartami, a nam zostaw kwestie bezpieczeństwa.

Bothwell odszedł, kręcąc głową. Cosmos Mapfumo zawsze traktował go jak dziecko. Może miał rację, bo przez kilka kolejnych dni nie wydarzyło się nic godnego uwagi.

NOCNĄ CISZĘ rozdarł komunikat radiowy.

– ... aktywność w sektorze Chawawe, jeden pojazd, siła nieznana. Mają wojskowe szperacze. Powtarzam...

– *Fotsek!* – zaklął Cosmos Mapfumo. – Wszyscy do samochodu!

Zbiegali po kolei po schodach. Czterech młodych chłopaków, którzy nocą bawili się w komandosów, chroniąc afrykańską przyrodę. Takie wezwania zdarzały się niemal codziennie. Przeważnie wystarczało narobić hałasu i pojeździć po okolicy, a wieśniacy szukający łatwej zwierzyny znikali bez śladu. Nie można im się było dziwić. Nie mieli co włożyć do garnka, a za ogrodzeniem rezerwatu biegało mnóstwo dziczyzny. Żyrafy, antylopy, zebry... Łatwy cel.

Cosmos znał zawsze tylko jedno rozwiązanie, siłowe. Uważał, że należy ich porządnie nastraszyć i raz na zawsze skończy się problem z kłusownikami. Jego młodszy brat Stuart podzielał tę wizję. To było widocznie rodzinne podejście.

Tej nocy pracowali w czterech. Za braćmi Mapfumo zbiegł jeszcze Leonard, cichy, spokojny, doświadczony ranger, i James, zupełny świeżak, który ruszał z nimi na patrol może drugi raz. Miał w sobie jeszcze entuzjizm nowicjusza, niemal podskakiwał z radości, gdy

słyszał wezwanie.

Jeep ruszył ostro, sypiąc spod kół kamieniami.

– LEONARD, CO MAMY? - Cosmos przekrzykiwał hałas silnika i pęd powietrza.

– Cztery pistolety, shotguna i trzysta trójkę.

– Niewiele – mruknął starszy Mapfumo – ale wystarczy.

Szperacze zobaczyli z daleka. Widzieli, jak metodycznie omiatają sawannę w południowo-wschodnim sektorze rezerwatu. To nie wieśniacy.

– James, gaz do dechy! – huknął Cosmos.

Gdy tylko się zbliżyli na odległość strzału, wojskowa ciężarówka ruszyła gwałtownie i zaczęła uciekać w mrok. Cosmos przeładował karabin i chwycił się mocniej poziomej barierki.

– Dorwiemy ich, szybciej!

Jeep podskakiwał na nierównościach ubitej drogi, pędząc przez noc. Silnik wył. Czerwone światła wojskowej ciężarówki były coraz bliżej.

Cosmos strzelił w powietrze, nawet nie składając się do celowania. Ciężarówka tylko przyspieszyła.

– Do strzału! – rzucił komendę.

Samochód nieco zwolnił i wyrównał kurs. Ciemność rozdarł błysk ognia wydobywającego się z lufy. Cosmos celował w oponę. Nie trafił. Zaraz po strzale ich jeep ostro przyspieszył, ponownie zmniejszając dystans do wojskowego pojazdu.

Najpierw od karoserii odbiła się jedna kula. Po chwili druga. A potem w ciemności rozbłysły pojedyncze punkty, zapalając się i gasnąc co ułamek sekundy. Jeepa rangerów przykrył grad pocisków z karabinów automatycznych.

– Padnij! – wrzasnął Cosmos. Wszyscy zanurkowali na podłogę podskakującego przy pełnej prędkości jeepa. Kałasznikowy terkotały nieustannie, przebijając pociskami stalową karoserię jak papier. Na przedniej szybie pojawiła się mała dziura, która błyskawicznie rozrosła się w pajęczynę pęknięć, a potem rozpadła na kawałki. Jeep gwałtownie zwolnił.

– James, co jest?! – krzyknął Stuart.

James oddychał szybko, patrząc w niebo. Spodnie na wysokości bioder ciemniały od krwi. To był dopiero jego drugi patrol.

Wojskowa ciężarówka odjeżdżała w noc. Z dala słyhać było radosne wiwaty żołnierzy.

– PRZELITERUJ.

– Makolo, Bothwell. M, a, k, o, l, o.

– Podpisz.

Inspektor policji przesunął po stole zatłuszczoną kartkę z zeznaniami Bothwella.

– Podsumujmy – powiedział śmiertelnie poważnie. – Tarue, młodszy brat generała Matangi, w towarzystwie osób wyglądających jak żołnierze plądruje farmy wokół Marondery. Na terenie Lancastera upolował krowę, a w Imire ostrzelał patrol i poważnie ranił jednego z rangerów.

Bothwell kiwnął głową.

– Głośniej, synu, nie słyszę.

– Tak właśnie było.

Inspektor odchylił się na skrzypiącym fotelu i przeciągnął językiem po górnych zębach, wydymając swoje pełne wargi. Wypuścił głośno powietrze, zamyślony.

– Co o tym sądzisz? – zwrócił się do policjanta siedzącego przy sąsiednim biurku.

– Starszy Matanga mógł dać bratu sprzęt i mundury, żeby mogli się poruszać jako żołnierze i nie wzbudzać podejrzeń. Mógł mu też po prostu przydzielić swoich ludzi, mimo że młodszy jest cywilem. Tak czy siak, odważna operacja.

– Co za kraj... – westchnął inspektor, po czym zwrócił się do Bothwella. – Posłuchaj, czy ty na pewno wiesz, co robisz? Generał Matanga to bardzo szanowana postać, występuje w telewizji, daje wywiady w gazetach. Twierdzisz, że jego młodszy brat zabija nielegalnie zwierzęta, żeby więcej zarobić na swojej rzeźni. To jest raczej poważne oskarżenie. – Inspektor pochylił się w stronę Bothwella i oparł łokcie na biurku. Krzesło zaskrzypiało. – Chłopcze, pójdziemy tym tropem, ale jeśli opowiadasz bajki, to wrócimy po ciebie i skończysz w więzieniu. My nie możemy zadzierać bezkarnie z takimi

ludźmi jak Matanga. Więc ktoś pójdzie siedzieć. Albo on, albo ty. – Inspektor pochylił się jeszcze głębiej, niemal dotykając nosem twarzy Bothwella. – No, to jak będzie?

MAHONIOWE DRZWI do gabinetu otworzyły się bezszelestnie. Adiutant stanął na puszystym dywanie i wyprężył się jak struna.

– Generale Matanga, pański brat został aresztowany.

Generał siedział w swoim głębokim fotelu, zwrócony twarzą do okna. W całym gabinecie unosił się siwy dym cygara. Powoli obrócił się z fotelem w stronę pokoju. Adiutant przełknął nerwowo ślinę.

– Szczegóły.

– Został zatrzymany przez rangerów w jednym z prywatnych rezerwatów. Policja jest w drodze. Zarzuca mu się nielegalne polowanie i zorganizowany napad z bronią w ręku.

– Połącz mnie z naczelnikiem policji – odpowiedział spokojnie generał Matanga, po czym odwrócił się ponownie do okna. Dym z cygara łagodnie popłynął po pokoju.

– JAK TO „NIE CHCĄ GO ARESZTOWAĆ”?! Przecież złapaliście go na gorącym uczynku!

– Bothwell, musisz się jeszcze wiele nauczyć...

Bothwell Makolo siedział w terenowym samochodzie Kabesiego, rangera chroniącego jeden z wielu okolicznych parków safari. Ostatniej nocy jego oddział zatrzymał grupę żołnierzy, którzy strzelali do stada zebra z karabinów AK-47. Dowódcą oddziału był niejaki Tarue Matanga, znany w okolicy bandyta i młodszy brat generała zimbabweńskiej armii.

Tarue miał niesprawną lewą nogę, po tym jak kilka lat wcześniej dostał od właściciela farmy wystrzelony ze sztucera ołowiany prezent. Próbował wtedy wywieźć mięso bez uiszczania regulaminowych opłat. Teraz ta sztywna noga nie pozwoliła mu wdrapać się w porę na ciężarówkę. Jego podkomendni nie mieli zamiaru czekać i Tarue został sam. Po chwili stał z podniesionymi rękami, a sześciu rangerów patrzyło na niego przez celowniki.

Wiedział, że popełnił kilka błędów. Przyjechał po rogi nosorożców, ale pozwolił swoim podwładnym zatrzymać się na te cholerne zebry. Zsiadł też z przyczepy, co rzadko mu się zdarzało. To był bardzo pechowy dzień.

– Co z nim teraz będzie? – zapytał przerażony Bothwell.

Dobrze pamiętał groźbę inspektora policji, ale wiedział też, że w ciągu kilku godzin będzie miał dużo większy problem. Któryś z braci Matanga pozna jego nazwisko i złoży mu wizytę.

– Na razie przetrzymamy go u nas, może szef coś wymyśli.

– NIE WIECIE, z kim macie do czynienia!!! – Tarue Matanga ryczał wściekle, szarpiąc kraty. Ciskał się tak od kilku godzin, rangerzy stracili już zainteresowanie tym spektaklem.

Zza drzwi części biurowej zaczęły dochodzić podniesione głosy. Nastąpiło poruszenie.

W lokalnej kwaterze rangerów pojawił się generał Matanga ze swoją szesnastoosobową obstawą. Żołnierze stali w milczeniu, śmiertelnie poważni. W ciągu paru sekund w biurze zaroilo się od rangerów, większość miała przy sobie broń.

W absolutnej ciszy słycać było, jak cygaro generała przy wdechu rozżarza kolejne włókna tytoniu. Generał stał wyprostowany na szeroko rozstawionych nogach. Jego dwa metry wzrostu i masywna postura robiły wrażenie. Matanga wyjął cygaro z ust i dmuchnął dymem prosto w twarz stojącego przed nim kapitana rangerów. Uśmiechnął się.

– Skończcie te szopkę, panowie. Przetrzymujecie tu mężczyznę blisko spokrewnionego z niezwykle ważnym i wpływowym człowiekiem. Policja umorzyła śledztwo. To jest samowolka.

Ciszę mącił tylko szumiący pod sufitem wiatrak.

– Pański brat, generale, to *vavhimi* i dobrze pan o tym wie.

– Ajajaj... Po co od razu takie duże słowa? Pozwólcie, że ja się tym zajmę. Porozmawiam z nim po bratersku, wytłumaczę, że źle zrobił. A on obieca, że to się nigdy nie powtórzy. Może nawet dostaniecie jakieś dofinansowanie, żeby lepiej bronić zwierzaczków przed prawdziwymi bandytami?

– Panie generale, z całym szacunkiem, nie mogę się na to zgodzić.

Z twarzy Matangi znikł uśmiech, a zastąpił go groźny grymas niestaranie skrywanej wściekłości.

– Pozwól, że ci lepiej wyjaśnię sytuację, chłopcze. Jesteś zwykłym pastuchem z pistoletem, jesteś nikim. Mogę to wszystko – generał zakreślił rękami duże koło – roznieść w pył, o tak! – Strzelił palcami i

zrobił pół kroku, swoim zwyczajem zbliżając się do przeciwnika i patrząc na niego z góry. – Powiem ci więcej. Wrócę tu za dwie godziny i będę miał dwa razy tylu ludzi, albo trzy razy tylu. I wtedy te wasze śmieszne pukawki będziesz mógł sobie wsadzić w dupę. – Generał przysunął się jeszcze bliżej. Twarze dowódców dzieliło teraz tylko kilka centymetrów i przy każdym słowie wojskowy opluwał kapitana rangerów. – Wejdź mi w drogę, a zginiesz.

Nawet wiatrak pod sufitem jakby zwolnił, bojąc się zwrócić na siebie uwagę. Pokój zamarł w absolutnym bezruchu. Kapitan wciągnął głośno powietrze.

– To jest ryzyko, które jestem skłonny podjąć... panie generale.

Obaj mężczyźni stali bez ruchu przez dłuższą chwilę. Potem Matanga gwałtownie cisnął niedopalone cygaro w kąt pokoju, odwrócił się na pięcie i strzelił palcami, wydając rozkaz do wyjścia.

Gdy za ostatnim z żołnierzy zatrzasnęły się drzwi, po chwili ciszy dało się zza nich usłyszeć radosne wiwaty rangerów, które nie ustawały jeszcze długo.

**KAPITAN RANGERÓW** nie odpuścił do samego końca. W ciągu godziny Tarue Matanga został przewieziony w kajdankach do ich kwatery głównej mieszczącej się w budynku Ministerstwa Środowiska. Minister Francis Nema został powiadomiony o sprawie i poparł żądania rangerów.

Tarue Matanga trafił do więzienia bez możliwości wyjścia za kaucją. Ochrona rezerwatów wokół Marondery otrzymała od ministerstwa kilkadziesiąt sztuk belgijskich karabinów FN FAL, nowe shotguny i środki łączności. Rangerzy co pół roku przechodzą też szkolenia z taktyki i strzelania.

Czarne nosorożce, po które wtedy przyjechał Tarue, stały się najbardziej zagrożonym gatunkiem w Afryce. Od czasu tych wydarzeń w rezerwach prowadzi się trudny i smutny proces obcinania rogów wszystkim osobnikom. Ma to zmniejszyć ich rynkową wartość i zainteresowanie kłusowników. Rezultaty są umiarkowane.



ZNÓW SIEDZIELIŚMY W CZTERECH na tarasie jadalnym w parku Antelope i znów rozmawialiśmy o kłusownikach i zwierzętach. John popijał piwo, Bothwell zadowolił się lemoniadą. Powoli zaczęło do mnie docierać, co mają na myśli ludzie w Afryce, mówiąc, że gdzieś jest niebezpiecznie.

Obaj z Łukaszem słuchaliśmy kolejnych rewelacji z rosnącą zgrozą, rangerzy opowiadali o nich natomiast zupełnie swobodnie, jak gdyby referowali film. I to taki, którego w gruncie rzeczy nie warto pamiętać.

– Pamiętasz tego gościa? Jak mu było, Briston? – John zwrócił się do Bothwella. – To jest niezły aparat, spodoba się wam. Otóż pan Briston organizuje luksusowe polowania. Klienci przyjeżdżają do niego z nadzieją, że ustrzelą lwa. Pan Briston takie polowanie im więc umożliwia. Kupuje mianowicie z jakiegoś zoo starego lwa, takiego, który już się w ogóle prawie nie rusza, po czym przewozi go w nocy do swojego parku. Nad ranem podrzuca mu jakąś padlinę, po prostu kawał mięcha. Lew to zje i będzie leżał nieruchomo przez dwa dni, ale okolica będzie wyglądać jak po krwawej jatce. Wtedy tropiciel bierze klienta na łowy i łązi z nim cały dzień, niby to szukając śladów. A jak klient się już porządnie zmęczy, przewodnik nagle znajduje trop i prowadzi go prosto do tego podłożonego lwa. Klient strzela z bliska i wraca do domu bardzo z siebie dumny.

– Idiotyzm – skomentował Łukasz. – Jak można być takim kretynem...

– Wychowałeś się tu, sam pewnie masz w domu skórę lwa – odparowałem żartem.

– I zebry, i lamparta, a za szafą kość słoniową.

– Naprawdę masz w domu kość słoniową?

– Nie, debil. Wiecie, chłopaki, gdy ja kłusowałem, były jednak pewne reguły...

John i Bothwell roześmiali się pogodnie, pierwszy raz od kiedy się



poznaliśmy.

– Swoją drogą ci myśliwi to straszne sukinsyny – rzucił John. – Wiele razy widziałem, jak idą polować na impale, których mamy pełno, a potem przekupują przewodnika, żeby im wytropił lamparta albo słonia. Nikt tego nie kontroluje.

– Za pieniądze dostaniesz tu wszystko – podsumował Bothwell. – Pojedźcie do Lusaki, do Zambii. Tam można kupić kość słoniową na ulicy, na pęczki. Zobaczycie.

– Może innym razem – odpowiedziałem.

– Mamy poważniejsze zadanie. Otóż jedziemy szukać złota – zażartował Łukasz konspiracyjnym szeptem.

– Ależ to jest złoto – odparł poważnie Bothwell. – Tu, w Afryce, to jest żywe złoto biegające na czterech nogach.

Nad nami rozciągała się afrykańska noc pachnąca mokrymi trawami sawanny. Siedzieliśmy tak jeszcze długo, a po jeziorze niosły się nasze głosy i rechot żab.

– UWAŻAJ NA SIEBIE, Bothwell.

– Wy też, chłopaki. Nie pakujcie się w kłopoty. Pozdrówcie ode mnie Reilly’ego.



Bothwell Makolo. Antelope, Zimbabwe

– Tak zrobię. Daj się uściskać, przyjacielu.

Reilly Travers był szefem rangerów w rezerwacie Imire – tym, w którym fałszywi żołnierze postrzelili jednego ze strażników podczas karkołomnego pościgu. Postanowiliśmy złożyć mu wizytę, gdyby droga zawiodła nas w okolice Marondery. W Imire z sukcesem prowadzono program podobny do tego tutaj, tyle że zamiast lwów rozmnażano tam czarne nosorożce.

Najbardziej zagrożone i jednocześnie najcenniejsze zwierzęta Afryki.

DO CYWILIZACJI wróciliśmy na naczepie ciężarówki, siedząc okrakiem na przemysłowej lodówce. Afrykańska pocztówka z pustkowiem była jeszcze ładniejsza, gdy nie musieliśmy przez nią drałować w pełnym słońcu.



DOTARLIŚMY DO MIASTECZKA KWEKWE. Tu mieliśmy odnaleźć głęboko zakonspirowanych poszukiwaczy złota, *zama zama*, zwanych tu dla odmiany *korokoza*.

I owszem, znaleźliśmy ich – całe tysiące.

Wokół jedynej czynnej w mieście kopalni wyrosło osiedle, którego mieszkańcy zajmowali się plądrowaniem wyrobiska i wynoszeniem kruszcu na lewo. Ochronę kopalni stanowiło dwóch strażników, pilnujących głównej bramy. Żeby dostać się na jej teren, wystarczyło obejść płot. Złotonośne skały leżały na wierzchu, można je było wydobywać szpadlem.

*Korokoza*, złodzieje złota – albo poszukiwacze skarbów, jeśli ktoś woli wersję bardziej romantyczną – byli najbogatszymi ludźmi w mieście. Okazało się, że nie trzeba siedzieć latami pod ziemią, jak *zama zama* w RPA, ani wynosić diamentów w specjalnych buteleczkach sprytnie umieszczonych we własnej okężnicy, jak to robili ich koledzy w Botswanie. Nie trzeba dać sobie wszczepiać pod skórę układów scalonych w kopalniach brylantów ani dać się prześwietlać codziennie promieniami rentgena. Wystarczy mieć łopatę, taczkę oraz proste maszyny do tłuczenia kamieni i wytapiania złota.

To już nawet nie byli poszukiwacze skarbów, to byli po prostu etatowi ich zbieracze.

To nas nie interesowało. Szukaliśmy dalszego ciągu przygód, które zaczęły się na pustyni Nowego Meksyku i w wodach wokół Florydy. Chciałem znowu doświadczyć tamtego uczucia, tej gorączki. Czułem, jak mnie wzywa.

Umówmy się, że nie przelecieliśmy dziesięciu tysięcy kilometrów, żeby kopać rowy.



– U WYBRZEŻY NAMIBII leżą setki wraków, tam można

znaleźć wszystko.

– NA WSCHODZIE są kopalnie diamentów, z których wyjeżdżają całe ciężarówki do Mozambiku. To wszystko własność armii, możecie tam spróbować, jeśli się nie boicie.





Dzielna drużyna prewencji chroniąca kopalnię złota w Kwekwe.  
Standardowa łapówka: 20 dolarów. Za darmo można wejść 50 metrów  
dalej

– W GÓRACH NA PÓŁNOCY jest ich sporo, nazywamy ich skoczkami. Przemycą przez granicę wszystko, co chcecie, dowolne kosztowności.

– Jakie na przykład?

– No broń, złoto, skóry, rogi, kość słoniową... Co chcecie.

– IMIRE? Strasznie daleko i droga fatalna. Trzeba zjechać z głównej szosy, a potem jeszcze jechać z pięćdziesiąt kilometrów tymi farmerskimi drózkami. Czym jeździcie?

– Autostopem.

– W takim razie nie ma szans.

STALIŚMY NA ROZDROŻACH. Nie to, żeby sceneria musiała być poetycka, po prostu tu nas zostawił ostatni kierowca i od tamtego czasu nic nie przejechało. Zanosilo się na deszcz.

Od kilku dni biliśmy się z myślami. Przyjechaliśmy tu szukać skarbów, ale okazało się, że poszukiwania to duże słowo. Tu wystarczy wyciągnąć rękę i podnieść odpowiednią skałę, a potem ją pokruszyć i przetopić. Górnictwo nigdy nie było jakoś szczególnie pociągające, a konkurencja była tu liczna i wyjątkowo dobrze uzbrojona. To zdanie słyszeliśmy najczęściej – „Uważajcie, to są niebezpieczni ludzie”.

Nie mieliśmy co do tego najmniejszych wątpliwości.

Przyjechaliśmy do Afryki, bo chcieliśmy poławiać perły, nurkując w turkusowej wodzie, odnaleźć jakąś skrzynię ze złotymi łańcuchami. Przekuć naukę, którą wywieźliśmy z Kaczorem ze Stanów, w samodzielne przedsięwzięcie. A tymczasem raz za razem okazywało się, że tutejsi poszukiwacze to zwykli oszuści i złodzieje, czasem drobne cwaniaczki, a czasem bandyci bez żadnych skrupułów.

Zamiast przygodówki o wagabundach znaleźliśmy rzeczywistość ludzi bez zasad, zwykłych kryminalistów wypranych z emocji, którzy nie cofną się przed niczym, by zarobić parę dolarów.

Chcieliśmy dotknąć świata awanturników i marzycieli, a okazał się on pełen szumowin i morderców.

Wbrew wszystkim ostrzeżeniom i wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowiliśmy pojechać do rezerwatu Imire, tego, o którym opowiadał nam Bothwell. To była decyzja podjęta z braku lepszych pomysłów. Nie bardzo wiedzieliśmy, w jakim celu tam jedziemy ani co zrobimy, gdy już dotrzemy na miejsce.

Chyba po prostu postanowiliśmy wypisać się z klubu, którego członkowie uważają, że najłatwiej zdobyć złoto, odbierając je komuś innemu.



– WSIADAJCIE! PRĘDKO.

Wtłoczyliśmy się na tylne siedzenie równie małego, co wiekowego Citroëna, z plecakami na kolanach. Pytanie, dokąd chcemy jechać, nie miało w tym miejscu sensu, bo prowadziła stąd już tylko jedna droga. Wyjeżdżaliśmy ze stolicy, Harare, szosą na południowy wschód biegnącą dwieście pięćdziesiąt kilometrów aż do Mutare na granicy z Mozambikiem. Chcieliśmy wyskoczyć w połowie drogi, przed miejscowością Marondera, gdzie mała wiejska dróżka odbija w prawo, zataczając olbrzymie koło pomiędzy farmami. Na jednej z nich, dokładnie pośrodku, mieścił się rezerwat Imire. To był słaby punkt naszego planu – jak dotrzeć ze skrzyżowania do bramy parku, pokonując sześćdziesiąt kilometrów po polnej drodze bez własnego transportu. Nie dawaliśmy sobie wielkich szans.

Było już późne popołudnie, a my w drodze prawie od dwóch dni. Pucowałowy kierowca pędził na złamanie karku, wymieniając uwagi ze swoją nastoletnią siostrzenicą siedzącą na fotelu pasażera.

– Do Mozambiku? – spytał, nie odwracając głowy.

– Nie, do Imire – odpowiedział Łukasz.

– Imire?! – kierowca zerknął przez ramię i popatrzył z niedowierzaniem. Na jego ciemnej twarzy malowało się nieskrywane zdumienie. – Jak wy tam chcecie dotrzeć?

– Po tych farmerskich drogach coś musi przecież jeździć.  
Poczekamy.



– Raczej długo będziecie czekać – rzucił w odpowiedzi.



Popatrzyliśmy po sobie z Łukaszem. Wzruszył ramionami.

– Tylko się nie przytulaj, jak będziemy spać w krzakach i w nocy zrobi się zimno – mruknąłem cicho.

– Słaba czwórka, może nawet cztery na szynach – ocenił Łukasz.

Odpowiedziałbym ciętą ripostą, ale znowu mi jej zabrakło.

Krajobraz za oknem miarowo znikał za plecami, łapiąc coraz głębsze odcienie pomarańcza. Zabawialiśmy gospodarzy tą niemal niewymuszoną rozmową, jaką toczą zawsze obcy ludzie zrzędzeniem losu umieszczeni w jednym ciasnym miejscu, ale mający w sobie dość sympatii, by się wzajemnie nie ignorować.

Pucołowaty kierowca chwalił się zdjęciami rodziny, a my opowiadaliśmy anegdoty z drogi. Jedliśmy orzeszki, a łupinami ciskaliśmy przez okno. Bezskutecznie uczyliśmy się podstaw języka ndebele pełnego dźwięków niezapisywalnych w żadnym alfabecie.

Chrząszcz brzmiał w trzcinnie, a Sasza szedł szosą nie wiadomo dokąd.

Podśmiewaliśmy się wspólnie ze stanu starego Citroena naszego kierowcy, w którym tapicerka trzymała się na zszywaczach do papieru. A potem jeszcze głośniejszemu z faktu, że żaden z jego pasażerów w ogóle nie posiada samochodu i wszędzie musi łączyć pieszo jak zwykły Zimbabweńczyk, a nie biały.

Kierowca nie mógł uwierzyć, że u nas zimą jest minus dwadzieścia stopni i na dworze można zamarznąć, a my, że wokół jego domu biegają dzikie lwy i dzieci muszą na nie uważać, bawiąc się na podwórku. Śpiewaliśmy piosenki lecące w radiu i prowokacyjnie komplementowaliśmy urodę spłoszonej od początku siostrzenicy, jednocześnie grzecznie odmawiając pojęcia jej za żonę.

Łukasz wyjął ciasteczka i pociągnął krótki monolog w języku xhosa, który pamiętał z podstawówki, czym rozśmieszył kierowcę do łez. Popatrzyłem na mojego przyjaciela uważnie. To było nietypowe jak na niego, takie niewymuszone bratanie.

A potem kierowca odebrał telefon, wymienił kilka zdań i wyraźnie zwolnił. Okazało się, że żona, do której tak pędził z zakupami, postanowiła na niego nie czekać i wyszła z koleżankami.

Śpiewaliśmy więc dalej, ale już w wolniejszym tempie.

– OTO I NASZE SKRZYŻOWANIE - powiedziałem.

– Chłopcy, jest piąta, tedy nic nie jeździ, nie macie szans dojechać dziś do Imire. Mam pomysł. Nigdzie się już nie spieszę, nie byłem w tej okolicy chyba z sześć lat, a to ładna droga. Mogę nadłożyć kawałek i zrobić pętelkę. Podrzucę was na miejsce, nic mnie to nie kosztuje. Asanda też chętnie zobaczy farmy. Prawda?

Nastoletnia siostrzenica pokiwała z zapalem głową. Samochód zjechał z głównej drogi i potoczył się przez pola w kierunku rezerwatu Imire.

OPONY ZACHRZEŚCIŁY NA ŻWIRZE, spod kół podniósł się kurz.

– To chyba tu – powiedział nasz kierowca.

Nie wyglądało na to. Staliśmy pod sklepem rzeźnika, jedynym budynkiem w zasięgu wzroku. Przy sklepie rosło rozłożyste drzewo, a pod nim stała ławka. Nie było żadnego znaku informującego, że to park

przyrody Imire.

Wysiadłem z samochodu. Pusto. Sklep był zamknięty kratą, na której wisiał ciężki łańcuch. Zapadał zmierzch, a w trawach budziły się cykady.

Obszedłem budynek, nie znajdując nikogo. Za sklepem rzeźnika biegła wyjeżdżona polna droga. Na jej końcu majaczyło małe światło i zarys niskich budynków.

– Nikogo? – Łukasz pojawił się niepostrzeżenie.

– Pusto.

– No i co my teraz zrobimy?

– Nie wiem, stary. Wracamy z nim do miasta?

– Chyba będzie trzeba. Bo co, śpimy w buszu? Widziałeś te farmy, nikogo tu nie ma, może dwie są zamieszkałe, reszta stoi pusta. Jak gość odjedzie, będziemy mieli przed sobą długi spacer.

Łukasz miał rację. Drogę, którą tu przyjechaliśmy, stanowił poobgryzany z obu stron pasek asfaltu sprzed trzydziestu lat. Jeśli ktoś tędy miał jeździć, to tylko farmerzy, których było może pięciu, a jeździli pewnie z rzadka. Do skrzyżowania przed Maronderą mieliśmy sześćdziesiąt kilometrów. Perspektywa nie była szczególnie zachęcająca.

Odwróciliśmy się w stronę samochodu i aż cofnąłem się z wrażenia. Kilka metrów od nas stał facet w koszuli o wojskowym kroju, bawełnianych, brudnych portkach i plastikowych klapkach. Przy Citroenie dwóch chłopaków rozmawiało z naszym kierowcą.

– Czego? – zapytał obcesowo.

– Przyjechaliśmy do pana Reilly’ego Traversa.

– W jakim celu?

– Mamy do niego list.

Nigdy nie myślałem, że kiedyś wypowiem takie zdanie – jak z epoki maszyn parowych. „Mamy do niego list”. Jak jakiś królewski posłaniec po szalonym galopie przez knieję albo wojskowy goniec, który przedarł się przez dwie linie nieprzyjaciela i oto staje w gabinecie generała z tajną depeszą zawierającą rozpaczliwe wołanie o posiłki od małego oddziału okopanego na zalesionym wzgórzu.

„Mamy do niego list”. Tak odpowiedziałem na pytanie, co tu, do

cholery, robię. Zdaniem, które wyszło z użycia razem z „umyj szynkwas” i „podaj kopyść”.

Co lepsze, list naprawdę mieliśmy. Gdy wyjeżdżaliśmy z Antelope, Bothwell przez dwa dni bezskutecznie próbował dodzwonić się do swojego byłego szefa, Reilly’ego. Na liniach telefonicznych w Zimbabwie nie bardzo można polegać. Imire mieściło się na końcu świata i koniecznie chcieliśmy mieć jakieś referencje, żeby w sytuacji takiej jak ta nie pocałować klamki. Bothwell więc naskrobał jakiś tajemniczy list i zapieczętował go w kopercie, adresując do pana Reilly’ego Traversa, szefa służb ochrony rezerwatu Imire. Wierzyliśmy święcie, że to będzie żelazny glejt otwierający nam wszystkie drzwi, gdybyśmy tu jakimś cudem dotarli. Teraz jakoś przestaliśmy w to wierzyć.

– To dajcie mi ten list, a ja już go przekażę – powiedział sucho mundurowy, nie spuszczać z nas wzroku.

– Musimy z nim porozmawiać – zacząłem wyjaśniać. – Przyjechaliśmy tu z polecenia Bothwella Makolo, przyjaciela Reilly’ego. Wiemy o strzelaninie z żołnierzami sprzed paru lat. Musimy porozmawiać z Reilly’em osobiście.

Lepiej, żeby Bothwell miał z Reillym tak dobre stosunki, jak mówił.

Żołnierz patrzył nieruchomo, poważny i groźny. Nawet widoczny dysonans jego wojskowej postawy z klapkami i brudem na porciętach nie dawał nam grama poczucia bezpieczeństwa. Trwaliśmy tak w napięciu dłuższą chwilę.

– Poczekajcie tu – rzucił strażnik.

Patrzyliśmy, jak znika w głębokich cieniach zmierzchu, które gęstniały błyskawicznie. Szedł drogą za sklepem rzeźnika w kierunku migoczącego pod lasem światła.

Wróciliśmy do Citroëna, z którego wyskoczył nasz kierowca. Widoczne zdenerwowanie próbował przykryć przyjaznym uśmiechem.

– No to ja już będę jechał. Dacie sobie radę.

Otworzył tylne drzwi, zapraszającym gestem wskazując nasze bagaże. Chwyciłem go delikatnie za łokieć uspokajającym gestem.

– Co się dzieje? Powiedz nam.

– Nie powinniście tu być. Oni zadają za dużo pytań. Muszę jechać.

– Spokojnie. O co chodzi, co jest nie tak? Przecież nic nie robimy.

Kierowca rozejrzył się niepewnie i ściszył głos do ledwo słyszalnego szeptu przepełnionego autentycznym strachem.

– To wszystko to były kiedyś białe farmy, rozumiecie, należały do białych właścicieli. Niedawno im je zabrali i rozdali różnym wojskowym i politykom. Tu się działy straszne rzeczy. Ci ludzie myślą, że może przyjechaliście w tej sprawie, że może chcecie coś odzyskać albo będziecie zadawać pytania. – Nasz przyjaciel znowu się rozejrzył nerwowo. – Wystarczy, i tak dużo zrobiłem, wracam do domu, zabierajcie rzeczy. Nie powinienem był tu w ogóle przyjeżdżać...

– Nie zostawiaj nas tu... – zacząłem błagalnie. – Przecież jeśli Reilly nie będzie chciał z nami gadać, utkniemy tu na dobre, nie będziemy mieli jak wrócić...

W kierowcy trwała autentyczna walka jego poczciwej dobroci ze strachem. W samochodzie wciąż czekała siostrzenica, o której też musiał myśleć.

– Nie powinienem, naprawdę... Oni już chcieli wiedzieć, kim jestem i dlaczego was tu przywiozłem...

Dla nas to też była fatalna sytuacja. Wiedzieliśmy, że nie mamy prawa go tu trzymać, nie miał przecież względem nas żadnych zobowiązań. Bał się i nie miało znaczenia, czy ten strach był uzasadniony, czy stanowił tylko wytwór urojenia. Stawialiśmy go w trudnej sytuacji, ale jednocześnie poczciwy grubasek był naszą jedyną szansą na powrót do cywilizacji, gdyby bramy Imire pozostały zamknięte. Jeśli odjedzie, wpadniemy w poważne kłopoty.

– Daj nam jeszcze kwadrans, proszę – jęknąłem. – Ten gość poszedł pewnie zadzwonić do Reilly'ego, zaraz wróci, będziemy wiedzieli, na czym stoimy. Daj nam tę chwilę, błagam... Jeśli go nie będzie za piętnaście minut, znikamy stąd razem.

Kierowca potarł spocone czoło wierzchem dłoni.

– Piętnaście minut, to wszystko.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo jesteśmy ci wdzięczni.

Czas zwolnił, każda minuta trwała wieczność. Zapadł już niemal zupełny zmrok, choć księżyc w pełni oblewał wszystko bladą poświatą,

pozwalając odróżnić kształty. Czekaliśmy w milczeniu i napięciu, a kierowca w myślach przeklinał chwilę, gdy zatrzymał się na przedmieściach Harare, by nas zabrać. Żwir szurał pod butami, grubasek dreptał w kółko i kręcił głową. Łukasz rzucał kamyczkami w pobliskie drzewo. Wskazówki zegarka skakały przeraźliwie wolno.

Mundurowy pojawił się znikąd, tak jak poprzednim razem. Coś się jednak zmieniło, szedł teraz z przyjaznym uśmiechem i z daleka nas pozdrawiał, machając ręką.

– Przepraszam za to poprzednie powitanie. To jest taka okolica, że się nikomu nie ufa. Skontaktowałem się z Reillym przez radio. Jedzie już ze swojego domu, będzie za kilka minut.

– Świetnie, to ja znikam – zareagował błyskawicznie kierowca.

– Nigdy nie damy rady ci się odwdzięczyć – powiedziałem. –

Dziękuję, po prostu dziękuję.

Proste, ale szczerze. Uścisnęliśmy sobie dłonie. Spojrzeliśmy po sobie z Łukaszem. Niezauważalnie kiwnął głową i odszedł z grubaskiem na stronę, by taktownie zaproponować zwrot kosztów paliwa i może jakieś drobne wynagrodzenie. W Afryce przeważnie płaci się za jazdę autostopem. Po chwili nasze plecaki leżały na żwirze oświetlone czerwoną luną tylnych lamp odjeżdżającego citroena.

Łukasz wrócił wyraźnie zmieszany. Spojrzałem pytająco.

– Powiedział, że nie chce od nas żadnych pieniędzy.

OSTRE ŚWIATŁA białej półciężarówki zamieniły noc w dzień, samochód zatrzymał się, szorując oponami po żwirze. Przez okno od strony kierowcy wyskoczył pies i pobiegł w ciemność, poszczekując. Zza drugich drzwi wysiadł szczupły, może trzydziestoletni gość w czapce z daszkiem, wojskowej koszuli safari i ciężkich butach. Miał kilkudniowy rudy zarost i poruszał się sprężystym, wysportowanym chodem. Bez cienia wahania wyciągnął rękę:

– Reilly Travers.

Przedstawiliśmy się i opowiedzieliśmy pokrótce o spotkaniu z Bothwellem i jego historii o kłusownikach, która nas tu przywiodła. Wręczyłem Reilly’emu kopertę z listem. Schował ją do kieszeni, nie zaszczycając jej nawet spojrzeniem.

– ... tak więc chcielibyśmy wam pomóc, jeśli jakoś możemy –

skończyłem.

Reilly przyglądał nam się chwilę w milczeniu.

– Panowie, chyba nie planujecie dzisiaj stąd wracać?

– To zależy tylko od ciebie.

– W takim razie wskakujcie na pakę. Siądziemy przy ogniu, zjemy jak ludzie, a potem mi dla odmiany szczerze wyjaśnicie, co was tu tak naprawdę przyniosło.

SAMOCHÓD REILLY’EGO podskakiwał na wybojach, przemierzając kolejne kilometry dzikiego afrykańskiego buszu. Księżyc w pełni pozwalał widzieć niemal jak w dzień, patrzyliśmy więc na trawy i rozłożyste drzewa akacji spłaszczone od góry jak po oberwaniu chmury, która przygniotła je swoim ciężarem. Wokoło słychać było szczebioczące w koronach drzew ptaki i niezmordowane świerszcze, piłujące nieustannie wśród traw. Busz żyje nocą.

To już nie była pocztówka z Afryki, wjeżdżaliśmy w prawdziwą afrykańską przygodę, w środek urzeczywistnionego marzenia z książek o podróżnikach. Byliśmy sami, na końcu drogi donikąd, w towarzystwie człowieka, którego dopiero mieliśmy poznać, i zdani tylko na siebie. W żyłach krew krążyła żywiej, serce było mocniej napędzane uniesieniem.

Dawno nie czułem się tak bardzo na miejscu.

REILLY TRAVERS zatrzymał samochód przy ognisku rozpalonym pośrodku sawanny obok kilku wysokich drzew, po czym zgasił silnik.

– Rozgoście się.

Zeskoczyliśmy z półciężarówki i zrzuciliśmy rzeczy przy jednym z gładów otaczających ognisko. Reilly dorzucił do ognia polano, zrobiło się jaśniej. Przysiedliśmy na kamieniach. Drewno strzelało iskrami, a dym znikał w koronach drzew. Na skraju ogniska szumiał przykryty garnek.





Reilly Travers, szef ochrony Imire, przy naszym nocnym ognisku

Zjedliśmy po kawałku twardej jak podeszwa wołowiny i niewielkiej porcji papu, kukurydzianej mazi całkowicie pozbawionej smaku. Prowadziliśmy ostrożną rozmowę, próbując się wzajemnie wybadać. Przyznaliśmy uczciwie, że historia Bothwella utkwiła nam w głowach i przyciągnęła nas do Imire. Że zobaczyliśmy kawałek fascynującego, ale przerażającego świata, w którym żyje Reilly. I że chyba chcielibyśmy mu jakoś pomóc, jeśli to możliwe. Że na dobrą sprawę nie wiemy, czemu tu jesteśmy, ale czujemy, że po prostu musimy tu być.

Reilly słuchał tych wyjaśnień bez słowa, paląc papierosa i przyglądając się nam uważnie. Siedzieliśmy dłuższą chwilę w ciszy, maconej tylko trzaskami drewna w ognisku.

– Cóż, niewielu ludzi tu przyjeżdża z taką motywacją. Nie wyglądacie mi też na oszustów. Zobaczymy rano, co moglibyście dla nas zrobić. A teraz zjedzmy jeszcze. Papu?

Obaj podziękowaliśmy z wielkim zapalem.

REILLY BYŁ SZEFEEM służb antyklusowniczych – uzbrojonych strażników pracujących w patrolach i monitorujących park Imire. Rezerwat był sporym terenem, dwanaście kilometrów wzdłuż i sześć wszerz. Ochrona takiej posiadłości to koszmar.

Po terenie parku wolno biegały słonie, żyrafy, zebry, antylopy i wiele innych zwierząt, a w jeziorze pływał hipopotam samotnik. Reilly i jego ludzie chronili zwierzęta przed kłusownikami, choć nie mieli w tej walce przewagi. Zwierzęta zabijali często mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy po prostu nie mieli co jeść, a Imire było ogrodzone tylko niskim drucianym płotem. Można go było przeskoczyć z rozbiegu. To była walka z wiatrakami.

Sercem całego rezerwatu była Judy Travers, matka Reilly'ego. Kobieta o niezłomnym charakterze, woli tak silnej, że była w stanie przeciwstawić się politycznemu huraganowi i gdy prezydent Mugabe rabował okoliczne farmy oraz odbierał białym ziemię, Imire przetrwało nietknięte. Judy żyła całą sobą dla tego miejsca, dla zwierząt, które zniknęły na jej oczach, dla Afryki, w której się wychowała i którą chciała zostawić po sobie w nienaruszonym stanie. Judy podejmowała walkę z góry skazaną na niepowodzenie, a mimo to była gotowa poświęcić dla niej wszystko.

Najcenniejszym skarbem Traversów były czarne nosorożce. Przepiękne, majestatyczne zwierzęta, łagodne pożeracze trawy i kolczastych listków. Chodzące skamieliny o skórze grubej jak pancerz, która pozornie mogłaby znieść wszystko. Pozornie, bo tak naprawdę nosorożce czują każde dotknięcie, a ta gruba skóra jest zadziwiająco delikatna. Nosorożce czują siadające na nich komary i łaskotanie liści. Czują, jak wysychające błoto je ochładza i jak przyjemnie drapie tarzanie się po ziemi.

Czują to samo, co ludzie.

Nosorożce potrafią się sobą nawzajem opiekować, zakochują się, są mądre, czule i łagodne. Każdy ma temperament i osobowość, radość lub smutek w oczach. To zwierzęta rozumiejące, co się wokół dzieje, i potrafiące się wzruszyć albo bać. Zwierzęta tak ludzkie, że czasem aż trudno w to uwierzyć. Niesamowite, delikatne stworzenia, których

ubywa w zastraszającym tempie.

Dlatego ich ochrona w Imire jest tak istotna.

Centralnym elementem rezerwatu był program rozmnażania czarnych nosorożców, desperacka próba uratowania ich populacji przed ludzką chciwością. Imire było jednym z kilku takich miejsc w Afryce. Przez trzydzieści lat jego właścicielom udało się wypuścić na wolność raptem trzynaście nosorożców. To był największy sukces takiego programu na całym kontynencie.

**ROZMNAŻANIE NOSOROŻCÓW** to makabrycznie trudne zadanie. Zwierzęta żyją w Imire na małym, ogrodzonym, choć dzikim terenie. Gdy samica zachodzi w ciążę lub próbuje się do tego doprowadzić, nosorożce są chronione w niewielkich, strzeżonych zagrodach. Mieszkają wśród ludzi jak w klatkach, ale dla własnego bezpieczeństwa.

Panna nosorożec może zajść w ciążę dopiero po pięciu latach życia, kawaler może się do tego przyczynić, gdy skończy dziesięć lat. To dużo. Natura nie ułatwia Traversom pracy. Potem piętnaście miesięcy ciąży i na świat przychodzi tylko jeden mały nosorożec, na którego trzeba chuchać i dmuchać, i modlić się, by przeżył wśród dzikich zwierząt na wolności.

Trudny i żmudny proces, który przeważnie smutno się kończy.

Wszystkie nosorożce w Imire pozbawia się rogów, w znieczuleniu i pod kontrolą weterynarza. Przykra, ale konieczna praktyka, najlepsze, co dotychczas wymyślono w walce z kłusownikami. Pozbawiony rogu nosorożec traci na wartości rynkowej, polowanie na niego przestaje się opłacać.

Operacja zdjęcia rogu jest dla zwierzęcia bezbolesna. Róg to zwykła keratyna, jak nasze paznokcie albo włosy. Powyżej siedmiu centymetrów od nasady nie biegną w nim jakiegokolwiek naczynia krwionośne czy nerwy. Uśpionemu nosorożcowi piłą mechaniczną odcina się róg powyżej tej granicy, by nic nie czuł. Nosorożce bez rogów są mniej majestatyczne, ale żyją. Tu, w Afryce, to dla nich olbrzymie szczęście.

Kilka nosorożców żyjących w Imire to szansa na uratowanie zagrożonego gatunku. Strata nawet jednej sztuki oznaczałaby fiasko

całego przedsięwzięcia. Te kilka sztuk, czasem pięć, czasem siedem, to największa nadzieja czarnych nosorożców w Zimbabwie.

Kilka sztuk.

ROZMAWIALIŚMY DŁUGO W NOC, hipnotyzowani ogniem. Mieliśmy coraz bardziej markotne miny, jedynie Reilly mówił, jak gdyby nigdy nic. Zbyt długo już mieszkał w Afryce i zbyt wielu rzeczy był świadkiem.

Reilly nocował w buszu bardzo rzadko, tylko wtedy, gdy chciał uciec od wszystkiego lub miał po temu dobrą okazję. Uważał, że to też patrol, demonstrowanie swojej obecności, która zawsze odstrasza ludzi. W samochodzie miał karabin, pistolet i całe pudełko naboji.

Tego dnia spaliśmy pod gołym niebem, przy żarze ogniska, na ziemi. Gdyby nie te trudne historie, byłaby to piękna noc.

OBUDZIŁ MNIE WRZASK DZIECKA. Usiadłem, nie wiedząc, co się dzieje.

– Łukasz! Psst! Łukasz, do cholery!

– Czego chcesz...?

– Słyszysz?! Co to?!

Dzieciak piłował, jakby dostał tęgie lanie. Typowy wrzask noworodka, świdrujący, głośny i nieznoszący sprzeciwu. Trwał i trwał, dochodził z kępy pobliskich drzew w środku buszu. Łukasz przewrócił się na drugi bok.

– *Bushbaby*, taka mała małpa. Śpij.

– Chyba żartujesz.

– Nie żartuję. Daj mi spać.

Małpi liliput z wyłupiastymi oczami, krzyczący jak niemowlak. To było najdziwniejsze, co widziałem w życiu.

– TOMEK! Psst! Śpisz?

– Nie.

– Straszna lodówa!

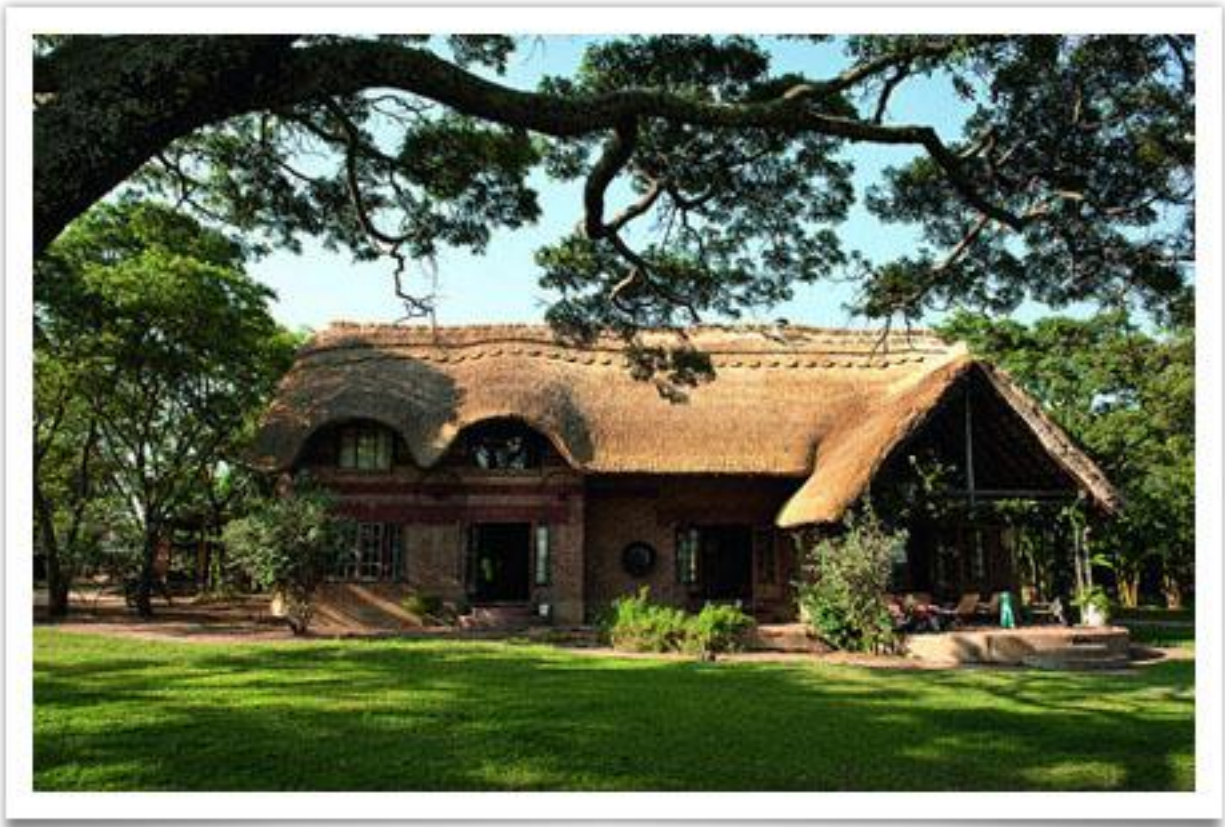
– Makabra. Która godzina?

– Czwarta.

– Ożeż cholera...

– Coś czuję, że obejrzymy wschód słońca na sawannie.

Reilly spał smacznie, my szczękaliśmy zębami.



Dom Traversów w sercu rezerwatu

– ROZGOŚĆCIE SIĘ, PANOWIE, zaraz zjemy śniadanie, zbiorę tylko raporty – powiedział Reilly, wchodząc do budynku.

Był ranek, wchodziliśmy właśnie do jednego z kilku angielskich domków rozsianych w różnych częściach rezerwatu. Typowa wiejska posiadłość, jak z bajki – cegły, komin i dach kryty strzechą z trawy słoniowej. Na ścianach budynku wisiały drewniane koła od wozu, a wokół ganku pięła się winorośl. Stare szyby z nierównego szkła w trzyczęściowych oknach zakrzywiały świat w zielononiebieskich odbiciach. Wokoło domu rosła równo przystrzyżona trawa, a z ganku rozciągał się widok na jezioro porośnięte przy brzegach trzcina.

Bez zbytniej przesady mogę powiedzieć, że to było jedno z najpiękniejszych miejsc, jakie widziałem w życiu.

Reilly podniósł radio i wsłuchiwał się w związane raporty o przebiegu ubiegłej nocy. Co jakiś czas rzucał polecenia na temat



przemieszczenia zwierząt w inne miejsce albo dyspozycje dla patroli.

– Zrobimy dziś zmianę w Chawawe, dwa razy trzy plus słonie, nocny pełny od dziś przez cztery dni.

– Zrozumiałem, bez odbioru – zatrzeszczało radio.



Świt na sawannie



Usiedliśmy do stołu, by zjeść gorące jajka na bekonie z pomidorami i wypić herbatę z mlekiem.

– Reilly, ilu masz ludzi w swojej ekipie? – spytałem, smarując tosta masłem.

– Piętnastu.

Spojrzałem na Łukasza, był tak samo zdumiony.

– Mamy cztery sektory, przez cały czas w każdym jest jakiś patrol – kontynuował Reilly. – Słonie, lwy i bawoły mają dodatkową straż podążającą ich tropem. Dzikie nosorożce są chronione całą dobę na dwie zmiany, te w zagrodach także. Do tego mamy siły szybkiego reagowania w jeepach i nocne patrole, zwłaszcza przy pełni księżyca.

– Wszyscy uzbrojeni, jak rozumiem?

– Pistolety, shotguny i karabiny. Standardowe wyposażenie.

– Łączność?

– Radiowa, dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– Bardzo to wszystko poważnie wygląda, Reilly – powiedział



Łukasz, nalewając sobie herbaty. – Rozumiem kwestie bezpieczeństwa, ale mówisz, jakby to była wojna. Naprawdę to wszystko jest konieczne?  
– To wszystko i tak nie wystarcza.



Imire, Zimbabwe, trzy lata wcześniej

**TERENOWY SAMOCHÓD** zatrzymał się na skraju drogi. Wyskoczyły z niego cztery postacie ubrane w ciemne stroje maskujące. Bez słowa ruszyły w zwartym szyku w kierunku ogrodzenia, znikając w mroku.

**REILLY WRÓCIŁ DO DOMU** i z ulgą rzucił się na łóżko. To był męczący dzień. Zwierzęta tratowały uprawy i trzeba je było przepędzić w inne miejsce, a potem postawić na nowo płot. Normalnie wieczorem robił jeszcze obchód, zazwyczaj po prostu wracając z terenu jakąś okrężną drogą, ale tego wieczoru już nie miał na to siły. Była dopiero ósma, ale w Imire to koniec dnia.

**CZTEREJ ZAMASKOWANI MĘŻCZYŹNI** bezszelestnie przykucnęli na skraju lasu, patrząc na grupę budynków. W środku najbliższego paliło się światło, sąsiedni to kwatery strażników, obok stały zagrody nosorożców. Dowódca podniósł tylko dłoń, wszyscy natychmiast odbezpieczyli karabiny.

**DRZWI OTWORZYŁY SIĘ Z TRZASKIEM**, uderzone potężnym kopnięciem. Ktoś krzyknął przestraszony. Czterech napastników wpadło do środka i rozbiegło się po pomieszczeniach jak dobrze wyszkolony oddział. Mieli czarne wojskowe buty i ciemne mundury polowe. Wszyscy trzymali w rękach karabiny szturmowe.

Zagonili wszystkich do jednego pomieszczenia, całą ósemkę, mężczyzn i kobiety. Krzyczeli, wymuszając posłuszeństwo. Dowódca oddziału wyciągnął na środek pokoju jednego z weterynarzy, Hectica Dube, niskiego, niepozornego opiekuna zwierząt, który pracował w Imire od lat. Cisnął nim w stronę pozostałych napastników i Dube po

chwili zniknął pod gradem kopnięć i uderzeń. Domownicy krzyczeli ze zgrozą, patrząc, jak twarz mężczyzny zmienia się w bezkształtną, krwawą masę. Gdy go zostawili, leżał nieprzytomny na chłodnej posadzce, a wokół rosła czerwona plama.

Napastnicy nie odzywali się ani słowem.

WSZYSCY POBICI leżeli na podłodze związani grubym powrozem. Słysząc było cichy płacz tych, którzy jeszcze byli przytomni. Sipo, zarządczyni domu, drżała, patrząc pusto w przestrzeń, pobita niemal do nieprzytomności, w rozdartej koszuli.

Napastnicy zniknęli pół godziny wcześniej, zostawiając ich samych. Poruszali się jak automaty i nic nie mówili. Nikt nie wiedział, czego chcieli.

REILLY USŁYSZAŁ ZZA OKNA WOŁANIE, potem jeszcze jedno, bardziej rozpaczliwie. Chwycił lampę i zbiegł po schodach, tak jak stał. Wypadł na dwór w wieczorny chłód i ruszył do bramy zagradzającej wjazd na posesję. Pokonał dzielące go sto metrów sprintem, szybciej niż kiedykolwiek. Wiedział, że musiało się stać coś złego.

Przy bramie, oparty plecami o ogrodzenie, stał Chikwekwe, jeden z opiekunów nosorożców. Był spocony i cały się trząsł. Z nadgarstka lewej ręki zwiisał mu kawałek sznura. Ledwo łapał oddech.

– Przyszli... Pobili... – wyrzucał z siebie przy każdym urywanym oddechu. – Panie Reilly... Szybko... Nosorożce!

Serce podskoczyło Reilly'emu do gardła. Zagrody stały prawie dwa kilometry od domu. Chłopak musiał przebiec ten dystans, może być już za późno. Reilly rzucił się do domu, pędząc najszybciej, jak potrafił. Chwycił radio i krzyknął do mikrofonu:

– Do wszystkich jednostek! Natychmiast do sektora Numwa, nosorożce w niebezpieczeństwie!

Nie czekał na odpowiedzi, na które i tak nikt nie traciłby czasu. W biegu złapał sztucer i pas z pistoletem. Zadudniły przeskakiwane po kilka stopni schody.

SILNIK WYŁ, zawieszenie protestowało, skrzypiąc, zmuszane do pokonywania polnych dróg przy pełnej prędkości. Reilly obijał się o wnętrze, podskakując na każdej dziurze i wyboju. Modlił się, żeby

zdążyć.

Dotarł do pierwszego budynku, gdzie mieszkała obsługa terenu. Wszystkie drzwi zostały zabarykadowane od zewnątrz. Jedno z okien było otwarte na oścież, tędy musiał się wydostać Chikwekwe.

„Co tu się stało...?”, pomyślał Reilly z rosnącym przerażeniem.

Wpadł do środka. Pusto. W ostatnim budynku zobaczył swoich pracowników na ziemi, związanych. Trzęsącymi się rękami rozsuptał sznur krępujący ręce jednego z nich. Już w biegu rzucił:

– Rozwiąż pozostałych, pomoc w drodze!

Wypadł z pomieszczenia i wyskoczył na zewnątrz kilkoma krokami. W głowie trwała szamotanina myśli, trząsł się ze strachu i napięcia.

„Posiłki będą tu dopiero za kilka minut, wszyscy byli w innych sektorach – myślał gorączkowo. – W zagrodzie było dwóch strażników, czemu tu jest tak cicho? Boże, co tu się stało?!”

Na chwiejnych nogach obszedł budynek i podszedł do bramy ogrodzenia zagrody dla nosorożców. W okolicy słychać było tylko ptaki. Na posterunku leżał związany strażnik i jęczał. Reilly podniósł go z ziemi i zobaczył krwawe rany w miejscach, gdzie powinny znajdować się oczy mężczyzny.

– Co tu się stało?! – krzyknął, próbując ocucić strażnika. – Christopher, przyjacielu, odezwij się!

Christopher ledwo szeptał:

– Zaskoczyli nas... czterech... Związali mnie. W oczy... wlał... kwas...

Reilly nie mógł opanować łez ciekących mu po policzkach. Przytulił przyjaciela i położył go łagodnie na ziemi.

– Czekaj tu... Pomoc już jedzie... Zaraz się tobą zajmiemy...

Otarł ręką łzy z twarzy i powoli ruszył w kierunku zagród, trzymając się ściany. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa.

– W zagrodach były cztery nosorożce – Reilly szeptał do siebie. – Wszystkim niedawno obcieliśmy rogi... Nic im się nie stało, nie miały przecież żadnej wartości, na pewno wszystkie są całe, musieli je zobaczyć i uciekli – przekonywał sam siebie.

Reilly oparł się ręką o bramę zagrody, szloch targnął nim

gwałtownie. Opadł na kolana.

W zagrodach leżały okrwawione ciała wszystkich nosorożców, podziurawione dziesiątkami kul z karabinów Kałasznikowa. Siano na ziemi lepilo się od gęstej mazi. Na szarej skórze nosorożców, tak grubej, że wydawałoby się, iż znieść może wszystko, wyrastały różowe plamki mięsa. Kule automatów poorały ich ciała seriami. Żadne ze zwierząt się nie ruszało, wszystkie zginęły z rąk ludzi, którzy nie zasługiwali na to miano.

Wszystkie nosorożce już wcześniej były pozbawione rogów przez weterynarzy Imire. Nie było powodu, by je zabijać. Bez rogów nie było czego sprzedać. Nosorożec bez rogu nie ma żadnej wartości. I tak je zabili.

W środkowej zagrodzie leżał samiec. Na jego pysku ziała krwawa dziura wielkości małego talerza. Wyrwali nawet tę kilkucentymetrową podstawę rogu, wyrabali ją siekierą, jak sęk z martwego pnia. Za jakieś grosze.

Reilly podniósł się i brodząc w krwi, podszedł do jednej z samic. Była w ciąży, miała rodzić za dwa dni. W pierwszym odruchu chciał rozciąć jej brzuch i spróbować uratować dziecko. Zrezygnowany opadł na ziemię – wiedział, że bez pomocy i odpowiedniego sprzętu nie da rady. Pociski zresztą przeszły też brzuch. Zabili nawet ciężarną.

Usłyszał za sobą hałas silnika i podniesione głosy. Przyjechał któryś z patroli. Za późno, jak i on sam.

Reilly podniósł się z kolan, stojąc nieruchomo, zgarbiony. Do zagród wbiegli też inni, w niebo poniosły się krzyki i rozpacz. To był koniec, koniec wszystkiego, co udało im się osiągnąć. Wszystko stracone.

Popatrzył niewidzącym wzrokiem na martwe ciała swoich najlepszych przyjaciół, swoich kumpli, z którymi wychował się od małego, na których jeździł jak na kucykach, których karmił z butelki i z którymi bawił się w berka. Klócili się i godzili, obrażali, śmiali i przytulali. Byli ze sobą na dobre i na złe. To była jego rodzina, jego bracia i siostry, których nie kochał wcale mniej tylko dlatego, że mieli cztery nogi zamiast dwóch. Dla niego te nosorożce były ludźmi.

Reilly stał, a wokół niego świat kręcił się w przyspieszonym

tempie. Ludzie biegali, pokrzykiwali, ktoś wzywał pomoc przez radio. Błyskały kolejne lampy, ręczniki nabiegały krwią, ocierano ukradkiem łzy i rzucono się dalej w wir pracy, która i tak nie mogła już nic zmienić.

Po minucie czy dwóch Reilly odetchnął głębiej i wyprostował się powoli. Musiał się otrząsnąć, trzeba było podjąć wiele decyzji. Po raz pierwszy spojrzął wokół siebie przytomnie, odcinając na jakiś czas żal i smutek, jak policjant, który stracił w strzelaninie syna, ale wie, że najpierw musi zabezpieczyć teren, bo na rozpacz przyjdzie jeszcze czas.

Machinalnie policzył ciała: jedno, drugie i trzecie. Gdzie jest malec, czwarty? Pięć tygodni temu jedna z samic urodziła dorodnego malucha i od tamtej pory przebywali w zagrodzie razem. Wszedł do najdalszego kawałka odgradzonej części i rozejrzał się uważnie. Nie ma.

Dopiero po chwili zauważył, że w najciemniejszym miejscu, w samym rogu pod zadaszeniem, gdzie trzymano siano, pomiędzy ździebeł wystaje szary, zakończony pędzelkiem ogon. Reilly rzucił się w tym kierunku, głośno krzycząc o światło i pomoc. Odgarnął jednym ruchem warstwę siana i zobaczył malutkiego nosorożca, niemal noworodka, pokrytego krwią, który leżał zagrzebany w ciemności, gdzie uciekł ze strachu przed tym niezrozumiałym złem rozgrywającym się na jego oczach. Reilly delikatnie dotknął malucha.

Pod palcami poczuł puls.

Mały nosorożec został natychmiast obejrzany z każdej strony w poszukiwaniu ran postrzałowych. Nie było ani jednej. Nosorożec był w szoku, strach, którego doświadczył, przerósł możliwości jego małego ciała. Najwyraźniej kłusownicy w mroku po prostu go nie zauważyli i przetrwał masakrę zagrzebany w sianie, a gdy wszystko ucichło, wychylił spod niego nos i podreptał do mamy, której nikt już nie mógł pomóc. W jej ciele było siedem kul z karabinu, którego używa się na wojnie.

Maluch próbował obudzić mamę, trącając ją nosem i zlizując krew wypływającą z ran, przez co cały się nią umazał. Potem podpełzł z powrotem do siana i zagrzebał się w nim, żeby ciemność zabrała od niego ten koszmar, w który wciąż nie wierzył. Zagrzebany pod pierzyną ze słomy mały nosorożec zdychał z rozpaczy.

Od tej chwili wysiłki wszystkich ludzi mieszkających na farmie

Traversów skoncentrowały się na jednym. Ten mały nosorożec musiał przeżyć.

Dziś, trzy lata później, wbrew wszystkim przeciwnościom, ten maluch żyje, biega po sawannie i objada kolczaste krzaki z listków.

Nazywa się Tatende. To słowo w języku szona znaczy „dziękuję”.

ROGI NOSOROŻCA są najcenniejszym czarnorynkowym towarem wywożonym z Afryki. Ich cena już dawno przekroczyła cenę kokainy. Jeden kilogram rogu jest warty sześćdziesiąt tysięcy dolarów, o jedną trzecią więcej niż złoto. Rynek napędzają Chińczycy wierzący, że sproszkowany róg nosorożca to afrodyzjak i lek na potencję. Prawie sto procent rogów nosorożca trafia do Chin i Wietnamu.

Procedura klinicznego pozbawiania rogów nie przynosi oczekiwanych rezultatów. Kłusownicy zabijają nawet osobniki z obciętymi rogami, by następnym razem nie tracić czasu na tropienie tego samego, bezwartościowego okazu. Polują na nosorożce z helikopterów, strzelają do nich z karabinów snajperskich i działek pokładowych, często w nocy, przy użyciu noktowizorów. W RPA tylko w zeszłym roku z rąk kłusowników zginęło ponad trzysta zwierząt. W pierwszym kwartale tego roku zabito sześćdziesiąt cztery sztuki. W Zimbabwie wystrzelano już dziewięćdziesiąt procent czarnych nosorożców.

Rezerwatów takich jak Imire w Zimbabwie do niedawna było ponad trzysta. Dziś zostało ich sześć.

PO MASAKRZE W IMIRE ludzie Reilly'ego rzucili się w pogoń za kłusownikami. Postawiono blokady na drogach i powiadomiono policję oraz rangerów parków narodowych. Poszukiwania trwały do rana. Nie przyniosły rezultatu.

Policyjne śledztwo pozwoliło w ciągu następnych tygodni zatrzymać czterech podejrzanych, którzy zostali skazani na dwadzieścia osiem lat więzienia i odbywają karę w więzieniu Chikurubi na obrzeżach Harare. Jest podejrzenie, że odpowiadają również za rzeź w Imire, choć nie ma na to żadnych dowodów.

Policja ustaliła, że kłusownicy działali na zlecenie dwóch Chińczyków przebywających w Zimbabwie. Po zatrzymaniu Zimbabweńczyków jeden z nich natychmiast opuścił kraj i wrócił do Chin. Drugi zniknął bez śladu. Na ich zamówienie kłusownicy

zamordowali siedemnaście nosorożców. Żaden z Chińczyków nie poniósł kary.

## DLACZEGO NOSOROŻCE GINĄ?

Ponieważ ludzie są nieuleczalnie głupi. Wszystkie dotychczasowe badania kliniczne dowodzą niezbicie, że róg nosorożca nie ma żadnych właściwości leczniczych. Zgadza się co do tego wszyscy. Szwajcarzy z Hoffman-La Roche potwierdzili to badaniami w 1983, a Brytyjczycy z Londyńskiego Towarzystwa Zoologicznego w 2008 roku.

Brak jakichkolwiek efektów leczniczych stwierdzili też na własną rękę ci, którzy rogami nosorożca są najbardziej zainteresowani: Azjaci. Temat zbadał dogłębnie chiński instytut z Hongkongu (1990) i malezyjski zespół onkologów z Kuala Lumpur (2010). Efekty: identyczne. Nie leczy raka, nie wspomaga, nie odczynia uroków, nie wygania złych duchów, nic nie zmienia, niczemu nie zapobiega. Równie dobrze można jeść paznokcie, to też keratyna.

Wcześniej rogi nosorożców jechały głównie do Jemenu, gdzie wykonywało się z nich rękojeści ceremonialnych sztyletów *jambiya*. Na szczęście ten rynek został już zlikwidowany.

Z eksportem do Chin walka trwa, a metody są coraz bardziej bezwzględne. Od jakiegoś czasu regularnie na rynek trafiają rogi zatrute cyjankiem potasu. Gdzieś na afrykańskiej sawannie w głębokiej tajemnicy nawierca się delikatnie róg i wpuszcza truciznę, która potem, przy proszkowaniu rogu, rozchodzi się po całym pyle, przez co staje się on śmiertelnie groźny. Metoda radykalna, zdecydowanie poza granicą zdrowego rozsądku.

Ale taka jest Afryka, buzująca i brutalna.





Od czasu tych wydarzeń nosorożce przebywają w Imire pod ścisłą ochroną i zostały przeniesione bliżej domu Traversów. Przez kolejne półtora roku ochronę Reilly'ego szkolili najlepsi rangerzy z Departamentu Przyrody i Parków Narodowych. Strażnicy Reilly'ego regularnie przechodzą również szkolenia z taktyki walki i strzelania. W sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia chronionych zwierząt z rąk kłusowników mają – podobnie jak policja w Johannesburgu – polecenie *shoot to kill*, strzelaj, żeby zabić. Żaden nie będzie się wahał.



Strażnik nosorożców wyposażony w stary karabin .303. Większość zwierząt musi być chroniona w dzień i w nocy. Zwłaszcza w nocy

Żadnego z nosorożców nie udało się uratować. Samica w ciąży zginęła wraz z dzieckiem, z jej ciała wyciągnięto trzydzieści trzy naboje. Christopher, strażnik, którego kłusownicy oślepił kwasem używanym w akumulatorach, będzie niewidomy do końca życia.

A Tatende... Cóż, Tatende to zupełnie inna historia.



**TOWARZYSZYLIŚMY REILLY'EMU NA PATROLACH,** poznając przy okazji lepiej rezerwat Imire. Hipopotam samotnik parskął w wodzie, leniwie pływając w szuwarach. Po buszu biegały płochliwe impale, przemykając skocznie ponad trawami. Żar lał się z nieba. Gorące, suche powietrze paliło gardło, a nagrzane słońcem kamienie topiły podeszwy butów. Ponad niskimi krzakami wystawały długie szyje

żyraf, w trawach przemykały czasem zebry.

Po sawannie maszerowały słonie, afrykańskie olbrzymy, o prawie metr wyższe niż moje ukochane, azjatyckie, raptem czterotonowe liliputy. Ich białe ciosy dumnie sterczały spod trąb jak włócznie postawione na sztorc, gotowe do rozplątania przeciwnika na pół. Majestatycznie powłóczyły nogami wśród wysokiej trawy, przechadzając się po okolicy.

Afrykańskie słonie są nieopisywalne. Zawsze gdy je spotykam, mogę stać i patrzeć na nie cały dzień. Leniwie skubią liście, czasem niechcący wrywając drzewka z korzeniami. Wachlują się uszami, trąbią i kołyszają się na boki w tym swoim niespiesznym marszu, który zostawia w tyle każdego ludzkiego sprintera.

Słonie w Afryce są wielkie, masywne. Sześć ton, cztery metry wysokości. I te ich wielgachne uszyska, te przerażające szarże, ten huk, gdy biegają, i strach, gdy wpadniesz na nie znienacka, wychodząc zza krzaków. I ta ich nieporadna, ale precyzyjna delikatność, gdy trąbą podnoszą z ziemi jakieś drobiazgi albo oblewają się wodą z rzeki.







Reilly przygląda się dzikim słoniom żyjącym na terenie rezerwatu

Ucieleśniony majestat natury, popis doskonałości stworzony w jednym tylko celu – by uświadamiać nam naszą kruchość.

REILLY ZATRZYMAŁ SAMOCHÓD i popatrzył z troską na dwa olbrzymy sunące powoli pod lasem.

– Słonie też wyrzynają, dla ciosów. Aż trudno uwierzyć, że ludzie wciąż, po tylu latach, chcą mieć figurki albo klawisze fortepianu z kości słoniowej.

Nie odpowiedzieliśmy, bo co można było odpowiedzieć. Reilly kontynuował, mówiąc chyba raczej do siebie:

– Strzelają do nich do skutku, aż padną. Masakrują je seriami z automatów, a potem wycinają ciosy piłami tarczowymi. Pomyślcie, zabić sześciotonowe zwierzę tylko dla kawałka kości. Reszta zostaje i gnije w buszu, bezwartościowa. Potem kość wywożą do Mozambiku albo Zambii, głównie do Lusaki. Niech ich diabli.

Muchy bzycały w południowym skwarze. Kurz z drogi wisiał w

powietrzu. Reilly ocknął się z zamyślenia i włączył silnik.

– No nic, dość tych smutków. Chciałbym wam kogoś przedstawić.

Samochód ruszył po polnej drodze. Pół godziny później wjechaliśmy w gęsty busz obserwowani bacznie przez umundurowanego strażnika skrytego w cieniu wysokich drzew. Nieopodal, w zaroślach, słychać było na zmianę odgłosy mlaskania i wrywania liści.

Dwa nosorożce wychyliły głowy z krzaków, przyglądając nam się podejrzliwie. Ich małe uszy jak przyklejone do głowy trąbki poruszały się śmiesznie, szukając źródła dźwięku. Spomiędzy liści wystawał szary, zakończony pędzelkiem ogon.

– Panowie, przedstawiam wam mojego przyjaciela Tatende oraz jego małżonkę.

PO MASAKRZE W ZAGRODACH Judy Travers, mama Reilly’ego i szefowa całego rezerwatu Imire, czuła, że bez względu na wszystko musi uratować małego nosorożca. Tatende był wtedy w ciężkim szoku, umierał z rozpacz i tęsknoty. Miał tylko sześć tygodni. Był za mały, nawet żeby wyjść na spacer bez opieki mamy, a jedyne jedzenie, jakie znał, to mleko z maminego cycka, do którego ledwo dosięgał. Mama nosorożec była jego całym światem. Teraz jej zabrakło.

Judy postanowiła, że od tej pory będzie musiała ją zastąpić i zrobiła to, co każda mama zrobiłaby w tej sytuacji.

Zabrała Tatende do domu.

Mały nosorożec od tej pory mieszkał w pięknym domu Traversów, z Judy, jej mężem Johnem i Reillym. Biegał po pokojach, pił mleko z butelki, czasem zjadał wszystkie kwiaty rosnące w ogródku, a rano pakował im się do łóżka. Przez rok Tatende stopniowo dochodził do siebie.

Powoli też rósł. Gdy Judy przyniosła go do domu, ważył raptem pięćdziesiąt kilo. Potem był coraz większy i większy. Gdy chciał się przytulić, swoją uroczą niezgrabnością przewracał Judy na plecy. Potem, gdy próbował się dobrać do stojącej na stole sałatki z ogórka, ściągał jęzorem cały obrus wraz z zastawą. Jeszcze później próbował radośnie wbiec na werandę i zapadły się pod nim deski.

Po roku, gdy ważył pięćset kilo i był już najwyraźniej zupełnie zdrowy, bo robił, co chciał, i wykazywał się niezwykle inteligentnym

sprytem trochę rozpuszczonego jedynaka, nadszedł czas, by zmienić mu otoczenie na bardziej odpowiednie.

Tatende nie był jednak typowym jedynakiem, bo nie dorastał sam. W domu Traversów miał jeszcze dwóch zwierzęcych przyjaciół.

Pierwszym był guziec, filmowy Pumba, włochata, wesoła świnia na cienkich nogach z kłami wielkości kciuka i zawadiacką grzywką na karku. Pani guziec otrzymała imię Pogs i również mieszkała z Traversami na zasadach zwykłego domownika. Pogs była skoczna jak cholera i diabelnie szybka, przez co gdy raz złapała coś do jedzenia, przeważnie ściągając to ze stołu przy śniadaniu, błyskawicznie dawała drapaką do buszu, nie bacząc na przeszkody, które zresztą zazwyczaj i tak pękały z trzaskiem. Pogs była strasznie śmiesznym zwierzęciem.

Drugim towarzyszem Tatende była hiena Tsotsi uratowana przez Judy z rąk kłusowników. Hieny wydają się wrednymi, paskudnymi kreaturami, ale odkarmiony, domyty Tsotsi miał w sobie sporo zawadiackiego uroku. Na tyle dużo, że uchodziły mu bezkarnie pobudki o bladym świecie, które uwielbiał czynić, ładując się bezceremonialnie Traversom pod kołdrę.

W trójkę: Tatende, Pogs i Tsotsi, wyruszyli w najważniejszą podróż w ich życiu, do nowego domu w buszu.

Zwierzęta na początku były oszołomione i przestraszone dzikim światem, w którym miały od tej pory żyć. Bały się tętentu zebr i ryku słoni, nie rozumiały małych skaczących po drzewach ani poważnych bawołów zbiegających się ciężkim krokiem do wody. Nie wiedziały, jak się zachowywać i na kogo uważać. To był dla nich zupełnie nowy świat.

Ale minęło trochę czasu i cała trójka poczuła, że to jest ich świat. To uczucie my byśmy nazwali wolnością.

Dziś Tatende, Pogs i Tsotsi nadal się przyjaźnią, choć powoli już dorastają i nie bawią się ze sobą tyle, ile kiedyś. Pogs jest już mamą, a Tatende znalazł sobie wymarzoną partnerkę, Shanu, nieco starszą, bardziej korpulentną i zdecydowanie lepiej obeznaną w regułach panujących w dzikim buszu. Razem przemierzają nowy dla Tatende świat i nie rozstają się nawet na chwilę. Nosorożec jest jeszcze wprawdzie za młody, żeby zostać tatą, ale wszyscy są zgodni, że to tylko kwestia czasu.



Najgorsze już dawno za nim.

## ZRÓBMY COŚ!

Ta smutna historia robi jeszcze większe wrażenie tam, w Zimbabwie, gdy widzi się karabiny, jeepy i noktowizory. Pomyślałem, że możemy pomóc Imire, bo same słowa niewiele znaczą. Przy okazji zabiorę dwie osoby spośród Was do Afryki, żeby zobaczyły to wszystko na własne oczy.

Jeden nosorożec zjada dziennie dwadzieścia litrów mlecznej potrawy, którą trzeba sprowadzać z RPA, bo w Zimbabwie to towar deficytowy. Rangerzy potrzebują amunicji i szkoleń, a zwierzaki leków, odżywek i karmy. Przydałby się też wreszcie porządny monitoring w zagrodach dla nosorożców i ogrodzenie, którego nie można po prostu przeskoczyć. Podstawowe sprawy, a od nich zależy życie zwierząt w rezerwacie.

Razem z Wydawnictwem Otwartym postanowiliśmy pomóc Imire. Założyliśmy specjalny fundusz – wszystkie środki, jakie uda nam się na nim zgromadzić, trafią bezpośrednio do Traversów. Uratujemy razem kilka nosorożców. My, stąd, z Polski.

Chcecie się zaangażować? Oto najprostsza metoda. Wpłaćcie na nasze konto cokolwiek, nawet drobne kwoty. Co więcej, dwie osoby, które wpłacą na ten fundusz największe sumy, zabierzemy do Imire. Zobaczycie sami, na własne oczy, to, o czym czytaliście w tej książce. Poznacie Reilly'ego i Tatende, będziemy spać w buszu, drapać słonie za uchem i patrzeć, jak żyrafy robią szpagat, żeby się napić wody. Wielka afrykańska przygoda!

Ani ja, ani Otwarte nie zarobimy na tym nawet grosza. Sto procent zebranych środków, wraz z odsetkami, trafi do Imire. Nad wszystkim czuwa audytor – firma Grant Thornton, która ma za zadanie upewnić się, że zbiórka przebiega uczciwie i zgodnie z regulaminem. Cała ta akcja to przejaw naszej wspólnej troski, nasz wkład w naprawianie świata. Chcemy wspólnie zrobić coś dobrego. Zapraszamy, przyłączcie się.



Konto naszego komitetu:

BZ WBK Bank Zachodni

22 1090 1883 0000 0001 1664 0733

Komitet Tatende

ul. Chmielna 32 / 22a

00-021 Warszawa

Więcej informacji na temat tej akcji znajdziecie na mojej stronie:

[www.tomekmichniewicz.pl/tatende](http://www.tomekmichniewicz.pl/tatende)

Akcję wspierają:

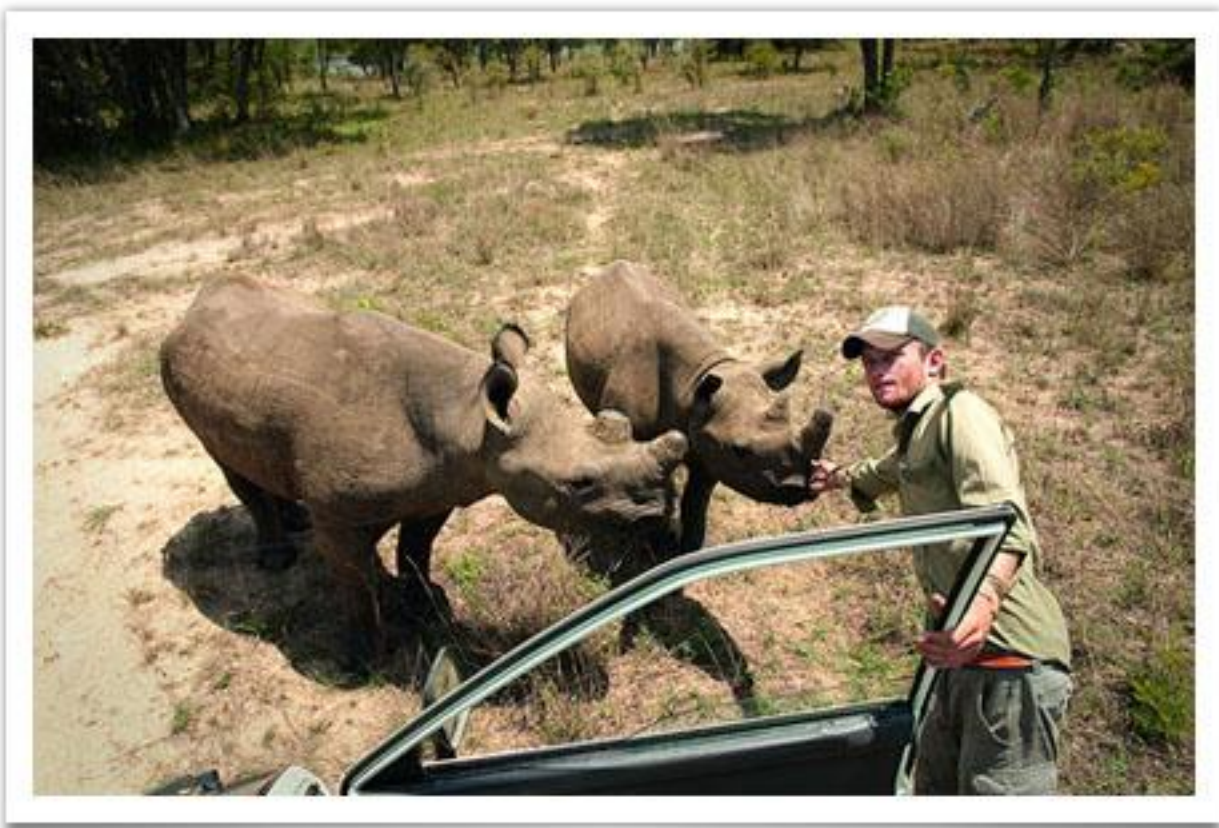
**GREENPEACE**



Grant Thornton

---





Tatende ze swoją małżonką Shanu

PATRZYLIŚMY, jak Reilly przytula czule Tatende i czochra po głowie jego „dziewczynę”. Szorstki jeźor nosorożca oblizał jego dłoń.

– Jak można spojrzeć takiemu nosorożcowi w oczy i potem do niego strzelić? – odezwał się Łukasz, pierwszy raz od bardzo dawna, nawet jak na niego. – Jak można wstać następnego dnia z łóżka, spojrzeć w lustro i pomyśleć: „To był dobry dzień, zabiłem słonia”? Jakie to musi być zwyrodnienie, zrobić sobie na polowaniu ładne zdjęcie, odciąć głowę i powiesić ją nad kominkiem? – pytał, nie oczekując odpowiedzi i patrząc na bezbronne, wesołe nosorożce. – Czterdzieści siedem kul z kałasznikowa... Kwas w oczy... Polowania z helikoptera... Nie mieści mi się to w głowie. To nie są ludzie.

– *Umlungu.*

– Skurwysyny.

SIEDZIELIŚMY NA GANKU domu Traversów i patrzyliśmy na jezioro. Zachodziło słońce. Na stole leżał otwarty egzemplarz

miesięcznika „Afrykański Łowca” kierowanego do zachodnich turystów przyjeżdżających na Czarny Łąk na wczasy ze sztucerem. Takie wycieczki kosztowały dziesiątki tysięcy dolarów, klient przywoził swoją broń i składał zamówienia na konkretne gatunki. Czasem chciał ustrzelić tsessebe, czasem gnu, a czasem lwa, lamparta lub słonia. Ot tak, dla przyjemności.

Tego dnia rano podjęliśmy decyzję, teraz od dwóch godzin drobiazgowo opracowywaliśmy plan. Reilly wprowadzał nas coraz głębiej w temat walki z afrykańskimi kłusownikami i im więcej wiedzieliśmy, tym mroczniejszy się stawał.

Oni byli wszędzie, mieli miliony dolarów i tysiąc sposobów na osiągnięcie celu.

Rezerwowali wycieczki safari i niewinnie podglądali zwierzęta przez lornetkę z jeepa agencji turystycznej, w myślach notując liczbę i rozmieszczenie strażników, ich uzbrojenie, gatunki i siedliska zwierząt. Potem wracali nocami i szli jak po sznurku w jedno, konkretne miejsce, omijając patrole i zabijając odpowiednie zwierzę, zgodnie z zamówieniem klienta.

Inni wynajmowali okolicznych wieśniaków, by wypalali trawy przy samej granicy rezerwatów i parków narodowych. Później, gdy spadał deszcz, wypalony pas się zazieleniał, ściągając zwierzęta z całej okolicy, które wychodziły wprost pod celowniki łowczych. To rozwiązywało jeden z większych problemów – szybkie wywiezienie towaru ze strzeżonych rezerwatów.

Pokonali ścisłą ochronę i zastrzelili dwa nosorożce w parku Mosi-Oa-Tunya na granicy Zambii i Zimbabwe. Na miejscu znaleziono ślady butów z trzema gwiazdkami na podeszwie. To model używany przez armię.

W Imire pozabijali zebry, bo był popyt na ich skóry. Profesjonalna operacja. Przychodzili w nocy, małymi oddziałami, z noktowizorami i karabinami z tłumikiem, zawodowo opraciwali zwierzęta i zostawiali je bez skóry na ziemi, po czym znikali bez śladu. Zabili tak osiem zebra. Nigdy nie udało się schwytać żadnego z nich.

Na duże towary, na przykład kość słoniową, potrzebowali rządowych certyfikatów umożliwiających ich wywóz z kraju. Mieli

drukarnie, które fałszowały im papiery. Inni przekupywali urzędników i dostawali tyle zgód, ile tylko chcieli.

Towar jechał w dwóch kierunkach. Do Maputo lub Lusaki.

Lusaka. Nazwa tego miasta wracała uparcie.

Tam musimy pojechać.

REILLY uściskał mi dłoń.

– Powodzenia. Dajcie znać, jak poszło.

– Damy. Trzymaj się.

– Uważajcie na siebie. To jest taki teren, że jak wsadzisz nos w nie swoje sprawy, to ci go odstrzelą razem z głową.

Wiedzieliśmy, że Reilly nie żartuje i nie przesadza. To był właśnie taki teren. Travers patrzył jeszcze przez chwilę tym swoim dorosłym, poważnym spojrzeniem człowieka, który widział już zbyt wiele, żeby się jeszcze bać. Tak patrzą ludzie, którzy wiedzą, że w okolicy jest niebezpiecznie, ale jednocześnie zdają sobie sprawę, że trzeba robić swoje i nie oglądać się za siebie. Potem bez słowa wszedł do półciężarówki i odjechał, unosząc z drogi kurz.

Reilly miał swoje zadania, my mieliśmy swoje.



RADIO W CENTRALI IMIRE jak zwykle wrzasnęło bez ostrzeżenia.

– Strzały w sektorze Chawawe, powtarzam, strzały w sektorze Chawawe.

Reilly podniósł szybko mikrofon wiszący na zakręconym kablu.

– Alfa jeden i alfa cztery do sektora, ETA siedem minut.

Jak zwykle było ciemno, bo kłusownicy zawsze przychodzą nocą. Ruszyli dwoma samochodami, w parach, zgodnie z ćwiczoną taktyką. Pędzili najszybciej, jak się dało, nie zważając na wyboje. Wzmocnione opony i zawieszona musiała wytrzymać. Dotarli na miejsce nawet trochę szybciej. Zatrzymali wozy i wysiedli, przeładowując broń.

– Jamie, bierzesz flankę, idę przez wzgórze – poleciał Reilly.

– W porządku.

Jamie, dowódca drugiego patrolu, wraz ze swoim skrzydłowym znikł w bladej poświacie księżyca, okrążając niewielkie wzniesienie, za którym kilka minut wcześniej ktoś strzelał.

– Gotowy? – Reilly spytał Sebakwe, swojego partnera. Ten kiwnął głową.

Zaczęli się wspinać po łagodnym zboczu, adrenalina napędzała ruchy i dodawała sił.

Wyszli prosto na nich. Tamci byli równie zaskoczeni. Kilku mężczyzn w brudnych, obdartych ciuchach, z karabinami. Kłusownicy błyskawicznie rzucili się do ucieczki. Reilly bez chwili namysłu ruszył za nimi.

– Dawaj, Sebakwe! Dorwiemy ich!

To była pierwsza realna szansa na złapanie któregoś z tych sukinsynów. Musieli wreszcie pokazać, wysłać sygnał, że jak wejdziesz do Imire, to już stąd nie wyjdiesz. Musieli ich dopaść.

Dzieliło ich kilkadziesiąt metrów. Tamci pędzili na złamanie karku. Reilly ostrzegawczo strzelił kilka razy w powietrze. Nawet nie zwolnili.

Wokoło zaczęły fruwać kule, błyski ognia poprzedzały suchy huk wystrzałów. Sebakwe krzyknął cicho i upadł na twarz. Reilly biegł jeszcze kawałek, aż zatrzymał się zrezygnowany.

Wrócił szybko do swojego partnera, który leżał nieruchomo, a piasek wokoło nasiąkał krwią.

– Kurwa, kurwa, kurwa! – Reilly walił pięścią w ziemię, wściekły.

Z mroku wynurzył się Jamie ze swoim człowiekiem. Wyjaśnienia były zbędne.

– Zostań z nim. Wezwij pomoc – rzucił do trzeciego strażnika. – Jamie, idziemy za nimi.

Biegli we dwóch przez noc, po aż nadto widocznych śladach. Złość tłumiała w obu zmęczenie. Gdy dobiegli do ogrodzenia otaczającego rezerwat, po kłusownikach nie było już śladu.

Reilly strzelał w ciemność, aż pistolet zaczął trzaskać pustym zamkiem.





ZMIERZALIŚMY W KIERUNKU LUSAKI pieszo, autostopem i autobusami. Sześćset kilometrów po drogach, o które nie bardzo się dba. Przy odrobinie szczęścia uda nam się tam dotrzeć w dwa dni. Może być nawet tydzień, nie spieszyliśmy się. Wydarzenia w Imire dopełniły ponurego obrazu Czarnego Kontynentu, narastającego od pierwszego dnia naszego pobytu tutaj.

Wcześniej mieliśmy nadzieję, że to będzie jedna z tych podróży, o których miło się opowiada po powrocie do domu. Że poszukamy skarbów, zrobimy zdjęcia zwierzakom na sawannie i dotkniemy kawałka Afryki, o której wszyscy marzą. Teraz już wiedzieliśmy, że to nie będzie tak. Że wrócimy do domu i nie będziemy opowiadać nic.

To, co tu widzieliśmy, po prostu nas przerastało.

Od pierwszego dnia wsiąkaliśmy głębiej i głębiej w bezmiar ludzkiego okrucieństwa i niesprawiedliwości. Wszystkie fałszywe uśmiechy przyklejone do czarnych twarzy ludzi, dla których byliśmy klientami, bledły, szarzały, by w końcu całkowicie zniknąć w kolejnych minutach szczerych rozmów. Historie, które nam opowiadali, wydawały się zbyt straszne, by były prawdziwe.

Buzująca i brutalna – taka jest Afryka.

Przemierzaliśmy kontynent zamieszkały przez ludzi, którzy biorą, co chcą, i nie oglądają się na nic. To było miejsce pozbawione złudzeń, zranione, upokorzone i zmuszone do walki o każdy kawałek chleba. Miejsce, w którym pieniądze mają inną wartość.

Wokół nas przemykali turyści w wynajętych samochodach, z aparatami fotograficznymi, w hałaśliwych grupach. Spali w czystych hotelach i dawali się oprowadzać przez licencjonowanych przewodników. Oglądaliśmy te same miejsca, a widzieliśmy co innego.

Oba te światy są prawdziwe, Afryka jest piękna i niebezpieczna zarazem, ich wspomnienia nie będą mniej lub bardziej prawdziwe niż nasze. Na tym kontynencie jest miejsce na wszystko. My po prostu szliśmy mniej uczęszczaną ścieżką.

Od pierwszego dnia narastało we mnie uczucie, którego do tej pory nie znałem. Jak gdyby nowy destylat, mieszanka samych gorzkich smaków. Żal, złość, smutek, niezrozumienie. Jakieś irracjonalne poczucie współodpowiedzialności za to, co działo się tu przez stulecia.

I strach.

To wszystko razem rosło, pęczniało. Na początku odzywało się tylko krótkimi momentami prawdziwego przygnębienia. Właśnie to uczucie powoduje, że wielu białych podróżnych rozdaje bezmyślnie dzieciom w wioskach cukierki i długopisy. Większość z nich wraca potem do domu, ale my brnęliśmy dalej. A im więcej widzieliśmy, tym bardziej przerażające były to obrazy. Aż tego wszystkiego zrobiło się za dużo.

Łukasz przestał się odzywać, to była jego metoda na poradzenie sobie z tą ogromną przepaścią ziejącą między jego dziecięcymi wspomnieniami a tym, co widział tu jako dorosły mężczyzna. Dni wypełniały nam więc godziny ciszy, która trwała, bo żaden z nas nie wiedział, co powiedzieć. Wszystko wydawało się zbyt banalne.

We mnie wzbierała wściekłość. Wszystkie emocje, tłumione na widok namacalnych dowodów ludzkiej głupoty i okrucieństwa, szukały jakiegoś ujścia. Rozkładałem wewnątrz bezradnie ręce, nie potrafiąc ogarnąć i zrozumieć wszystkiego, czego byłem świadkiem.

Musieliśmy coś zrobić. Coś, cokolwiek. Musieliśmy się jakoś określić, zareagować, zmienić żal i smutek w jakąś akcję, jakakolwiek by była. Jechaliśmy do Lusaki, bo najwyraźniej w tym mieście działo się całe zło, choć znowu nie byliśmy pewni, co zrobimy, gdy już dotrzemy na miejsce.



- DALEKO JESZCZE?
- Ponad trzydzieści.
- Niech to szlag.
- Możemy albo iść dalej, albo wracać, innej opcji nie ma.
- No wiem przecież. Ale po jaką cholere mamy wracać, skoro

tamten się rozkraczył. Jeśli wtedy nie miał opony na zmianę, to dlaczego teraz miałby mieć? Zresztą jak odjedzie, to i tak nas będzie musiał minąć, to jest jedyna droga w okolicy. Możemy najwyżej stać i czekać.

- Nie gadaj tyle, maszeruj.
- DALEKO JESZCZE?
- Z czternaście.
- NIE MOGĘ JUŻ.
- Musisz.



BUSZ PŁONAŁ. Jak co roku o tej porze deszcz błyskawic zmieniał noc w dzień i podpalał wysuszone do szczytu trawy. Jechaliśmy wypakowanym combi, jak nazywane tu są małe busy pełniące funkcję środka komunikacji publicznej. Pojazd zamiast planowych dziesięciu osób zabrał dwadzieścia jeden. Na horyzoncie błyskało bezgłośnie.

Sylwetka farmera odcinała się wyraźnie na tle buchających płomieni. Stał na asfalcie drogi w środku nocy i patrzył, jak dzięki siłom żywiołu jego pole powiększa się kilkakrotnie. Jeśli wiatr powieje w dół zbocza, jego dom spłonie. Jeśli pożar użyźni popiołem glebę, zasadzi tu kukurydzę.

Buzująca i brutalna – taka jest Afryka.



– PROSZĘ OTWORZYĆ PLECAK.

– Proszę.

– Proszę zamknąć plecak. Teraz pan. Proszę otworzyć plecak.

Łukasz coś mruknął w odpowiedzi i bez słowa otworzył bagaż.

Policjant przejrzał pobieżnie rzeczy na wierzchu. Staliśmy przy prowizorycznej blokadzie na szosie, w szczerym polu, przy skleconym z patyka szlabanie. Drugi policjant leżał w cieniu pod drzewem.



– Poproszę paszporty.  
– Proszę.  
– No to... ile mi dzisiaj zapłacicie? – posterunkowy spytał całkowicie poważnie.

W Zimbabwie brakowało pracy, więc prezydent Mugabe zaciągał masowo do wojska i policji. Kasy w skarbcu jednak nie przybywało i nie miał z czego wypłacać rekrutom żołdu. Zezwolił więc po cichu na wszelkie działania odciążające kasę państwa.

Żołnierze wybijali zwierzęta dla mięsa. Głównie antylopy, zebry i żyrafy. Inni dogadali się z agencjami turystycznymi organizującymi safari ze sztucerem. Przywoziły one bogatych klientów z Europy, którzy poza protokołem mogli sobie upolować bawołu albo słonia schwytanego i przywiezionego przez żołnierzy. Przeróżający mariaż polityki i biznesu z okrucieństwem.

Celnicy pobierali na granicach różne opłaty, których próżno szukać w oficjalnych taryfikatorach. Policja przede wszystkim ustawiała nieautoryzowane blokady, takie jak ta. Zatrzymywała wszystkie samochody i inkasowała za przejazd, regulaminowo lub pod stołem.

Najlepszą robotę miał ten pod drzewem. Głównie spał, a i tak zarabiał kilka średnich krajowych.



TRAFILIŚMY NA METĘ rozgrywanego w jakiejś maciupkiej wiosce maratonu. Finisz zawodów znajdował się na klepisku służącym na co dzień za parking dla traktorów i maszyn rolniczych. Chwilowo zaimprovizowano na nim dwa zadaszenia – jedno dla sędziów zbierających podpisy zawodników, którzy wbiegali na metę, a drugie dla małej garkuchni i jej obsługi. Końcówkę trasy oznaczono biało-czerwoną taśmą, a przy ostatnim metrze stało kilku sędziów pilnujących kolejności.





Zawodnicy pokonywali trasę po pagórkowatej okolicy, czasem po asfaltowych szosach, mijani przez trąbiące ciężarówki, a czasem po polnych ścieżynach, na których większym problemem niż czas wyścigu była troska o zachowanie nóg bez złamań.

Czekaliśmy na pierwszych lekkoatletów.

Po klepisku biegały dzieciaki. Obdarte, rozkrzyczane i niesamowicie szczęśliwe. Uganiały się za piłką zrobioną ze zwiniętej w kulkę folii obwiązanej sznurkiem. Czasem grała głośno muzyka, a wtedy tańczyły, naśladując ruchy dorosłych podpatrzone w telewizji. Wszystkie były krótko ścięte, przy samej skórze, w tak zwaną *english cut*, urzędową fryzurę, której Brytyjczycy wymagali we wszystkich swoich koloniach w Afryce.

Symboliczny obrazek, pomyślałem. Lata lecą, kolonie upadły dawno temu, świat idzie do przodu, zrzuca okowy standardów i przyzwyczajień, a mimo to pewne rzeczy się nie zmieniają.

Cokolwiek się dzieje, najważniejsza jest piłka nożna.

NAJSZYBSI BIEGACZE zaczęli wpadać na metę. Pierwszy, drugi, przerwa, trzeci, szósty, siedemnasty. W pierwszej trzydziestce zauważyłem nawet ze czterech białych. Mijali linię końcową i wtedy działa się jedna z dwóch rzeczy. Albo robili jeszcze dwa kroki, po czym padali na twarz w piasek, jak gdyby umarli ze skrajnego wycieńczenia, albo stawali, pochylali się do przodu, podpierając dłonie na kolanach i z pasową od nabiegłej krwią twarzą trwali bez ruchu, usilnie starając się nie zemdleć. W obu przypadkach przestawali kontaktować, wpadali w stan pełnego oderwania od otoczenia. Łapali powietrze olbrzymimi haustami, jak ryby wyrzucone na deski łodzi, ze wszystkich sił próbowali się nie przewrócić i nie słyszeli niczego dookoła. Ktoś podchodził złożyć gratulacje, sędzia wręczał numerek i tłumaczył, co dalej... Nic, cisza, brak reakcji, tylko niewidzące spojrzenie i stan przedzawałowy.

Większość najlepszych biegaczy, w tym wszyscy z pierwszej dziesiątki, była jednak czarna. Wpadali na metę, jakby skoczyli do sklepu po fajki. Zatrzymywali się naturalnie, nawet bez zadyszki, podpisywali przytomnie protokół sędziowski, odbierali numerek i



spacerem, bez wysiłku, zmierzali do namiotu, żeby dokończyć formalności. Tam ustawiali się w niewielkiej kolejce, popijali spokojnie wodę i rozmawiali swobodnie z innymi biegaczami. Każdy z nich wyglądał, jak gdyby mógł zrobić jeszcze jedno okrążenie, jakby zabójczy dla nas maraton był spacerem po parku.



Biali biegali w swoich drogich dresach, markowych butach, w getrach, czapkach, ochraniaczach, z frotkami na rękach, muzyką na uszach i z całym zapleczem naszej zachodniej cywilizacji. Zimbabweńczycy biegali na bosaka. Albo w sandałach. Samych skarpetach. Lakierkach do komunii. Obciętych kaloszach. Adidasach, ale bez sznurówek. Wizytowych półbutach. Klapkach.

Albo z klapkami pod pachą, bo na bosaka było jednak wygodniej.



– ZAUWAŻYŁEŚ, że tu nie ma starych ludzi?  
– Zawsze tak było. Tutaj czterdziestolatek to już starszy mężczyzna.



DALEKOBIEŻNY AUTOBUS RELACJI HARARE-KARIBA zatrzymał się na tym samym przystanku po raz trzeci. Z jakiegoś powodu krążył po małym, nic nieznaczącym miasteczku już drugą godzinę. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów dzielące oba miasta miał pokonać w sześć godzin, ale od początku nie wierzyliśmy w tak optymistyczne prognozy.

To był typowy afrykański autobus. Nie znam się na motoryzacji, ale na oko mógł pamiętać jeszcze Afrika Korps, a już na pewno czasy, gdy prezydent Mugabe był jeszcze gołowąsem. Dwa rzędy twardych ławek, po trzy osoby w każdej, a pomiędzy nimi, w przejściu, magazyn bagaży.

W afrykańskim autobusie pasażer nie jest sam. Pasażer jest z bagażem, ze wszystkimi tobołami, jakie chce ze sobą zabrać. Jeśli ma do przewiezienia wersalkę, jest to pasażer z wersalką, jeśli wiezie na targ dwieście plastikowych misek, jest to pasażer z miskami. Pasażer ma prawo jechać autobusem, nawet jeśli jego torby ważą pięćset kilo. No bo co? Ma z nimi zostać? Przecież dojechać gdzieś musi.

Ilość i rozmiary bagażu, rzecz prosta, nie mają znaczenia dla pakowności pojazdu i jeśli ma się zmieścić osiemdziesiąt osób, to tyle wejdzie bez względu na to, co pasażerowie zechcą ze sobą wieźć. Nasz autobus podróży wypełniali już szczelnie, a przejście wypchane było do wysokości kolan dywanem worków cementu i ziarna, gdaczącymi kurczakami, torbami ogórków, metalowymi wiadrami oraz dachowym, azbestowym eternitem. Pozostałą część ładunku – dwie duże meblościanki oraz fotel – zamocowano na dachu. Za autobusem, na sztywnym haku, turlała się przyczepka załadowana po brzegi kurzymi jajkami w kartonowych foremkach.

Jechaliśmy tak już kilka godzin, siedząc nieruchomo w wąskich,

twardych ławkach, z jednej strony przytuleni do matrony o obfitych kształtach, a z drugiej do spoconej od gorąca ścianki z dykty podtrzymującej okno.

Z głośników od samego początku płynęła wesoła muzyczka, ekwiwalent pocztówki z uśmiechniętym Afrykaninem reklamującej jakiś nadmorski kurort. Słuchaliśmy więc pogodnej marimby i skocznych rytmów oraz kiwaliśmy się wszyscy wspólnie, podskakując na wybojach.

ZA OKNEM ŚCIEMNIAŁO, autobus dostał wiatru w żagle, zjeżdżając z górki. Hamulce zazgrzytały i pojazd zatrzymał się na poboczu, gdzie stał mężczyzna w białej koszuli i z aktówką w rękę. Choć nie bardzo rozumiałem, gdzie miałby się zmieścić, wiedziałem, że na pewno nie zostanie na drodze, choćby ktoś inny miał zostać zgnieciony ludzką masą.

– Niesamowite – powiedziałem do Łukasza. – Tu panuje zupełnie inna hierarchia wartości. U nas najpierw są zasady, a dopiero potem człowiek. Kierowca w życiu nie zatrzyma się poza przystankiem, a jak jest pełno, to zostawi cię na drodze. A tu popatrz. Miejsca nie ma, ciemno, jedziemy już siedem godzin, a i tak pozwoli wsiąść jakiemuś facetowi. Zatrzymają się na każde żądanie, nawet dwieście metrów przed ostatnią stacją, bo ktoś będzie miał o ten kawałek bliżej do domu. Piękne. Tu liczy się człowiek, a nie zasady.

Łukasz odpowiedział z właściwą sobie neutralną, pozbawioną emocji miną:

– Ich hierarchia to: najpierw pieniądze, potem człowiek i na końcu zasady. Wpuszczają do autobusu wszystkich, bo każdy płaci. A że nie ma już miejsc? Kogo to obchodzi... Ci, co siedzą w środku, już zapłacili, więc się nie liczą, a ten przy drodze jeszcze coś dorzuci do kasy, więc po prostu opłaca się go zabrać. Piękne są te twoje obserwacje, ale to straszne głupoty.

– Co ty tam wiesz, jesteś uprzedzony.

– Nie ma problemu, żyj sobie dalej w tych swoich poetyckich urojeniach. Kiedyś któreś z nich zajdzie cię od tyłu i ugryzie cię w dupę.

– Co ty tam wiesz...



AUTOBUS JIMMY JIMALO, kursujący na trasie Harare-Kariba dotarł do celu późno w nocy, kończąc koszmar ścisku i pogodnej marimby, od słuchania której chciałem kogoś wypatroszyć. Napisy na boku pojazdu głosiły, że jego drugą trasą jest Harare-Johannesburg, odcinek prawie pięć razy dłuższy. Tego to nawet ja nie mogłem sobie wyobrazić.

Zarzuciliśmy plecaki i po ciemku ruszyliśmy do miasteczka rozłazącego się leniwie wzdłuż brzegu jeziora w sposób wysoce nieskoordynowany. Przy braku oświetlenia na ulicach znalezienie miejsca do spania nie było proste. Zupełnie przypadkiem napatoczyliśmy się na jakiś hotelik przytulony do dyskoteki, z której dudniła pogodna melodia okraszona gitarkami i równym, jednostajnym rytmem. Przed wejściem do lokalu stało kilku mężczyzn, przyglądając nam się grobowo. Przeszliśmy obok jak gdyby nigdy nic, ignorując zaczepne komentarze. Jedną z podstawowych zasad podróży, która ma się dobrze skończyć: po nocy nie chodź z plecakiem po mieście, bo to zaproszenie do kłopotów.

Zwłaszcza w mieście przemytników, złodziei i kłusowników jakim jest Kariba.

W recepcji siedział menadżer w kurtce ze sztucznej skóry i ze złotym sygnetem na palcu. Zmierzył nas beznamiętnym spojrzeniem.

– Ile godzin?

– Całą noc.

– Dwadzieścia dolarów.

Położyłem pieniądze na stole, nawet nie próbując się targować.

– Korytarzem w lewo, potem przez kuchnię na podwórko. Jeśli chcecie wychodzić, weźcie coś do obrony. Do miasta wchodzi czasem lwy i słonie.

– ŚPISZ?

– Nie.

– Myślisz?

– Taa...

Był środek nocy. Dyskoteka przebijała się stłumionym basem przez ściany. Czasem dobiegał nas rechot pijanych panienek lub podniesione barytony mężczyzn kłócących się o coś gwałtownie. W łazience miarowo kapłała woda.

– Co my zrobimy, jak już tam dojedziemy?

– Nie wiem. Ale coś wymyślimy, wiesz przecież.

– Wiem. Ale tym razem mam złe przeczucia.

– Ja też.

W ABSOLUTNEJ CISZY słyhać było tylko dźwięk kolejnych kropeł spadających z nieszczelnego kranu na ceramiczną umywalkę. Każdy wybrzmiewał jak uderzenie w bęben – miarowym, spokojnym rytmem uśpionego miejsca, na którym nikomu nie zależy. Przewróciłem się na drugi bok.

– Śpisz?

– Nie.

– Wymyśliłem. Ale chłopie, jeśli mamy to zrobić, to muszę mieć stuprocentową pewność, że idziemy w to razem i nie zostawisz mnie na lodzie.

– Przecież wiesz.

– Łukasz, to nie są żarty, sam widzisz, co tu się dzieje.

Łukasz przez dłuższą chwilę milczał. Potem wciągnął głęboko powietrze przez nos.

– Opowiadaj.



GRANICĘ MIĘDZY ZIMBABWE I ZAMBIA pokonaliśmy pieszo, przez co od razu znaleźliśmy się w kręgu podejrzanych czujnej zambijskiej służby ochrony pogranicza śpiącej smacznie w budce po przeciwnej stronie ogrodzenia. Służba graniczna chrapała w najlepsze, nie reagując na nasze pokasływania i chrząknięcia. Z głośnika telewizora zawieszzonego pod sufitem trzeszczał jakiś lokalny serial. Zniecierpliwiony Łukasz huknął ręką w blat, po czym od razu się na niej

oparł, udając niewiniątko. Celnik otworzył spokojnie najpierw jedno oko, potem drugie i podniósł się ospale, podrapując się w okolicach krocza. Przez chwilę szukał stopą kłapek, lecz zrezygnowany dał za wygraną.

Wyciągnął rękę po paszporty leżące już grzecznie na blacie. Przekartkował je w poszukiwaniu wolnej strony i wbił pieczętkę, uprzednio inkasując opłatę wizową. Zdziwiony odnotował w zeszycie, że nie mamy samochodu, i zasiadł ponownie w fotelu, by zdrzemnąć się jeszcze chwilę.

To przejście graniczne to największy kanał przerzutowy w południowej Afryce, którym płynie wartki strumień kradzionych przedmiotów, kości słoniowej i skór afrykańskich zwierząt. Umiejscowione jest na gigantycznej tamie na rzece Zambezi, gdzie wystarczy postawić solidną bramę i czterech strażników, którzy przeszukiwaliby wszystkie bagaże i konfiskowali kontrabandę. Jednego dnia można by zlikwidować wielką kryminalną dziurę.

Tymczasem, gdybyśmy nie skręcili do tej budki straży granicznej, nikt by nas nawet nie zobaczył. Przemysłowcy mogą przechodzić obok, pogwizdując, bo bosonodzy celnicy drzemią w godzinach pracy.

Pytanie, czy im nie zależy, czy wiedzą, że i tak nie wygrają, więc po co mają się narażać.



ZAMBIA PRZYWITAŁA NAS straganami z owocami baobabu stojącymi przy drodze. Wpakowani do przeciążonego combi patrzyliśmy na przesuwaną się przed oczami krajobraz, który nie różnił się za bardzo od zimbabweńskiego. Ponownie dominantę stanowiły wypalone suszą żółtosiwe trawy sawanny i akacje bez liści.

Zambia była za to jakby biedniejsza, bardziej schorowana. Ludzie żyli w skleconych z czego popadnie szałasach, w brudzie i wśród walających się wszędzie śmieci. A może to tylko ta strefa przygraniczna zawsze pełna wszelkiego rodzaju mętów.

Kilometry płynęły niemiłosiernie wolno. Combi zatrzymywał się



co pięćset metrów, żeby kogoś wypuścić albo wpuścić. Przy każdym przystanku spod drzew wybiegało kilkanaście osób: obłaziły pojazd jak mrówki, podtykając pod okna banany, orzeszki, napoje, łakocie albo jajka na twardo. Każdy próbował coś sprzedać. Kierowca przeganiał ich agresywnie, walił ręką w drzwi albo krzyczał i groził pięścią.

Dobrze, że do Lusaki już niedaleko.

PRZEZ AFRYKĘ



Galeria

pomiń galerię



Bulawayo, Zimbabwe



Lwica Kali na sawannie. Antelope, Zimbabwe



Nadchodząca burza nad sawanną w popołudniowym słońcu. Mma  
Dikudu, Botswana



Jeden z najcenniejszych towarów w Afryce – kość słoniowa. Na figurki i grzebienie. Krwawy biznes w służbie estetyki





Dzieciaki szaleją przy muzycze gitar i marimby płynącej z głośników. Radość w czystej postaci



Banana burger, druga po pap, kukurydzianej brei, lokalna potrawa na naszej trasie z Imire do Lusaki. Globalna wioska ze szczyptą lokalnego kolorytu



Moi znajomi spali w buszu w namiocie. Gdy w środku nocy nieopodal ryknął lew, wskoczyli do samochodu, nie opuszczając namiotu. Przyroda ostrzega na swój sposób



STOLICA ZAMBII nie wygląda na miejsce, gdzie chciałoby się wracać dla przyjemności. Niska, brudna zabudowa, w centrum coś jak przedmieścia, a na samych przedmieściach slumsy. Zatrzymaliśmy się w popularnym najwyraźniej wśród backpackerów hoteliku ChaChaCha, nieco poza ścisłym centrum, w spokojnej dzielnicy willowej ułożonej na planie siatki. Nasz pokój stanowił szalás ze związanych patyków, z drzwiami, w których brakowało zamka. W środku dwa łóżka, goła żarówka i moskitiera.

Usiedliśmy przy barze, żeby złapać oddech.

– No i co teraz? – spytał Łukasz.

– Teraz musimy poznać odpowiednich ludzi.

– A jak chciałbyś to niby zrobić?

– Obojętnie, czy szukasz przemytników dzieł sztuki, złodziei czy kłusowników, metoda jest zawsze taka sama. Trzeba będzie spróbować coś kupić.

– Rogi?

– Nie ma szans. Nosorożce zabija się na zamówienie, cały towar jedzie w konkretne miejsce, na ulicy nic nie dostaniesz. Stawiałbym na kość słoniową. Nielegalna, obracają nią gangi, sam słyszałeś, że jest tu tego na pęczki.

– Możemy spróbować.

Mieliśmy plan. Nawiążemy kontakty z ludźmi handlującymi tu kością słoniową. Namierzemy paru drobnych hultajów, trafi się może jakiś niegroźny paser. Zbierzemy nazwiska, telefony, może zrobimy zdjęcia. Udokumentujemy towar, sprawdzimy ceny i wypytamy o szczegóły operacji. Nic nie kupimy.

A potem tę wiedzę zaniemiemy na policję, a policjanci zrobią, co trzeba, i w efekcie paru cwaniaków pojedzie na wczasy na koszt państwa, gdzie pokoje są wprawdzie ciasne, ale za to dieta monotonna.

Z kolei my, zadowoleni z siebie i w poczuciu dobrze wykonanego obowiązku, wrócimy spokojnie do domu.



ZACZĘLIŚMY OD NAJGORSZEGO MIEJSCA W LUSACE, bazaru Soweto, typowego afrykańskiego targowiska wielkości sporego osiedla. W jego wschodniej części stała duża hala, sugerująca porządek i legalność. Ze wszystkich stron przyklejone były do niej blaszane niskie budy tłoczące się w ciasnych uliczkach w złowrogim półmroku. Labirynt straganów ciągnął się jeszcze daleko, przekraczając nawet rzekę ściek przecinającą ten obszar mniej więcej w połowie. Podobno można tu było kupić wszystko, łącznie z bronią i narkotykami. Założyliśmy, że to będzie dobry punkt startowy dla naszych poszukiwań.

Popołudnie było pochmurne i wietrzne, i mokre. Przechadzaliśmy się gęstwiną alejek, brodząc po kostki w łajnowatym błocie. Na straganach leżała nieuporządkowana różnorodność tekstylnej taniochy, detergentów i metalowych części zamiennych do rowerów. Rzeźnicy eksponowali śmierdzące w upale mięso obklejone rojami bzycających much. Obnośni sprzedawcy prezentowali setki torebek foliowych i drucianych zmywaków. Ktoś sprzedawał banany, ktoś – rozpadające się ze starości buty. Było ciasno, tłoczno i głośno. Jako jedyni biali wyróżnialiśmy się w tłumie jak żyrafa wystająca nad trawę sawanny, po prostu nie da się jej nie zauważyć. Przy kolejnych straganach witała nas najpierw pełna zdumienia cisza, a potem szorstkie komentarze. Na własne życzenie wchodziliśmy w miejsce, do którego nikt nas nie zapraszał i w którym zapewne nie powinno nas być.

W takiej okolicy wszystko może się wydarzyć. Jesteś tam zawsze nie na miejscu i dobrze o tym wiesz. To nie jest wesołe targowisko w Addis Abebie czy Marrakeszu, raczej królestwo typów spod ciemnej gwiazdy szczerzących zęby w złowrogim uśmiechu. W takich chwilach masz oczy dookoła głowy, a w kieszeni nóż, choć i tak nie starczy ci odwagi, by go wyjąć, jeśli zacznie się robić nerwowo. Niby nic się nie dzieje, niby nikt cię nie zaczepia, a i tak czujesz rosnący niepokój, skręcając w kolejną alejkę oddalającą cię od względnej cywilizacji ulicy.

Tu możesz zginąć albo wszystko stracić, ale na pewno niczego nie zyskasz.

Przeszliśmy całe Soweto wzdłuż i wszerz.

Nigdzie nie było nawet śladu, którego można by się ucześcić.

– NO I CO TERAZ?

– Teraz pokażę ci sztuczkę.

Po Lusace krążą prywatne samochody pełniące rolę taksówek. Nie mają żadnych oznaczeń, rozpoznaje się je głównie po pytających spojrzaniach kierowców i cichym, sondującym trąbieniu.

– Przejedziemy się? – spytałem mężczyznę, który oparty o drzwi palił papierosa.

– Jasna sprawa, szefie. Dokąd tylko chcesz.

– Do Mutendere.

Dokładnie po przeciwnej stronie miasta. Najdłuższy kurs, jaki mogłem zamówić. Kierowca natychmiast cisnął niedopałek na ziemię i otworzył mi usłudźnie drzwi.

To jeden ze stałych numerów w moim repertuarze. Taryfiarze znają wszystkie zakątki w mieście, wszystkie burdele, kanciapy, speluny, meliny, bazyry i lewe sklepiki. Znają też mnóstwo ludzi, w tym wielu takich, których warto znać, gdy wpadasz w kłopoty albo potrzebujesz pieniędzy, a to są właśnie ci ludzie, których szukaliśmy.

Zamawiając kurs taki jak z Soweto do Mutendere, prawie na pewno staję się klientem dnia, więc zarabiam u kierowcy punkty już na starcie. Do tego mamy sporo czasu na rozmowę, bo to kawałek drogi. Można się w ten sposób wiele dowiedzieć.

Uzgodniliśmy cenę, tylko trochę zawyżoną w stosunku do obowiązujących stawek. Łukasz zasiadł z tyłu, a ja zająłem miejsce obok kierowcy.

Samochód ruszył, wyjechaliśmy z zaśmieconego targu Soweto, dziurawy tłumik zagrał głośniejsz, niż powinien. Z radia trzeszczał jakiś lokalny przebój. Za oknami Lusaka starała się wyglądać na metropolię, błyskając reklamami. Szarobure, prawie przemysłowe miasto, nic specjalnego. Zagailem zwyczajną rozmowę, o piłce nożnej, długiej suszy, cenie benzyny i innych nic nieznaczących sprawach. Czekałem na pytanie, które musiało paść.

– Po co tu przyjechaliście? – spytał wreszcie kierowca.

– Podróżujemy w interesach – odpowiedziałem.

– A co robicie w Lusace?

– Szukamy kontaktów.

– Może będę mógł pomóc, znam sporo ludzi.

Obiecujący początek. To tak naprawdę zaproszenie do transakcji, bo w Afryce za wszystko się płaci.

– Co was interesuje? – ciągnął kierowca, skręcając na wiadukt nad torami kolejowymi.

– Sztuka, pamiątki. W dużych ilościach. Heban, mahoń, rzeźby, ozdoby, figurki...

– Kość słoniowa – uzupełnił beznamiętnie Łukasz, patrząc od niechcienia w okno.

Kierowca nawet nie zwrócił uwagi na ten komentarz, rzucił tylko okiem w lusterko.

– I szukaliście w Soweto? Bez sensu. Takie rzeczy są gdzie indziej.

– Gdzie? Comesa? Kabwata? – rzucałem nazwy innych bazarów.

– Nie, nie. W Arcades.

– A co to?

– Duży dom handlowy. Obok jest targ pamiątek, zjeżdża się tam mnóstwo ludzi.

– Mamy tam teraz po co jechać? – spytał Łukasz.

– Myślę, że tak, macie jeszcze ze dwie godziny.

– Przyjacielu, zmiana planów. Zapomnij o Mutendere.

– Ale...

– Stawka ta sama, ale droga krótsza.

Kierowca uśmiechnął się promiennie. Właśnie zrobił świetny interes.

TRZASNAŁEM DRZWIAMI. Okno od strony kierowcy uchyliło się nieznacznie, gdy zakręcił klamką. Rzucił za nami głośnym szeptem:

– Przyjaciele, tylko uważajcie na Kongijczyków, to nie są dobrzy ludzie.

– Będziemy pamiętać.

– Macie moją wizytówkę?



– Mamy. Dzięki. Do zobaczenia.

– Jakby co, to dzwońcie.

Samochód odjechał, dymiąc z rury wydechowej i ciągnąc tłumik po asfalcie. Przed nami rozpościerał się niewielki targ rozłożony na parkingu centrum handlowego. Może z sześćdziesiąt stoisk, w tym kilka ustawionych pod zadaszeniem przy samej ścianie budynku. Reszta sprzedawców prezentowała swoje towary wprost na ziemi, na gazetach lub matach. Część ustawiła swoje stoiska w formie krótkiej alejki skrytej pod brezentowym dachem. Rozdzieliliśmy się bez słowa i każdy ruszył w swoją stronę.

Plan był prosty. Wśród tych sześćdziesięciu sprzedawców kilku musi mieć kość słoniową, a jak nie, to musi coś o niej wiedzieć. Trzeba ich tylko wyłuskać. Dalsze etapy planu uzależnialiśmy od tego, co uda się osiągnąć w tej początkowej fazie. Na razie musieliśmy skupić się na tym, by w nie nazbyt ostentacyjny sposób zasygnalizować swoje zainteresowanie, a potem pozwolić się odnaleźć odpowiednim ludziom.



Weszliśmy w alejki, każdy w inną. Natychmiast obskoczyli mnie naganiacze i sprzedawcy drobnicy z naręczami bransoletek, sznureczków, naszyjników i pierścionków, które można znaleźć w całej Afryce. Grzecznie, ale stanowczo przebiłem się przez ich natarczywość i ruszyłem dalej. Z daleka widziałem, jak Łukasz zatrzymuje się przy niektórych stoiskach, z wystudiowanym brakiem zainteresowania i ogólnym znudzeniem. Przystanąłem przy straganie z wysokimi figurkami wojowników Masajów, choć byliśmy raczej daleko od ich tanzańskiej ojczyzny. Sprzedawca w podskokach znalazł się obok i zaczął zachwalać towar.

– ... no i jakość, popatrz, ręczna robota, malowane, heban, detal, nigdzie takich nie znajdziesz! – trąkotał wyuczony tekst.

– Nie interesuje mnie drewno – odpowiedziałem, odchodząc powoli. Mruknął coś pod nosem i wrócił na swoje składane krzesło.

– ... ręcznie haftowane, plemienia Ndebele, jaka jakość! A może wisioriki... – zachwalał inny sprzedawca.

Poszedłem dalej. Zatrzymałem się przy innym straganie. Na gazetach na ziemi stały figurki z drewna w kształcie zwierząt. Przeglądałem znudzony, jakby od niechcenia. Sprzedawca podniósł się rażno i zaczął swoją tyradę.

– Nie interesuje mnie drewno – przerwałem, nawet na niego nie patrząc.

Rozejrzał się szybko na boki i podszedł bliżej.

– A co cię interesuje? – spytał.

– Kość słoniowa – odparłem jak gdyby nigdy nic.

Cofnął się, unosząc ręce w teatralnym geście.

– To jest zabronione...

– Wiem.

– A co konkretnie jest ci potrzebne?

– Cokolwiek. Masz coś, przyjacielu?

– O nie, nie, nie mam – przysunął się bliżej. – Ale jak popytasz, to parę osób będzie miało pochowane w gazetach różne drobiazgi.

– No pewnie.

Ruszyłem dalej, nadal niespiesznie, przeglądając tu i ówdzie jakieś

wisiorki albo makatki. Łukasz robił to samo po przeciwnej stronie targu. Zobaczył mnie i pokręcił głową na znak, że u niego na razie bez sukcesów. To nic nie znaczyło. Puściliśmy sygnał, wystarczyło poczekać, aż dotrze do odpowiednich ludzi.

Zaciągało na deszcz, na targu było raczej pustawo, sprzedawcy rozmawiali między sobą, bo klientów było niewiele. Minąłem brezentową alejkę i skręciłem do jednego ze skrajnych sektorów. Zatrzymałem się przy stoisku z wisiorkami i kolczykami. W środku małego namiotu, na wysokim stołku siedziała postawna kobieta z fryzurą jak z amerykańskich filmów z lat czterdziestych. Ledwo mieściła się na siedzisku i musiała balansować całym swoim zwalistym ciałem. Uśmiechała się przyjaźnie od ucha do ucha. Przeglądałem bez większego zainteresowania naszyjniki w kształcie plemiennych masek i hebanowe kolczyki. Kobieta dla odmiany nie atakowała rutynowym zachwalaniem, po prostu czekała w milczeniu.

– Szukam czegoś innego.

– Czego?

– Kości słoniowej.

Uśmiech błyskawicznie znikł z jej twarzy.

– Nie mam nic takiego.

– A kto ma?

Kobieta wykonała przedziwny gest. Odwróciła głowę w kierunku przeciwnym do tego, który miała na myśli, jakby się bała, że ktoś zobaczy, że coś mi pokazuje. Tą odwróconą głową zaczęła wskazywać miejsce za swoimi plecami, dobre czterdzieści metrów dalej, pod zadaszeniem przy samej ścianie budynku centrum.

– Idź do Kongijczyków.

– JAK POSZŁO?

– Rzuciłem hasło tu i ówdzie – odpowiedział Łukasz.

– Ja też. Podobno mają coś Kongijczycy.

– Uuu... To niedobrze – Łukasz skrzywił się w odpowiedzi.

Nigeryjczycy, Kongijczycy i Mozambijczycy zasłużenie cieszyli się złą sławą w całej Afryce.

W tym momencie podszedł do nas wysoki, chudy człowiek w ciemnej koszuli. Zatrzymał się bardzo blisko i szepnął konspiracyjnie,

strzelając nerwowo oczami na boki.

– Psst! Podobno szukacie kości?

– A co masz?

– Bransoletki i grzebienie.

– Zobaczymy.

– Ale nie tutaj, nie tutaj – zaczął się wycofywać. – Możemy się umówić na jutro, w Kabwacie.

– W Kabwacie?! – zdumiałem się.

Kabwata to skansen dla turystów, niby-wioska w centrum miasta, gdzie Zambijczycy w plemiennych strojach walą w bębny i sprzedają zachwyconym tubylczą oryginalnością białasom te same przedmioty, które stały tutaj na targu. Ostatnie miejsce, gdzie spodziewałbym się nielegalnego obrotu.

Zambijczyk nerwowo oblizywał wargi i przecierał sypiący się wąsik, najwyraźniej mocno spięty.

– W Kabwacie mam stoisko. To co, umawiamy się?

– No dobrze, zobaczymy, co tam masz. Na ósmą?

– Może być.

– Jak cię znajdziemy? – włączył się Łukasz.

– Pytajcie o Bena, wszyscy mnie znają.

– Miło cię poznać, Ben. Ja jestem Michael, a to jest Peter.

Łukasz-Peter kiwnął głową.

– Jutro o ósmej.

Zaczęliśmy powoli odchodzić, gdy Ben złapał Łukasza za rękaw.

– Tylko nie przyprowadzajcie nikogo z policji, dobrze? Nie naróbcie mi kłopotów.

– Nie narobimy, nie bój się.

Ben znowu nerwowo obejrzał się za siebie i zniknął między straganami. Popatrzyliśmy po sobie i zaczęliśmy się cicho podśmiewać, niedowierzając. W porównaniu z bazarem Soweto to był jakiś żart.

– No, jeśli tu tak wygląda gangsterka, to mogliśmy spać spokojnie – powiedział Łukasz.

Faktycznie, nasze nerwy z ubiegłych nocy w świetle tej totalnej amatorszczyzny były dość komiczne.

– Proponuję od tej pory martwić się, gdy musimy, a nie gdy

możemy – odpowiedziałem. – To co, spróbujemy z Kongijczykami?

Ruszyliśmy w kierunku zadaszania. Już wcześniej widzieliśmy, że w tamtym sektorze obraca się poważniejszym towarem. Pod dachem stały duże, ciężkie rzeźby, meble i ornamenty na ścianę. Bardziej antykwariat niż cepelia. Minęliśmy kramik, przy którym sprzedawca walił w bębny, a potem następny, z asortymentem masek i żyraf różnych rozmiarów. Drogę zaszedł nam niski, ale dobrze zbudowany trzydziestolatek w rozchełstanej łososiowej koszuli i ze złotym łańcuszkiem na szyi. Zagroził nam przejście, popatrzył chwilę poważnie i wypalił bez zawahania:

– Szukacie kości słoniowej. Czego konkretnie?

– A co masz?

– Bransoletki, grzebienie, kilka figurek.

– No to zobaczmy.

– Tutaj nic już nie mam, wszystko godzinę temu sprzedałem Japończykom. Możemy się umówić w Kabwacie jutro, wszystko wam pokażę, będziecie zadowoleni.

Kabwata zaczynała wyglądać coraz bardziej interesująco.

– Znasz Bena? – spytałem.

– Znam, gówniarz. Jak chcecie robić interesy, to ze mną, a nie z nim. Na nim nie można polegać. Ja jestem waszym człowiekiem, ja, Peter.

– Popularne imię. Wyobraź sobie, że to też jest Peter – wskazałem Łukasza, który uśmiechnął się nieszczercze zza ciemnych okularów.

– To co, mamy umowę czy nie? – dopytywał Zambijczyk śmiertelnie poważnie jak jakiś narkotykowy boss.

– To zależy, co tam kitrasz w tej Kabwacie.

– Na ósmą?

– Na siódmą trzydzieści?

– Może być.

Peter zniknął tak samo szybko, jak się pojawił. Typowy drobny cwaniaczek, uliczny kanciarz, na pewno nikt groźny. Wyglądało na to, że kość słoniowa fruwa tu tak często i w takich ilościach, że nie ma się z czym szczególnie kryć.

Spodziewaliśmy się zatwardziałych morderców z karabinami, a

powitało nas dwóch ulicznych flimonów, których najwyraźniej przerażała już sama rozmowa o nielegalnej transakcji, do tego hipotetycznej. Ludzie, którzy pewnie drętwieją ze strachu na widok kontrolera biletów, i to nawet gdy bilet mają skasowany.

Z drugiej strony, jeśli kością słoniową handlują nawet takie łebki, to skala tego przedsięwzięcia jest przerażająca. Część słoni zabija się legalnie, ale nie aż tyle. Te zwierzęta musiały ginąć seriami, wszędzie, w całej Afryce. To się nie mieściło w głowie.

W ciągu godziny złapaliśmy dwa kontakty, oba raczej niewielkiej wartości, ale dały nam one lepszy ogląd sytuacji. Słowa Bothwella, Reilly'ego i kilku innych osób sprawdziły się w całej rozciągłości. W Lusace kości słoniowej było na pęczki, na każdym rogu. Postanowiliśmy przejrzeć jeszcze ofertę Kongijczyków, na wszelki wypadek, żeby nic nam nie umknęło. Gdy zbliżyliśmy się do zadaszania, zatrzymał nas jakiś mężczyzna, który siedział z kilkoma innymi na schodach i palił papierosy.

– To wy szukacie kości słoniowej? – rzucił na cały głos, nawet się nie kryjąc.

Kiwnąłem ostrożnie głową. Kongijczyk krzyknął coś do jednego ze swoich towarzyszy i machnął ręką ponaglająco.





– Idźcie za nim.

Mój Boże, jest gorzej, niż myślałem. Tego towaru musi być fura, jakieś niewyobrażalne ilości. Nielegalne operacje odchodzą tu w biały dzień, na każdym rogu, nikt się nawet nie próbuje kryć. Przerazająca ostentacja mówiąca wiele. Wierzchołek góry lodowej.

Podążyliśmy za tym chłopcem na posyłki wysłanym przez szefa. Minął kilka straganów, zatrzymał się przy małym rozkładanym stoliku, przykucnął i z dużej brezentowej torby w paski wyjął zawiniątko gazet. Rozsupłał je i podał mi prostą, gładką bransoletkę z kości słoniowej. Rzuciłem pobieżnie okiem, wyglądała na autentyk. Kość słoniową bardzo trudno podrobić, a fałszywki łatwo rozpoznać nawet przy niewielkim doświadczeniu. Takie cwaniaczki jednak miały swoje sposoby, tego byłem pewien. Słyszeliśmy już wiele o naciągaczach i ich wyrafinowanych patentach na pozbawienie naiwniaków gotówki.

– To jest podróba, szukam prawdziwej – zagrałem trochę *va banque*.



Sprzedawca spłoszył i zaczął krzyczeć, na zmianę po angielsku i w jakimś narzeczu, którego nie mogłem rozpoznać.

– Falszywe! Idiota! *Puana, mlami zuzu!* Widzisz pory?! Widzisz karby?! Debilu, sam nie wiesz, czego szukasz!

O ile na początku strzelałem raczej na ślepo, to teraz coraz bardziej byłem przekonany, że to rzeczywiście musiała być fałszywka i fartem trafiłem w sam środek tarczy. Żaden sprzedawca tak by się nie wściekł, bo przecież wie, że traci u mnie szansę na zarobek. Obrażanie klienta w żadnej ze znanych mi kultur nie jest i nigdy nie było taktyką negocjacyjną.

Wokoło zaczęło się zagęszczać, okoliczni Afrykanie zainteresowali się krzykami i zrobiło się małe zbiegowisko.

– *Safi bangili, puana! Safi!* – wrzeszczał dalej Kongijczyk. – Chcesz, to sprawdź! Masz zapalniczkę? Podpal sobie, podpal, sam zobaczysz!

Teraz to już miałem pewność, że to wszystko lipa. Najstarsza sztuczka świata. Podobno kość słoniowa się nie topi, tylko węgli, wydając przy tym paskudny zapach, podobny do smrodu palących się włosów. Tyle że prawdziwej kości słoniowej nikt nie pozwoliłby mi podpalić, bo to ją nieodwracalnie uszkadza. Facet był albo oszustem, albo najgorszym biznesmenem świata. Stawiałem na to pierwsze.

Zrobiło się małe poruszenie, ktoś szukał zapalniczki, ktoś coś głośno komentował.

– Tomek, zwijamy się, ale już – powiedział Łukasz spokojnie, po polsku. Sygnał do natychmiastowego odwrotu, na wyjaśnienia przyjdzie pora.

Odłożyłem bez słowa bransoletkę na stół, odwróciłem się i przebiliśmy się przez te kilka zgromadzonych osób, zostawiając za sobą krzyżącego i wymachującego pięściami handlarza.

Postanowiliśmy na koniec wejść jeszcze do właściwego królestwa Kongijczyków, pod dach przy ścianie. Ominęliśmy grupę na schodach i zaszliśmy z boku, od strony kramu z wielkimi starymi maskami – tysiąc dolarów za jedną. Pierwszy przegląd nie budził większych nadziei. Same drogie antyki, kilka nowych dzieł sztuki. Ani w kręgu naszego zainteresowania, ani możliwości finansowych.

Na początku go nie zauważyłem. Siedział na stołku, w kapeluszu i koszuli wpuszczonej w spodnie, jak jakiś soulowy artysta z teledysku. Miał ciemną skórę, nawet jak na Afrykanina, i dość elegancki wygląd. Musiał się nam przyglądać już od dłuższego czasu, myślę, że od draki przy straganie. Teraz wodził za nami oczami, gdy bez większego zainteresowania oglądaliśmy olbrzymie bębny i stare rzeźby. Kiedy doszliśmy do jego stanowiska, podniósł się ze stołka i zatrzymał nas, podnosząc rękę. Mówił spokojnie, rzeczowo, bez teatralnego szeptu, ale też nie tak, żeby łatwo było podsłuchać naszą rozmowę.

– Słyszałem, że szukacie towaru, który niełatwo tu znaleźć.

– Nawet jeśli tak, to co? Masz coś? Niech zgadnę. Bransoletki, grzebień i małe figurki.

Kongijczyk zbył pytanie, jakby go nie było.

– Po co wam to? Czego szukacie?

– Czegokolwiek.

– Nie rozumiesz. Ja pytam, w jakim celu szukacie kości.

Dopiero teraz do mnie dotarło, że nigdy się nad tym nie zastanowiliśmy. Mieliśmy trzydzieści wariantów scenariusza działań na później, ale nie zastanowiliśmy się nawet na chwilę nad najważniejszą sprawą: dlaczego to robimy (przynajmniej oficjalnie)? Nie ustaliliśmy, jak odpowiedzieć na takie pytanie, które przecież kiedyś musiało paść. Zbyć je, nie odpowiedzieć? Zmyślić jakąś bajkę?

Ten facet mógł być gliniarzem wyluskującym takich frajerów jak my. Mógł być informatorem, drobnym kanciarzem albo kieszonkowcem. Mógł być zwykłym rabusiem polującym na białasów albo szantażystą, który bez trudu wykorzysta fakt, że byliśmy widziani na targu, jak rozpytujemy o nielegalną kość słoniową. Nic o nim nie wiedzieliśmy.

Ale za to z Łukaszem znamy się od dziecka. Przejechaliśmy razem kawał świata i wyszliśmy obronną ręką ze wszystkich przygód i niebezpieczeństw, na jakie trafiliśmy. Znamy się na wylot, wystarczy, że na niego spojrzę i wiem, co myśli. Możemy teraz prysnąć w przeciwne strony i obaj będziemy dobrze wiedzieć, gdzie i kiedy się spotkać. Możemy nie dzwonić do siebie pół roku, a potem rozmawiać, jakbyśmy widzieli się przedwczoraj. Przegadaliśmy tysiące godzin i obejrzeliliśmy

razem setki filmów.

Nie musiałem nawet na niego patrzeć, by wiedzieć, że właśnie zastanawia się dokładnie nad tym samym co ja. Również nie dał po sobie niczego poznać i wiedziałem, że choćbym zaczął teraz chrząnąć jakieś głupoty, Łukasz z pełną powagą będzie grał dokładnie ten sam improwizowany scenariusz, a do tego rozwinie go twórczo i z sensem.

Cała ta gonitwa myśli trwała ułamek sekundy, trudno byłoby to nawet nazwać zawahaniem. Kongijczyk zadał pytanie i czekał na odpowiedź, od której najwyraźniej dużo zależało.

Rzuciłem pierwsze, co wpadło mi do głowy, choć gdy teraz o tym myślę, brzmi to jak z jakiegoś taniego kryminału:

– Mamy zlecenie od pewnego bogatego klienta z Europy. Szukamy dla niego partnera biznesowego, na stałe. Interesuje go wszystko i w dużych ilościach, na rok, dwa, może dłużej.

– Surowe czy zrobione<sup>[7]</sup>? – padła odpowiedź.

– I takie, i takie – odpowiedział Łukasz, nawet na mnie nie patrząc.

– To wpływowy biznesmen z Niemiec, myśli o czymś na większą skalę.

– Co chcecie kupić?

– Niczego nie kupimy. Rozpoznajemy możliwości, nawiązujemy kontakty. Uzgodnimy wyjściowe ceny, sprawdzimy parę kwestii, a potem zaaranżujemy spotkanie, na którym szczegóły uzgodnicie już między sobą.

– Skauci<sup>[8]</sup>, tak?

Odpowiedzieliśmy potakującym milczeniem, stojąc nieruchomo i śmiertelnie poważnie.

– Gdzie się zatrzymaliście?

– W ChaChaCha.

– Macie jakąś wizytówkę?

– A jak myślisz?

– Możemy się umówić w środę.

– Możemy się umówić tylko jutro, w środę nas już tu nie będzie.

– Dokąd jedziecie?

– Do Chirundu, a potem do Harare.

Dokładnie ten kierunek, z którego tu przyjechaliśmy.

– Harare, tak...? – Kongijczyk zadumał się na chwilę. – W

porządku, umówmy się na jutro. Może być w ChaChaCha, to niedaleko mojego mieszkania. Rano. Dziewiąta?

– Dziewiąta trzydzieści, o ósmej jedziemy do Kabwaty.

– Niech będzie.

– Zapiszcie mi swój numer.

– Nasze telefony tu nie działają. Zapisz nam swój, odezwiemy się wieczorem, żeby potwierdzić termin.

Popatrzył przez chwilę z kamienną miną, z której nie potrafiłem niczego wyczytać. Potem wyjął z tylnej kieszeni spodni mały notatnik, nabazgrał coś i wyrwał kawałek kartki. Widniało na niej siedem cyfr i litery układające się w słowa „Mr Simon”.

– To jest mój numer. Możecie nazywać mnie Simon.

– Mike.

– Peter.

Wszyscy trzej dobrze wiedzieliśmy, że każde z tych imion jest fałszywe. Nikomu to nie przeszkadzało.

SIEDZIELIŚMY ZNOWU przy barze w ChaChaCha, sącąc jakiś chłodny napój i patrząc na zapracowanych biznesmenów, zajmujących leżaki przy basenie. Było późne popołudnie, jeszcze nie zmierzch, ale już powoli coraz ciemniej.

– Wiesz, co mnie niepokoi? – odezwał się Łukasz. – Że my nic o nim nie wiemy. Widziałeś, jak ten Ben się spietrał na samą myśl, że przyjdziemy z policją. To działa w obie strony. Jutro *mister* Simon może się zjawić z patrolem, a wtedy nasza najbliższa przyszłość będzie miała dość ograniczone perspektywy. Wiesz przecież, ile tu można dostać za taki cynk. Może nas sprzedać bez mrugnięcia okiem.

– No wiem.

Siedzieliśmy chwilę w ciszy.

– Mam złe przeczucia – kontynuował Łukasz. – Zawsze mieliśmy zasadę, żeby nie pakować się bez potrzeby w kłopoty, a to pachnie kłopotami na kilometr. Zawsze się jej trzymamy i dobrze na tym wychodzimy.

– No wiem, ale to nie jest taka sytuacja jak inne. To jest coś ważniejszego.

– Bez przesady.

– Co „bez przesady”? Tak właśnie jest.

Pociągnąłem łyk napoju. Widzieliśmy tu sporo syfu. Miała być Afryka jak z obrazka, a wyszła Afryka jak z obrazów Bacona. Od bandziorów na ulicach Sunnyside, przez historie Bothwella, po masakrę w Imire – wszystko robiło straszne wrażenie, ale oto staliśmy przed realną szansą, by coś tu naprawdę zmienić.

– Powiem ci, jak ja to widzę – podjąłem. – Paskudne widzieliśmy rzeczy, jasne. Możemy się wystraszyć, choć na razie nie ma w sumie czego, i dać dyla. Ale możemy też pójść do tej Kabwaty, potwierdzić, że mają lewy towar, może zrobić jakieś zdjęcia, a potem z tą wiedzą zrobić, co uznamy za stosowne. Na pewno WWF chętnie przyjmie takie informacje, albo Traffic, może trzeba będzie pójść na policję, może powiadomić jakieś ministerstwo, nie wiem. Skoro nienawidzisz ludzkiej głupoty, to z nią walcz, a nie marudź jak stara babcia, siedząc na dupie.

– No to co proponujesz?

– Po pierwsze, proponuję złapać trochę dystansu. Widziałeś tego całego Bena i tego Petera, przecież to jacyś frajerzy, lokalna okęgówka. Dla nich to my jesteśmy chodzącym bankomatem, nic nam nie zrobią. Możemy śmiało iść i nie ma się w ogóle czego bać. Widzimy się z nimi rano, w środku skansenu, tam będzie mnóstwo ludzi. Obejrzymy sobie błyskotki, zrobimy, co mamy zrobić, i wrócimy spokojnie do hotelu.

– Może i masz rację, obaj byli w sumie śmieszni. Naoglądali się za dużo filmów, zachowują się, jakby żyli w Lusakangeles.

– No właśnie. Natomiast ta opcja z policją to faktycznie trochę problem... – zasepiłem się.

– Przydałoby nam się jakieś ubezpieczenie.

– Czyli?

– Trzeba by kogoś uprzedzić, że robimy prowokację.

– Kogo? Ambasadę? – Aż się uśmiechnąłem na samą myśl. – Jak usłyszą, co się kroi, to narobią w gacie, zapewniam cię. Zresztą najbliższa jest w Pretorii. Powodzenia.

– No to kogo?

– Możemy spróbować z właścicielem hotelu.

– No nie, świetny pomysł, świetny – Łukasz ocenił krytycznie. – Policja zgarnie cię jeszcze dzisiaj w nocy, nawet nie będziesz musiał

czekać do rana. W najlepszym wypadku wypieprzy nas stąd od ręki i będziemy znowu latać z plecakami po nocy.

– W takim razie chodźmy na policję, wykonamy ruch wyprzedzający. Powiemy im, że idziemy do Kabwaty i że nic nie kupimy, zrobimy tylko zdjęcia i wystawimy im tych fajfusów na talerzu.

Łukasz zastanowił się przez chwilę.

– To ma sens.

– No to dopijaj.

WESZLIŚMY NA KOMISARIAT. Wyglądał tak, jak go sobie wyobrażałem. Ciasne pomieszczenie ze spękaną od starości farbą olejną, dawniej lamperią, z dwoma ławkami i wysokim blatem, za którym stali funkcjonariusze. Pod sufitem jarzeniówka dająca światło niczym w prosektorium i wiatrak kręcący się za wolno, by chociaż udawać, że pracuje. W sali przyjęć interesantów, do której wchodziło się od drzwi wejściowych, było pusto, jeśli nie liczyć dwójki policjantów siedzących za blatem i zajętych cichą rozmową.

Gdy podeszliśmy, podnieśli się niemrawo. Mężczyzna patrzył tępo, z otwartymi ustami, jakby był niewyspany. Kobieta raczej z wyższością, ale równie milcząco. Wyraźnie czekali na rozwój sytuacji.

– Chcieliśmy złożyć doniesienie dotyczące nielegalnego obrotu kością słoniową.

Wiatrak kręcił się powoli, policjant stał z odemkniętą gębą.

– Aha – powiedziała ona.

– Z kim możemy porozmawiać? – spytałem.

– Ale o co konkretnie chodzi?

Przedstawiliśmy uzgodnioną wcześniej wersję, mianowicie, iż podczas zakupów pod Arcades zaproponowano nam kupno kości słoniowej. Niczego nie kupiliśmy, ale wiemy, gdzie będzie można znaleźć handlarzy następnego dnia.

Policjanci stali nieruchomo, farba odłaziła ze ścian.

– ... tak więc to, co chcielibyśmy zasugerować, to wysłanie jutro rano patrolu w dwa miejsca. O ósmej do Kabwaty, a o dziewiątej do ChaChaCha Backpackers, bo w obu tych miejscach będą przebywać wspomniani przemytnicy nielegalnego towaru – zakończyłem.

Policjanci spojrzeli najpierw na siebie, potem na nas.

– W porządku, wyślemy – powiedział on. Ona patrzyła cały czas pusto.

– Ale przecież nawet nic nie zapisaliście! – zirytowałem się. – Chcę złożyć normalne zawiadomienie, mam tu konkretne informacje!

Posterunkowy westchnął, podszedł do stojącego z tyłu biurka i wyjął kartkę zadrukowaną z jednej strony, a poplamioną z drugiej. Ułożył ją na blacie, przeprasował kantem dłoni i wyciągnął upaprany gęstą atramentową mazią długopis.

Popatrzyliśmy po sobie zdruzgotani. Łukasz zaczął przypominać konkrety, ale już bez większej nadziei.

– Kabwata o ósmej, niejaki Ben i Peter... O ósmej – poprawił, widząc bązgroły oficera. – O dziewiątej w ChaChaCha, Simon. Przyjedzie o dziewiątej trzydzieści, ale patrol musi być wcześniej, bo to kawałek od ulicy i trzeba będzie się schować za bramą wjazdową.

Policjant notował, wystawiając w skupieniu koniec języka. Pani oficer patrzyła, jak gdyby nas nie było.

– Wyślecie patrol? – upewniłem się.

– Wyślemy.

– Na pewno?

– Na pewno.

– Ale na pewno?

– Na pewno, przecież zapisaliśmy.

Przetarłem ręką twarz. Nie wyglądało to obiecująco. No nic, może ich system jest prymitywny, ale działa. Łukasz tylko na mnie popatrzył tym swoim wzrokiem mówiącym: „No widzisz. Teraz rozumiesz, dlaczego mnie tak denerwują”. Wróciliśmy do hotelu.

Z GŁOŚNIKÓW W BARZE płynęła jakaś nieprzyzwoita kanadyjska piosenka, w telewizorze trajkotał komentator, leciał jakiś mecz. Siedzieliśmy tak już godzinę i analizowaliśmy sytuację. O lampę objęła się ćma wielkości mojego kciuka. Pod wieczór było nawet całkiem chłodno.

– No nic, trzeba pojechać do tej Kabwaty, zrobić, co się da, a potem prysnąć w diabły.

Łukasz sączył jakąś paskudną grejpfrutową lemoniadę i nie odpowiedział. W tej chwili sytuację ocenialiśmy tak: po pierwsze –



policja nie jest tu tak zorganizowana, jak zakładaliśmy; po drugie – nadal istnieje ryzyko, że Ben albo Peter wystawią nas na odstrzał i zgarną od policjantów nagrodę za cynk; po trzecie – jest niezwykle wysokie prawdopodobieństwo, że policja trzyma łapę na biznesie z kością słoniową i właśnie wystawiliśmy się na odstrzał, osobiście, bez niczyjej pomocy.

Im kraj biedniejszy, tym policja bardziej skorumpowana – prawda stara jak świat. Gdyby siły prawa i porządku miały chęć, zlikwidowałyby lewy handel pod Arcades jednego dnia. Albo wiedzą, że to i tak nic nie zmieni, albo tamtejsi sprzedawcy to tylko płotki, albo policjanci mają z tego działkę.

Najwyżej oceniliśmy prawdopodobieństwo kombinacji przyczyny drugiej z trzecią. To, że kość słoniową pod Arcades puszczała w obieg sami drobni kanciarze, było pewne. Wystarczyło spojrzeć na Bena albo Petera. Takim kryminalistą to i ja bym potrafił być, wystarczyłoby przeczytać trochę Chandlera, kupić prochowiec i mówić ściszone głosem, nazywając każdą kobietę lalką, a faceta platfusem.

Należało również przyjąć za pewnik, że policja ma swój udział w zyskach z obrotu kością słoniową. W Zimbabwie prezydent Mugabe oficjalnie dał zielone światło na odstrzał wszystkiego, co się rusza, żeby funkcjonariusze sami zapełnili sobie kieszenie i nie trzeba im było płacić pensji. Dlatego właśnie państwowi żołnierze byli najgorszymi kłusownikami w całym kraju.

W Zambii tak źle nie było na pewno, ale handel kością słoniową, skórą i trofeami był zbyt zyskowny, by wierzyć naiwnie, że policja ma czyste ręce. Lusaka była stacją spedycyjną wszystkiego co nielegalne. Towar przyjeżdżał tu z połowy Afryki wwożony na ciężarówkach lub przemycany przez granicę szlakami przez busz. Na miejscu był prany, czyszczony albo legalizowany i jechał dalej, do Botswany, RPA lub Tanzanii, a stamtąd do Europy, Azji i Stanów.

W Zambii okrwawione jeszcze słoniowe ciosy stawały się towarem z „legalnego uboju” albo „śmierci z przyczyn naturalnych”. Skóry lwów i lampartów otrzymywały zaświadczenia, że pochodzą z dawnych czasów albo że to nie lew, tylko zebra, choć nie ma pasków.

Certyfikaty można było podrobić albo kupić, wkładając we

właściwą kieszeń odpowiednio wypchaną kopertę. I wszystko działało się właśnie tu, w stolicy Zambii, więc zakładaliśmy, że na każdego porządnego policjanta przypada pewnie trzech skorumpowanych.

Była realna szansa, że nasze doniesienie wpadnie w niewłaściwe ręce i w najlepszym przypadku Ben zniknie bez śladu, a przy nieco gorszym scenariuszu jutro obudzimy się z ręką w naczyniu nocnym.

Więcej nie mogliśmy wymyślić, brakowało danych. Może to był błąd, może nie powinniśmy się w to pakować. A może nie.

Podobno najgorzej jest błędzić bez sensu. Postanowiliśmy więc iść na całość i ewentualnie zabłądzić z sensem.

W NASZYM POKOJU-SZAŁASIE obudziło mnie słońce przeciskające się przez szpary między patykami w ścianach. W promieniach widać było fruwały kurz. Zza przepierzenia dolatywał ćwierkot ptaków. Szósta trzydzieści, niedługo i tak musielibyśmy wstać.

Łukasz usiadł na łóżku. Nie odzywając się słowem, zaczął wciągać buty i pakować plecak. Zrobiłem to samo.

Nasunęła mi się myśl, że wyglądamy stosownie do okazji. Żadnych błyskotek, zegarków i drogich gadżetów. Sprane bojówki, wojskowe szare koszule, rękawy podwinięte do łokci, ciężkie buty, ciemne okulary. Do tego szorstki zarost i nierówna opalenizna z ostatnich tygodni w buszu. Zdecydowanie nie wyglądaliśmy na turystów, więc może nasza historia o bogatym biznesmenie z Niemiec wyglądała nawet całkiem wiarygodnie.

Plecaki ułożone w kącie musiały poczekać na nasz powrót.

DO KABWATY przyjechaliśmy trochę wcześniej, żeby rozejrzeć się po okolicy. Kilka niby-tradycyjnych chat w środku miasta, na tle bloków mieszkalnych. Za „wioską” wał niewiadomego zastosowania i boisko piłkarskie. Wszędzie sporo śmieci. Między chatami kręcili się pierwsi sprzedawcy, rozstawiając swój asortyment. Te same figurki, maski i bębny co wszędzie. Ktoś zakładał swój „plemienny” strój na dzinsy i koszulkę piłkarską. Dzieciaki ganiały za zabawkową ciężarówką zrobioną z pustych butelek. Poranne słońce grzało przyjemnie.

Zgodnie z planem o siódmej trzydzieści miał przyjść Peter, o ósmej Ben. Mieliśmy sprzedać im jeszcze raz historię o rekonesansie dla

klienta, wyciągnąć z nich, co się da, zrobić może jakieś zdjęcia, miał wpaść patrol policji i zgarnąć ich w filmowym stylu. Potem mieliśmy wrócić do ChaChaCha, o dziewiątej policja miała zająć pozycje za bramą, o dziewiątej trzydziści miał pojawić się *mister* Simon i zacząć drugi akt, powtarzając scenariusz.



„Plemienna wioska” w środku miasta. Kabwata w pełnej krasie

Po wizycie na komisariacie już wiedzieliśmy, że tak się nie stanie. O patrolu tu, w Kabwacie, nawet nie marzyliśmy. Zrobimy zdjęcia towaru, wydusimy z Petera i Bena, ile wlezie i znikamy. Przy okazji przekonamy się, czy to poważna sytuacja, czy raczej niekoniecznie. Ocenimy ryzyko i albo poczekamy na Simona, albo złapiemy plecaki i w nogi, jeśli wyczujemy charakterystyczny zapaszek nadchodzących problemów. A wtedy Simon pocałuje klamkę. Spotkanie z nim udało nam się potwierdzić przez telefon. Simon powtórzył, że będzie, przyniesie towar i przyprowadzi swojego współnika. Raz jeszcze

wypytał o szczegóły, zadał kilka pytań o naszego klienta i ponownie próbował zdobyć jakieś namiary na nas.

Rozejrzeliśmy się po okolicy, z zadowoleniem konstatując, że Kabwata to otwarty teren, więc pryśnięcie bez ostrzeżenia w dowolnym kierunku nie będzie przedstawiało większych trudności. Nie to, żebyśmy zakładali taką potrzebę, ale lepiej było się przyszykować na różne opcje.

Usiedliśmy w cieniu i czekaliśmy, a minuty płynęły straszliwie wolno. Kabwata zaczęła się zaludniać, prawie wszystkie chaty otworzyły swe podwoje, szykując się na najazd klientów. Pytaliśmy co jakiś czas, kiedy pojawi się Peter albo Ben, i nieodmiennie słyszeliśmy w odpowiedzi, że niedługo przyjdzie, spokojnie. O siódmej trzydzieści, ustalonej godzinie spotkania, Petera nie było. Kwadrans później również. Może się przestraszył, może wyczuł pułapkę, może dostał cynk od policji.

A może po prostu zapomniał albo zasnął, bo pił do rana nalewkę z kukurydzy.

O ósmej przyszedł Ben. Zobaczył nas z daleka, machnął ręką i zniknął w jednej z chat.

– No to do roboty, załatwmy tego sukinsyna – rzucił Łukasz, podniósł się z ziemi, otrzepał spodnie i ruszył w stronę chaty.

Gdy myślę o tych wydarzeniach z dzisiejszej perspektywy, trudno mi wzbudzić w sobie uczucia, jakie wtedy nami targały. Teraz siedzę sobie spokojnie w fotelu i wspominam jakieś dawne dzieje, opowiadam przygody. Nie mam się czym za bardzo denerwować.

Ale wtedy... wtedy byliśmy po prostu wściekli. Wszystkie te obrazy, które widzieliśmy, te historie, okrwawione zwierzęta, strzelanie z helikoptera, kałasznikowy, żołnierze, ci rechoczący mordercy i złodzieje – to wszystko w nas mocno siedziało. To była jakby nienawiść połączona z żalem, nowa kompozycja furii i smutku, która kazała nam zmienić poczucie bezsilności w jakieś, jakiegokolwiek działanie.

Przez całą drogę spotykaliśmy ludzi codziennie nadstawiających karku, żeby uratować Afrykę, którą każdy nosi w głowie od dziecka. Ci ludzie tracili życie, chowali się przed kulami, żyli w strachu i walczyli dzień w dzień, choć tej walki nie mogli wygrać żadną miarą. Było ich mniej i byli zdani tylko na siebie.

A strzelali do nich ludzie tacy jak Ben, jak Peter, jak Simon. Nawet jeśli nie oni sami, to ich wspólnicy albo kontrahenci, ludzie im podobni, którzy nie liczyli się z nikim i niczym, byle dorwać się do paru dolarów.

Gdy Simon usłyszał o naszym niemieckim inwestorze, w oczach aż mu się zapaliły lampki w kształcie monet. Bardzo chciał nie dać tego po sobie poznać, ale zadanie go przerosło. Prawie przysiadł z wrażenia, już w myślach przeliczał, ile zarobi i co sobie za tę fortunę kupi. Gdybyśmy sobie wtedy tego zażyczyli, od ręki zarznąłby jakiegoś słonia i własnoręcznie wyrwał mu ciosy, żebyśmy mieli ładne figurki do zabrania na pamiątkę. Czuł, że rozbił bank, że oto wreszcie uśmiechnęło się do niego szczęście i teraz nie cofnąłby się już przed niczym, bo jego zdaniem właśnie nadszedł dzień wypłaty.

Nie wiem, może taki Ben czy Simon był biedny, może miał schorowaną żonę, może musiał kupić dzieciom buty do szkoły albo uciekał z Konga przed wojną domową.

Miałem to w dupie.

Biednych ludzi jest w Afryce na pęczki, prawie każdy ciężko pracuje, żeby przetrwać. Ale tylko niektórzy bawią się w krwawy biznes, bo tak jest prościej i szybciej. Jeśli strzelają do ludzi dla pieniędzy, to są zwykłymi mordercami i nic ich nie tłumaczy.

Mieliśmy okazję coś zrobić, utrudnić życie tym łajdakom. Pewnie, żaden z nas się nie łudził, że to jakiś wielki wyczyn i fundamentalna zmiana. Na miejscu jednego zamkniętego w kiciu Bena wyrośnie pewnie trzech innych. Ta nasza akcja to niezauważalny drobiazg.

Ale wart każdego wysiłku.

Bo ja potem napiszę do Reilly'ego albo Bothwella i opowiem im, co się stało, a oni odetchną głęboko, bo ta wiadomość da im siłę na kolejny rok albo dwa. To są ludzie na froncie, żyjący jak na wojnie, ryzykujący i ginący dla jakiejś utopijnej idei. Na froncie, na który listy takiej treści nie dochodzą nigdy. Dla nas to może być drobiazg, ale dla nich nie.

Gdy teraz myślę o tych dniach, sam siebie nie rozumiem, nie wiem, co nami wtedy powodowało. Teraz już po prostu nie jestem taki wściekły, ale wtedy byłem.

A to jest opowieść o tamtych wydarzeniach.

W CHACIE BENA najpierw poczułem chłód. Nic nie widziałem, oczy musiały się przyzwyczaić do mroku, bo na zewnątrz słońce aż raziło. Jedna z osób przebywających w chacie chyłkiem wymknęła się za drzwi, mrużąc coś pod nosem.

Pod ścianami ciasno ustawiono stoły, na których Ben najwyraźniej wykladał towar. Wszędzie walały się kartony z figurkami i tkaninami w plemienne wzory. Oprócz niego w chacie był jeszcze jeden mężczyzna, wysoki Afrykanin po pięćdziesiątce, zajęty swoimi sprawami. Klęcząc, przetrząsał kartony w poszukiwaniu czegoś konkretnego i nie zwracał na nas uwagi.

A Ben był śmiertelnie przerażony. Oblizywał nerwowo górną wargę i rozglądał się niepewnie na boki, jak gdyby ze ściany miał ktoś wyskoczyć. Podał mi drżącą rękę, którą uścisnąłem mocno. Łukasz stał pół kroku za mną, na szeroko rozstawionych nogach i udawał, że żuje gumę. Jego stary trik, dodający szczypty nonszalancji i pewności siebie.

Wystarczyło mi dziesięć sekund, by przekonać się, że nie wydarzy się tu nic groźnego. Że nikt nie będzie do nas strzelał, nie wpakuje nas do kicia ani nas nie obrabuje. Ben bał się jak diabli, że to my go wsypimy, że ściągniemy policję albo ktoś się dowie, że handluje lewym towarem. Przyglądał nam się badawczo, oblizywał ten swój mizerny wąsik i obciążał kraniec granatowej koszuli bezwiednym, nerwowym ruchem. Nie musiałem nawet patrzeć na Łukasza, żeby wiedzieć, że też rozumie sytuację, widzi to co ja, i że możemy się trochę zabawić kosztem biednego Bena. A takie zabawy to my mamy przećwiczone na poziomie mistrzowskim.

Staliśmy w tych swoich ciemnych okularach, pewnie, wyprostowani, a Ben skubał nerwowo koszulinę i czekał na nasz ruch.

– Peter...? – rzuciłem do Łukasza, nawet się do niego nie odwracając, jak dowódca oddziału komandosów. Łukasz-Peter odchrząknął i zaczął bez chwili zawahania:

– Po pierwsze, niczego dziś nie kupimy. Reprezentujemy pewnego bardzo wpływowego inwestora z Europy, który szuka biznespartnera na dłuższy czas. Mówimy tu o setkach tysięcy dolarów w kości słoniowej w ciągu dwóch lat. Po drugie, jeśli spróbujesz nam wcisnąć lewy towar,

wyjdziemy i nigdy nas już nie zobaczysz. Po trzecie, jeśli wyczuję, że próbujesz nas wystawić, to zapewniam, wrócimy po ciebie i nie będzie ci się to podobało. Rozumiemy się?

Ben pokiwał głową.

– Bardzo się cieszę, wygląda na to, że dobrze nam się będzie współpracować – powiedziałem, szczerząc zęby. – No to pokaż mi teraz, co masz tu pochowane w tych gazetkach.

Mówiąc to, zatarłem ręce, jak cwany bankier przy udanym interesie. Ben wyciągnął jeden z kartonów i wyjął z niego jakieś drewniane badziewie, a spod niego niewielkie zawiniątko, które położył na wysokim stołku stojącym na środku. Rozwinął połę chustki, a z wewnątrz wychyliło się kilka jasnokremowych przedmiotów.

– To wszystko?

Pokiwał głową bez słowa.

Podniosłem ze stołka mały grzebień i obejrzałem go w świetle przebijającym się wąskim promieniem przez strzechę chaty. Prawie na pewno autentyk, ale zbyt świeży, żeby wykluczyć, że to imitacja, na przykład z kości narwala, z których też można zrobić podróbki. Przyjrzałem się z bliska również dwóm bransoletkom, zwłaszcza tej z kamyków o opływowych kształtach – po takim oszlifowaniu wiele można powiedzieć. Wyglądały w porządku. Podałem bransoletkę Łukaszowi, który zaczął ją studiować niezwykle drobiazgowo, jak profesor archeologii, brakowało mu tylko lupy.

– W porządku Ben. Jak dużo możesz mi załatwić w ciągu najbliższych trzech tygodni?

– No nie wiem... Muszę popytać... Trzy, cztery razy tyle?

– Niedużo. Na pewno tylko taką ilość?

– Raczej tak...

– No dobrze. Zróbmy tak. Zanotujesz Peterowi swój numer, żebyśmy mogli się później odezwać. Ja w tym czasie zrobię zdjęcia temu, co masz, a potem prześlemy je do klienta. W porządku, Benny?

– Tylko nie fotografujcie mnie...

– Nic się nie bój, ty nas nie interesujesz.

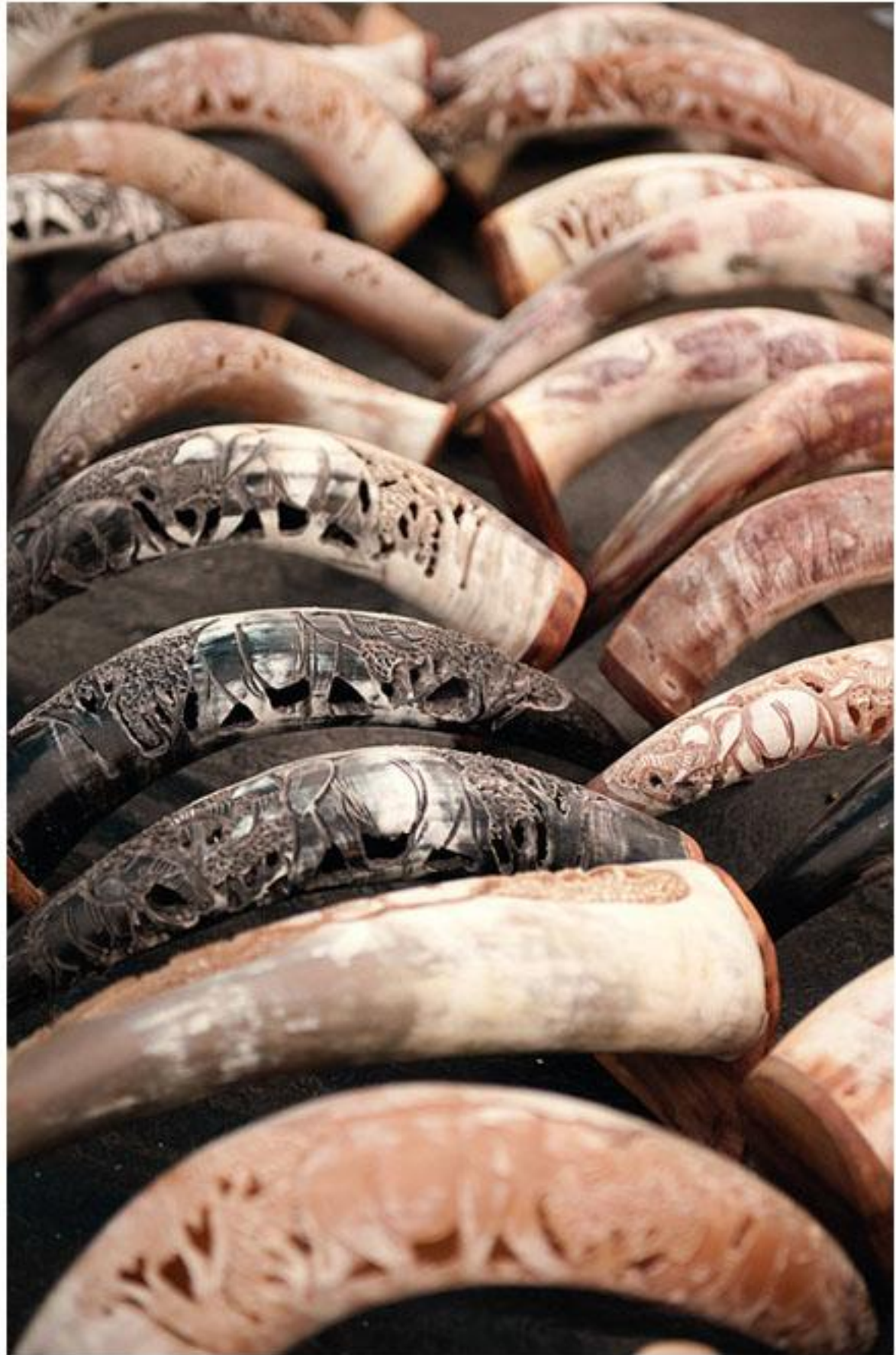
Łukasz objął Bena i odprowadził w kąć chaty, a ja zrobiłem kilkanaście zdjęć towarowi z kości słoniowej. Nie było tego wiele, kilka



sztuk. Ben nie był raczej potentatem w tym biznesie.

## NIEBEZPIECZNE PAMIĄTKI

W Afryce można kupić wszystko, ale nie wszystko warto. Pamiątki, które wydają się świetnym pomysłem na targu, tracą nieco na uroku, gdy siedzi się w kajdankach na lotnisku z zarzutem przemytu. Czasem trudno się zorientować, że akurat ten kawałek drewna albo właśnie ten skórzany woreczek może łamać zapisy konwencji waszyngtońskiej CITES i celnicy uznają jego właściciela za przestępcę.



Wiem, co mówię. W Singapurze zostałem dwukrotnie aresztowany za przemyt broni, choć raz miałem w plecaku tylko pamiątkową dmuchawkę, a przy drugiej okazji zwykły składany nóż. Jestem w tym kraju notowanym kryminalistą i mam kuratora, do którego muszę się zgłaszać po przekroczeniu granicy.

Czyli: myślmę. Oto lista pamiątek, które mogą wpakować Was do więzienia. Nie przywoźcie:

skór i produktów wykonanych ze wszystkich kotowatych (pum, tygrysów, lwów itp., to również torebki, buty i inne ozdoby ze skóry w panterkę),

czegokolwiek zrobionego z węży, waranów, krokodyli, wielorybów, delfinów, niedźwiedzi i wilków,

produktów tradycyjnej medycyny chińskiej zawierających części tygrysa lub lamparta (uwaga na maści i plastry), róg nosorożca, wyciągi z niedźwiedzia lub piżmo,

jakichkolwiek wyrobów z kości słoniowej i rogu nosorożca, koralowców, muszli, wyrobów z żółwi morskich (czasem kilka muszelek czy koralu z plaży też się kwalifikuje, nie zbierajcie ich),

wyrobów z drewna tropikalnego, kaktusów, storczyków i sukulentów (roślin o grubych liściach, w stylu palm czy aloesu),

czegokolwiek zbliżonego do małp, papug, ptaków drapieżnych i żółwi lądowych.

Pamiętajcie, że faktura albo paragon nic nie zmieniają, musicie mieć specjalne certyfikaty. Sprzedawca będzie się na pewno zarzekał, że wszystko jest legalne, bo na tym zarobi. Ale to Wy zostaniecie zatrzymani na lotnisku, a nie on. A celnicy dostają takie same nagrody za złapanie przemytnika narkotyków i przemytnika niewinnych, ale nielegalnych pamiątek. Więc nie liczcie na taryfę ulgową.



Zambijczyk odprowadził nas na zewnątrz, jeszcze kilka razy upewnił się, że nie ma z nami policji, i pożegnaliśmy się grzecznie, po czym zniknął w półmroku swojej chaty.

Popatrzyliśmy po sobie bez cienia uśmiechu i profesjonalnie opuściliśmy teren Kabwaty, wsiadając do czekającej na nas od godziny taksówki.

Dopiero w środku, kilkaset metrów dalej, ryknęliśmy głośnym śmiechem i śmialiśmy się jeszcze długo, zarówno z Bena, jak i z siebie samych, zwłaszcza z ponurego scenariuszy, jakie zdążyliśmy sobie sami nakreślić ubiegłej nocy.

Człowiek jednak zazwyczaj przegrywa głównie z własnym strachem.

– W TAKIM RAZIE chyba nie mamy się co zastanawiać nad kwestią Simona? Powtarzamy układ?

– Jasna sprawa.

– Szkoda, że policja spartoliła sprawę. Mogliśmy przyskrzyknąć

tego Bena.

- No, wielka szkoda. Może chociaż tutaj przyjadą.
- Widzę, że coraz bardziej wierzysz w naszych czarnych braci.

Bardzo ładnie.

Była ósma czterdzieści pięć, do spotkania z Simonem mieliśmy jeszcze trzy kwadranse. Staliśmy przed guesthousem ChaChaCha, czyli w umówionym miejscu. Hotelik był dziwnie ulokowany. Stał na obrzeżach centrum, wśród parterowych domków jednorodzinnych, jak jeden z nich. Prowadziła do niego żwirowa alejka biegnąca ze wschodu na zachód, długa na trzysta metrów. Brama do ChaChaCha znajdowała się mniej więcej w połowie alejki, czyli z tego miejsca, gdzie staliśmy, do ulicy było sto pięćdziesiąt metrów. Alejka kończyła się ślepym zaułkiem – trzymetrowym murem. Wjechać i wyjechać można więc z niej było tylko w jeden sposób: z ulicy na wschodnim krańcu. Jeśli wykluczyć skakanie przez mur, nie było gdzie uciekać. Idealne miejsce na zasadzkę.

Pod szeroką, białą bramą do ChaChaCha zawsze stało kilku taksówkarzy. Teraz wszyscy się gdzieś rozjechali, został tylko jeden i szczerzył się do nas nieustannie z nadzieją, że znudzi nam się siedzenie i postanowimy gdzieś wyruszyć. Słońce prażyło coraz mocniej.

O dziewiątej patrolu policji nadal nie było, zgodnie z przewidywaniami. Na marne poszło więc nasze misterne planowanie jego pozycji i najlepszego momentu na uderzenie z zaskoczenia. Oczami wyobraźni widzieliśmy, jak nieustraszone zambijskie siły prawa i porządku przeskakują z obu stron płot odgradzający ChaChaCha od ulicy i z gotową do strzału bronią, krzycząc jeden przez drugiego, każą Simonowi paść na ziemię z rękami na głowie. Potem połowa oddziału zajmuje pozycje do ognia zaporowego w wylot ulicy, na wypadek niespodziewanej odsieczy podkomendnych Simona, a pozostali kują go kajdankami, boleśnie wykręcając mu ręce na wysokości łopatek. Simon wije się, kuli i przeprasza, a łzy strachu kapią mu po policzkach, bo wie, że przez resztę życia będzie oglądał jedynie mały, kwadratowy wycinek świata i to w symetryczny wzorek.

Tak by się z pewnością zdarzyło, gdyby tylko posterunkowy z otwartą gębą spisał nasze zeznania na czymś poważniejszym niż



poplamiony świstek papieru zadrukowany z jednej strony.

Pozostało nam załatwić to we własnym zakresie, a potem podzielić się wiedzą z odpowiednimi służbami. Musieliśmy wziąć sprawy w swoje ręce.

Albo przynajmniej się czegoś napić, bo strasznie było gorąco.

DZIEWIĄTA PIĘTNAŚCIE. Nic. Słońce grzeje, w gardle sucho. Łukasz rzuca kamyczkami w przeciwległy krawężnik. Taryfiarz nie ustępuje w swojej nadziei i suszy zęby.

Dziewiąta dwadzieścia. Nic. Napięcie jakby powoli rośnie.

– Taka okazja... Czy oni powariowali? – pokręciłem głową.

Łukasz wstał:

– Powiem ci, co zrobimy. Ty tu siedź, czekaj na Simona i przeciągaj, ile wlezie. Ja lecę na posterunek i ściągnę tu gliniarzy.

Pomysł prosty, ale miał szanse realizacji.

– Dobra myśl! – Aż poderwałem się z miejsca, adrenalina skoczyła.

Łukasz machnął głową:

– Powodzenia.

– Tobie również.

Ruszył w kierunku taryfiarza.

– No to chyba się doczekałeś... Odpalaj bolid.

Po chwili taksówka minęła mnie, szurając oponami po jasnych kamieniach alejki. Łukasz przyłożył rękę do szyby, a potem złożył ją w pięść w groteskowym geście wspólnej walki.

Zostałem sam.

DZIEWIĄTA DWADZIEŚCIA DWIE. Jeszcze osiem minut. Cały się pocę, gorąco. Dlaczego ja się tak denerwuję?

Dwadzieścia trzy. Cisza. Powietrze stoi jak gęsta maź, nie rusza się nawet jeden liść. Wokół głowy brzęczy mucha, natarczywie. Bzyczy i bzyczy, namolnie, jest wszędzie, dookoła, jak gdyby wcale nie chciała usiąść i latała tylko po to, żeby mnie drażnić. Ręce mi się trzęsą. Serce wali, krew huczy w skroniach. Co to się dzieje? Uspokójże się, przecież wszystko jest w porządku.

Dwadzieścia cztery. Przeniosę się na drugą stronę, pod to drzewko, da trochę cienia. Usiądę może. Nie, nie, jednak postoję, lepiej to będzie

wyglądać. Kamienie chrześcżą pod butami, wokoło absolutna cisza. Nikogo.

Dwadzieścia pięć. Co my robimy?! Poszaleliśmy? Przecież to głupota, po co nam ta cała zabawa?! Nic z tego dobrego nie będzie! Co my możemy zrobić, takie szczyte?! Proszę, niech on już wraca z tą policją...

Dwadzieścia sześć. Weź się, chłopie, w garść, nic się przecież nie dzieje, a panikujesz jak jakiś rozpuszczony bachor w pierwszej klasie. Wdech, wydech. Spokojnie... Widzisz, wszystko pod kontrolą. Stań na obu nogach, mocniej. Od razu lepiej. Nie ma się czego bać. Słonko grzeje, wokoło zieleń, bardzo jest przyjemnie. Popatrz sobie na kwiatki.

Dwadzieścia siedem. Już lepiej, prawda? Dzięki. Znowu bym się przestraszył własnej wyobraźni, niczego się jednak w tym życiu nie uczę.

Przypomnij sobie Bena, też się wcześniej bałeś.

Warto było?

Nie, bynajmniej.

A widzisz.

Osiem. Ależ tu gorąco, a ja jeszcze w tych bojówkach, w tej koszuli, w tych ciężkich butach. Otarłem twarz, zostawiła na rękawie mokrą plamę. Która to godzina? Jeszcze dwie minuty.

Dziewięć. Znowu się boisz? Co z tobą?

Nie boję się, raczej mam wątpliwości. A jeśli ten Simon naprawdę ma chorą żonę albo uciekł z kraju przed wojną domową? Różne są w życiu sytuacje, może nie powinienem go tak surowo oceniać? Może go wsadzimy do ciupy, a jego dzieci stracą ojca? A może on jest dobrym ojcem? Może jego żona będzie musiała się teraz puszczać za pieniądze, bo nie będzie miała co włożyć do gara?

Co ty pieprzysz jak potłuczony? Gość strzela do ludzi, ma krew na rękach.

Może wcale nie.

Jak nie on, to ci, którym płaci za towar. Jest taki sam. Niech zdycha.

No nie wiem, nie wiem. To nie jest jednak takie jednoznaczne.

Dla mnie jest.



A dla mnie chyba nie. Jakoś im jestem starszy, tym mniej stawiam wykrzykników, a więcej znaków zapytania.

Patrzcie go, myśliciel. Siedź cicho i rób, co do ciebie należy.

Rozsiewasz jakieś filozoficzne pierdoły.

Słońce grzało nawet przez liście akacji.

TRZYDZIEŚCI.

NIC.

NO DOBRA, teraz to już mam prawo się niepokoić. Simon się spóźni, to nie problem, ale gdzie jest Łukasz? Do posterunku miał stąd ile... z siedemset metrów? Kilometr? Samochodem najwyżej minuta. Na miejscu powiedzmy pięć. Powrót kolejną minutę. Która godzina? Trzydzieści dwie. To ile minęło... Dwanaście, czternaście minut.

Coś jest nie tak. Powinien już tu być.

Rany, żeby go tylko nie przymknęli.

Gotowałem się od upału i z niepokoju.

W ALEJKĘ wjechał powoli biały samochód. Toczył się bardzo wolno po kamienistej nawierzchni, mrużąc z daleka silnikiem.

No dobra, kurtyna w górę.

Stałem pewnie na szeroko rozstawionych nogach, z rękami złożonymi na piersi. Włączyłem numer Łukasza z przeżuwaniem nieistniejącej gumy i obserwowałem auto spod ciemnych okularów, stojąc nieruchomo. Cały niepokój i drżaczka gdzieś zniknęły w jednej chwili. Zaczynamy.

Samochód zbliżał się powoli, słońce odbijało się od przedniej szyby, nie widziałem niczego w środku. Dotoczył się do miejsca, w którym stałem, i zatrzymał po przeciwnej stronie alejki.

W środku siedziało czterech wielkich oprychów i wszyscy przyglądali mi się w milczeniu z grobowymi minami. Dwaj z przodu trzymali pistolety, jeden z nich pokazywał mi swój wymownie.

Żołądek spadł mi ołowianą kulą aż do kolan. Gdybym żuł prawdziwą gumę, prawdopodobnie bym się nią zadławił.

ŁUKASZ POGANIAŁ TAKSÓWKARZA, który ewidentnie przedkładał ekonomię nad zadowolenie klienta, zbywając pasażera grzecznym uśmiechem i nie przyspieszając ani trochę. Trudno, to i tak niedaleko.

Wjechali na parking przed komisariatem, Łukasz wyskoczył z auta i podał kierowcy kilka wymiętych banknotów.

- Poczekaj tu na mnie, jestem za kilka minut, zaraz jedziemy dalej.
- Oczywiście, *mister*.

Łukasz wbiegł po schodach i otworzył drzwi do znajomego przedsionka z lamperią i wiatrakiem. Tym razem w środku było gęsto od ludzi. Przebił się przez tłum i stanął przy blacie, przy którym poprzednio oficer z rozdziawioną gębą spisywał nasze zeznania. Klepnął delikatnie w rękę posterunkowego, zaabsorbowanego jakąś wesołą rozmową z kilkoma innymi policjantami. Ten spojrzał na Łukasza zdziwiony.

- O co chodzi?
- Byliśmy tu wczoraj, ja i mój przyjaciel, z informacjami o handlarzach kością słoniową. Mieliście wysłać patrol na miejsce transakcji. Dlaczego go nie ma?

– Co?!

– Mieliście wysłać patrol, żeby zgarnął przemytników kości słoniowej. Czemu go nie wysłaliście? Nieważne zresztą. Mamy jeszcze czas, oni zaraz przyjadą do ChaChaCha, wsiadajcie w samochód i jedźcie za mną, jeszcze się wyrobimy.

– Co ty mówisz? Byliście tu wczoraj? Kto spisywał wasze zeznania?

– Nie wiem, kto spisywał, do diabła! Nie przedstawili się. Kobieta i facet, ona się nie odzywała ani słowem, a on ledwo pisał. Wyjął jakiś papier z tego biurka, tego w kącie, spisał szczegóły i powiedział, że będziecie na miejscu.

- Czyli co, teraz odbywa się jakaś nielegalna transakcja, tak?
- No przecież mówię!
- W porządku, idź do pokoju C1 na trzecim piętrze, oni się tym zajmą.

Łukasz pognał po schodach, przeskakując po trzy stopnie, w myślach dziękując samemu sobie, że rzucił wreszcie papierosy. Wpadł na trzeci poziom i zaczął szukać właściwego pokoju.

– B12, C7, 116... – mijał kolejne drzwi, rękami odpychając się od ścian. – C1.

Zapukał mocno i nie czekając na wezwanie, szarpnął za klamkę,

która ani drgnęła. Zamknięte.

Biegiem pokonał tę samą trasę, tym razem w dół. Ponownie przecisnął się przez ludzką gęstwinę i stanął przed znajomym oficerem.

– Zamknięte, nikogo nie ma – wydyszał.

– Widocznie mają przerwę. Proszę usiąść na ławce i poczekać – padła sucha odpowiedź.

– Nie mamy czasu na czekanie, do ciężkiej cholery! – krzyknął Łukasz i ruszył w kierunku drzwi.

Wypadł na zewnątrz, na zalany słońcem dziedziniec. Taksówkarza, który miał na niego czekać, nie było.

– ... rrrwa – Łukasz syknął przez zęby, zaciskając mocno oczy.

Popatrzył jeszcze raz na komisariat, policzył w głowie czas i odległość. Nie mógł się zdecydować.

CZTERECH GANGSTERÓW przyglądało mi się uważnie. Kierowca, wielki, zwalisty Kongijczyk o łapach jak bochny chleba, w złowrogim grymasie odsłonił górne zęby. Chudzielec na fotelu pasażera trzymał srebrny pistolet na wysokości twarzy, żebym na pewno go widział. Patrzył zimnym wzrokiem, poważnie i spokojnie.

Nie chcesz z nami zadzierać, chłopcze.

Nie chcę.

Simon siedział z tyłu. Do twarzy miał przyklejony sztuczny uśmiech. Podniósł dłoń w geście pozdrowienia. Kiwnąłem głową, nie zmieniając pozycji. Potem Simon tą samą ręką nakazał, żebym został tam, gdzie stoję.

To nie było potrzebne. Nogi miałem jak z waty, nie byłbym w stanie się ruszyć, nawet gdybym bardzo chciał.

Samochód wolno ruszył dalej, zawrócił i ustawił się kilka metrów od mojej akacji, bliżej wylotu ulicy. Ze środka wysiadł ten chudy z pistoletem, choć broń schował albo zostawił w samochodzie. Minął mój posterunek, nie spuszczając ze mnie wzroku. Przeszedł alejkę do końca, zbadał mur i wszystkie stojące przy nim pojazdy. Wrócił niespiesznie i wsiadł z powrotem do środka. Czas płynął w zwolnionym tempie. Nieustannie w głowie huczała mi wyłącznie jedna myśl.

Żeby tylko Łukasz nie wrócił z policją.

Z SAMOCHODU WYSIADŁ SIMON z tym czwartym, którego

wcześniej nie widziałem. Simon był bez kapelusza, w dzinsach i obcisłej czarnej koszulce z długimi rękawami. Jego współnik był dużo wyższy i trochę chyba starszy, pewnie po czterdziestce. Kawał chłopca, z metr dziewięćdziesiąt, a do tego obłany mięśniami. Szedł sprężyście, ubrany w różową koszulę w paski, płócienne spodnie i wypastowane półbuty. W przeciwieństwie do Simona nie był raczej pogodnie usposobiony.

– To jest mój współnik. Poznajcie się.

Od pierwszego szoku minęła już dobra chwila, miałem czas ochłonąć i pozbierać myśli. Stałem pod tą akacją jak wmurowany, w ciemnych okularach, z rękami na piersi, to mogło nawet dobrze wyglądać. Gdyby Simon dostał cynk z policji, to albo by się nie pojawił, albo od razu zaczęliby strzelać. Tymczasem wysiadł i oto szykował się do rozmowy. Wyglądało na to, że piłka w grze.

Było już za późno na jakikolwiek manewr, pozostawało realizować założony scenariusz, jak najuważniej trzymając się naszej przykrywki. Miałem przed sobą dwóch bandziorów, za nimi samochód z włączonym silnikiem i otwartymi drzwiami. Jestem skautem bogatego biznesmena, obejrzę towar, pogadamy, ustalimy formy kontaktu i rozstaniemy się w pokoju. Tak więc profesjonalny chłód, pewność siebie i żadnych żarcików. Czysty biznes.

Martwiła mnie tylko nieobecność Łukasza. Podejrzywałem, że coś musiało pójść nie tak i albo nie udało mu się ściągnąć policji, albo potrzebował na to więcej czasu. Miałem tylko nadzieję, że nie wparuje do alejki jak głupi, głową do przodu, z kosą postawioną na sztorc i bojowym okrzykiem, tylko najpierw zrobi po cichu rekonesans i zobaczy, co się dzieje. Gdyby wpadł tu z gliniarzami, pewnie z jednym funkcjonariuszem, najwyżej z dwoma, i to zapewne na rowerach albo pieszo, zwyczajnie nas wszystkich wystrzelają. Nie miałem co do tego żadnych wątpliwości.

Uścisnąłem podaną mi dłoń. No dobra, zbierz się w sobie.

– To co, wejdziemy do środka? – spytał Simon.

– Za dużo tam ludzi – odpowiedziałem. – Przejdźmy się może pod ten mur na końcu.

– A po co tak daleko? Usiądźmy tu, na trawie.

Zdziwiłem się, chociaż dla mnie to była nawet lepsza opcja, widać

nas będzie z daleka, z samej ulicy. Simon trzymał pod pachą sporą czarną torbę z płótna, jego bezimienny współnik dzierżył identyczną. Przysiedliśmy na trawie, ten w różowej koszuli rozejrzał się jeszcze raz uważnie po okolicy i przykucnął obok. Simon wyjął z torby kilka przedmiotów opakowanych w gazety. Po chwili na równo przystrzyżonej trawie zaległy maski, figurki, małe podgłówki, grzebienie, kolczyki i bransoletki. Ze dwadzieścia sztuk.

Podniosłem jedną z masek i obejrzałem dokładnie. Nierównomiernie pociemniała, porowata, z kanalikami, odpowiedniej wagi. Autentyk, bez dwóch zdań.

– 1942 – wyjaśnił Simon. – Z dworu królewskiego Lega.

Podniosłem bransoletkę, po nich łatwo poznać ewentualne fałszywki. Wszystko na miejscu.

– Należała do jednej z księżniczek, ten sam okres.

Odłożyłem ozdobę na miejsce, po czym z kieszeni wyciągnąłem notatnik.

– No dobrze, to porozmawiajmy o szczegółach – powiedziałem, otwierając go na pustej stronie.

Duży nagle wstał, spojrzałem, co się dzieje. Alejką szedł jakiś mężczyzna z aktówką, podśpiewując pod nosem. Wspólnik Simona zasłonił nas swoim cielskiem, a Simon niezwłocznie przykrył towar płóciennymi torbami. Trwaliśmy tak w milczeniu, aż śpieszący się pewnie do pracy dżentelmen zniknął w bezpiecznej odległości. Duży ponownie przysiadł.

– Zaczniemy od cen – podjąłem wątek. – Mówiłem ci, niczego dzisiaj nie kupię. Nie będziemy się też teraz targować. Zanotuję wasze propozycje, a szczegóły obgadacie sami z moim klientem.

– Czterysta pięćdziesiąt dolarów, trzysta, trzysta pięćdziesiąt... – dyktował Simon wskazując kolejne przedmioty. – Te najmniejsze figurki mogą puścić po sto.

– Transport?

– Możecie odebrać tutaj. Możemy też przerzucić wam to do RPA, reszta należy do was.

– Certyfikaty?

– Na antyki możemy załatwić od ręki, choćby na jutro. Nowe...

Nowe będą trochę droższe.

– Pieniądze nie grają roli. Drukujecie? Kupujecie?

– Na drobiazgi, jakieś figurki czy małe maski, zrobimy sami, żaden problem. Ale papiery na duże rzeczy, zwłaszcza na surową kość, no to już jest trochę zachodu. Musimy opłacić odpowiednich ludzi, dość wysoko.

– Co interesuje twojego klienta? – spytał duży.

– Tak jak już mówiłem Simonowi, wszystko i w sporych ilościach. Nowe, stare, duże, małe, zrobione, świeże, wszystko. Mówimy tu raczej o stałym układzie, hurtowych dostawach, a nie jednorazowej transakcji.

– A jeśli chodzi o... – zaczął Simon, ale przerwał w pół słowa, bo jego współnik znowu podniósł się gwałtownie.

Również wstałem, żeby przy okazji się rozejrzeć. Jakaś mama prowadziła dziecko do szkoły, bujając je za rękę. Dzieciak w mundurku śmiał się głośno. Rzuciłem okiem w wylot alei. Nikogo. Łukasza wciąż nie było.

Przysiedliśmy ponownie.

– No dobra – wróciłem do tematu. – Powiedzcie mi coś o szlakach przerzutowych. Rozumiem, że towar jedzie raczej przez Zimbabwe niż Botswanę?

Simon kiwnął głową.

– Jak go tam przetrzucacie? Chyba nie przez przejścia?

– Na tratwach przez Zambezi.

– A potem?

– Potem zwykłymi autobusami, nikt ich nie przeszuka.

Uśmiechnąłem się. To prawda, typowe świniobusy, wszystko tam można przewieźć.

– I co dalej? Jak przekraczacie Limpopo?

RPA pilnie strzegła swoich granic, takie przynajmniej sprawiała wrażenie.

– O tym porozmawiamy przy następnej okazji – uciał Simon.

Sygnał, że jestem trochę za daleko.

Poczułem na ramieniu czyjaś rękę. Ciśnienie skoczyło mi błyskawicznie, prawie zemdlałem.



Za mną stał Łukasz. Sam.

– Peter! – powiedziałem, może nawet zbyt radośnie, nieudolnie próbując ukryć panikę. – Jesteś! Jak poszło z Benem?

– Drobnica, szkoda na niego czasu.

– Z Simonem raczej się dogadamy, dobrze to wygląda.

Łukasz skinął uprzejmie głową, ale nadal bez cienia uśmiechu. Obaj gangsterzy odpowiedzieli tym samym. Streściłem pokrótce przebieg rozmowy, wprowadzając Łukasza w temat. Podałem ceny i dotychczasowe ustalenia. Podniósł jedną z figurek i zaczął ją dokładnie oglądać.

– No dobrze, panowie. Będziemy tu ponownie za trzy tygodnie, licząc od dziś, i przywieziemy ze sobą klienta. Jak dużo jesteście w stanie załatwić towaru do tego czasu?

– Świeżego? Nawet tonę, jeśli chcecie.

Zakreśliło mi się w głowie, ledwo powstrzymałem napływające do oczu łzy.



Tonę.  
Tysiąc kilogramów.



Dwadzieścia, a może i czterdzieści ciosów. Dziesięć albo i dwadzieścia pięknych, dumnych, dzikich zwierząt zostanie poranych kulami z automatów, pewnie w nocy, gdzieś na sawannie. A potem te sukinsyny wyrąbią toporami ich masywne kły, bo jakiś piczwąs w Europie chce mieć ładne ozdoby nad kominkiem.

- Ceny? – spytałem nieco zmienionym głosem.
- Normalnie dwieście pięćdziesiąt za kilo, ale przy tych ilościach policzymy inaczej.
- Pochodzenie?
- Zobaczymy. Część stąd, część z Zimbabwe, część pewnie z Botswany.
- W Botswanie można je wyżynać nawet przy drodze – zarechotał duży. – Same wyłażą.

W tym momencie naprawdę chciałem go zabić.

– Jesteśmy umówieni – powiedziałem, wstając. – Odezwę się w sprawie ewentualnego zamówienia na najbliższe spotkanie, nic na razie nie załatwiającie. Muszę najpierw porozmawiać z klientem. – Mówiąc to, sięgnąłem po plecak. – Wyciągnę teraz aparat i zrobię zdjęcia, żeby je wysłać naszemu pracodawcy, jeśli nie macie nic przeciwko.

– Śmiało.

Łukasz przejął ciężar rozmowy, przenosząc ją na jakieś neutralne tematy. Wrzucał co jakiś czas słówka w xhosa lub suahili, atmosfera się rozluźniła.

Ręce mi się nieco trzęsły, próbowałem je opanować, skupiając się na aparacie. Robiłem zbliżenia masek, podglówków, jakichś drobnych dekoracji. Intensywnie myślałem. Jeśli rozkręcę obiektyw, złapię w kadrze tych dwóch kutasów. Mogę ich upolować, tu i teraz, nawet nie zauważą. Ale jeśli na koniec sprawdzą zdjęcia, połapią się, że to pułapka. Zabiją nas. Rozwalą nas na sam koniec.

Adrenalina szumiała mi w uszach, serce waliło jak oszalałe.

Starąłem się oddychać równo, nie za głęboko, ale nie było to proste. Czułem się jak jakiś snajper zagrzebany w liściach, z celownikiem przytkniętym do oka. Jeden strzał i koniec – zrobiliśmy, co trzeba. Albo jeden strzał i koniec zabawy – oni robią, co trzeba, z nami. Palce mi drżały. Strużka potu biegła po twarzy. Rozkręciłem obiektyw, w wizjerze zobaczyłem sylwetki przemytników.

Strzelałem krótką serią, żeby mieć pewność, że trafię.

– ... NIEKTÓRZY Z NAS są z Konga, tak. Ale inni są z Zambii, jest też paru z Mozambiku – zaczęły docierać do mnie dźwięki otoczenia.

Łukasz cały czas zajmował bandziorów rozmową. Zrobiłem jeszcze kilkanaście zdjęć detali, na wszelki wypadek. Maski z kości słoniowej patrzyły na mnie smutnymi oczami upadłego królestwa.

Schowałem aparat, Łukasz podniósł się, sugerując zakończenie spotkania. Simon pieczołowicie owinał przedmioty wymiętymi gazetami i pochował je do toreb. Potem on i ten drugi wstali.

Podniosłem z ziemi swój notatnik i wyrwałem pierwszą pustą stronę. Zanotowałem jakiś przypadkowy numer telefonu i adres

wyglądający na prawdziwy. Podałem Simonowi.

– Będziesz mógł się z nami skontaktować, ale dopiero za miesiąc. Teraz jedziemy do Chirundu, potem do Harare. Później odbieramy klienta z Johannesburga i wrócimy tu z nim za trzy tygodnie. Jeśli coś mu się spodoba i będzie chciał cokolwiek zamówić, dam ci znać. Panowie, dziękuję za spotkanie.



Simon i jego wspólnik w trakcie naszych negocjacji

Obaj mężczyźni uścisnęli nam ręce i ruszyli w kierunku samochodu. Staliśmy nieruchomo, patrząc ich śladem.

– A... B... D... 7... 8... 7... 4... – dyktował po cichu Łukasz.

Notowałem, nie patrząc na kartkę.

– CO SIĘ STAŁO?

– Nic się nie stało. Taryfiarz nie poczekał, a gliniarze nawet nie chcieli słuchać. Wysłali mnie do jakiegoś zamkniętego pokoju, a potem kazali siedzieć na ławce. Wracalem biegiem, ale kondycja już nie ta,

zwłaszcza że te ścieki śmierdzą jak cholera.

– Wiesz, że mieliśmy sporo szczęścia?

– Wiem.

– Wiesz, co by się stało, jakbyś wrócił z takim komandosem jak ten z rozdziawioną gębą?

– Wiem.

– To po co się tak spieszyłeś? Przecież sam i tak byś nic nie zrobił.

– Bo ustaliliśmy, że wchodzimy w to razem i nikt nie zostanie na lodzie.

W KOMISARIACIE był jakiś szalony tłum, a wszyscy krzyczeli naraz. Hałas potęgowało skrzeczące w kącie radio i wentylator pod sufitem, który teraz jakby żwawiej się obracał, próbując przebić się przez ogólny harmider. Ludzie siedzieli na nielicznych ławkach albo pod ścianami, większość stała zbita w gęstą ciżbę. Każdy coś mówił czy może raczej wrzeszczał.

Przepchnęliśmy się z plecakami pod poznany już dość dobrze blat. Za nim stało kilku funkcjonariuszy zajętych swoimi sprawami. Jeden z nich przyglądał się nam pytająco ze znudzoną miną. Podeszliśmy do niego i zaczęliśmy wyjaśniać. Odbyło się spotkanie, mamy dowody, mamy zdjęcia. Wykonaliśmy za was nieco pracy. Na czyje ręce to złożyć?

Posterunkowy, słuchając nas, coraz bardziej promieniał. Po ostatniej kropce odwrócił się do jednego z oficerów siedzących przy biurku z trzeszczącym radiem.

– Nyambe! – krzyknął na cały głos. – Ci panowie twierdzą, że mają informacje na temat lewej kości słoniowej! – Posterunkowy aż się trząsał od wszechogarniającej go wesołości.

Oficer Nyambe spojrział spode łba, znudzony i zmęczony, choć nie było jeszcze jedenastej, i niedbałym gestem kazał nam wejść za blat.

Podszedłszy, nachyliłem się nad nim i po cichu, półgębkiem, wydusiłem:

– Panie oficerze, może tak w jakimś bardziej prywatnym miejscu? To są niebezpieczne sprawy...

– To jest to bardziej prywatne miejsce. Mów, co chcesz powiedzieć, albo znikaj – odpowiedział.



Trudno. Przysiedliśmy na krzesłach pozbawionych oparcia i wyjąłem aparat. Zacząłem rzeczowo referować wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dwóch dni, a oficer słuchał w skupieniu, siedząc pochylony, z łokciami opartymi na kolanach i ze spuszczoną głową. Nie odzywał się ani słowem. Wraz z upływem czasu ślad ironicznego uśmiechu zanikał na jego twarzy, aż w końcu prysł bezpowrotnie. Na koniec pokazałem zapiski w notatniku, numer rejestracji samochodu, telefony i zdjęcia.

Gdy zakończyłem wyjaśnienia, posterunkowy przez chwilę siedział w ciszy, a potem wyprostował się i powiedział bardzo uprzejmie:

– Pozwólcie, że przekażę was odpowiedniemu oficerowi.

ZOSTALIŚMY ODPROWADZENI na trzecie piętro, ponad chaos kwatery przyjęć, po krętych schodach wzdłuż obdrapanych ścian. Przez chwilę czekaliśmy na korytarzu, podczas gdy posterunkowy z parteru referował naszą sprawę w pokoju B5 czy D16, nie pamiętam. Potem drzwi się otworzyły i zostaliśmy zaproszeni do środka, do Wydziału Walki ze Zorganizowaną Przystępczością, ciasnego pomieszczenia gęsto zastawionego biurkami. Wszyscy odnosili się do nas bardzo grzecznie i z dużą atencją, nikt się nie podśmiewał ani nie traktował nas z góry.

Usiedliśmy na krzesłach, z których wystawały kawałki gąbki przebijające się przez wytartą sztuczną skórę. Grzecznie odmówiliśmy wody, a potem herbaty. Po raz kolejny opowiedzieliśmy całą historię, z detalami, a trzech oficerów w cywilu pilnie notowało wszystko, co mówimy, dopytując co jakiś czas o szczegóły.

Czwarty, w skórzanej kurtce, siedzący pod ścianą, co chwila zrywał się i sugerował natychmiastową pogoń i fizyczne uszkodzenie zasrańców.

Przesłuchanie prowadził inspektor Mbulo, puciołowaty, łysy Afrykanin po trzydziestce, ubrany w śnieżnobiałą, przewiewną koszulę i takie same spodnie. Inspektor Mbulo wyglądał bardzo filmowo, jak detektyw z Miami albo Los Angeles. Obrazu dopełniał starannie wymodelowany zarost, kabura przypięta do paska i policyjna odznaka wisząca na łańcuszku pod koszulą. Zadawał szczegółowe pytania, zawsze trafiające w punkt.

- Czy zapłaciliście im?
  - Nie.
  - Dobrze. Zostawiliście jakieś namiary na siebie?
  - Fałszywe.
  - Bardzo rozsądnie. Jaka mieli broń?
  - Krótką, pistolety. Ten, któremu się przyjrzałem, wyglądał na berette. Może glock, srebrny.
  - Mówisz, że macie numer rejestracji?
  - Tak, tu.
- Ten w skórzanej kurtce poderwał się.
- Dawaj Mweembe, jedziemy po nich, nie ma na co czekać.
- Inspektor Mbulo usadził go spokojnym gestem.



Pokój Wydziału Walki ze Zorganizowaną Przestępczością. Lusaka, Zambia, piętro trzecie

- Sprawdziliście, czy towar był autentyczny?

– Na tyle, na ile potrafię. Kolor się zgadzał, faktura też, wykluczyłem syntetyk, krzywizny były prawidłowe, podobnie ziarno, linie Schregera miały właściwe kąty.

– Macie jakieś zdjęcia, tak?

– Tak.

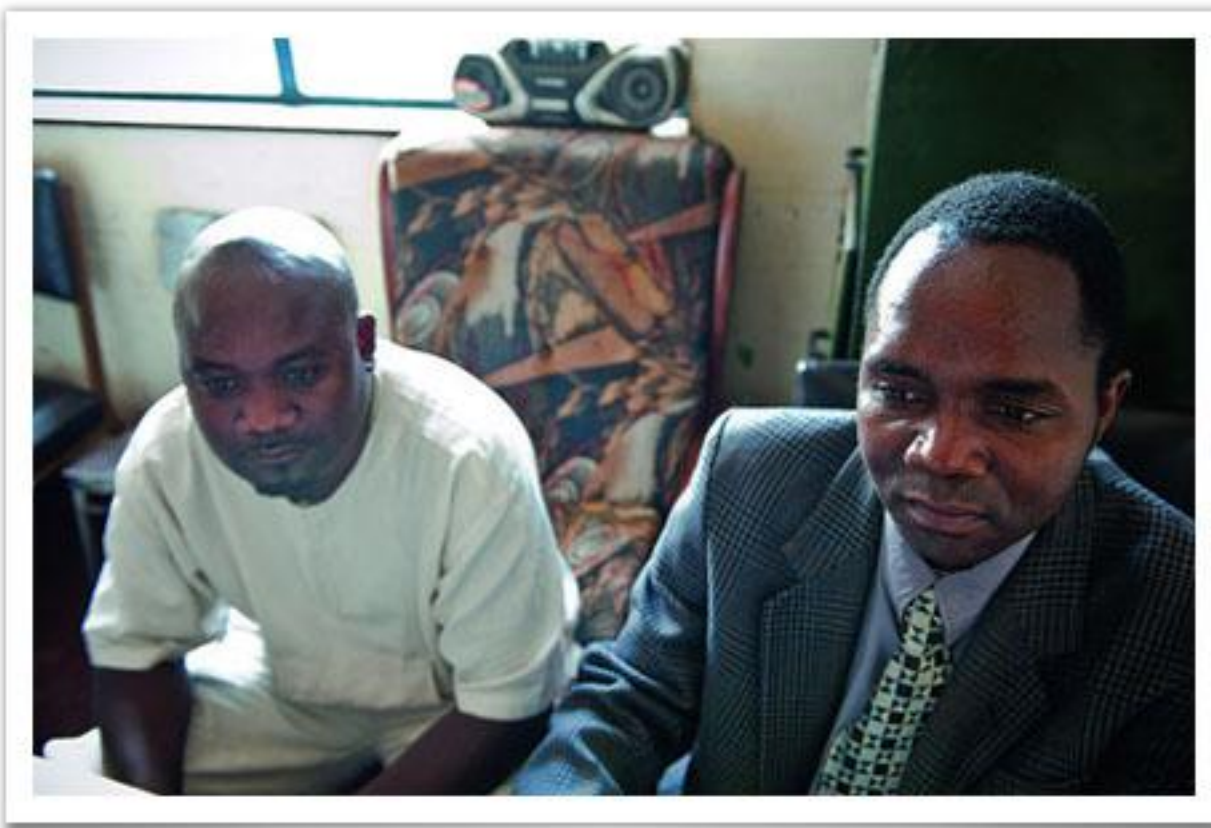
Wyciągnąłem aparat i zacząłem przerzucać kadry, powiększając istotne fragmenty. Inspektor Mbulo i jego partner, niski, odziany w dość staromodny garnitur w zielonkawą jodełkę, patrzyli uważnie.

Powiększyłem zdjęcie Bena. Policjanci wymienili szybko jakieś uwagi i pokiwali głowami.

– Znamy go – powiedział ten w jodełce. – To oszust, drobny kanciarz. Pokazuje prawdziwą kość, ale potem sprzedaje ci plastikowe podróby. Czasem też stoją na przykład we trzech, dajesz im pieniądze, jeden idzie niby rozmienić banknoty albo po resztę, przez chwilę go nie ma, a potem nagle pozostali też się ulatniają i zostajesz z pustymi rękami. Mamy go na oku.

– Ale tych dwóch... – włączył się inspektor Mbulo na widok ekipy Simona. – Tych to ja widzę po raz pierwszy.





– No to jedziemy, dawaj, Mbulo... – zerwał się ten w skórzanej kurtce, po czym opadł, uciszony ponownie władczy gestem szefa.

Zdjęcia zostały przeanalizowane i porównane z bazą danych, bez efektów. Zostawiliśmy policjantom kopie, jak również sprawdziliśmy dokładność wynotowanych przez nich informacji. Zeznania składaliśmy ponad półtorej godziny. Detektywi nie ukrywali wrażenia, mówili wprost, że odwaliliśmy kawał dobrej, policyjnej roboty. Gęba mi się śmiała, gdy słyszałem takie słowa – jak napisane w scenariuszu.

Inspektor Mbulo zrozumiał, gdy odmówiliśmy podania swoich danych i podpisania oświadczeń. Pokiwał głową w geście mówiącym wszystko. Gdy zaczęliśmy się zbierać do wyjścia, tym razem to nas usadził w miejscu.

– To jeszcze nie wszystko, poczekajcie. Powiem wam, co teraz zrobimy. Otóż zadzwonicie do tego Simona i umówicie się na jeszcze jedno spotkanie, choćby i dziś, a my...

– No chyba pan oszalał, inspektorze. Daliście panowie koncertowo

ciała. Po to przyszliśmy tu wczoraj, żebyście dziś rano mogli ich zgarnąć na gorącym uczynku. A teraz mamy jeszcze raz nadstawić karku, bo jakiś kretyn na dole nie przekazał doniesienia w odpowiednie ręce?

W ciasnym pokoju zapadła wibrująca cisza.

– Nie możemy was wprawdzie do niczego zmusić... – powiedział ostrożnie detektyw Jodła.

– I tak dużo zrobiliśmy! – odparowałem zdenerwowany.

– No nie da się ukryć... – pokiwał głową z lekkim zażenowaniem.

– W porządku, macie rację – odezwał się inspektor Mbulo. – W takim razie powiem wam, co powinniście teraz zrobić. Po pierwsze, to jest moja wizytówka. Wróćcie do swojego hotelu, podacie ją właścicielowi i każecie mu do mnie zadzwonić. Ja mu powiem, żeby usunął z księgi gości wasze nazwiska i numery paszportów. Niech je starannie zamaże.

Wziąłem do ręki wizytowy kartonik. Wynikało z niego, że inspektor ukończył Uniwersytet Yale. Zauważył moje zaskoczenie i na moment uśmiechnął się blado, ale natychmiast spoważniał.

– Po drugie... Czy mówiliście tym ludziom, dokąd się wybieracie?

– Powiedzieliśmy, że jedziemy do Chirundu, a potem do Harare.

– To jeszcze dziś wyjedziecie dokładnie w przeciwną stronę. Bo kiedy my się do nich dobierzemy, a zapewniam was, że to długo nie potrwa, to się wydarzy dziś albo jutro, oni kogoś wyślą waszym śladem. A to nie są ludzie, których chcecie mieć za plecami.

WŁAŚCICIELKA CHACHACHA tylko spojrzała na wizytówkę inspektora, spytała, o co chodzi, i bez słowa wyrwała całą stronę księgi gości, po czym wcisnęła mi ją pospiesznie do ręki. Nie chciała wiedzieć nic więcej.

Chwilę później uciekliśmy z Lusaki, w milczeniu tłumiąc strach. Tego dnia przejechaliśmy autostopem siedemset kilometrów, najwięcej jak mogliśmy.



Delta rzeki Okawango, Botswana, tydzień później

OBUDZIŁY NAS HIPOPOTAMY. I tak zresztą nie dawały spać, parskając i sapiąc radośnie przez całą noc tuż za naszym namiotem. W koronach drzew świergotały ptaki, w trzcinach pluskał krokodyl.



Kolejny dzień w bezludnej dziczy.

Żyliśmy na małej wysepce Mma Dikudu zagubionej gdzieś na bagnach rzeki Okavango, która hamowała tu leniwie, tworząc olbrzymie rozlewisko. Chcieliśmy odpocząć, ostudzić nerwy, pomyśleć w spokoju. Posiedzieć chwilę w ciszy, w miejscu, gdzie życie jest przyjemnie nieskomplikowane.

Łukasz ustawił mały garnuszek na ogniu. Znowu będziemy pić wodę pachnącą dymem. Przez liście przebijały się promienie porannego słońca. Byliśmy w Afryce bez safari, płotów i strażników. Bez morderców i złodziei, bez tej chorej żądzy i nienawiści. Gdzie zwierzaki



biegały swobodnie, a ludzie ponownie byli ludźmi. Skarby, które nas tu przywiodły, w którymś momencie przestały mieć znaczenie. Tony Tucker miał rację. Gorączka złota widziana z bliska okazała się potworna. Poszukiwanie skarbów to obsesja, choroba, która zmienia ludzi w pozbawione skrupułów upiory. Ludzie, pchani wizją bogactwa, posuwają się do strasznych rzeczy, daleko poza granice rozsądku i wyrzutów sumienia. Gdzieś na sawannie porzuciliśmy wymaginowany, baśniowy świat marzycieli i awanturników. Inne, bolesne sprawy okazały się ważniejsze.



Morotsi podczas jednej z wypraw dłubanką *mokoro* po Okawango

Patrzyłem, jak Łukasz nakłada porcję owsianki i wręcza miskę Morotsiemu, naszemu przewodnikowi po Delcie. O coś się przekomarzali, słyszałem tylko głosy, nie wyłapywałem słów. Łukasz się zmienił, bardzo. Przyjechał tu wychowany „od linijki”, z jasno określonym podziałem na dobrych i złych. Od dziecka słuchał

rasistowskich bredni, w które, chcąc nie chcąc, musiał wierzyć i które go w znacznym stopniu ukształtowały. Widział to w sobie, ale nic nie mógł na to poradzić. Chyba po prostu nie można się zmusić, żeby kogoś polubić.

Czarnych Afrykanów trzymał zawsze trochę na dystans. Traktował ich grzecznie, ale bez jakiejś przesadnej uprzejmości. Jak sąsiada, z którym nic cię nie łączy, ale jakoś nie pałasz do niego wielką sympatią.

Podczas tej podróży musiał się przejrzeć w lustrze, skonfrontowany z tysiącem sytuacji, w których Afrykanie nam pomagali, byli dla nas bezinteresownie dobrzy. Ludzie tacy jak Bothwell, jak strażnicy z Imire czy choćby policjanci z Lusaki zakłócali Łukaszowi pewien obraz, który miał w głowie i którego kurczowo trzymał się od dziecka. Wykształceni, mądrzy, odważni. Nie mieli wiele, a mimo to szli przez życie uczciwie i z podniesioną głową. Ludzie, którym niewiele można było zarzucić.

Chyba ta bezkompromisowa oczywistość zaczęła Łukasza powoli kruszyć od środka.

Ale mnie inna myśl zaczęła kruszyć również.

Może Łukasz miał co do mnie rację? Może ta moja naiwna miłość do świata to jakaś dziecinada? Jeszcze niedawno największą oznaką dorosłości było dla mnie to, że mogę wyjść o dowolnej porze do budki i kupić sobie zapiekankę. Minęło raptem kilka lat, niczego się o życiu jeszcze nie nauczyłem i proszę bardzo, nadal pełen dziecinnej wiary w ludzi, z szeroko otwartymi ramionami, wlałem w historię jak z filmu. A tam spojrziałem w lufę pistoletu i o mało nie spaskudziłem się w spodnie. Okazało się, że moja ufność miała niewielkie przełożenie na rzeczywistość.

Kogo jak kogo, ale siebie postanowiłem nie oszukiwać. Mieliśmy spory fart, że skończyło się tak, jak się skończyło. Mogliśmy dzisiaj siedzieć w kiciu albo broczyć krwią w jakimś rowie melioracyjnym, a deszcz zmywałby nam błoto z twarzy. Nawet o tym nie wiedząc, zagrałem *va banque*, bo kocham ludzi i ufam im ponad miarę. Może jestem głupi, może naiwny.

A może we wszystkich dookoła widzę głównie siebie.



Łukasz Radomyski. Delta Okavango, Botswana

Afrykanie nie byli wyłącznie mężni, preźni i ze spiżu. Niektórzy byli leniwi, głupi i bezmyślni, szukali dróg na skróty i nie oglądali się na nikogo. Inni nie mieli żadnych skrupułów i nie widzieli dalej niż własna kieszeń.

Byli różni.

Mam nadzieję, że dojdziemy kiedyś wspólnie z Łukaszem do szczerego przekonania, że liczy się nie kolor skóry ani pochodzenie, a osobowość, rozpatrywana indywidualnie. Że nie jestem biały, czarny, żółty czy beżowy, nie jestem mieszcuchem czy wieśniakiem. Że ponad to, co mnie określa, jestem głównie sobą, istotą ludzką wymykającą się generalizującym ocenom, bo te są potrzebne głównie innym, by móc mnie jakoś łatwiej zrozumieć.

Mamy obaj do tego miejsca jeszcze bardzo daleką drogę. Ale będziemy próbować.

**STALIŚMY NA SAWANNIE**, zauroczeni. Przed naszymi oczami

rozgrywał się najpiękniejszy spektakl świata. Spektakl natury, której nie można kupić w sklepach agro. Afrykańska przyroda brała głęboki oddech.

Setki zebra, antylop, impali i tsessebe płochliwie ganiały się wśród traw. Niebo naznaczały plamami tysiące ptaków, ożywiające powietrze dźwięcznym śpiewem. W koronach drzew mały obrywały liście, krzycząc w niebogłosy. Pomiedzy krzakami przemykała rodzina Pumbów z podniesionymi śmiesznie pędzlastymi ogonami. Hipopotamy parskały w pobliskim bajorku, a czarne, zawiesziste chmury polowały deszczem, ganiając się po horyzoncie.

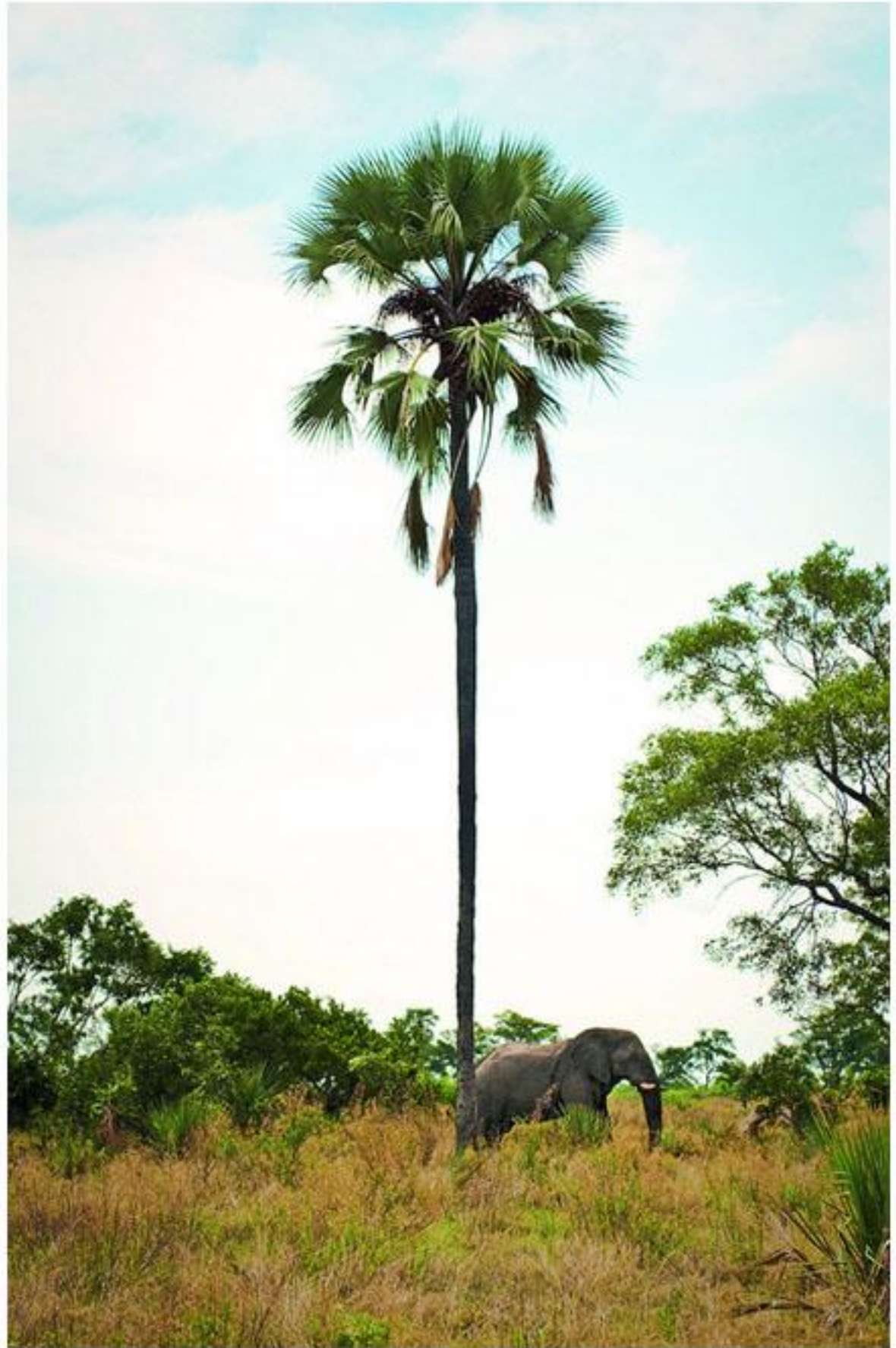
Kończyła się susza. Na nas też przyszła już pora.

Odwróciłem głowę. Między drzewami, tuż za naszym obozem, przechadzały się dumnie słonie. Stado sześciotonowych olbrzymów w tym swoim niespiesznym, rozkołysanym chodzie. Ich uszy wielkości latawców wachlowały powietrze, a małe drzewka padały pod przypadkowym naporem ich ciał. Jeden z samców zatrzymał się pod palmą, pozwalając podziwiać się w pełnej krasie.

Spod jego wielkiej szarej trąby wystawały lśniące białe ciosy.

Ten moment, właśnie ten, to było szczęście.







Trzy tygodnie później

DRRYŃ, DRRYŃ. KLIK.

– Słucham?

– *Mister* Thomas? Mówi inspektor Mbulo.

– Witam inspektorze, co za niespodzianka!

– Dzwonię poinformować, że wasze informacje się potwierdziły.

Część tej grupy już zatrzymaliśmy, część uciekła z kraju. Wysłaliśmy za nimi listy gończe, są poszukiwani w całej Afryce. Dobra robota.

– Dziękuję, inspektorze, nawet pan nie wie, jakie to dla mnie ważne. Niech pan na siebie uważa.

– *Tatenda, mister* Thomas. Do zobaczenia.

<sup>[6]</sup> Bardzo trudno pisać o podziałach rasowych, bo nasz język w tej materii jest niezwykle oceniający i mimo najlepszych chęci nad wyraz łatwo dokleja pejoratywne łaty.

Ta książka to nie rozprawa naukowa, żebym w trosce o poprawność polityczną używał naprzemiennie terminów „mniejszości etniczne”, „społeczności plemienne” czy „potomkowie kolonizatorów”. Czas leci, a Afryka się zmienia. Afrykanie są dziś i czarni, i biali, a żadnemu z nich nie można odmówić prawa do czucia się obywatelem tego kontynentu. Wszyscy się tu urodzili, wszyscy mają afrykańskie paszporty i – przynajmniej ja – nie znam metody na odróżnienie tych „bardziej afrykańskich” od tych „mniej”.

W tej książce będę więc pisał po prostu „biały” i „czarny”. Żadne z tych słów nie ma boleć ani oceniać, nie ma też nic sugerować. To po prostu kolor skóry, który dla mnie nie ma żadnego znaczenia. Wszelkie negatywne konotacje będą w tym przypadku nadużyciem.

Jeśli rozumiecie te słowa inaczej, zwłaszcza negatywnie, muszę

Was gorąco poprosić o chwilowe odstępstwo od tego rozumienia.

<sup>[7]</sup> Kongijczyk używał słów raw i made, czyli dokładnie „surowe” i „zrobione”. W ten sposób określa się dwa rodzaje kości słoniowej. „Surowe, świeże” to wyrąbane ciosy. „Zrobione” to przedmioty: figurki, grzebienie i tym podobne, już wycięte z kości i przygotowane do sprzedaży.

<sup>[8]</sup> Skautami nazywa się ludzi, którzy prowadzą rozpoznanie przed istotną transakcją, kryjąc tożsamość klienta.

## Na marginesie

[[powrót do tekstu](#)] Historia o szampanie to prawie na pewno legenda, nic takiego zapewne się nie wydarzyło. Najbliżej byłaby całkiem niedawna historia siedmiu Szwedów, którzy znaleźli na dnie Bałtyku trzydzieści butelek szampana z końca osiemnastego wieku. Zakładam, że opowieść jechała przez pół świata, obrastając coraz to nowymi motywami, aż dotarła do Indonezji w formie takiej, jaką opowiedział mi Shannon.

W tej książce będzie wiele historii, w które trudno uwierzyć. Wszystkie, łącznie z retrospekcjami, potwierdziłem w najdrobniejszych detalach, stosując te same zasady dziennikarskiej rzetelności, co przy wszystkich innych projektach. Fakty weryfikowałem w niezależnych źródłach, konfrontowałem ze sobą wersje i opinie, posiłkowałem się dziesiątkami dokumentów i odbyłem setki godzin rozmów z ekspertami w danych dziedzinach.

Jeśli więc piszę, że ktoś nie miał jedynek, bo je stracił w barowej bijatyce, to tak właśnie było. Jeśli piszę, że w szesnastym stuleciu kapitan Velazquez wyrzucił za burtę działo, żeby odciążyć statek, to wiem to ze starych oficjalnych zapisów *Casa para la Contratación y Negociación de los Indias*, hiszpańskiego Biura Handlowego dokumentującego wszystkie działania flot przewożących skarby z Nowego Świata. Albo z dziennika pokładowego lub researchu wykonanego przez najlepszych specjalistów na świecie. W tej książce opisuję fakty, a nie zmyślane historie, chociaż forma jest mocno przygodowa.

Umówmy się tak: jeśli opisuję coś, czego wiarygodność jest wątpliwa albo nie udało mi się potwierdzić pewnych szczegółów, zaznaczę to w tym miejscu.

[[powrót do tekstu](#)] Historia Conceição zachowała się w dwóch świadectwach. Pierwsze sporządził w 1557 roku pasażer okrętu, niejaki Manoel Rangel. Drugie, anonimowe, spisał w 1620 pewien duchowny, który nie zdradził swojego nazwiska.

Po tym jak kapitan opuścił rozbitków, zaczęli oni budować szalupę. Przez szesnaście dni zbierali szczątki okrętu wyrzucane przez

morze na brzeg, aż skonstruowali łódź zdatną pomieścić czterdzieści osób oraz zapasy wody i żywności. Zapakowali się na nią tylko szlachcice i odpłynęli tak jak kapitan, resztę zostawiając samym sobie. Pozostali, pozbawieni jedzenia i wody, które dwie grupy uciekinierów zabrały siłą, żyli, jedząc żółwie jaja, polując na ptaki i łowiąc ryby. Przez kolejny tydzień pogrążeni w rozpacz zbudowali tratwę, na której odpłynęło następnych dwadzieścia siedem osób. Ponownie najwyżej urodzonych.

Z głodu, wycieńczenia i udaru słonecznego zmarło na tej wyspie ponad trzysta osób. Żadna z grup uciekinierów nie przysłała im na ratunek.

[[powrót do tekstu](#)] John Everingham i historia z przepłynięciem Mekongu. John Everingham został gwiazdą po tym, jak z ogarniętego wojną Laosu wyciągnął swoją ukochaną. W pojedynkę zorganizował akcję, podczas której przepłynął ze sprzętem nurkowym pod Mekongiem, pod nosem żołnierzy wyprowadził swoją dziewczynę i wrócił z nią do Tajlandii w ten sam sposób. Warto pamiętać, że był dziennikarzem, nie agentem specjalnym.

Historia Everinghama opowiedziana jest w filmie *Love is Forever* z 1983 roku, w roli Johna wystąpił Michael Landon. Dziś Everingham mieszka ze swoją laotańską żoną na południu Tajlandii, na jednej z rajszych wysp.

[[powrót do tekstu](#)] Ti oraz Pi, tajscy rybacy. Ich prawdziwe imiona to Aht i Leung, których Knight nie potrafił zapamiętać. Tajowie wymyślili sobie przydomki, żeby mu ułatwić zadanie. Ti i Pi brzmi jak *tea* i *beer*, herbata i piwo. To dość dużo mówi o *sir* Richardzie Knighcie, *doesn't it?*

[[powrót do tekstu](#)] Historię Corca i Knighta sprawdziłem na tyle różnych sposobów, że wyliczenie wszystkich źródeł zajęłoby półtorej strony. Zweryfikowałem wszystkie detale i rozmawiałem z każdym, kto mógł wnieść cokolwiek do tej sprawy: zarówno z Glenys Roberts, jak i Kennethem Crutchlowem, kapitanem Mukiem oraz dziesiątkami ekspertów.

[[powrót do tekstu](#)] Coolerzy. W żargonie ochrony kasyn coolerzy to też *mocks*. Od kilkunastu lat zatrudnianie coolerów jest nielegalne i

przynajmniej oficjalnie już ich nie ma. Nieoficjalnie wiecie im się bardzo dobrze, chociaż już nie w największych kasynach w Vegas, raczej na obrzeżach i w mniejszych miejscowościach w okolicy.

[[powrót do tekstu](#)] O tym, co się dzieje za kulisami w Las Vegas wiem od ludzi, których tożsamości nie mogę ujawnić, więc akurat w tym wypadku musicie mi wierzyć na słowo.

[[powrót do tekstu](#)] Historia Marcosa jest prawdziwa. Została wydobyta z dokumentów *Archivo General de Indias* przez Johna S. Pottera i Goina E. Haskinsa, jednych z najlepszych reasercherów zajmujących się tematem hiszpańskich skarbów.

[[powrót do tekstu](#)] Indianie Auia w zachodniej literaturze występują również jako plemię Karankawa, Clamcoëh lub Kronk. Na Karaibach w szesnastym i siedemnastym wieku było zresztą więcej grup kanibali. W równie przerażających historiach ostali się Karibowie, podobno wyjątkowo rozsmakowani w białym konkwistadorskim mięsie. Dziś ich wioski można znaleźć między innymi na Małych Antylach, choć rzecz jasna nie jedzą już ludzi.

[[powrót do tekstu](#)] Rozbitkowie z Isla Blanca z opowieści o Marcocie próbowali dojść do Panuco, najdalej na północ wysuniętej osady hiszpańskiej. Myśleli, że musi być niedaleko, najwyżej dzień drogi. W rzeczywistości Panuco znajdowało się w odległości trzystu trzydziestu mil. Gdyby zatem nie zginęli z rąk kanibali, nie przetrwaliby takiej trasy przez dżunglę.

[[powrót do tekstu](#)] Dzieci w kopalniach. Po odkryciu Ameryki Hiszpanie byli zawiedzeni. Spodziewali się azjatyckich cudów opisywanych przez Marco Polo – indyjskiego złota i chińskiego jedwabiu, a znaleźli ładne widoki i palmy kokosowe bujające się nad plażą. Potem odkryli perły i złoto Indian, które zaczęli wywozić. Gdy indiańskie kosztowności się skończyły, Hiszpanie przestawili się na wydobywanie, bo odkryli rudy srebra i złota. W ten sposób rozpoczęło się w Nowym Świecie niewolnictwo.

Indianie zostali zagonieni do pracy na plantacjach i w kopalniach. Hiszpanie niewolili całe plemiona od Meksyku po Boliwię i Chile. Indianie wymierali masowo z wycieńczenia i przez nieludzkie traktowanie, dziesiątkowały ich też choroby i niedożywienie. Gdy

skończyli się niewolnicy na południu, Hiszpanie wysyłali rajdy na północ, nawet na terytorium dzisiejszego USA. Handlarze niewolników zwozili im ludzi do pracy, w tym dzieci w wieku dziewięciu-jedenastu lat, które według nich mogły dłużej wytrzymać pod ziemią.

Indianie pracowali w kopalniach do śmierci, nie byli nigdy uwalniani.

[powrót do tekstu] Dowcip Kaczora brzmi jeszcze lepiej w oryginale. Jego pierwotna wersja to „Nowe Drezdenko – miasto seksu i biznesu”, napis widniejący na dworcu w tej miejscowości. Za każdym razem rozkłada mnie do łez.

[powrót do tekstu] Siedem Miast Cíbola. Legenda o złotych miastach nie dawała konkwistadorom spokoju. Coronado w końcu dotarł do Cíbola w 1540 roku i oczywiście odkrył, że to tylko mit. Zamiast ulic brukowanych złotem znalazł gliniane domki *adobe*, takie jak wszędzie. Historia o wyprawie Ulloi i rywalizacji Cortésa z Coronado jest prawdziwa w najdrobniejszych szczegółach, podobnie sposób ukrycia ich skarbów.

[powrót do tekstu] Piryty, złoto głupców. Złoto w skale nie błyszczy, wygląda na żółte, trochę jak jasna glina. Piryty ma zaś metaliczny połysk, który zwodzi poszukiwaczy. Poza tym kryształy piryty w naturze są symetryczne, jak sześcian. Metale szlachetne nigdy.

[powrót do tekstu] Symbol pułapki. Hiszpanie często oznaczali pułapki znakiem krzyża symbolizującym śmierć albo wrytym w skale prostokątem oznaczającym uwięzienie, zamknięcie.

W południowej Arizonie niedawno zginęło dwóch ludzi, gdy uruchomili pułapkę z dynamitem, czyli coś z czasów konfederatów, po 1865 roku.

Tony stracił dwóch znajomych, którzy uruchomili hiszpańską pułapkę. Jego trzeciemu znajomemu, doktorowi historii i ekspertowi od wczesnej hiszpańskiej symboliki, udało się jedną z pułapek dezaktywować. To właśnie w tej kopalni pracują teraz ludzie Tony'ego.

[powrót do tekstu] Zabójcze powietrze w kopalniach. Tony mówił wiele razy: „Zapamiętajcie, chłopcy. Nieważne, jak brudny masz palec, masz go wsadzić do gęby i sprawdzić, skąd wieje wiatr. Bo gdy tylko poczujecie delikatny zapach zgniłych jajek, macie nabrać powietrza do



pełna i biegiem zasuwać na dowietrzną. Macie biec najdalej, jak dacie radę, na tym jednym wdechu, zanim weźmiecie drugi. Bo ten drugi może być ostatni”. Bardzo tego pilnował. Mówił: „Nigdy nie wiesz, na co trafisz, i lepiej, żebyś był cholernie dobrze przygotowany”.

[powrót do tekstu] Historia Atochy została drobiazgowo udokumentowana przez zespół doktora Eugene’a Lyona podczas ponaddziesięcioletniego researchu w Archivo General de Indias w Sewilli. To jest nieprawdopodobny projekt badawczy. Dzięki niemu wiadomo nawet, jakiego koloru suknię miała diuczessa (niebieską).

[powrót do tekstu] Dla purystów: oprócz dwóch głównych armad była jeszcze trzecia, Flota Mórz Południowych, ale dużo mniejsza.

[powrót do tekstu] Gdzie leżą wraki? Większość skarbów leży wzdłuż głównych tras oceanicznych z tamtych czasów. Floty przestały masowo tracić okręty dopiero około 1900 roku, gdy upowszechnił się wynalazek radia i ulepszono metody nawigacji.

Wokół Florydy leży co najmniej czterysta wraków, prawie trzysta zostało zlokalizowanych. W Australii na Wielkiej Rafie leży dziewięćset okrętów. U wejścia do portu w Hawanie tylko w ciągu 1768 roku zatono siedemdziesiąt statków i zginęło stu ludzi. W 1846 roku huragan zatopił tam dwieście statków. Łącznie leży tam czterysta wraków.

Inne miejsca godne uwagi to Bahamy, Bermudy, Azory, Filipiny i Mariany. Na dnie Morza Śródziemnego leży z kolei mnóstwo rzymskich galer, francuskich, hiszpańskich i angielskich okrętów wojennych i cała masa statków pirackich.

[powrót do tekstu] Żelazo cenniejsze niż złoto. Członek załogi złapany w Nowym Świecie na wynoszeniu z okrętu jakiegokolwiek żelaza, choćby i gwoźdź, był skazywany na śmierć.

[powrót do tekstu] Główny ładunek Atochy znaleziony przez Mela Fishera ważył czterdzieści ton. Był to stos sztab, monet i artefaktów wysoki na dwa metry, długi na dwadzieścia i szeroki na sześć, do tego cały w strzępkach rybackich sieci. W tej okolicy ryby łowiło tylu ludzi, że to, że nikt wcześniej nie znalazł skarbu, jest aż śmieszne.

[powrót do tekstu] Neels Terblanche przepłynął Atlantyk jachtem solo w trzydzieści trzy dni, miał wtedy trzydzieści osiem lat. Podczas

tego pięciodniowego sztormu nie zmrużył oka. Po tym, jak padła mu cała elektronika, rozebrał wszystko na części pierwsze i znalazł problem. Jedna ze śrubek – zardzewiała czy zaśniedziała od soli – powodowała zwarcie. Zajęło mu to trzy dni. Gdy już wrócił do domu i odpoczął, przeniósł się na pustynię Kalahari i żył przez sześć miesięcy z Buszmenami, ucząc się od nich survivalu. Teraz szykuje się do przepłynięcia kajakiem z Madagaskaru do Kapsztadu.

[powrót do tekstu] Uwielbiam brzmienie marynistycznych terminów fachowych, ale nigdy nie byłem żeglarzem. Zraziłem się po wypompowaniu wody z zęzy na koloniach w drugiej klasie podstawówki.

[powrót do tekstu] Wraki wokół Przylądka. Jeśli mimo doświadczeń swoich poprzedników myślicie jednak o nurkowaniu do wraków wokół Przylądka Dobrej Nadziei, bierzcie pod uwagę następujące czynniki: po pierwsze – głębokość sto-sto dwadzieścia metrów, po drugie – kamieniste dno, a więc szczątki każdego wraku są rozrzucone na dużym terenie. Macie do zbadania dwa tysiące siedemset kilometrów wybrzeża, a w wielu miejscach nie ma magnetycznej północy, więc możecie niechcący mocno zboczyć z kursu (tak zresztą roztrzaskiwały się właśnie stare żaglowce).

Dobłą wiadomością jest natomiast to, że jakiś wrak znajdziecie prawie co kilometr. Tylko wokół Przylądka Dobrej Nadziei leży co najmniej trzysta osiemdziesiąt statków, najstarsze z czternastego wieku. Niestety, tylko niewielki ich procent wiózł prawdziwe kosztowności. Większość transportowała „skarby” Orientu – porcelanę, przyprawy i tkaniny.

Ale próbujcie! W końcu wystarczy tylko jeden dobry strzał i jesteście bogaci do końca życia, i Wasze wnuki też.

[powrót do tekstu] Zniszczona Pretoria. Nie odbierzcie tylko wrażenia, że w czasach apartheidu RPA był to kraj mlekiem i miodem płynący, a dzisiejsza dewastacja ma coś wspólnego z jego upadkiem. Co to, to nie. Na obecny stan ma wpływ mnóstwo czynników, których tu nie będę opisywać.

[powrót do tekstu] Miotacze ognia są w RPA legalne, reklamuje się je w gazetach i telewizji. Przycisk spustu instaluje się koło pedałów

lub przy dźwigni zmiany biegów. Są też dostępne wersje osobiste, jak gaz pieprzowy, tyle że plujący ogniem. Samochodowy miotacz nie zabija, ale potrafi poważnie poparzyć. Głównym efektem jest jednak chwilowy szok, który pozwala kierowcy uciec. Ogień bucha spod drzwi kierowcy i pasażera, w obie strony, pod kątem czterdziestu pięciu stopni – tak żeby nie stopić lakieru na karoserii auta.

[powrót do tekstu] Podatki i bezrobocie w RPA. Do niedawna w kwestii ściągalności podatków było jeszcze gorzej. Na czterdzieści pięć milionów mieszkańców płaciło je pięć milionów obywateli, w tym cztery miliony białych. Płaca minimalna to osiemdziesiąt randów dziennie, o ile pracodawca zapewnia jedzenie i dach nad głową. Czyli czarni pracownicy zarabiają około dwustu pięćdziesięciu dolarów miesięcznie. W oficjalnych statystykach bezrobocie wynosi ponad pięćdziesiąt procent. Według nich żebrak na ulicy zalicza się do grupy pracującej.

[powrót do tekstu] Kolorowi to mieszanka ras, ale to nie Mulaci. To mieszanka rasy białej z Buszmenami, plemieniem San. W rzeczywistości w RPA mają moim zdaniem najgorzej. Nie lubią ich zarówno czarni, jak i biali. Uważa się powszechnie, że to bandyterka i złodzieje. Zarzuca się im wszystko co najgorsze: pijaństwo, złodziejstwo, rozróbę... Ile w tym prawdy, nie potrafię ocenić.

[powrót do tekstu] Historie Hanki i Grega zasługują na oddzielną książkę. Hania wychowała się w buszu, trzy godziny drogi od najbliższej wioski. W jej domu chowały się szympansy, a na werandzie siedziało czasami tyle tarantuli, że nie było widać koloru desek. Okazało się, że postawili chałupę w miejscu, w którym pająki co rok zbierały się w okresie godowym.

Greg spędził na wojnie dwa lata, a potem przez dziesięć kolejnych przebywał na froncie po trzy miesiące. Przez pierwsze dwa lata patrolował pustynie i dżungle w poszukiwaniu min przeciwpiechotnych. Szli rzędem w dziesięciu, w pełnym rynsztunku, z trzydziestokilowym obciążeniem i w niemożliwym upale szukali prawie przezroczystych linek rozciągniętych na wysokości kostek, przy okazji uważając, czy wróg nie wyskakuje zza krzaka.

Hania i Greg razem podróżowali przez sześć lat. Przygody, które

przeżyli, złożyłyby się na bestseller i pewnie przyniosłyby im worek nagród podróżniczych. Bo czy znacie kogoś, kto spał na polu lawowym podczas wybuchu wulkanu, w Kanadzie tropił niedźwiedzie, a w Kalifornii mieszkał w Malibu w jednej z najdroższych rezydencji?

[[powrót do tekstu](#)] Skarb Krugera. Informacja dla tych, którzy już pakują rzeczy i wyjeżdżają do RPA: skarb Paula Krugera jest wart podobno dwieście czterdzieści trzy miliony dolarów i znajduje się gdzieś w Lowveld. Możliwe, że w okolicy Ermelo, gdzie jedna z zuluskich rodzin znalazła ponoć kilka tysięcy złotych monet i wyprzedawała je po cichu od lat sześćdziesiątych. Albo w prowincji Mpumalanga, w załomach rzeki Blyde. Poszukiwanie tego skarbu odebrało już życie co najmniej jedenastu osobom, a wiele doprowadziło do ruiny. Historycy wprawdzie uparcie twierdzą, że skarb Krugera to tylko legenda, ale kto by się przejmował detalami.

[[powrót do tekstu](#)] Lwy w Antelope. Taka ekoturystyka jak pływanie z delfinami (na wolności), nurkowanie z rekinami czy spacerzy z lwami budzi nieco kontrowersji. Krytycy uważają, że to nadal wykorzystywanie zwierząt, zwolennicy – że to fantastyczne, uświadamiające doświadczenie, które buduje wrażliwość i czyni ludzi lepszymi.

Bliżej mi do tego drugiego podejścia, o ile dany ośrodek traktuje sprawę poważnie. Jeśli na słońcu można jechać, to nie mówimy o ekoturystyce, tylko o wykorzystywaniu zwierzęcia, bo jest bite i tresowane ogniem, nawet jeśli tego nie widać. Jeśli lew czy małpka jest na smyczy, sprawa ma się podobnie.

Antelope jest częścią dużego programu ALERT, który zajmuje się reintrodukcją zagrożonych gatunków, jest monitorowany i kilka poważnych organizacji środowiskowych bacznie mu się przygląda. Lwy nie są do niczego zmuszane, nikt ich nie bije ani nie tresuje, za to rozwija się w nich naturalne instynkty – to wszystko na plus.

Na minus muszę zaliczyć zaplecze, którego zwykli odwiedzający nie widzą. Sporo dorosłych kotów mieszka w dużych klatkach i szefowie ośrodka nie kwapią się do szybkiego ich transferu na większe tereny (to jest następny stopień programu ALERT, Stage 3). Może to kwestia ograniczonych funduszy albo braku ewentualnych odbiorców

kotów. A może po prostu potrzebują ich, żeby zasilać kasę turystycznymi dolarami.

Dramatu zatem nie ma, ale rewelacji też nie. Za traktowanie zwierząt dałbym Antelope czwórkę z małym minusem.

[powrót do tekstu] Historia Bothwella. Z całej opowieści o generale Matandze, Bothwellu i strzelaninach z rangerami nie udało mi się potwierdzić tylko wyglądu gabinetu generała. Reszta detali się zgadza, włącznie z przebiegiem rozmów w kwaterze rangerów. Niektóre nazwiska zostały zmienione.

[powrót do tekstu] Bushbaby. Wrzeszczące jak dzieciak stwory to galago albo nagapies, małe małpiatki żyjące w koronach drzew. Mają około dwudziestu-trzydziestu centymetrów wzrostu, ale większość tego chuchra musi najwyraźniej zajmować aparat krzykowy, bo ich jazgot niesie się w nocy przez busz na setki metrów. Zresztą w nocy wszystkie dźwięki daleko się rozchodzą, z wiatrem lub po wodzie, więc jeśli nagle obok was ryknie lew, to spokojnie, bo tak naprawdę pewnie siedzi kilometr dalej. Bushbaby łatwo wypatrzyć w nocy, wystarczy metodycznie omiatać światłem latarki liście drzew i czekać na odbłask ich wielkich, wyłupiastych oczu. Nie sposób ich nie zauważyć.

[powrót do tekstu] Do Imire można też przyjechać turystycznie. Nie będziecie mieszkać wprawdzie w domu Traversów, a w eleganckich bungalowach, ale za to na pewno zobaczycie sporo zwierząt, w tym słonie, guźce, zebry, żyrafy, antylopy i hipopotama. No i nosorożce, rzecz jasna. Olbrzymia prośba – nie targujcie się. Imire naprawdę potrzebuje pieniędzy, a Traversowie wykonują ogromnie ważną pracę. Niech to będzie Wasz wkład w ochronę przyrody.

[www.imiresafariranch.com](http://www.imiresafariranch.com)

[powrót do tekstu] Tatende czy Tatenda? Zgodnie z przyjętym powszechnie angielskim zapisem języka szona powinienem pisać „Tatenda”, choć końcówkę wymawia się pomiędzy „a” i „e”. Niemniej w języku polskim niemal wszystkie imiona zakończone na „a” to imiona żeńskie, a mały nosorożec to stuprocentowy facet. Zdecydowałem się więc na „e” na końcu, bo Tatende wystarczająco dużo miał już w życiu trudności.

[powrót do tekstu] Masakra w Imire. Niestety, ta historia jest

prawdziwa w najdrobniejszych detalach. Potwierdzają ją zarówno relacje świadków, jak i dokumenty policyjne.

[[powrót do tekstu](#)] Syndrom Świętego Mikołaja. Turyści w Afryce rozdają w wioskach prezenty i cukierki, żeby zaleczyć swoje poczucie smutku. Jest to najgorsze wyjście z możliwych. Po pierwsze, dzieci się uczą, że bardziej opłaca się żebrać, niż pracować. Po drugie, w ten sposób podkopujemy autorytet rodziców, którzy wpajają im co innego i często bardzo krzywo patrzą na to obskakiwanie turystów i namolne prośby o podarunek. Po trzecie, dzieciaki przeważnie nie myją zębów, a turyści rozdają często cukierki. Dentystów też nie ma w okolicy.

Ja kieruję się zasadą: wręczaj prezenty, gdy nikt cię o to nie prosi. Uważam, że to uczciwe, partnerskie i odpowiedzialne podejście.

[[powrót do tekstu](#)] Nieprzyzwoita kanadyjska piosenka to *The Assumption Song* grupy Arrogant Worms. Śmieszy mnie za każdym razem.

[[powrót do tekstu](#)] Zwierzęta przy drodze w Botswanie. Wspólnik Simona by do nich strzelał, ale Wy możecie po prostu popatrzeć. Wystarczy przejechać drogę z Kasane do Naty, to jest jak darmowe safari, cały czas coś biega obok – antylopy, żyrafy, zebry, słonie, co chcecie. Wspaniałe miejsce, rozkoszujcie się nim.

[[powrót do tekstu](#)] Czym robię zdjęcia? Od razu uprzedzę to pytanie, bo zawsze dostaję ich mnóstwo. Pracuję na nikonie, zdjęcia do książki robiłem aparatem D700 z podpiętym znakomitym, choć ciężkim nikkorem 24-70 mm 2.8G ED. Biorę też zawsze ze sobą stałoogniskowy nikkor 50 mm 1.4G, którym można strzelać nawet przy świetle świecy.

Kilka zdjęć z poprzednich podróży do Stanów (na przykład z San Quentin) robiłem D80 z obiektywem nikkor DX 16-85 mm, 3.5-5.6G ED VR II albo 18-200 mm 3.5-5.6G IF-ED VR II. Ten pierwszy zestaw to idealny sprzęt podróży – lekki, poręczny i jednocześnie bardzo uniwersalny, a do tego daje niesamowite efekty, jak na swoją cenę. Dziś nie ma już wprawdzie D80, ale jego następcę, D90, to aparat równie dobry, a niektóre parametry ma nawet lepsze.

[[powrót do tekstu](#)] Kawał dobrej policyjnej roboty. Inspektor Mbulo i jego zastępcy mówili wprost, że nie są w stanie wykonać takiej pracy jak my przez swój kolor skóry. Nikt nie będzie z nimi rozmawiał,

bo są czarni. Jako biali byliśmy dla bandziorów poza kręgiem podejrzeń.

Gdy inspektor spytał: „Jakiego byli koloru?” (grzecznie: *What was their skin composition?*), i odpowiedziałem, że czarni, popatrzył na mnie jak na ułoma. „W jakim odcieniu?”, doprecyzował. Że przemytnicy byli czarni, było dla niego oczywiste.

Czy to rasizm?



**Strona autora:**

[www.tomekmichniewicz.pl](http://www.tomekmichniewicz.pl)

**Kontakt z Tomkiem, zdjęcia, zaproszenia, ciepłe słowa i kalumnie:**

[tomek@tomekmichniewicz.pl](mailto:tomek@tomekmichniewicz.pl)

**Zbiórka na nosorożce w Imire:**

[www.tomekmichniewicz.pl/tatende](http://www.tomekmichniewicz.pl/tatende)

**Strona książki:**

[www.otwarte.eu/goraczka](http://www.otwarte.eu/goraczka)

**PARTNERZY PROJEKTU:**





*Odkryj to, co lubisz!*

---



## Spis treści

Okładka Karta tytułowa Dedykacja Informacja \* \* \* Gili Trawangan,  
Indonezja Atol Peros Banhos, Ocean Indyjski, sierpień 1556 \_  
Więzienie San Quentin, Kalifornia, USA ALMIRANTA Sajgon,  
Wietnam, 1983 San Francisco, Stany Zjednoczone, obecnie Zatoka  
Tajlandzka, Morze Południowochińskie, 1983 Isla Blanca, Zatoka  
Meksykańska, 1553 Pustynia w Nowej Hiszpanii, 1539 Droga  
międzystanowa I-40, Nowy Meksyk-Teksas, kilka dni później Key  
West, Floryda, obecnie Siedemnaste piętro wieżowca, Filadelfia \_  
Archivo General de Indias, Sewilla, dwadzieścia lat wcześniej \_  
Hawana, Kuba, 1622 TATENDE Hermanus, Republika Południowej  
Afryki Pretoria-Johannesburg, RPA Droga Beitdbridge-Bulawayo,  
Zimbabwe Okolice Marondery, Zimbabwe, wcześniej Imire,  
Zimbabwe, trzy lata wcześniej Delta rzeki Okawango, Botswana,  
tydzień później Trzy tygodnie później Na marginesie Karta  
redakcyjna

Projekt okładki: **Tomasz Larek i Małgorzata Wójcicka** /  
[www.tamtaram.pl](http://www.tamtaram.pl)

Fotografie w książce i na okładce: © **Tomek Michniewicz**

Opieka redakcyjna: **Maria Kula**

Adiustacja: **Janusz Krason** / Studio NOTA BENE

Korekta: **Joanna Mika-Orządała** / Studio NOTA BENE,  
**Anna Szczepańska** / Studio NOTA BENE

Copyright © by **Tomasz Michniewicz**

ISBN 978-83-7515-913-4

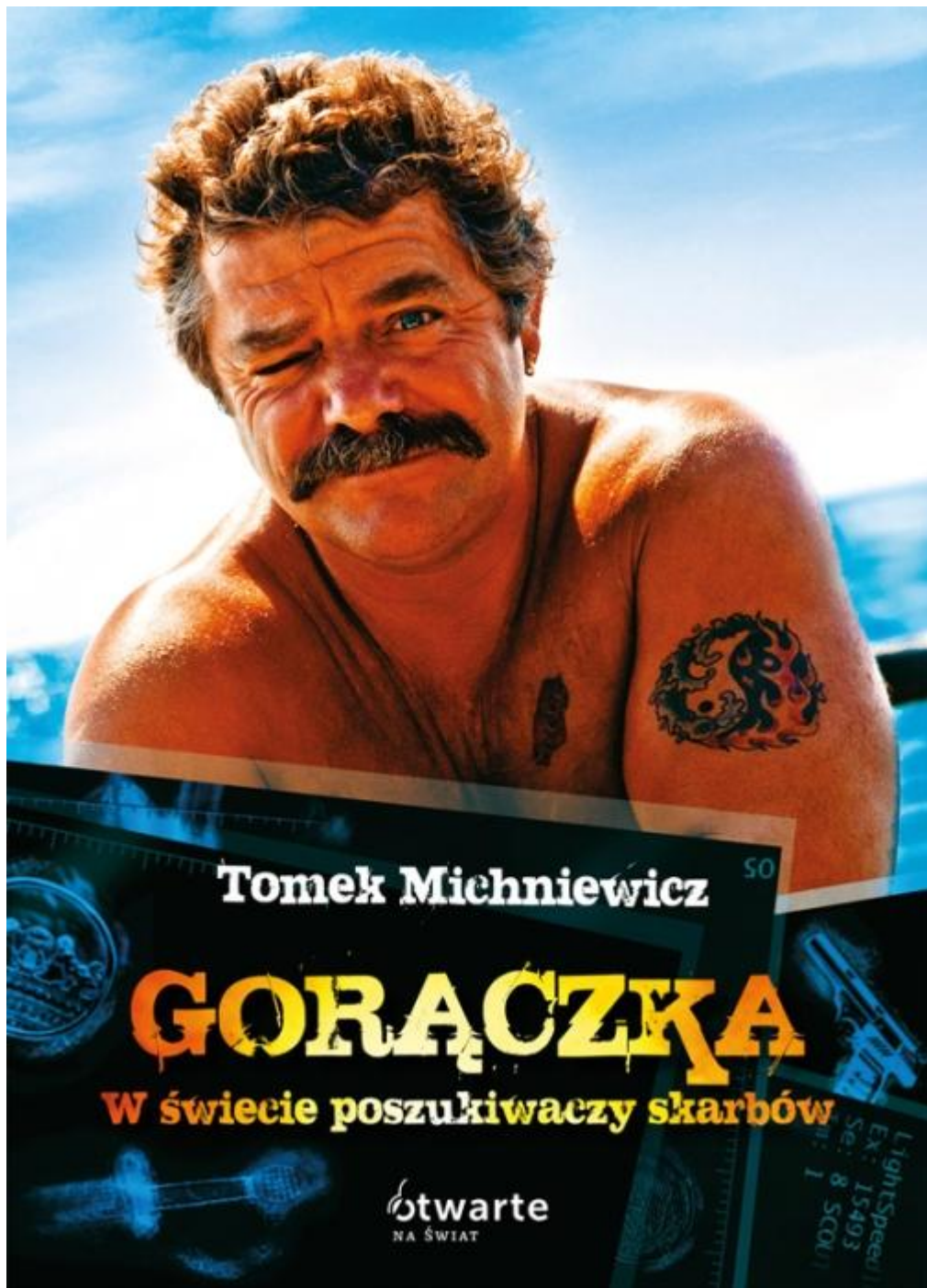
Plik opracowany przez Woblink i eLib.pl na podstawie *Gorączka*.  
*W świecie poszukiwaczy skarbów*, wyd. I, Kraków 2011

[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four colored circles: light blue, purple, pink, and orange, respectively. The 'k' is a simple black outline.

**woblink**

[www.woblink.com](http://www.woblink.com)



Tomek Michniewicz

50

# GORĄCZKA

W świecie poszukiwaczy skarbów

otwarte  
NA ŚWIAT

Lightspeed  
EX: 15493  
Ser.: 8 SC001  
Lip: 1

